



Joanna Gierak-Onoszko  
27 ŚMIERCI TOBY'EGO OBEDA



Joanna Gierak-Onoszko

# 27 ŚMIERCI TOBY'EGO OBEDA



WARSZAWA 2019

Joanna Gierak-Onoszko *27 ŚMIERCI TOBY'EGO OBEDA*,  
wydanie pierwsze, Warszawa 2019

Copyright © by Joanna Gierak-Onoszko, 2019

Copyright © for this edition by Fundacja Instytut Reportażu, 2019

REDAKCJA

Olga Gitkiewicz

KOREKTA I POPRAWNOŚĆ JĘZYKOWA

Justyna Tomas, Paweł Wielopolski

REDAKCJA MERYTORYCZNA

dr Tomasz Soroka

PROJEKT GRAFICZNY I TYPOGRAFICZNY SERII I OKŁADKI

Magdalena Wdowicz-Wierzbowska

ADAPTACJA PROJEKTU OKŁADKI

Dominika Jagiełło/OneOnes Creative Studio/

[www.behance.net/OneOnes](http://www.behance.net/OneOnes)

SKŁAD I ŁAMANIE

Michał Wysocki

GRAFIKI NA OKŁADCE

Flatcat, Macro Icon, Top Vectro Stock, lana rinck/Shutterstock

OPRACOWANIE TECHNICZNE

Czarne Na Białym

ISBN 978-83-65970-34-3

REDAKTOR NACZELNA WYDAWNICTWA

Julianna Jonek-Springer

Wydanie elektroniczne 2019



Wydawnictwo Dowody na Istnienie

Imprint Fundacji Instytut Reportażu

Gałczyńskiego 7, 00-362 Warszawa

[www.dowody.com](http://www.dowody.com)

[dowody@instytutr.pl](mailto:dowody@instytutr.pl), [promocja@instytutr.pl](mailto:promocja@instytutr.pl)

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# SPIS TREŚCI

Dedykacja

1. 27 ŚMIERCI TOBY'EGO OBEDA
2. SZEPT PHILA FONTAINE'A
3. DZIECI ŚWIĘTEJ ANNY
4. NIEBO HENRY'EGO PITAWANAKWATA
5. TAJEMNA ŚCIEŻKA CHANIEGO WENJACKA
6. LUSTRO NA URODZINY
7. TATUAŻE TOBY'EGO SICKSA
8. KUCHNIA JONATHANA KAYA
9. KAMIEŃ STEVENA COOPERA
10. DZIECI ŻÓŁWIEJ WYSPY
11. ŚMIECH ROBYN BOURGEOIS
12. UŚCISK MICHAELA WHITE'A
13. PIÓRO MICHAELA CHEENY
14. PTASZYŃKA
15. SŁOWA ANGELI SHISHEESH
16. SERCE EVELYN KORKMAZ

OD AUTORKI

WYBRANA BIBLIOGRAFIA

Przypisy

*Dla Macieja, Jaśka i Staszka*

## 1. 27 ŚMIERCI TOBY'EGO OBEDA

Kiedy Toby Obed wreszcie się budzi, jest już wiosna.

Leży na wznak w niekrochmalonej pościeli, nie poznaje sufitu i ścian dookoła. Jeszcze przed chwilą spał spokojnym, farmakologicznym snem, a teraz jego neurony świecą do białości, usiłując poradzić sobie ze wszystkimi informacjami naraz.

Gdzie jestem? Dlaczego boli? Czy w końcu przestanie?

Toby rozgląda się, szuka widoku za oknem, jakiegoś punktu zaczepienia. Ale jego wzrok wciąż ucieka na środek łóżka. To miejsce, gdzie powinny być teraz jego nogi i stopy, ale przykrywająca Toby'ego kołdra leży płasko.

Toby myśli, że ma halucynacje – tak się czasem zdarza po większym piciu. Chce przetrzeć powieki, podnosi do oczu rękę.

Ale poniżej lewego łokcia nic już nie ma.

Patrzy w prawo. To, co zostało z drugiej dłoni, jest zawinięte w gruby bandaż.

– Chwileczkę! Gdzie się podziały moje nogi? I coście, kurwa, zrobili z moimi rękami?!

Nad łóżkiem pochyla się kobieta w białym fartuchu.

– Tak się cieszę, że się obudziłeś! Nie byliśmy pewni, czy się uda. Toby, jesteśmy w szpitalu w St. John's, w stolicy Nowej Fundlandii i Labradoru. Już marzec. Niedawno były twoje dwudzieste drugie urodziny. Powiem ci, że naprawdę masz co świętować.

Ale Toby nie zgadza się ani na marzec, ani na nowe, okrojone ciało. Nie pamięta, żeby ktoś z nim te zmiany ustalał.

Ostatnie, co pamięta, to impreza w Happy Valley-Goose Bay, ponad tysiąc sześćset kilometrów na północ od jego łóżka, które od dziś będzie zawsze wydawać się za długie.

\* \* \*

Goose, jak mówi się o nim na co dzień, to miasteczko na półwyspie Labrador – w tej części Kanady, która jednocześnie sięga na wschód, do Atlantyku, i na północ, w stronę Arktyki. Mieszka tu dziś nieco ponad osiem tysięcy ludzi. Goose powstało z połączenia dwóch miejscowości: Szczęśliwej Doliny i Zatoki Gęsi, ale sielska nazwa miasteczka jest myląca. Bo powodem jego istnienia jest wojna.

W latach czterdziestych gazety pisały, że w Morzu Labradorским pojawiają się wieżyczki niemieckich U-Bootów. Od kiedy do wojny przystąpiły USA, było jasne, że w tym rejonie musi jak najszybciej powstać silna baza wojskowa, by bronić kontynentu. Do Goose na budowę ściągano mężczyzn ze wsi rozsianych po całej labradorskiej ziemi. Pracowali na kilka zmian. Apropozycja liczyła, że dziennie potrzebowali od czterech do pięciu tysięcy paczek papierosów.

Robotnicy dostawali ułamek wynagrodzenia ludzi pracujących w głębi kraju, ale nie narzekali. Żalili się tylko na jedno – żeby przenieść się do pracy na budowie, musieli pozamykać domy. A to oznaczało tyle, że przed wyjazdem musieli pozabijać swoje psy.

W 1943 roku Goose było uznawane za największe lotnisko na świecie. Po wojnie zostało ważnym skrzyżowaniem, przez które biegną lotnicze, asfaltowe i morskie ścieżki Labradoru. W czasach pokoju szkoliły się tu jednostki NATO, a zarządzane przez wojsko tereny miały być zapasowym lądowiskiem dla pojazdów kosmicznych NASA.



Ale Goose na zawsze zostało miastem zapasowym. Ominęła je wojna, nie wylądował tu żaden prom kosmiczny, a oddziały NATO wycofały się z bazy w 2010 roku. Dziś przyjeżdża się tu po telefony satelitarne – można je wypożyczyć za darmo, nim wyruszy się w trasę po okolicy, co ma ułatwić pracę policji i ekipom poszukiwawczym, gdyby turysta zabłądził. Połykając kilometry w drodze przez Labrador, można wpaść do Goose na kiełbaski z mięsa karibu albo na panierowane dorszowe języczki. Kiedyś było to jedzenie biedoty, a dziś elegancka przystawka w cenie trzynastu dolarów<sup>[1]</sup> za porcję.

W Goose robi się też duże zakupy – to stąd łodzie, skutery śnieżne i lądujące na wodzie samoloty wiozą zapasy w kierunku maleńkich miejscowości położonych w mało gościnnych fiordach i zatoczkach Labradoru.

Mieszkańcy tej krainy mówią, że nigdzie na świecie nie jest się tak daleko od życia jak tutaj. Można znaleźć ścieżki, po których nikt wcześniej nie stąpał. Góry, których nikt nie zdobył. Widoki, którymi nie miał się kto zachwycać. To właśnie jest Labrador, Wielka Kraina. Tu słyszeć, jak rusza się Ziemia, powiadają.

Ale miasteczko, które nazywa się Szczęśliwą Doliną i Zatoką Gęsi, nie przyniosło Toby'emu Obedowi szczęścia. To tutaj Toby umarł po raz dwudziesty szósty.

Było to tuż przed dwudziestymi drugimi urodzinami, osiemnaście lat po pierwszej śmierci.

\* \* \*

Kiedy mieszka się w maleńkiej osadzie wielorybników na dalekim Labradorze, wyprawa do Goose jest wielką odmianą. Toby wybrał się tam, żeby odwiedzić kuzyna. Dawno się nie widzieli, otworzyli butelkę. Potem przyszedł kolega:

– Co tam słyszeć, no to się może napijemy.

Napili się.

Resztę dopowie pielęgniarka.

– Policjanci znaleźli cię w śniegu dopiero następnego dnia. Byli przekonani, że nie żyjesz.

Toby trafił do Miller Center, placówki dla weteranów wojennych, gdzie chirurdzy, rehabilitanci, psycholodzy i protetycy holują okaleczonych ku życiu. Lekarze utrzymywali Toby'ego w śpiączce farmakologicznej przez dwa miesiące, próbując go wyciągnąć z głębokiej hipotermii.

– Udało się, ale musieliśmy cię amputować – powie nad łóżkiem pielęgniarka.

– Nie wiem, co ty do mnie mówisz, kobieto. Oddajcie mi moje nogi! Oddaj mi natychmiast moją rękę!

– Jesteś dzieckiem szczęścia, Toby. Bardzo ci współczuję.

\* \* \*

Od tamtej nocy minęło ćwierć wieku. Wiosną 2018 roku Toby Obed ma czterdzieści siedem lat, a jego lustrem jest pięciuset Inuków z Wioski Nadziei.

Zanim przybyli tu Europejczycy (w tym portugalski władca ziemski, czyli *laurador*), na tych ziemiach mieszkały rdzenne społeczności, takie jak Inuici oraz Innu. Jedni drugich przezywali „Eskimosami”: *eskimo* to zjadacz surowego mięsa. Termin ten przejęli biali antropolodzy i archeolodzy, dla których Eskimosi to zbiorcza, pojemna nazwa ludzi Północy: od Labradoru przez kanadyjską Arktykę i Alaskę aż po Kamczatkę.

W Europie nadal tak się mówi. Za to w Kanadzie tego języka już nie wypada używać, bo jest narzucony, dyskryminujący, krzywdzący. Mieszkańcy północnych prowincji nazywani są tu

teraz tak, jak sami sobie życzą. W ich języku, czyli w inuktitut, *Inuk* oznacza człowieka, istotę ludzką, a *inuit* – ludzką społeczność.

I tak właśnie widzi ich i siebie Toby Obed – nie jak eksponaty, lecz jak ludzi.

Garnie się do nich, bo są jednocześnie jego lustrem i dowodem tożsamości, ważniejszym od kanadyjskiego paszportu.

– Cieszę się, gdy któryś sąsiad wtrąci tak przy okazji: och, Toby, zrobiłeś dokładnie taką samą minę jak twoja matka. Albo: chodzisz zupełnie jak twój ojciec, z daleka można by was pomylić. Jestem wtedy taki szczęśliwy! Bo to znaczy, że oni jednak byli – a teraz zostałem po nich ja.

Najważniejsze dla Toby’ego słowa: „Ty to jesteś cała matka”

Kiedy Toby chce zobaczyć mamę, sięga prawą ręką do policzka. Gładka, napięta skóra, bez porów, bez jednej zmarszczki. Wysokie, mocne kości policzkowe. Nad nimi głęboko osadzone, wąziutkie oczy schowane pod grubymi, czarnymi brwiami. Włosy Toby’ego to pieprz i sól. Czarne i lśniaco białe, nic pośrodku. Gęste i sztywne, długie aż do drobnej, trójkątnej brody.

Czy takie właśnie, druciane włosy miała mama? Czy takie oczy, małe, czarne, że aż trudno odróżnić źrenicę od tęczówki?

Tego Toby nie wie.

– Nie mam żadnego zdjęcia. Nie pamiętam, jak wyglądała. Nie wiem więc, skąd jestem i po co.

\* \* \*

Imię *Tobijahu* w języku hebrajskim oznacza „Jahwe jest mym skarbem”. To słowo pocieszenia dla kogoś, kto stracił wszystko i nie ma nadziei. W tradycji Starego Testamentu Tobiasz ślepie i umęczony błaga Boga o śmierć. Ale Bóg ma wobec niego inne plany. Święta księga uczy, że wielkie cierpienie Tobiasza nie

stanowi dla niego kary, lecz życzliwą próbę. Kochający Bóg najpierw zsyła męki, lecz za posłuszeństwo i lojalność przewiduje w swoim czasie nagrodę. To opowieść dydaktyczna – ciosy od losu trzeba rozumieć jako znaki od miłosiernego Boga.

Prorocze imię dała Toby'emu matka.

Dzieci miała pięcioro. Trudno było im wytrzymać w domu. Rodzice nie za dużo się nimi zajmowali. Pili. Emily i Sonny, czyli Syneczek, byli starsi mniej więcej o dziesięć lat od reszty dzieci. To oni opiekowali się maluchami: Sarą, Eliasem i Tobiasem.

Skąd w odległej wielorybniczej osadzie takie imiona?

Kiedyś to miejsce nazywało się Arvertok, co w języku Inuitów oznacza Miejsce Wielorybów. Na wieloryby polowano tu w miesiącach zimowych – Inukowie mieszkali wtedy w domach ukrytych głęboko w surowej, niegościnniej ziemi, częściowo tylko widocznych ponad jej powierzchnią. Chowali się tam przed dojmującym wiatrem, a z wiosną, gdy kończył się sezon na wieloryby i foki, przenosili się w głąb lądu. Brali ze sobą namioty z foczej skóry, szli polować na mięsodajne karibu. Schylali się po owoce, które oszczędnie wydzielala tundra, i szykowali się do przetrwania kolejnej zimy.

Ten rytm zaburzyli mieszkańcy Starego Kontynentu, pochodzący z Moraw niemieccy menonici, misjonarze z protestancką etyką pracy. Przygnał ich tu imperatyw pomnażania majątku i zapełniania kościelnej scholi. Nie rozumieli ludzi podążających niespiesznie za cyklem natury. Żarliwie pragnęli harować w trudnych warunkach w imię handlu – Europa miała wielki apetyt na naturalne, ciepłe futra. Na tym wyrosły fortuny, o których dziś mówi się w Kanadzie „stare pieniądze”. Morawscy osadnicy zachwycili się płytkimi wodami pełnymi fok i gęstymi lasami pełnymi lisów. W 1782 roku

przemianowali Miejsce Wielorybów na niemieckie Hoffenthal, Wioskę Nadziei.

Przywieźli to samo, co zazwyczaj brali ze sobą ci, którzy mówili, że odkrywają nowe lądy: słowo Boże, narzędzia, broń, warzywa i choroby. Do tej pory Inukowie jedli zwierzęta – żuli surowe mięso, wysysali z kości szpik, zjadali wątrobę, nerki oraz przede wszystkim żołądki wraz z lekko nadtrawioną, zazwyczaj roślinną zawartością. Ich dieta była wysokobiałkowa, wysokotłuszczowa, pełna witamin i właściwie pozbawiona cukru. Ale pojawili się Europejczycy z marchwią, burakami i ziemniakami. Z sypkim cukrem i białą mąką. Mieszkańcy Labradoru zaczęli tracić zęby i chorować. Cukrzyca, miażdżyca, nowotwory – to też były dary, jakie przywieźli ze sobą biali osadnicy. Do dziś Labrador się po nich nie podniósł. Do dzisiaj żyje się tu średnio dziesięć lat krócej niż w innych częściach Kanady.

Menonici zdobywali te ziemie waltornią i puzonem. Biorąc Haydna i Bacha na sojuszników, wierzyli, że Inuici zachwycą się barokowymi mszami i otworzą dusze na obcego Boga. Do dziś w najmniejszej nawet osadzie można znaleźć orkiestrę dętą, grającą kantaty Bacha na pustkowiu kanadyjskiej tundry.

Misjonarze z radością dzielili się nutami, ale mówili, że ich Bogu nie podoba się, jak sypiają ze sobą gospodarze: bez sakramentu, w kilkoro, przy dzieciach. W lokalnej tradycji życiowy partner czy życiowa partnerka byli właśnie tym: współnikiem, osobą, dzięki której życie było znośniejsze albo w ogóle możliwe. Rodzina była przedsiębiorstwem do spraw przetrwania – a kochać ludzie chcieli się z tymi, którzy im się podobali, niekoniecznie z tymi, z którymi współpracowali, by przeżyć. Czasem pod jednym dachem mieszkało kilka rodzin, nie trzeba było chodzić daleko, by sięgnąć po ciepło i seks.

Misjonarze z Moraw przypłynęli, by oznajmić gospodarzom, że żyją oni w grzechu i obrażają Boga, który wiódł swój naród w upale przez piaszczystą pustynię. Mieszkańcy tych ziem nie rozumieli, co znaczy grzech, nie widzieli nigdy piaszczystej pustyni.

Dziś niemieckich osadników już tu nie ma – przegrali wojnę o futra z imperium handlowym Kompanii Zatoki Hudsona (Hudson's Bay Company, HBC) i opuścili Wielką Ziemię. Zostały po nich kamienne groby, resztki drewnianych zabudowań menonickiej misji i zwyczaj nadawania biblijnych imion inuickim dzieciom. Z czasem, gdy tą częścią świata zawładnęła brytyjska monarchia, zmieniono nazwę – z Hoffenthal na Hopedale.

Niewiele więcej się tu zmieniło.

Dziś, kiedy wpływa się do Hopedale od strony zatoki, widok jest właściwie taki sam jak dwieście lat temu: niewielkie parterowe domki skupione wokół surowych, mało gościnnych wybrzeży Atlantyku. Osada leży na niemal jałowych skałach, ozdobionych gdzieś roślinnością tundry. Daleko od brzegu zaczyna się las, choć to nieodpowiednie słowo. Za Hopedale rozciąga się gęsta świerkowa puszcza, pełna zwierząt nieznanego zapachu człowieka.

Nie zmienił się też taniec świateł. Tańczące Zorze, *Aurorae Borealis*, Światła Północy. Czasem widać je także w Hopedale. To firany, kolorowe kurtyny, wielkie migoczące płachty na niebie. Naukowcy twierdzą, że burza słoneczna rozpędza w kosmosie cząsteczki, które zderzają się z górną warstwą atmosfery, wyzwalając reakcje w polu magnetycznym Ziemi. Od długości fal zależy spektrum i barwa – zorze są tu zielone, turkusowe, żółte, czasem nawet liliowe.

Mieszkańcy mówią, że to po prostu jasność, na co dzień uwięziona w skałach Labradoru, próbuje wydostać się na świat.

Kiedy na świat próbował wydostać się Toby, jasność była już na powrót zamknięta w kamieniach.

Jego matka prawdopodobnie klęczała wtedy na materacu, bo tak rodzi się tu dzieci, zgodnie z instynktem i grawitacją. Rodziła prosto na ręce położnej. Położne mają tu zresztą swoje sposoby: obwiązują rodzącą pasem foczej skóry, masują nim brzuch, i umiejętnie zaciskając, pomagają wypychać dziecko na szczycie każdego skurczu.

Toby z wielką wdzięcznością myśli o kobiecie z foczym pasem i z wytatuowanymi w czarne wzory dłońmi.

– Niech Bóg ma w opiece duszę tej, która sprowadziła mnie na świat, wprost na posłanie mojej matki. To pierwsza dobra myśl o moim życiu, wiele więcej ich nie mam.

Pierwsze wspomnienie Toby'ego: czerwone sukno munduru i równo przyszyte, błyszczące złote guziki. To wspomnienie nadal silne, bardzo żywe, jak uderzenie w brzuch. Zaczęło się zresztą od uderzenia, od walenia pięściami w drzwi.

Potem do domu weszły obce kobiety i oficer policji konnej RCMP<sup>[2]</sup>. Widuje się ich na kartkach z Kanady, tych stylowych, robionych na vintage. A tu nagle policjant z pocztówki stanął na progu w czerwonym mundurze i powiedział:

– Dzieci, przyszła opieka społeczna, musimy was zabrać.

Rodzice byli zaskoczeni, bo tamci przyszli bez uprzedzenia. Nie było jak się pakować, nie było jak się żegnać.

– Poszliśmy tak, jak staliśmy. Potem dowiedzieliśmy się, że w takich sytuacjach rodzice raczej nie mieli wyjścia. Za niewydanie dzieci groziły kary, w tym areszt i odebranie prawa do zasiłku, z którego żyła większość rodzin w okolicy. Czy stawialiśmy opór? Nie pamiętam. Czy płakaliśmy? Płakaliśmy wszyscy. Emily miała trzynaście lat, Sonny piętnaście, a ja tylko cztery lata. Wtedy, w 1975 roku, na progu koło butów konnego

policjanta umarłem po raz pierwszy. Wsiedliśmy do małego samolotu, który mógł lądować na wodzie. Poleciliśmy jakieś dwieście kilometrów na południe, do North West River. Najpierw zabrali nas do szpitala. Tam zbadano, czy nic nam nie jest. Rutynowe oględziny: czy nie ma aktywnej infekcji, pasożytów, niedożywienia. I czy nie było krzywdy.

Nieopodal szpitala, w malowniczym świerkowym lesie, stała szkoła. Nazywała się Yale. Niektórzy studenci słynnej amerykańskiej uczelni chcieli wspierać wyprawy naukowe i badawcze na subarktyczne wybrzeża Labradoru. Czasem nawet przyjeżdżali jako „wopy”, *workers without payment*, pracownicy bez wynagrodzenia, albo posyłali pieniądze. To z wdzięczności za ich datki szkołę w lesie nazwano imieniem wielkiego uniwersytetu. Do dziś na stronie amerykańskiej uczelni można znaleźć informację o sponsorowaniu szkoły w North West River.

W odróżnieniu od większości kanadyjskich *residential schools*, czyli szkół z internatem, ta była świecka. Nigdy by nie powstała, gdyby nie misja brytyjskiego lekarza, Wilfreda Grenfella, który postanowił otoczyć mieszkańców Labradoru opieką medyczną – nowoczesną i według europejskich standardów. Zakładał punkty pielęgniarskie i proste przychodnie zarówno w trudno dostępnych osadach na lądzie, jak i na łodziach kursujących między topniejącymi krami. Czasem maszerował do pacjentów przez zamrożone morze, wioząc ekwipunek psim zaprzęgiem. Nazywano go bohaterem, „muskularnym chrześcijaninem”, zbawcą Północy. Dostał za to szlachecki tytuł i założył dobroczynne stowarzyszenie swego imienia.

Słynne już wówczas Międzynarodowe Towarzystwo Grenfell (International Grenfell Association, IGA) poszerzało swoją działalność – w północno-wschodniej części dzisiejszej Kanady



inwestowało nie tylko w ochronę zdrowia, ale i w edukację. W 1926 roku w malowniczej miejscowości North West River, w samym sercu Labradoru, obok szpitala postawiono także szkołę.

O pieniądze na działalność starał się sam sir Wilfred. Choć misje działały także w Nowej Fundlandii, nazwę tej wyspy skrętnie omijano, bo tamtejsze warunki życia były za bardzo zbliżone do tych w USA, a przez to mało egzotyczne. Więcej znaczyło hasło „Labrador”, dlatego Grenfell nieustrudzenie je eksponował. Chętnie pozował do fotografii w futrzanych rękawicach i mufkach oraz w wielkich, wyszywanych zimowych butach (choć zimy spędzał zazwyczaj w ciepłym domu w Vermont albo odwiedzając znakomitych sponsorów w wielkich amerykańskich metropoliach). Był porywającym mówcą, opowieściami o biedzie Inuitów wypełniał Carnegie Hall w Nowym Jorku i Massey Hall w Toronto. W sprawie pieniędzy występował nawet dwa razy dziennie.

Na spotkaniach z przyszłymi sponsorami pokazywał fotografie inuickiego dziecka chodzącego o kulach podpisane: „Biedna osierocona kaleka z Labradoru” albo zdjęcie chłopca z zabandażowaną głową i z napisem: „Nie zapomnij ty o mnie”. Inuici i księża pracujący na miejscu protestowali: to krzywdzące i niesprawiedliwe. Ale w oczach Grenfella służyło sprawie, bo poruszało serca i otwierało portfele.

Jego organizacja zaczęła wkrótce uchodzić za plaster na wyrzuty sumienia amerykańskiej burżuazji. O szkole, do której trafi potem Toby i jego rodzeństwo, „New York Times” napisał, że to „przedsiębiorstwo miłosierdzia”. Fundusze na misje Grenfella miłosiernie zbierano na rautach w Metropolitan Opera, lunchach w najwytworniejszych nowojorskich restauracjach i podczas przyjęć ogrodowych wydawanych przez kobiety dysponujące czasem i pieniędzmi.

Wkrótce tradycją rodzinną wielu elitarnych, zasobnych domów stało się wysyłanie dorastających dzieci na wopskie misje do Labradoru – robił tak między innymi John D. Rockefeller. Ale poza pracą i czekami amerykańscy sponsorzy oferowali także pomoc materialną. Towarzystwo opłacało kosztowny transport lotniczy, a potem pracownicy misji rozpakowywali dary. Jak zanotuje w pamiętniku jedna z działających w North West River kobiet, znaczna część darowanej pościeli była w takim stanie, że ze względów sanitarnych nadawała się już tylko do spalenia.

Co do ubrań, to często po prostu wietrzono szafy. Wiele darów było nadjedzonych przez larwy i mole, zarobaczonych i spleśniałych. Na potrzeby szpitala, gospodarstwa i pracujących przy wyrębie lasu robotników dobroczynne Amerykanki słały na drugi koniec kontynentu muślinowe bluzki, pończochy, pantofle na obcasach, wiązane babcine czepce i ozdobne kapelusze. Jeśli były w wystarczająco dobrym stanie, część ubrań przerabiano na patchworki albo szyto z nich szmaciane chodniki. Ale najczęściej po prostu rozpalano ognisko.

W zamian za dary sponsorzy oczekiwali dowodów wdzięczności. Korzystający z pomocy oraz obdarowywani byli zobowiązani do świadczenia pracy (IGA uważało, że pomoc bez zapłaty jest dla korzystających upokarzająca). Z Labradoru do USA i Kanady wędrowało więc rękodzieło, zdobione makaty, futrzane rękawice, kurtki i futra.

Dobroczynicy oczekiwali informacji, co dzieje się z ich datkami. W latach 1903–1981 towarzystwo Grenfell wydawało kwartalnik „Pomiędzy Rybakami Głębokich Mórz”, w którym informowało sponsorów o swej działalności w północnych ziemiach dzisiejszej Kanady. W 1941 roku szkołę Yale położoną w świerkowym lesie z dumą opisano tam w następujący sposób: „Jest to instytucja

najwyższej klasy. (...) Uczniowie z internatu mieszkają w chatach, jednej dla chłopców i jednej dla dziewcząt. (...) Każda chata ma kury i ogródek na czas wiosny i zimy, istnieje więc współzawodnictwo. Ci, którzy odwiedzają Northwest<sup>[3]</sup> River oraz Hamilton, są pod ogromnym wrażeniem najlepszych manier oraz widoku ożywionych, rozpromienionych dzieci. To w ogromnej mierze zasługa szkoły”

Uwagę gości zwracało bardzo wydajne gospodarstwo powiązane ze szkołą, które „daje odpowiednio dużo warzyw, by zaspokoić potrzeby szpitala, szkoły, a także niektórych [innych naszych – J.G.-O.] stacji w Labradorze. Latem pani Paddon razem z miejscowymi kobietami robią przetwory – z ryb, zielonych warzyw, jagód – na potrzeby szkoły i szpitala w miesiącach zimowych”

Kto pracował na grządkach i w polu, kto pracował w chlewie i w oborze – tego się już czytelnicy nie dowiadawali.

Wkrótce z okazji półwiecza misji towarzystwo Grenfell pochwali się, że uczy inuickie dzieci „czystości, higieny, pewnych wystarczających podstaw akademickich oraz tego, jak żyć, odnosząc sukcesy w swej ojczyźnie. Dziewczęta dowiadują się, jak prowadzić gospodarstwa domowe i opiekować się dziećmi, jak odpowiednio zaplanować jadłospis; chłopcy zaś uczą się rzemiosła, rolnictwa dopasowanego do warunków Północy, poznają łodzie, maszyny, sprzęt etc., co będzie im przydatne w życiu w społecznościach subarktycznych. Internaty są prowadzone tak, jak domy, a dzieci wykonują w nich tyle pracy, ile to tylko możliwe”

Kiedy Toby i jego rodzeństwo trafili do szkoły dumnej z pracy dzieci, mieszkało tam prawie trzystu uczniów.

Szkoła to już nie były dwie chaty, tylko trzy osobne budynki mieszkalne. W pierwszym domu umieszczano dzieci małe,

od noworodka do sześciolatka. Maluchów było niewiele, trzydzieścioro, czasem czterdzieścioro.

W domu juniorów mieściło się jakieś sto, sto dwadzieścia łóżek. Mieszkały tam dzieci szkolne, między siódmym a piętnastym rokiem życia. Na dawnych fotografiach widać niezbyt okazały budynek, ledwie dwupiętrowy. Dwa skrzydła po nie więcej niż cztery okna każde. Odebrane dzieci musiały się tam jakoś stłoczyć.

Nieopodal stał jeszcze dom dla najstarszych uczniów. Tych było najwięcej, bo prawie półtorej setki. Dopiero po przejściu domu dla seniorów, jak mawia Toby, i po skończeniu szesnastu lat zezwalano na opuszczenie szkoły.

Ale do tego droga jeszcze daleka.

Na razie jest rok 1975, a mali Obedowie po badaniu fizykalnym, bez rodziców i bez prawa do zadawania pytań stoją przed osobnymi wejściami do budynków, w których zostaną zamknięci na najbliższych pięć lat.

– Oczywiście rozdzielili nas, moje rodzeństwo było z innej kategorii wiekowej. Nie rozumiałem tego. Jeszcze rano miałem rodzinę, a teraz nagle zostałem sam, choć miałem tylko cztery lata. Wszystkiego, co wiem o życiu, nauczyłem się tam, w internacie, w domu dla juniorów w North West River. To były lekcje obowiązkowe, których nie chciałem. Arytmetyka czy gramatyka były najmniej istotne, przede wszystkim trzeba było się w miarę szybko nauczyć i orientować, kto jest przyjacielem, a kogo należy unikać. Dokąd i którędy chadzać, a za jakie drzwi przenigdy nie zaglądać. Co wolno powiedzieć, a o czym całymi latami milczeć. Byłem przedszkolakiem, kiedy zrozumiałem, że tak jak bezwiednie i automatycznie oddycham, tak samo muszę bezustannie i odruchowo upewniać się, czy jestem bezpieczny. Bez przerwy

sprawdzałem, czy nic mi nie grozi. W takich okolicznościach alarm wyje w głowie przez cały czas.

Toby Obed, Kanadyjczyk z Labradoru, nie mówi o sobie, że jest absolwentem szkoły Yale, prowadzonej w North West River przez organizację charytatywną Grenfell.

Mówi:

– Jestem ocalańcem. Przeżyłem, utrzymałem się przy życiu.

\* \* \*

O tym, co działo się w szkole, Toby opowiada, jakby odskoczyła jakaś sprężyna, jakby otworzyła się szuflada z teczkami puchnącymi od policyjnej dokumentacji. Mówi i mówi, spokojnie, metodycznie, jakby relacjonował coś, co zdarzyło się komuś innemu. Nie przestaje przez blisko dwie godziny.

W przedszkolno-szkolnych wspomnieniach Toby'ego Obeda niewiele jest ćwiczeń z kaligrafii, nauki budowania łodzi albo nawet obowiązkowej pracy w obozie. Powtarzają się za to następujące słowa klucze:

świsł, wizg, trzask (tak śmigał bat);

język, akcent, bicie (za mówienie w inuktitut należało się lanie);

komórka, ciemność, głód (triada, która obezwładni każde dziecko, bez wyjątku).

Dowiaduję się od Toby'ego, że posikać się ze strachu to żadna przenośnia.

W jego wspomnieniach wyróżnia się jedna wiodąca osoba: nauczycielka, *Miss Devil*, Panna Diabeł.

– Kazała nam patrzeć – mówi Toby. – Nie chciałem, ale żadnemu dziecku nie wolno było odwrócić buzi.

Swoje szkolne lata Toby podsumowuje tak:

– Dorośli na zewnątrz wiedzieli. Nic z tym nie zrobili.

\* \* \*

Kiedy Toby wspomina szkołę, opowiada obrazami pełnymi szczegółów – choć to wszystko zdarzyło się ponad czterdzieści lat temu. Opowiada o poszczególnych dniach, konkretnych nocach, ale też o tym, co wyniósł w dorosłość ze szkoły Yale.

– Wciąż się bałem, co znów mi zrobią. Potem już całe życie wyczekiwaliśmy, skąd padnie cios. Całe życie na czworakach, skuleni.

Szkoła minęła, ale skulenie nie.

Do dziś Toby zadaje sobie pytanie, czy przypadkiem nie zasłużył na karę. Czy odgadł, czego się od niego wymaga? Czy robi, co mu każą? Czy odezwał się, jak trzeba, czy oszedł w porę, czy może znów sobie z czymś nie poradził?

Co teraz ze mną zrobią? Co mnie za to spotka? – te pytania zapierały dech w piersi i wtedy, w szkole, kiedy Toby miał cztery lata – i na łóżku, w białej pościeli, kiedy pielęgniarka powiedziała, że go amputowano.

To, co działo się w drewnianych ścianach Grenfell, było straszne – z czasem stało się jednak normą. Ale nie dawało się przywyknąć, że wokół nie ma nikogo, komu można by o tym opowiedzieć. I kogo można by poprosić nawet nie o ratunek, nie o interwencję, bo na to dzieci już nie liczyły, ale choćby o otuchę.

Toby nie wiedział, że jego imię zawiera pocieszenie dla tych, którzy nic nie mają. Czekał zmiłowania, które latami nie nadchodziło. Nie miał też poczucia, żeby był dla kogokolwiek skarbem.

– Masz cztery lata, potem sześć, dziesięć i wiesz, że nikogo, ale to nikogo nie obchodzisz.

Rozumiał tyle, że jest niepotrzebny i urodził się na marne. Że nikt go nie uratuje, że nie da się dla niego nic zrobić i musi być, jak jest.

\* \* \*

Wtedy dzieciom wydawało się, że od szkoły prowadzonej przez towarzystwo dobroczynne nie ma wybawienia. Ale pewnego lata skończyły się pieniądze i placówkę zamknięto. Było to w 1979 albo 1980 roku, źródła nie są zgodne.

Jak dziś podaje na swojej stronie towarzystwo Grenfell, pod koniec lat siedemdziesiątych koszt opieki zdrowotnej znacznie przekroczył możliwości organizacji. Finansowanie misji w ogromnej części wzięło na siebie państwo. Od 1949 roku Labrador należał już do Kanady, która nie jest państwem jednolitym, ale federacją prowincji i terytoriów dołączających do niej w różnym czasie.

To ważne.

W latach osiemdziesiątych Grenfell wycofało się z dotychczasowej działalności. Majątek towarzystwa przekazano rządowi prowincji za symbolicznego dolara. Nowe władze przejęły sprzęt, ale weszły w obowiązki po organizacji dobroczynnej. Grenfell skupiło się zaś na fundowaniu grantów i stypendiów i działa aktywnie do dziś.

Ale choć Międzynarodowe Towarzystwo Grenfell wycofało się z prowadzenia misji, a szkoła Yale została zamknięta, to historia dzieci na tym się nie kończy. Nie można ich było rozpędzić, nie można też było odesłać ich do domów. Wielu rodziców było niewydolnych wychowawczo.

\* \* \*

W Kanadzie nie ma domów dziecka, jakie znamy. Dlatego rozwiązaniem były rodziny zastępcze, do których posyłano dzieci prosto ze szkolnej bursy. Oczywiście nie biorąc pod uwagę pokrewieństwa.

Rodzeństwo Obedów nie miało szans być razem. Kto chciałby zająć się kilkorgiem złamanych inuickich dzieci?

Rozdzielono je po raz kolejny, tym razem na lata. Kontakt między dziećmi całkowicie się urwał. W tamte wakacje straciły już wszystko, zerwały się ostatnie sznurki. Ze swoją siostrą Sarą Toby spotkał się dopiero po trzydziestu siedmiu latach.

– Rozwalili naszą rodzinę do samego końca – mówi Toby. – Miałem osiem lat, kiedy moje życie skończyło się po raz kolejny.

Były to czasy zimnej wojny. W kanadyjskich lasach lokowano oddziały, szpikowano ziemię radarami, umacniano bazy. Nieopodal rozbudowywano placówkę Goose Bay, gdzie stacjonowali żołnierze. Wielu z nich miało już żony, ale jeszcze nie dzieci. Mogli zaopiekować się wychowankami ze szkoły w świerkowym lesie.

Kiedy Toby trafił do pierwszej rodziny zastępczej, miał osiem lat i myślał, że to koniec poniewierki – teraz będzie dom. Ale zamiast tego przenosili go od jednych opiekunów do drugich.

– W ciągu następnych ośmiu lat mieszkałem w dwudziestu domach. Przeprowadzałem się, a raczej przeprowadzano mnie z miejsca na miejsce średnio co cztery i pół miesiąca. Czego ja chcę, jak mi z tym jest, nie pytali. Byliśmy traktowani jak meble, jak zawałidrogę, jak worki ze śmieciami.

W tabelach i formularzach wypełnianych ręką opieki społecznej wszystko się zgadzało, system działał – bo chłopak nieprzerwanie był pod czyjąś formalną opieką. Co to oznaczało w praktyce, tego tabele nie pokazywały.



– W każdym domu było inaczej, ale chyba we wszystkich mnie bili – wspomina Toby. – Nie byłem już maluchem, nie należała mi się żadna ochrona. W końcu chodziłem do drugiej klasy, więc można mi było porządnie przyjechać. Zresztą zasługiwałem na to: nie rozumiałem, co się do mnie mówi. Nie wiedziałem, jak ich zadowolić. Starłem się odgadywać, starałem się dopasować, ale byłem bezradny.

W końcu przywykł. Było więc rutynowo: jedzenie, spanie, szkoła, bicie. Niematki i nieojcowie bili pasem i bili ręką za wszystko i za nic. Jak unikać ciosów, jak przetrwać, uczyło Toby'ego dwudziestu świetnie wyszkolonych, wysportowanych mężczyzn, wspieranych przez dwadzieścia zapobiegliwych, oddanych im żon.

Organizm Toby'ego jest silny, pozwolił mu wytrzymać. Umysł chłopaka też był dla niego łaskawy, o większości tych domów pozwolił mu zapomnieć. Toby wie, że one gdzieś tam są, ma je w sobie jak zrosty, jak blizny, jak raka. Ale głowa go od nich odcięła. Na co dzień ich nie widzi, można powiedzieć, że nie stwierdza się ognisk choroby. Ale Toby wie, że wciąż czynią szkodę jak nieoznaczone jeszcze w badaniu zmiany.

Ze wszystkich dwudziestu Toby potrafi przywołać może pięć, sześć rodzin. Niektóre wspomina dobrze. Wierzy, że się starali. Na przykład kilka niematek. Czasem były miłe, gotowały, chciały czesać sztywne, grube włosy Toby'ego.

– Pierdolę to, mówiłem im, zostawcie mnie w spokoju. To nie ty, ale moja rodzona matka powinna teraz głaskać mnie po głowie. Spierdalaj więc ode mnie jak najdalej, mówiłem. Także i niektórzy nieojcowie się starali. Zdarzało się, że miewali dla mnie czas. Próbowali tłumaczyć, że sam sprowadzam na siebie kłopoty. Że wagary i ucieczki w niczym mi nie pomogą. Ale nie chciało mi się tego słuchać.

Dla Toby'ego to już było za późno, on już był na wiecznej, przegranej wojnie.

– Nie winię ich. Nie byłem dzieckiem, które można pokochać, bo i za co?

Jako ośmiolatek Toby opanował podstawowe umiejętności z dziecięcego elementarza przetrwania: kłamał, zdradzał, oszukiwał i kradł. Dużo się bił. Szkoła, do której chodził wtedy w Goose, była dla niego jednym wielkim ringiem. Bił się cztery, pięć razy dziennie dzień w dzień. I nigdy nie przegrywał, to zawsze on tłukł innych do krwi. Nie przestawał, dopóki nie był pewien, że tamci naprawdę cierpią. Dzieci w szkole mówiły, że Toby jest niebezpieczny. Odpowiadało mu to. Bicie to była ta szczelina, ten błysk, kiedy przez moment był silny i coś od niego zależało. Obezwładniało go wtedy szczęście. Nie czuł bólu, bo to inni cierpieli. Cierpieli, bo on tak zdecydował.

To pozwalało mu uzbroić się na popołudnie i wieczór. Bo po szkole, wiadomo – wracał do rodziny zastępczej i wtedy to już on był lany.

Ale kar było więcej, takich codziennych, zwyczajnych. Najczęściej po prostu kazano mu się zamknąć i iść do swojego pokoju. Odprawiali go, nie dostawał wtedy jeść. To niby tylko niedogodność, żadna tortura.

– Wiesz, raz czy drugi bez problemu możesz się obejść bez kolacji. Ale nawet jeśli wiadomo, że jesteś najgorszym, niegodnym dzieckiem, to jednak nie chcesz być ciągle głodny. Z dzieckiem można zrobić wszystko. Wystarczy nie dawać za dużo jedzenia.

Toby wiele wie o mechanizmach psychologii dziecięcej. Na przykład to, że dziecko będzie znosić kary cierpliwie, zawsze mając nadzieję, że ciosy kiedyś ustaną, że ktoś się wreszcie zlituje.

Ale wtedy nie nadszedł jeszcze moment na nagrodę dla Tobiasza. Wtedy jeszcze dobry Bóg ciągle zsyłał mu kolejne lekcje i doświadczenia.

Kiedy żołnierze zmieniali jednostkę albo zdanie na temat dziecka, Toby skakał z radości. Skończy się bicie, skończy się chodzenie spać bez kolacji! Do domu, myślał, wreszcie będę mógł wrócić do domu.

Ale to się nigdy nie wydarzyło.

– Miałem wielką nadzieję dwadzieścia razy i dwadzieścia razy umierałem z rozpacz.

Latami był przekonany, że jest najgorszy, że nie zasługuje na to, żeby go nie bić, nie karać. Potem dotarło do niego, że żołnierze często musieli się przeprowadzać. Przychodziły rozkazy i zostawiało się przygarnięte dzieci i ich sprawy za sobą. Wtedy nikt tego dzieciom nie tłumaczył. Były więc przeświadczone, że porzuca się je ciągle na nowo, bo są tyle warte, co niepasujące i zużyte kapcie.

Powrót do mamy i taty był poza zasięgiem. Lata mijały, a rodzice nie przestawali pić. Władze nie godziły się na powrót dzieci do domu, ale też niewiele robiono, żeby wesprzeć rodziców. Odebrać dzieci – to była radykalna i najprostsza, właściwie jedyna metoda terapii.

– Wtedy, całe dzieciństwo i wiele lat potem, byłem zły. Agresywny. Czułem się skrzywdzony i odtrącony. Dlaczego inni mogą być z mamą, a ja nie? Dlaczego inni mogą mieć normalne życie, tylko nie ja?

Wtedy Toby'emu nie śniło się nawet, że dzieci takich jak on jest w okolicy ponad tysiąc.

\* \* \*

Toby opowiada mi to wszystko spokojnie, bez emocji, czystą angielszczyzną, choć to przecież jego drugi język. Ale co jakiś czas

przychodzi moment, kiedy jego miękki głos cichnie i słyszeć tylko głucho uderzenia. Toby Obed bije się w piersi ręką, której brakuje palców.

– Szkołę mogę wybaczyć, domy mogę wybaczyć. Z jednym nie mogę się pogodzić: że nikt mnie nigdy nie kochał.

Toby już to mówił. To skarga, z którą stanął przed Sądem Najwyższym Nowej Fundlandii i Labradoru, by pozwać swoją ojczyznę – rząd federalny i rząd prowincji oraz towarzystwo Grenfell w takiej właśnie kolejności.

– Nikt mi nigdy nie powiedział, że jestem ważny, że jestem potrzebny. Nikt mnie nigdy nie pochwalił, nie pogłaskał po głowie, mówiąc: dobra robota, chłopcze.

Dopiero dziś czasem ktoś mu to mówi. Tak normalnie podczas polowania, przejażdżki skuterami śnieżnymi po Wielkiej Ziemi albo kiedy Toby sędziuje na turnieju siatkarskim: „No, chłopie, dobra robota!”

Toby nie potrafi tego przyjąć. Instynktownie odpowiada wtedy od razu: „A weź się pierdol!”

Nie wie, jak przyjmować komplementy. Wytrzymywał bicie, a nie umie wytrzymać, gdy ktoś go pochwali. Nie ma pojęcia, co z tym zrobić. Więc jest, jak jest. Ktoś mówi mu coś dobrego, a on irytuje się i krzyczy: „*Fuck you*, głupku jeden! To jakieś pierdolenie. Nie kłam, nie jestem taki!”

– Nie wiem, co to znaczy, jak cię akceptują. Jak nie chcą zrobić ci krzywdy. Można powiedzieć, że ja zbytnio nie nawykłem do dobra.

\* \* \*

Toby przeżył szkołę, przeszedł przez dwadzieścia domów, do których wysłała go opieka społeczna. Pomocna dłoń państwa cofnęła się, kiedy chłopak skończył szesnaście lat.

Co miał ze sobą zrobić? Gdzie się podziać? W 1987 roku wrócił do Hopedale, gdzie był kiedyś jego rodzinny dom.

Ale wtedy domu już nie było.

Rodzice Toby'ego zmarli w tym samym roku. Czy wybuchła wtedy jakaś epidemia? Czy jedno zmarło, a drugie, jak to często bywa, nie dało rady żyć dłużej samo i odeszło wkrótce potem?

– To żaden tragiczny zbieg okoliczności, żadna magia miłości i przywiązania – mówi mi Toby. – To było ich najstarsze dziecko.

Najstarszy syn, Sonny, Syneczek, wrócił do domu. On także spędził lata w szkole, potem tułał się po świecie. Była w nim jakaś przepaść, jakaś dziura, która pożerała go od środka. Czasem Sonny niby siedział z pozostałymi, niby rozmawiał, ale widać było, że tak naprawdę go nie ma.

Widzieli to, ale jak człowiek chce iść w stronę tańczącej zorzy, to co można zrobić?

Syneczek nigdy z nikim otwarcie nie rozmawiał i nie miał nikogo. Był bardzo zmęczony, wykończony tym zapadaniem się do środka. Toby mówi, że życie brata było jak jego własne, a może nawet gorsze, bo Sonny był starszy i więcej rozumiał.

Oczywiście Sonny bardzo dużo pił. Tego dnia przyszedł, żeby jak zawsze pić razem z mamą i tatą. Pokłócili się nie wiadomo o co i Syneczek wyciągnął pistolet. Najpierw zastrzelił mamę, potem tatę, a na koniec samego siebie.

Wtedy Toby mieszkał w Goose, u zastępczych. Na progu domu pojawił się ksiądz i dwie dalekie ciotki. Chłopak ucieszył się na ich widok, a oni podeszli i od razu powiedzieli: „Słuchaj, Toby, ich już nie ma”.

– I już wiedziałem. Był ósmy marca 1984 roku, miałem dwanaście lat, kiedy umarłem po raz dwudziesty czwarty.

Syn Obedów był nieletni, zgodę na jego przyjazd do Hopedale, na pogrzeb, musieli wydać opiekunowie. Toby usłyszał: „Absolutnie, nigdzie nie jedziesz”

– Do dziś nie wiem, gdzie leżą kości moich rodziców. Starszyzna z Hopedale wie, ale nie chce mi powiedzieć. Mówią, że tego nie uniosę. Że jak pójde na grób matki, to przepadnę. Że i przede mną otworzy się ta dziura. Powiadają: połączenie z matką złamie twego ducha, Toby. Mówią, że może kiedyś mi powiedzą, jak już będę gotów. Oczywiście boli mnie to, ale nie mam wyboru. Nauczyłem się, że być posłusznym to jedyny sposób, by utrzymać się przy życiu. Mam czterdzieści siedem lat. Tęsknię za mamą, odkąd miałem cztery.

Jestem cierpliwy. Uważam, że dla mnie to czekanie na mamę musi jeszcze potrwać.

Myślę, że wytrzymam.

Han-na Mar-cus, Hanna Marcus. Powtarzam sobie czasem jej imię przed snem, próbuję sobie wyobrazić jej twarz. Dotykam policzków, nosa. Może mama miała takie same. Hanna Marcus, Han-na Mar-cus. Ale te słowa to tylko ładna melodia, nic za nimi nie ma. Twarz mojej matki jest wielką, czarną pustką.

Rodzie zawsze byli nieosiągalni, toczyli swoje walki, mieli swoje cienie. Z cieniem nie wygra żadne, najśliczniejsze nawet dziecko. Nie miałem szans, by zdobyć miłość mojej mamy.

\* \* \*

Do Hopedale nie prowadzi żadna droga, asfaltowa czy żwirowa. Czasem pojawia się *highway*, autostrada. Tak nazywa się tu zamrożone morze. To droga ucieczki z Wioski Nadziei w świat. Kiedy lód skuwa zatokę, można rozpocząć wędrówkę i na białą taflę

wyskakują skutery śnieżne, *ski-doo*. Tak bywało przez sześć miesięcy każdego roku.

Ale klimat się zmienia i odcina Hopedale od świata. Pojawiła się nowa, długa pora roku – mówią tu na nią: „między lodem a wodą”. To pora chlapy, pękającego lodu i załamujących się kier. Za ciepło, by bezpiecznie jeździć po zamarzniętym morzu. Zresztą skutery coraz częściej się psują. Zahaczają o kamienie, które wystają spod źle ubitego, niezmrożonego śniegu. Trzeba zamówić nowe części, zapłacić za ich transport samolotem. Kogo na to stać?

Zimą samoloty za często tu nie latają, więc skuter czeka na pomoc, a człowiek razem z nim, uziemiony i zdany na łaskę sąsiadów. Ze skuterami jest jeszcze jeden problem – kiedy je projektowano, był inny klimat. Nowe, ekologiczne maszyny miały do chłodzenia silnika wykorzystywać śnieg, po którym pędziły. Ale tu ludzie nie wątpią w globalne ocieplenie, bo sami tego doświadczają: śnieg się zepsuł i jest go coraz mniej. Nowoczesne skutery się grzeją, bo nie są prawidłowo chłodzone i jazda robi się niebezpieczna. Niektórzy wycinają jeszcze bloki śnieżne i montują je w maszynach, ale to topniejąca proteza. Co będzie dalej, lepiej nie myśleć.

Życie w maleńkim Hopedale jest bardzo drogie, a ceny – wielkomiejskie. Zapasy są zazwyczaj dostarczane samolotem z Goose Bay, ale transport lotniczy kosztuje. Latem, kiedy morze topnieje, uruchamia się prom, więc samoloty kursują rzadziej. Kiedy na wiosnę próbuję wybrać się do Toby’ego, z Toronto trudno jest zaplanować podróż. Z dużych kanadyjskich miast da się łatwo dolecieć do Goose, ale potem można tam utknąć na wiele dni. Jeśli pogoda nie pozwala, małe samoloty linii Borealis czy North nie dostają zgody na lądowanie. Nikt nie ryzykuje latania w niepewnych warunkach. Można jeszcze próbować przeprawić się

przez zatokę – podróż jest malownicza, ale ryzykowna, bo do końca nie wiadomo, czy autostrada puściła i prom się przeciśnie.

Robi się coraz cieplej, jest koniec maja, więc Toby może jeździć skuterem śnieżnym bez czapki. Z czasem będzie jeszcze więcej słońca i dostawy przez wodę staną się częstsze, choć wcale nie tańsze. Najwięcej kosztuje jedzenie. We wsi jest gospoda, Amaguk Inn. Można się tu przespać i coś zjeść. W ofercie kanapka z indykiem i frytkami – trzynaście dolarów. Pieczony kurczak z ziemniakami i warzywami korzeniowymi przeceniony z dwudziestu na osiemnaście. Dopiero kiedy lód jest stabilny, można próbować przedzierać się na *ski-doo*, ale podróż trwa osiem godzin w jedną stronę, a bagażnik nie jest wielki.

Hopedale jest wdzięczne do badania – jak w kropli wody wszystko widać tutaj w powiększeniu. Próba badawcza niewielka, trochę ponad pięćset osób. Dzieci rodzi się mało. Częściej niż gdzie indziej ginie się tu z własnej ręki.

Co czeka młodzież z Wioski Nadziei? Przy odrobinie szczęścia – robota w przetwórnich ryb. Można też myśleć o pracy przy wydobywaniu uranu, bo ziemie są tutaj dość bogate. Można jeszcze pójść w lokalną politykę, bo Hopedale jest siedzibą parlamentu Nunatsiavut, autonomicznego inuickiego regionu, ale to szansa raptem dla kilkunastu osób.

Można też marzyć o wyjeździe do Goose albo dalej, żeby zobaczyć swoją ojczyznę, która przoduje w rankingach najlepszych krajów świata, a do której na co dzień nie ma jak się przedrzeć.

Toby Obed, który przeżył szkołę w North West River, chciał domknąć figurę. Żeby to zrobić, postanowił wpisać się na nowo w cykl, z którego go wyrwano, gdy patrzył na buty i czerwony mundur konnego policjanta.



Postanowił odnaleźć nieprzejezdną drogę do domu. Ale w Hopedale żadnej nadziei dla niego nie było.

\* \* \*

Mówi się dziś, że Kanada jest dumna ze swojej wieloetniczności, mozaikowej wielokulturowości. Ale Toby rozumie to inaczej: wtedy powrót do domu, choć znajdował się w tej samej prowincji, to było zderzenie kultur.

Na przykład w domu Obedowie mówili tylko w inuktitut. Potem w szkole gorliwie wybijano z dzieci ten język pasem i batem. Musiały nauczyć się mówić i myśleć po angielsku; zgodnie z oczekiwaniami systemu. Kiedy skończyła się szkoła, pierwszego języka właściwie już nie było.

Po powrocie do domu Toby musiał przypomnieć sobie wyparte słowa. Musiał połączyć się na nowo ze wszystkimi krewnymi duchowo i uczuciowo. Mapy nie było. System nie przewidywał pomocy dla takich straceńców jak dzieci ze szkoły z internatem.

Można powiedzieć, że jeśli ocalejesz, to jest to już wyłącznie twój problem.

Poza tym nie była to tylko podróż duchowa. Kiedy Toby mieszkał z żołnierskimi rodzinami w Goose i okolicach, zobaczył, jak może wyglądać proste, ale wygodne życie. Miał telewizję, bieżącą wodę, prąd, który dawał i światło, i ogrzewanie. Tutaj, w Hopedale, to wszystko było luksusem.

Niby ten sam kraj, ta sama prowincja – a jednak przepaść.

– Jak chciałem kupę, to musiałem szukać plastikowego wiadra, do którego zazwyczaj w sezonie zbiera się miód albo jagody. Ale nie było bieżącej wody i po wszystkim nie miałem co z tym wiadrem zrobić. Wiem, że wy, Polacy, w latach osiemdziesiątych masowo uciekaliście do Kanady w poszukiwaniu lepszych warunków,

godności. W tym samym czasie my tu sraliśmy do wiadra i pozwalaliśmy krzywdzić dzieci.

Dlatego wtedy, po powrocie do Hopedale, życie Toby'ego zatrzymało się po raz dwudziesty piąty.

Zaczął pić. Poszło łatwo, bo nie brakowało ani powodów, ani towarzystwa.

– Przez moment myślałem, żeby wrócić do Goose Bay, do cywilizacji. Ale ty jesteś głupi, Toby, powiedziałem sobie po zastanowieniu. Co ty w ogóle pierdolisz? Całe życie jęczałeś, że chcesz do domu. To właśnie jest twój dom, musisz z tym jakoś żyć.

Toby zamieszkał u dalekiego wujka, który miał siedmioro swoich dzieci. Chciał się przydać, łapał dorywcze prace we wsi. Bardzo pragnął poczuć, że gdzieś pasuje – i do kogoś. Próbował przestać się bić, skończyć z piciem, zacząć ufać.

Nie szło.

Patrzył na białą autostradę przykrywającą zatokę i czuł jednocześnie ulgę i przerażenie, podniecenie i lęk. Zadawał pytania, ale z nad zamrożonej zatoki nie przychodziła żadna odpowiedź. Pomagał sobie butelką, spędził z nią kolejnych sześć lat.

Aż przyszedł początek 1993 roku. Umarł wtedy po raz dwudziesty szósty, umarł wtedy naprawdę.

W szpitalu stwierdzili zgon.

\* \* \*

Tej nocy w Goose Bay było minus pięćdziesiąt stopni Celsjusza. Sprawdzam na stronie rządowej agencji monitorującej klimat w Kanadzie. Według danych historycznych najniższa temperatura w Goose w styczniu 1993 roku to minus trzydzieści dwa stopnie.

Skąd różnica? Odpowie ci wiatr, *the answer is blowing in the wind*.

W Kanadzie gazety drukują prognozę pogody w dwóch kolumnach – w jednej rubryce wartość odnotowywaną przez termometry, a obok tę ważniejszą, na którą wszyscy patrzą. To Wind Chill Index, wskaźnik wiatru, który pokazuje, jaką temperaturę będzie odczuwało ludzkie ciało. Dlatego minus trzydzieści może znaczyć dla człowieka tak naprawdę minus pięćdziesiąt.

W okolicy wspominają, jak kilka lat temu parę kroków od domu znaleziono zlodowaciałe ciało kobiety. Wykluczono działanie osób trzecich. Nie był to zawał ani udar. Szukano we krwi śladów alkoholu, ale kobieta była trzeźwa. Nie przejechał jej samochód, nie poślizgnęła się na lodzie i nie umarła od zatoru płucnego po złamaniu nogi.

Po prostu nie była zbyt dobrze ubrana, nie była szczelnie zapięta. Przechodziła przez jezdnię z jednego budynku do drugiego. Ile to, minuta, może dwie? Tyle wystarczyło, żeby zamarzła.

Jak mówi Toby, to była najgorsza z zim, jaką człowiekowi może zesłać Bóg. Wszechogarniająca, przenikająca, potworna.

– Najgorszy był wiatr. Starasz się iść szybko, żeby nie zlodowacieć, a wtedy łapczywie chwytasz powietrze. Wpada ci do płuc, pęcherzyki nie wytrzymują i pękają. Płuca zalewa krew, topisz się we własnych sokach. To jakby dobry Bóg chciał cię wykończyć swym miłosiernym oddechem pędzonym w ciebie prosto z kosmosu.

\* \* \*

Toby pomieszkiwał wtedy w Happy Valley-Goose Bay. Spał na kanapie u kuzyna, który pozwolił mu trochę u siebie pobyc,

odpocząć od dzwoniącej ciszy Hopedale. Był wieczór, osiemnasta trzydzieści. Pili we dwóch, a kiedy przyszedł kolega, ruszyli do baru. Zaroilo się od znajomych. W pewnej chwili usłyszeli: „Już wam więcej nie poleję, ledwie trzymacie się na nogach”.

– Powiedziałem tej kurwie za barem, że ja akurat mam życzenie się jeszcze napić i że się jeszcze napiję. Wściekłem się. Wziąłem z jakiegoś stolika butelkę, trzasnąłem drzwiami. Zszedłem po kilku stopniach przed bar, stanąłem na parkingu. Padał śnieg. Pamiętam, piłem duszkiem. Miałem na sobie cienką kurtkę. Pamiętam jeszcze, jak wyszedłem z parkingu w ciemność. I więcej już nic.

Minus trzydzieści czy minus pięćdziesiąt – ciało Toby’ego, ocaleńca ze szkoły Yale w North West River, leżało w śniegu i robiło to, do czego nawykło. Ze wszystkich sił walczyło, by zostać przy życiu.

\* \* \*

Rano Toby’ego Obeda znalazła policja konna, ta sama, która przed osiemnastoma laty zabrała go z domu. Myśleli, że nie żyje. Kto się zorientował, że to może jeszcze nie koniec, nie wiadomo.

Zabrali go śmigłowcem do szpitala ponad tysiąc pięćset kilometrów na południe od zaśnieżonego parkingu, do miejsca, które mogło dać cię szansę na ratunek. Lekarze ze szpitala w St. John’s, stolicy Nowej Fundlandii i Labradoru, nie mieli złudzeń: wątroba i nerki Toby’ego były zamrożone. Obrażenia tkanek były nieodwracalne, musieli amputować obie stopy, lewą rękę poniżej łokcia i palce prawej dłoni. Ale mózg się nie poddawał.

Żeby spróbować ocalić Toby’ego, lekarze na dwa miesiące wprowadzili go w śpiączkę farmakologiczną. Aż przyszedł dzień, w którym Toby otworzył oczy i zrozumiał, że obok łóżka nie postawi już swoich butów.

– Co jest, kurwa, pytałem doktorów. Oddajcie mi moje nogi, dlaczego ja już nie mam nóg? Nie przyjmowałem żadnych wyjaśnień. Poprosiłem, żeby mnie znów uspili. Tłumaczyli mi, że to cud, że żyję. Mój organizm się wyłączył jak system komputerowy. Wygasił się sam. W szpitalu stwierdzili zgon. Tak mi przynajmniej opowiedziano. Tak ja to przynajmniej opowiadam.

Toby wspomina, że mieli go chować, ale w kostnicy otworzył nagle oczy i zaczęła się reanimacja.

Bardziej prawdopodobne jest, że to jakiś policjant konny uparł się, żeby złapać za rękę chłopaka, który wymykał się do śmierci.

– Walczyli przez dwanaście godzin, żeby przywrócić krążenie, tyle zrozumiałem. Kiedy mnie ratowali, zakładali, że nawet jeśli się wybudzę, to będę jak kłoda, nigdy się nie podniosę. Ocalili mnie, znów ktoś zdecydował w moim imieniu. Nie miałem wyboru, musiałem żyć. Byłem wtedy dorosłym mężczyzną w wieku niemowlęcym. Na nowo uczyłem się jeść, ubierać, poruszać się. Najpierw czołgałem się po podłodze w szpitalu na jednej ręce. Potem dali mi wózek, ale uparłem się, że będzie tak, jak chcę. Że pierwszy raz w życiu będzie tak, jak ja sobie, kurwa, tego życzę. Z czasem chodziłem o kulach, a raczej upadałem i podnosili mnie z podłogi. Czepiałem się ścian, barierek i poręczy. Potem dali mi chodzik, a teraz patrz. Nie potrzebuję niczego. Mam swoje protezki, mogę na nich pomykać, dokąd tylko zechcę.

Kiedy jesteś niemowlęciem, wszyscy klaszczą i cieszą się z twoich sukcesów. Każdy upadek leczy się całusem kochającej matki, tak przynajmniej wyobraża to sobie Toby. Tutaj, w szpitalu dla okaleczonych przez wojny, wypadki i mróz, Toby stał sam, dorosły i bez nikogo. Trząsł się jak w delirium. Rehabilitanci uspokajali, że napięcie mięśniowe, że mięśnie się muszą przystosować, że to

normalny proces. Ale on wiedział, że to nie mięśnie, tylko strach. Trząsł się ze strachu, czy przeżyje i na jakich zasadach.

Hołowanie ku życiu trwało wiele miesięcy – był koniec lata, kiedy Toby opuścił oddział. Potem wracał z przepustek, żeby kontynuować rehabilitację. Uczył się ufać, opierać na chodziku, manewrować wózkiem. Do dyspozycji miał prawą rękę z kilkoma odjętymi palcami.

Był jeszcze brzuch. Dializy trwały rok, ale w końcu nerki ruszyły i podjęły pracę. Lekarze mówili, że po tym wszystkim musi być ostrożny, nie może pić alkoholu, ale Toby nie był w stanie się z nimi zgodzić.

Próbował terapii, by pozbierać się po szkole, rodzinach zastępczych i po amputacji. Nic nie pomagało – tylko butelka.

– Przestanę pić, dopiero jak zechcę. Na razie jeszcze nie mam takiego życzenia.

\* \* \*

Z czasem lekarze zdecydowali się opowiedzieć o Tobym, dziecku szczęścia, cudzie medycyny. Toby stał się sławny. Do szpitala w St. John's przyleciały ekipy telewizyjne, by nakręcić materiały o człowieku z lodu. Inuku, który wstał z martwych. Feniksie, siłaczu, bohaterze.

Wtedy, w 1993 roku, Kanada usłyszała o Tobym po raz pierwszy – ale jeszcze go nie doceniła.

W 2008 roku premier rządu federalnego Stephen Harper publicznie powie ocalańcom ze szkół z internatem: „Przepraszam”. Ale przeprosiny nie będą dotyczyć wszystkich – zostaną z nich wykluczone dzieci z Labradoru i Nowej Fundlandii.

Wtedy serce Toby'ego Obeda zatrzyma się, dwudziesty siódmy raz.

## 2. SZEPT PHILA FONTAINE'A

To nieprawda, że nikt wcześniej nie wiedział. Nie da się nie wiedzieć.

Ktoś mieszka w pobliżu szkoły z internatem, w której zamknięte są rdzenne dzieci. Ktoś dowozi do niej jedzenie. Ktoś inny dzieci z internatów leczy, ktoś je przecież grzebie.

Czyjemuś dziecku znikają koledzy, jakiejś rodzinie – sąsiedzi.

Nie za głośno, nie przy najmłodszych, ale jednak się o tym rozmawia. Najczęściej w domu, jeśli w szkole, to nigdy na lekcjach. Z czasem napomknie coś jedna czy druga gazeta. Można tę krótką notkę jakoś wyłować wzrokiem: przetrzeć oczy, stracić oddech.

Nie da się nie wiedzieć, więc przez te wszystkie lata Kanadyjczycy wiedzieli. Nie wiedziała tylko Kanada.

\* \* \*

Latem 1990 roku wybucha kryzys w miejscowości Oka w prowincji Quebec. Do istniejących terenów zielonych ktoś chce dołączyć dawny cmentarz Mohawków. Powiększony areał miał być doskonałym polem golfowym i kolejną działką do zabudowy. Najpierw protestują pojedyncze organizacje rdzennych mieszkańców, ale szybko gromadzi się coraz więcej ludzi. Pojawia się policja, a potem wojsko. Twarz wściekłego rdzennego mężczyzny tylko kilka centymetrów od nosa białego żołnierza w zielonym hełmie – takie zdjęcia obiegają świat.

Po pacyfikacji Oki w Kanadzie panuje cisza, choć nie zgoda. Wiadomo, że w tym konflikcie nie chodzi już tylko o fragment porośniętego sosnami sanktuarium. Czuje się napięcie. Pomoże je wyzwolić siedem i pół minuty rozmowy z Philem Fontaine'em.

\* \* \*

30 października 1990 roku Phil Fontaine składa wizytę w archidiecezji w Winnipeg. Jest już wtedy szanowanym politykiem, w Zgromadzeniu Pierwszych Narodów (Assembly of First Nations, AFN) reprezentuje rdzennych mieszkańców prowincji Manitoba. Mówią do niego: *chief*, wodzu.

Dla mediów jest podręcznym *go-to Indian*, „dyżurnym Indianinem”. Pierwszą osobą, jaka przychodzi do głowy, gdy potrzebny jest głos i perspektywa kogoś z Pierwszych Narodów.

Ludzie go podziwiają, ludzie mu ufają. *Chief* Fontaine wyszarpuje od rządu kolejne ustępstwa, piętnuje krzywdzące dla rdzennych mieszkańców zmiany w prawie. Jest skuteczny. Choć oczywiście nie wszyscy za Fontaine'em przepadają. Słysząc, że jest zbyt pragmatyczny, a za mało konfrontacyjny i zbyt blisko współpracuje z rządem, przez niektórych rdzennych nazywanym „osadniczym” albo wręcz „okupacyjnym”.

Kiedy po latach Fontaine odejdzie z polityki do wielkiego biznesu, u wielu wzbudzi serdeczną i szczerą zawiść. Sukces i pieniądze trudno mu będzie wybaczyć. Jedno nie ulega wątpliwości: przez całe dziesięciolecia jedni go uwielbiają, inni równie gorąco go nie znoszą – ale liczą się z nim wszyscy.

Jest tylko jeden problem: Phil Fontaine nie potrafi publicznie zabierać głosu.

W którymś z wywiadów mówi o sobie tak:



– Nie jestem wcale groźny. Nikt się mnie nie boi. Między ludźmi jestem cichy i wycofany. Nie jestem charyzmatyczny, żaden ze mnie mówca. Mówię łagodnym, miękkim głosem, ale niech to nikogo nie zmyli.

\* \* \*

Tego dnia w archidiecezji Phil Fontaine mówi jak zwykle o wiele za cicho. Mimo to księża słyszą, że dotarł do wiarygodnych danych: w niektórych prowadzonych przez Kościół katolicki szkołach z internatem (*Indian residential schools*), do których trafiały rdzenne dzieci, dochodziło do deprawacji, a nawet do aktów przemocy wobec podopiecznych.

Księża wzdychają. Takie skargi nie są niczym nowym. O przypadkach niewłaściwych zachowań ze strony kleru Kościół, także w Kanadzie, bywa od czasu do czasu informowany. Wdraża wówczas swoje wewnętrzne procedury, stara się też okazywać ofiarom wsparcie.

Ale Fontaine nie chce wsparcia.

– Czas rozpocząć formalne dochodzenie w sprawie tych krzywd – zaznacza.

Do tej chwili rozmowa była uprzejma i stonowana. Ale tego wątku księża jakoś podjąć nie chcą i spotkanie właściwie zmierza ku naturalnemu końcowi.

Tylko że Phil Fontaine ma do powiedzenia coś jeszcze.

Chodzi o szkołę z kamienną grota, szkołę na słonecznej polanie.

Opowieść o niej Phil układa i ćwiczy w swojej głowie od wielu miesięcy. Jest to wystąpienie publiczne, które kiedyś zamierza wygłosić. W przyszłości – na pewno jeszcze nie dziś.

Praca nad przemówieniami to męka. Choć Phil Fontaine jest prominentnym politykiem, to nadal beznadziejnym mówcą. Czyta

z kartki, zacina się i gubi. Przymyka powieki, nie umie utrzymać kontaktu wzrokowego. Za każdym razem, kiedy ma coś publicznie powiedzieć, zastyga.

Dlatego chce być dobrze przygotowany, zanim o tym opowie. Wie, że ryzykuje autorytetem i karierą. Wie też, że to się wydarzy, czeka na to od czterdziestu lat. Wydarzy się to całkiem niedługo. Ale na pewno jeszcze nie dziś.

Jednak na spotkaniu z księżmi Fontaine nagle wypala:

– To w waszej szkole doznawałem przemocy. To u was jako dziecko byłem wykorzystywany seksualnie.

\* \* \*

Tego wieczoru wielu Kanadyjczyków wyciąga z pudeł gumowe pająki i papierowe girlandy w kształcie czarnych kotów. Kto jeszcze nie zdążył, na ostatnią chwilę drąży i wycina dynie. Już jutro Halloween. Niektórzy po kryjomu napoczynają cukierki kupione dla dzieci z okolicy, które będą chodzić w przebraniach od drzwi do drzwi. Szeleszczą więc chowane po kieszeniach opakowania od *tootsie rollsów*. Kanadyjskie rodziny zasiadają przed telewizorami. W wielu domach ekrany wyświetlają główny program informacyjny telewizji CBC, Canadian Broadcast Corporation, kanadyjskiego odpowiednika BBC.

Ten kanał to jednocześnie okno i lustro Kanady.

Prowadzący wydanie zaczyna:

– A teraz przejmujące oskarżenia o molestowanie dzieci w niektórych szkołach w prowincji Manitoba. Jeden z popularnych polityków i jednocześnie dawny wychowanek katolickiej szkoły wzywa do wszczęcia dochodzenia. Jak utrzymuje, także on sam w przeszłości padł ofiarą nadużyć.

Po emisji stacja łączy się już bezpośrednio z Philem Fontaine'em. Czterdziestosześcioletni Fontaine mówi bardzo powoli, zacinając się częściej niż zwykle.

Prowadząca wywiad dziennikarka Barbara Frum chce się najpierw dowiedzieć, o jakiej skali mowa. Czy Phil był jedyny? Czy jeszcze jakieś dziecko mogło paść ofiarą księży i sióstr z malowniczej polany?

W głównym kanadyjskim programie telewizyjnym szanowany i podziwiany polityk odpowiada tak:

– W mojej trzeciej klasie na dwudziestu chłopców każdy jeden przeszedł przez to, przez co i ja przeszedłem. Każdy był w jakiś sposób wykorzystywany seksualnie.

Dziennikarka zachowuje się, jakby nie dosłyszała, o jakie wykorzystywanie chodzi. Zauważa tylko, że do niedawna bicie dzieci było powszechne i mnóstwo osób z pokolenia Fontaine'a zaznało kar cielesnych – klapsów, uderzeń linijką po rękach.

– Dlaczego więc pan uważa, że pańska sprawa jest wyjątkowa?

– Chodzi o zasięg i o intensywność tej przemocy. Oraz o to, że mieliśmy do czynienia z instytucją, która reprezentuje najwyższy autorytet moralny w naszym społeczeństwie. Nic nie mogliśmy zrobić. Takiej władzy się nie kwestionuje.

Rozmowa jest trudna, szarpana. Phil Fontaine mówi o poczuciu wstydu i fałszywym przekonaniu, że trzeba milczeć, by zachować twarz. Tłumaczy, że ta sprawa wcale nie kończy się w murach szkoły, ale prowadzi do dalszego napędzania cyklu przemocy.

W czasie wywiadu Fontaine jest zdenerwowany, mówi z przerwami. I w końcu robi coś, na co nikt – ani jego bliscy, ani współpracownicy, ani dwa i pół miliona Kanadyjczyków przed telewizorami – nie miał jak się przygotować.

- Wykorzystywany potem sam wykorzystuje, a maltretowany maltretuje – oświadcza bardzo powoli i spokojnie.
- Czy to znaczy, że i panu się to zdarzyło?
- Oczywiście – odpowiada bez wahania Phil Fontaine na oczach osłupiałej publiczności. – Oczywiście, że tak. Robisz innym to, co tobie robiono.

\* \* \*

Jedna z pierwszych szkół z internatem dla rdzennych dzieci, Mohawk Institute Residential School, została otwarta w 1828 roku na terenie dzisiejszej prowincji Ontario. A dokładnie w Brantford, rodzinnym miasteczku Aleksandra Grahama Bella. Placówkę tę nazywano kolokwialnie The Mush Hole, czyli Zagłębieniem Brei, od serwowanej tu na okrągło rozgotowanej owsianki, która była podstawą wyżywienia dzieci.

Porastająca Kanadę sieć szkół z internatem, prowadzonych w znakomitej większości przez Kościół katolicki, a fundowanych przez państwo, zaczęła usychać w latach sześćdziesiątych, choć ostatnią z nich, Qu'Appelle w prowincji Saskatchewan, zamknięto dopiero w 1996 roku.

Wiele budynków spłonęło albo zostało rozebranych. Czasem działają w nich świeckie szkoły; niektóre przerabia się na szpitale albo hotele. Inne niszczej. Z rzadka zostawia się je jako swego rodzaju miejsca pamięci.

Przez te wszystkie lata istnienia systemu szkół z internatem śladów się jakoś specjalnie nie zbiera, a dowodów nie zabezpiecza.

Co jakiś czas mówi się, a nawet pisze, o przykładach nieprawidłowości, o poszczególnych incydentach w niektórych placówkach. Takich jak pożar, utonięcie, epidemia (rzadziej: wykorzystywanie dziecka). I tak właśnie się to widzi: jako

nieszczęśliwe wypadki losowe lub pojedyncze, marginalne wykwyty patologii.

Przydaje się wtedy formuła mająca wszystkie wątpliwości rozwiać, a wszelkie winy unieważnić. Cudowne zaklęcie, trzy słowa, które dobrze brzmią w każdej epoce i pod każdą szerokością geograficzną.

Ta-kie-by-ły-cza-sy.

Mawia się też: to cena postępu, przykry odprysk wielkiej dziejowej historii. To, co prawda, niefortunne, ale jednak odizolowane przypadki.

O skali tego, co działo się w szkołach, Kanada dowie się oficjalnie dopiero w 2015 roku.

\* \* \*

Następnego ranka słowa Phila Fontaine'a przedrukowują kanadyjskie dzienniki od Atlantyku po Pacyfik, od Vancouver po Wyspę Księcia Edwarda. Niektóre dają go na jedynkę.

Tego dnia wiele śniadań w kanadyjskich domach przebiega w zupełnej ciszy.

Po pierwsze, trudno uwierzyć, że coś takiego mogło stać się w publicznej szkole, kontrolowanej przez państwo. W szkole katolickiej, gdzie dzieci oddano pod opiekę osobom duchownym.

Po drugie, ciężko się pogodzić z faktem, że spotkało to polityka u władzy, osobę publiczną.

Po trzecie, jak to jest, że mówi się o tym na głos, a do tego w telewizji?

Po czwarte, pojawia się myśl, że może dzieci takich jak Phil było więcej.

Historycy, urzędnicy i przede wszystkim dawni uczniowie zaczynają powoli przyznawać, że istotnie, szkoła na polanie nie była

pod tym względem jedyna. W pierwszych dniach po wywiadzie mówi się nawet o siedmiu placówkach, w których dzieci miały paść ofiarami przemocy ze strony duchownych. Dziś wiadomo, że takich szkół naliczono sto trzydzieści sześć. Zamknięto w nich co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy dzieci.

Ale w czasie emisji wywiadu ani Phil Fontaine, ani Kanada nie mają jeszcze o tym pojęcia.

\* \* \*

Fontaine nie cofa słów i nie milknie. Rozmawia z każdym, kto chce wiedzieć. W tych opowieściach jak refren powtarza się: maltretowanie, wykorzystywanie seksualne, przemoc psychiczna i fizyczna, systematyczne, zinstytucjonalizowane znęcanie się nad dziećmi.

Dołączają do niego kolejni. Dzieje się coś, czego już nie da się zatrzymać. Choć naturalnie niektórzy spróbują to na różne sposoby spowolnić, rozmyć i zdeprecjonować. Albo przynajmniej wycofać z publicznej dyskusji.

Już w ciągu doby od wywiadu pojawia się komentarz Kościoła katolickiego. W telewizji CBC z rzecznikiem archidiecezji Świętego Bonifacego w Winnipeg, księdzem Claude'em Blanchette'em, rozmawia ta sama dziennikarka, Barbara Frum.

Ksiądz przyznaje, że plotki o tym, co działo się w katolickich szkołach z internatem, powtarzano od lat, jednak „większość ludzi dawno zostawiła ten bolesny bagaż za sobą”.

– Ale to coś więcej niż tylko plotki. – Prowadząca się uśmiecha. – Kościół przesuwiał księży pomiędzy parafiami, dokonywał niezrozumiałych, nagłych kadrowych zmian. Może należy nazwać to zacieraniem śladów?

– No cóż, dziś takie przypadki istotnie nazywalibyśmy zacieraniem śladów, ale wtedy Kościół uważał... Nie tylko on, bo i całe społeczeństwo tamtych czasów... Otóż wtedy uważano, że tak właśnie należy postępować.

– Ale skoro teraz pan już o tym wie, a także prawdopodobnie wielu innych księży już o tym wie, to czy zamierzacie wszcząć w tej sprawie dochodzenie?

– Wiesz, Barbaro, publiczne dochodzenia z reguły mają cel polityczny. Nie jestem pewny, czy taki ruch przysłużyłby się drodze do uzdrowienia. Wolelibyśmy razem z władzami stworzyć dla tych cierpiących ludzi jakąś przestrzeń, w której zostaliby wysłuchani, w której mogliby podzielić się ważnymi dla siebie opowieściami.

– Rozumiem, że Kościół woli ciszę, ale wczoraj Phil Fontaine wzywał do wszczęcia publicznego dochodzenia w tej sprawie. Czy będziecie oponować?

Ksiądz tłumaczy, że teraz sprawa będzie procedowana na wyższych szczeblach w pałacu biskupim i wróci do zainteresowanych, czyli do „mister Fontaine’a”.

Ale dziennikarze telewizji publicznej to nie wystarcza.

– System szkół z internatem został zlikwidowany, od dawna nie istnieje. Ale co, jeśli nadal siedzicie na archiwum, które skrywa dziesiątki takich spraw? Czy pozwolicie im ujrzeć światło dzienne? Czy macie raczej nadzieję, że sprawa przycichnie? A może będziecie aktywnie prowadzić dochodzenie i szukać kolejnych takich przypadków? – dopytuje.

– Wcale nie czekamy, aż sprawa przycichnie. Uleczyć skrzywdzone osoby, pozwolić im na nowo stać się jednością – oto nasza największa nadzieja i największe pragnienie.

– Mówimy o ofiarach, a co zrobicie z tymi, których dotyczy oskarżenie? Z tymi, którzy nadal żyją i mogą zostać pociągnięci

do odpowiedzialności?

– Tych ludzi należy otoczyć opieką terapeutyczną i systemem wsparcia, by ochronić ich przed pewnego rodzaju tendencjami, skłonnościami w ich osobowości. Czy powinni być oskarżeni, potępieni przez system sprawiedliwości? Cóż, okażemy im braterską miłość i braterskie zrozumienie. Spróbujemy pomóc im przetrwać ten trudny dla nich czas. Im, ich bliskim, ich środowisku, które ich zna i miłuje. Im samym, a także ich ofiarom.

– Ojciec Blanchette, pytałam, czy będziecie sprawdzać, czy było więcej takich przypadków. Tak czy nie?

– Na tę chwilę arcybiskup nie wyraził intencji prowadzenia takich poszukiwań.

Ksiądz Blanchette doda jeszcze:

– Takie przypadki były czymś okropnym, ale na przeszłość należy patrzeć ze zrozumieniem.

\* \* \*

Po emisji wywiadu z Philem Fontaine’em do redakcji CBC przysłyły tysiące listów od innych dorosłych, którzy byli molestowani w szkołach finansowanych przez państwo, a w większości prowadzonych przez Kościół katolicki. Pisali o tym do telewizji, bo do kogo niby mieliby pójść?

Redaktorzy otwierali koperty i czytali: nikt na świecie o tym nie wie, nawet moja żona. Ty, który trzymasz ten list, dowiadujesz się jako pierwszy.

Tylko że dziennikarze nie wiedzieli, jak to udźwignąć. W całej Kanadzie nie było ani narzędzi, ani instrukcji, jak o tym mówić. A tym bardziej pomysłu, co dalej z tym zrobić.

Zdecydowano, że najpierw trzeba znaleźć odpowiedni, nieraniący język.



Na początku mówiło się neutralnie: „dawni uczniowie”, a także „ofiary”, choć szybko uznano, że może być to powtórnie wiktymizujące. W miarę odkrywania kolejnych historii, gdy ośmieleni przez Fontaine’a zaczęli przemawiać następni świadkowie, ten język bardzo się zmienił. Wkrótce Kanada włączyła do swojego słownika wyraz *survivor*, ocaleniec, któremu nadała nowe znaczenie.

W Polsce, mówiąc o ocalonych, zazwyczaj mamy na myśli tych, którzy przetrwali Holocaust. Hasło „ocalony z zagłady” niesie nam konotacje, których nie trzeba tłumaczyć. Nasza część świata jest zanurzona w pamięci Holocaustu i mamy słowa kluczowe, które próbują ją pomieścić. Do niedawna także w Kanadzie *survivor* oznaczał człowieka, który przeżył Shoah.

Ale czasy się zmieniają – teraz *survivor* to coraz częściej ten, który przeżył prowadzoną przez Kościoły szkołę z internatem. „Jestem ocaleńcem” to już prawie to samo, co „jestem po kościelnym internacie”.

Polskie tłumaczenie tego słowa nie jest doskonałe. Ocaleniec to ktoś, kto ocalał, kogo uratowano niejako z zewnątrz. Jest jak ofiara kataklizmu, której ratownicy udzielili pomocy.

W języku angielskim *survivor* to ktoś, komu udało się przetrwać, przeżyć, wytrzymać (*to survive*). Tu akcent jest położony inaczej – na wewnętrzne sprawstwo, na siłę, która pozwala utrzymać się przy życiu.

Dzieci z kanadyjskich szkół z internatem, jeśli przeżyły, to dlatego, że wytrzymały.

Nie zostały przez nikogo uratowane, po żadne z nich pomoc nie przyszła.

Ta-kie-by-ły-cza-sy.

### 3. DZIECI ŚWIĘTEJ ANNY

Życie w katolickiej szkole z internatem imienia Świętej Anny (St. Anne's Residential School) w Fort Albany, na północy prowincji Ontario, było jak film. A konkretnie jak *Pasja* Mela Gibsona. Tak przynajmniej uważa Louis Knapaysweet.

Przecież to o mnie, pomyślał w pierwszej chwili Louis, poprawiając się w fotelu przed telewizorem. Ale zaraz doszedł do wniosku, że różnic jednak jest sporo. Najważniejsza to ta, że kiedy skóra na plecach pękała od uderzeń bicia i grzbiet zalewał się krwią, Jezus miał trzydzieści trzy lata.

A Louis tylko dziesięć.

Spotykamy się w bibliotece Toronto Reference Library na projekcji dokumentu *In Jesus' Name* (W imię Jezusa). Louis jest jednym z siedmiorga byłych wychowanków szkoły Świętej Anny, którzy w filmie dzielą się wspomnieniami z placówki. Kanadyjska reżyserka o szwedzkim nazwisku, Susan Enberg, mówi zgromadzonym w bibliotecznej auli:

– Mam do was jedną tylko prośbę. Po powrocie do domu powiedzcie wszystkim, których spotkacie, co działo się dzieciom w Świętej Annie.

Obok niej siedzi Louis. Jego włosy są siwe, długie do krzyża, związane w kitkę.

Na głowie – czapka z daszkiem, na czapce – orzeł i napis „Native Pride”, rdzenna duma.

Po filmie kucam przy nim, żeby porozmawiać. Widzę pasywną, mocno pomarszczoną twarz.

Oczy Louisa nie mają już rzęs. Są niewielkie, przymglone. Załzawione, jak to u starych ludzi przyjmujących regularnie krople. Mówić trzeba głośno, bo Louis niedosłyszany. A słuchać go – uważnie, bo Louisowi brakuje większości zębów. Ale nie pamięci.

Louis Knapysweet to dziecko z Attawapiskat, osady w rezerwacie w północnej części prowincji Ontario, na brzegu Zatoki Jamesa, długiej na czterysta kilometrów, szerokiej na dwieście. Prawo i zwyczaj mówiły, że dzieci z tego regionu muszą realizować obowiązek szkolny w Świętej Annie, szkole z internatem położonej na obrzeżach miejscowości Fort Albany.

Fort Albany to tak naprawdę trzy wyspy – Sinclair, Main i Anderson Island – położone w delcie rzeki. Okolica z lotu ptaka wygląda jak liść kapusty – grubsze i cieńsze żyłki rzek i strumieni przecinają mokre ziemie i wlewają się do Zatoki Jamesa jak naczynia do żyły wrotnej. Miejscowość tę można nazwać miejscem przylotów, jest to bowiem niedostępne drogą lądową *fly-in community*. Latem można tam dotrzeć tylko samolotem. Lot do Timmins, najbliższego dużego miasta, kosztuje tysiąc dwieście dolarów. To dwa razy więcej niż najtańszy bilet w klasie ekonomicznej z nowoczesnego lotniska w Toronto na Okęcie. Tanich linii nie ma.

Zimą jest jeszcze *highway*, autostrada, podobna do tej, którą Toby Obed może czasem wydostać się ze swojej Wioski Nadziei. W sezonie zimowym autostrada łączy rezerwat Attawapiskat ze światem, a konkretnie z Moosonee, jednym z ostatnich przystanków na północy, do których dociera kolej. Pojawia się na przełomie grudnia i stycznia, kiedy rzeki chwyci lód – w najszerszym miejscu ma nawet trzysta metrów. Obsadza się ją

choinkami, żeby kierowca nie zboczył z trasy. Czasem pobocze ciągnie się aż za horyzont, naokoło tylko biel. Autostradę codziennie badają strażnicy w kaskach i butach roboczych. Wiercą otwory, sprawdzając grubość lodu. Zaciskają kciuki, by pokrywa była grubsza niż metr i dziewięć centymetrów. Inaczej autostradę trzeba będzie zatopić. To znaczy: dowiercić się do wody i zalać nią przejazd jak lodowisko. Nowy lód zepnie jezdnię i dołoży do niej kolejną warstwę. I już – *highway* robi się sama, bo zimą temperatury w dzień spadają do minus trzydziestu stopni.

Kiedy autostrada jest gotowa, mieszkańcy Fort Albany albo Attawapiskat wiedzą, że wkrótce będą jeść. Do sklepów spożywczych dotrą ciężarówki z zaopatrzeniem, po lodzie będą mogli także ruszyć w odwiedzin bliscy. Dlatego w miarę możliwości śluby urządza się tu zimą – żeby mogli pojawić się jacyś goście.

Autostrada daje jeszcze jedno – pracę. Przy jej codziennym utrzymaniu zajęcie ma pięćdziesiąt osób.

Na północ docierają nią nie tylko żywność i papier toaletowy, nie tylko karetki i policja, lecz także alkohol i narkotyki. Picie i bicie to tło prawie wszystkich połączeń alarmowych wychodzących z tej okolicy.

Ale trochę się to zmienia. Wcześniej na świat przychodziło tu sporo dzieci z płodowym zespołem alkoholowym, więc mieszkańcy powołali straż obywatelską i zaczęli przeszukiwać auta wjeżdżające do rezerwatu. Nie zawsze dają radę. Skrzynkę wódki łatwo znaleźć – paczkę tabletek już nie.

Lodowa autostrada to stosunkowo nowa trasa, zaczęto ją zatapiać i mrozić dopiero w 1976 roku. Wcześniej misjonarze ze Świętej Anny ciągnęli ładunki saniami po ścieżce wykarczowanej w leśnej gęstwinie.

Dlatego odcięta od świata Święta Anna musiała być samowystarczalna.

Szkołę założono w 1903 roku. Po trzech latach zaczęła formalnie podlegać państwu. Ale na co dzień wszystkim w Świętej Annie zajmowali się francuskojęzyczni oblaci, Oblati Mariae Immaculatae, misjonarze Maryi Niepokalanej. Pomagały im szarytki, siostry miłosierdzia (Grey Nuns, Sisters of Charity) z Ottawy. Drzwi Świętej Anny ostatni raz zatrzasnęły się w 1976 roku i od tej pory budynek niszczał. Aż do 2002 roku, kiedy w opustoszałych ruinach wybuchł pożar. Skąd wziął się ogień, nie ustalono. Szkoły postanowiono nie odbudowywać.

Zostały plany misji, którą wielokrotnie rozbudowywano i modernizowano. Na jednym z projektów z 1939 roku widać, że dwie łazienki dla setek dzieci umieszczono w przestrzeni węższej niż schody między piętrami. W jednej dla chłopców i drugiej dla dziewczynek było miejsce tylko na dwa sedesy i cztery umywalki.

W dokumentach dla towarzystwa ubezpieczeniowego zaznaczono, że obok szkoły znajdowały się też budynki gospodarcze i mieszkalne. Pomieszczenia dla pielęgniarek, dla sióstr, a także rezydencja księży z prywatną kaplicą. Nieopodal – mała elektrownia, garaż, warsztat, piekarnia i obory. Zakonnice pracujące w szkole mieszkały w najdalej położonym budynku, jeszcze dalej niż było.

\* \* \*

Dla uczniów ze Świętej Anny najbardziej upragnionym miejscem był szpital, niewielki ceglany budynek. Karmiono je tam mięsem i rosołem, dawano też zabawki, które – co prawda – należało oddać po zakończeniu leczenia, ale to nic nie szkodziło. Nie było tam bicia, tylko spokój i jedzenie.

Nic dziwnego, że niektóre dzieci próbowały się tam dostać, a to podduszając się, a to wieszając. Inne celowo narażały się na urazy, odmrożenia, oparzenia i złamania. Ale złamana noga to był żaden paszport – do szpitala trafiały tylko dzieci w naprawdę ciężkim stanie.

Po niektórych z nich zachowały się dokumenty. Dzięki nim wiadomo, że na potrzeby szkół z internatem przygotowano specjalne formularze na okoliczność dziecięcych śmierci. Archiwa dotyczące zgonów w Świętej Annie pokazują, że wypełniając je, używano tylko tyle atramentu, tylko tyle sylab, ile było konieczne. Dokumentacja jest lakoniczna i dziurawa – a kiedy nie ma danych, nie ma też zbyt wielu pytań.

\* \* \*

Formalnie do szkoły trafiały pięciolatki, ale przyjmowano także dzieci dwuletnie. Koniec szkoły i cierpienia nadchodził dopiero po piętnastych urodzinach.

Stających na progu szkoły uderzała sterylność i pedantyczność tego miejsca. Placówka – poza schodami z szarego kamienia – była bielusienka. Białe ściany i podłogi, obrusy i zegary.

Ocaleńcy zgodnie wspominają też silny zapach wybielacza, jaki na co dzień wypełniał gmach szkoły. Niektórzy pamiętają, że pachniało też pieczeniem (dla kleru) i gotowaną fasolą (dla dzieci).

\* \* \*

Budynki składające się na misję księży oblatów leżały na obrzeżach miejscowości ukrytej przed ludzkim wzrokiem. Naokoło tylko las i las. I jeszcze rzeka, Albany, która była jednocześnie łowiskiem i granicą oddzielającą szkołę od reszty świata.

Kontakt z placówką był bardzo trudny. Nie było telefonu, tylko radio w kancelarii jednego z księży. Nic dziwnego, że goście – tacy jak kontrolerzy z ministerstwa, Królewska Kanadyjska Policja Konna albo przełożeni księży – z rzadka tam zaglądali.

Choć czasem zdarzała się formalna wizytacja. To były dobre dni. Po pierwsze, dzieciom dawano lepsze jedzenie, na przykład jajka. A po drugie, na czas wizytacji oszczędzano bicia. Choć oszczędzanie to niedobre słowo – kara była tylko odraczana do chwili, kiedy gość opuści szkołę na dobre. Zdarzało się, że z powodu załamania pogody delegacja zawracała, więc z biciem czekano do momentu, kiedy było pewne, że żadni świadkowie już się nie zjawia.

Louis Knapaysweet pamięta, że w szkole mieli do dyspozycji jedną tablicę, z której uczyli się czytać i pisać. Nie dostawali zeszytów – chyba że mieli się zjawić goście. Dzieciom kazano wtedy kopiować na kartkach fragment Biblii. Odwzorowywały kształt liter, przerysowując zawijasy z tablicy. Co tak sumiennie kaligrafują – nie rozumiały.

Wizytacje wypadały dobrze. Że uczniowie nie potrafią czytać i pisać, nie wyłapano.

Ale to była rzadka odmiana, bo najczęściej nikt z zewnątrz tam nie docierał. Szkoła nie była ogrodzona, bo dzieci i tak nie miały dokąd uciekać.

Niektóre jednak próbowały. Jak John i dwóch małych Michelów.

Podobno uciekali nocą. Podobno dotarli aż do rzeki. Podobno ich szukano.

\* \* \*

W 1941 i 1942 roku dostojnicy Kościoła katolickiego i świeccy urzędnicy z Ottawy wymieniali się korespondencją w sprawie zaginięcia i śmierci numeru 97, numeru 119 i numeru 125.

To John Kioki z Attawapiskat (lat czternaście), Michel Sutherland ze wsi Weenisk (o rok młodszy) i Michel Matinas też z Attawapiskat (jedenastolatek).

Ich ciał nigdy nie odnaleziono, choć podobno szukano. Tak zarzekali się księża ze Świętej Anny, ale policja i urzędnicy nie byli o tym przekonani.

Zaczęło się od wizytacji. Raz do roku do szkoły przyjeżdżał urzędnik, agent do spraw Indian (*Indian Agent*), doktor T.J. Orford. Tym razem towarzyszył mu policjant, George Dexter. Agent rutynowo przeglądał listę zgonów, do których doszło w szkole. Gruźlica, ospa, grypa, a także nieszczęśliwe wypadki nie budziły większych podejrzeń. Ale w tej sprawie coś się nie zgadzało.

O wyjaśnienia poproszono dyrektora szkoły, ojca Paula Langloisa. Jeśliby odtworzyć rozmowę na podstawie zachowanych dokumentów, wyglądała ona tak:

- Dlaczego dzieci uciekły? Czy coś tu się stało?
- Nie. Wszystko w jak najlepszym porządku.
- Czy wobec uczniów stosowano dyscyplinę?
- Nie, bynajmniej.
- A szukaliście w ogóle tych dzieci?
- Byliśmy przeświadczeni, że to tylko wagary i chłopcy wrócą najpóźniej na kolację. Niestety, nie sprzyjała nam pogoda. Przeprawa przez rzekę była niemożliwa, bo lód był za cienki.
- Nieprawda. Wiemy, że jeszcze tydzień później można było przekroczyć rzekę.
- Nie chcieliśmy ryzykować.
- Dlaczego nikogo nie powiadomiliście?
- Nie widzieliśmy takiej potrzeby.

Kilka dni później Orford i Dexter ruszyli na północ, do Attawapiskat. Bo trzeba było jeszcze powiedzieć rodzicom.



– Jak to dzieci zaginęły dwa miesiące temu? – Ojciec Johna Kiokiego rozłożył ręce. – Dlaczego nikt nas nie zawiadomił? Mogliśmy wyjść im naprzeciw, mogliśmy ich szukać. A teraz co?

Mężczyźni byli pewni, że dzieci uciekały, żeby się ratować. Nie chcieli siedzieć bezczynnie, byli traperami, umieli czytać ślady. Zdecydowali się iść po dzieci, choćby martwe.

Już pierwszej nocy rodzicielskiej akcji poszukiwawczej jeden z ojców, doświadczony myśliwy, przypadkowo strzelił sam do siebie – tak przynajmniej uznała potem policja.

\* \* \*

Sprawa zaginionych chłopców nie dawała spokoju policjantowi Dexterowi. Gdyby nie on, o chłopcach prawdopodobnie do dziś nikt by się nie dowiedział. To Dexter sporządził notatkę o zaginięciu dzieci, o tłumaczeniach księdza i reakcji rodzin. Od siebie dodał: „Nie ma wątpliwości, że dzieci zmarły z głodu lub utonęły. Wodzowie plemion z Albany, Attawapiskat i Moose Factory proszą wszystkich swoich ludzi o poszukiwanie zwłok. Sprawa jest niezmiernie przykra, a ból rodziców po stracie dzieci zrozumiały. Jednak na tym etapie nie można już nic zrobić. Sprawę należy uznać za zamkniętą”

Notatka trafiła na biurko Philipa Phelana, szefa Działu Nauczania z Oddziału do spraw Indian w Ministerstwie Kopalń i Surowców Naturalnych, któremu formalnie podlegały szkoły z internatem.

„Drogi ojciec Bellau, jestem bardzo zaniepokojony raportem, który dostarczyła mi właśnie Królewska Kanadyjska Policja Konna. Wynika z niego, że trzech uczniów uciekło ze szkoły w Fort Albany minionego kwietnia; prawdopodobnie utonęli” – stuka na maszynie w swojej kancelarii w stołecznej Ottawie Phelan, pisząc do biskupa.

Doskonale wie, że warunki – tak jak dzieci – są trudne i niewdzięczne.

Nie może jednak oprzeć się wrażeniu, że tym razem księża posunęli się za daleko. Kry dawno już puściły, ale chłopców nadal nie odnaleziono. Nie ma ciał, nie ma też oficjalnego zgłoszenia ze strony księży, którzy pod nadzorem kanadyjskich władz prowadzili szkołę Świętej Anny.

Mówi się, że kościelne młyny miały powoli. Nie inaczej krążą kościelne dokumenty.

Dopiero kiedy z inicjatywy Dextera szkołą zaczyna interesować się urząd, głos w sprawie zaginięcia dzieci zabiera dyrektor Świętej Anny, ksiądz Paul Langlois.

„Raport na temat śmierci trzech chłopców z naszej Szkoły Jeziora Świętej Anny w Albany, Zatoka Jamesa” z 14 czerwca 1941 roku napisano na maszynie; drobne zmiany, jak niektóre literówki, poprawiono ręcznie – ale korekta nie była dokładna, jakby ktoś spieszył się z wyprodukowaniem dokumentu.

Zanim ksiądz Langlois złożył pod raportem długi, ozdobny podpis, wypowiedział się na temat każdego z chłopców.

„John Kioki: Został przyjęty, gdy obiecał być cichy, posłuszny i okazywać szacunek. Przebywał w szkole od trzech lat i nie dawał wiele satysfakcji członkom personelu. Ciężko było sprawować nad nim kontrolę.

Michel Sutherland: Był to jego drugi rok w szkole. Mamy wiele uwag pod jego adresem.

Michel Matinas: Był to jego pierwszy rok w szkole, nie mamy powodów, by na niego narzekać”

Fakty zdaniem księdza przedstawiały się następująco:

W nocy z 18 na 19 kwietnia 1941 roku chłopcy uciekli z dormitorium.

Personel zorientował się dopiero rano, ale wtedy jeszcze dorośli myśleli, że dzieci bawią się gdzieś w zaroślach otaczających szkołę. Księża i zakonnice czekali więc w nadziei, że chłopcy wrócą wieczorem. Tak się już przecież zdarzało: uczniowie próbowali wydostać się ze szkoły i biegli do lasu, ale po drodze dopadały ich głód, zimno i wątpliwości.

W tym czasie w pobliżu trwało polowanie. W niedzielę, prawie dwie doby po zaginięciu dzieci, myśliwi zgłosili, że widzieli chłopców w lesie otaczającym szkołę. Księża wysłali w ślad za nimi pracującego w misji mężczyznę rdzennego pochodzenia. Długo tropił ślady chłopców, ale zawrócił.

Dokumenty są niespójne – raz mowa o tym, że zapadała ciemność i wysiłki były daremne. Raz, że mężczyzna miał wypadek i musiał odstąpić od poszukiwań. Udało się ustalić tyle, że ślady chłopców wiodły w kierunku rzeki i bazy handlarzy futrami z Kompanii Zatoki Hudsona. Ale wiemy to z mowy zależnej, bo zeznań człowieka, którego wysłano na poszukiwania i który jako ostatni widział ślady dzieci, do dokumentacji nie włączono.

Z tonu raportu można się domyślać, że zapał księży prędko osłabł: skoro tropy prowadziły w stronę obozu handlarzy, to należało się spodziewać, że wszystko będzie w porządku. Gdyby dzieci tam dotarły, zostałyby ogrzane, nakarmione i odesłane z powrotem do szkoły.

Poza tym księża dopiero co wrócili psim zaprzęgiem z wyprawy. Zwierzęta były zmęczone, a oni nie chcieli iść po dzieci na piechotę. Akcję poszukiwawczą zawieszono.

Można było za to jakoś pomagać na miejscu. Na przykład rozpytać innych uczniów.

Przeglądając archiwa, odnoszę wrażenie, że ważny jest tu kalendarz liturgiczny. Ucieczka miała miejsce parę dni po Wielkiej

Nocy, najważniejszym i najradośniejszym święcie, jakie obchodziło się w Świętej Annie (i w całym Kościele katolickim).

Jakie uroczystości, jaką celebrę przygotowano wtedy dzieciom? Co takiego się wydarzyło, że postanowiły uciekać w noc w las? Co było czynnikiem wyzwalającym?

Tego wszystkiego w księżowskim raporcie nie ma.

Ksiądz Langlois stwierdził tylko, że na podstawie zeznań uczniów ustalono, że to najstarszy, czternastoletni John Kioki był przywódcą grupy i to on poprowadził młodszych chłopców na śmierć. Podobno mówił kolegom, że chce uciec do domu. Podobno namawiał swojego młodszego brata i wielu innych chłopców, by poszli za nim, ale odmówili.

Ksiądz własnoręcznie wpisał do raportu słowa młodszego brata Johna: „Nigdzie nie pójdę. Jesteśmy tu dobrze traktowani. W szkole mi się podoba”.

A jednak dwóch innych chłopców poszło za Johnem nocą w śnieg. Jak się wydostali – nie wiadomo. W co byli ubrani – też nie. Wiadomo za to, że mieli ze sobą mało jedzenia.

W szkole żywność była reglamentowana. Zazwyczaj dzieci kupowały dodatkowe porcje drobnymi przysługami, takimi jak seks. W miarę możliwości – kradły.

Ksiądz Langlois przekonywał, że chłopcy nie brali zapasów, bo chcieli sami wyżywić się w pokrytym śniegiem lesie. Wedle słów młodszego brata, który odmówił ucieczki i chwalił pobyt w szkole, John Kioki przygotował sobie mały łuk i kilka strzał, by po drodze polować na ptaki.

„Nie zauważyliśmy, by chłopcy przed opuszczeniem szkoły cokolwiek ukradli – nie wzięli ze sobą ani siekiery, ani zapasów jedzenia”, odnotował w raporcie ksiądz Langlois.

To dobry znak, pięknie świadczący o ich moralności.

To bardzo zły znak, świadczący o tym, że dzieci wkrótce zginą.

Minęła piąta doba od zaginięcia, gdy księża uznali, że psy już wystarczająco odpoczęły, i dopiero wtedy wznowiono poszukiwania.

Patrol składający się z „księdza, Indianina i psów” ruszył w stronę ujścia rzeki, ale nic nie wskórał. Mężczyźni szybko wrócili pod dach Świętej Anny, bo dość gwałtownie się ociepliło i zamarznięta dotąd rzeka zaczęła pękać. „Po tym wiadomo było, że nie możemy zrobić już nic więcej, by odnaleźć dzieci”, wyjaśnił dyrektor szkoły.

Po jakimś czasie do kancelarii księdza Langloisa zapukali myśliwi: na południowym brzegu rzeki, jakieś trzydzieści kilometrów od szkoły, znaleziono maleńki wigwam i kilka strzał.

Ale namiot był pusty, dookoła żadnych śladów.

„Dzieci wpadły do rzeki, a nurt zniósł je do zatoki. Rodzice zostali powiadomieni”, podsumował krótko ksiądz Paul Langlois i na tym jego rola w dochodzeniu się skończyła.

Wkrótce ktoś mu podpowiedział, że trzeba jeszcze formalnie powiadomić władze.

Tylko że w Świętej Annie nie spodziewano się odwiedzin, kontroli czy wizytacji. Księża naradzili się i ustalili, że być może upływ czasu przyniesie więcej odpowiedzi w sprawie dzieci. Najlepiej będzie poczekać.

Ale wbrew zamiarom księży dzięki notatce policjanta Dextera o sytuacji dowiedziała się w końcu Królewska Kanadyjska Policja Konna, która niezwłocznie poinformowała o wszystkim Ministerstwo do spraw Kopalń i Zasobów Naturalnych, czyli Philipa Phelana.

Historia zapamięta go przede wszystkim za finansową dyscyplinę i za nakłanianie szkół do stawiania drewnianych pali obok okien dormitoriów. W szkołach wyjścia ewakuacyjne z reguły blokowano,

a schody przeciwpożarowe demontowano, żeby utrudnić uczniom ucieczkę. Ale w czasie pożaru dzieci nie miały jak się wydostać i ginęły w ogniu. Phelan uważał, że w pobliżu okien należy umieścić drewniane pale. W razie zagrożenia maluchy mogły wskoczyć na nie prosto z parapetu, a następnie zsunąć się parę pięter w dół, na ziemię, jak strażacy.

Phelan był jednocześnie orędownikiem daleko posuniętych oszczędności – nie podobało mu się, że ministerstwo musi płacić rachunki, które wystawia policja za poszukiwania zbiegłych z internatów dzieci. Nakazał, by najpierw do działania brał się personel kościelny, który mógł działać najszybciej i najefektywniej, znał bowiem dzieci i okoliczny teren. Dopiero w dalszej kolejności należało angażować funkcjonariuszy. Pomoc dla zbiegłych rdzennych dzieci była nie tylko zbyt kosztowna dla władz, ale, jak zauważał Phelan, najczęściej po prostu spóźniona.

„Chociaż zdaję sobie sprawę, że nastęczałoby to trudności, to jednocześnie uważa się, że zarówno dyrektor szkoły, jak i personel powinni byli dołożyć większych starań, by odnaleźć chłopców”, podkreślił Philip Phelan w liście do biskupa Henriego Belleau, który sprawował bezpośrednią kontrolę nad szkołą Świętej Anny.

Odpowiedź z kurii przyszła prędko. Biskup Belleau wystosował długi i uprzejmy list, w którym wyjaśnił, że dzieci same sprowadziły na siebie śmierć. Naszej winy w tym nie ma, zaznaczył duchowny. Na adwokata wziął matkę jednego z zaginionych chłopców.

Obiecał pokazać wkrótce list od Agnes Kioki, matki chłopca, który zabrał ze sobą za mało chleba i chciał zabijać ptaki z dziecięcego łuku. Rzeczywiście po pewnym czasie taki list dostał. Dokument miał być angielskim tłumaczeniem jej słów. Nie wiadomo, czy jest autentyczny. Nie opatrzone go ani datą, ani miejscem sporządzenia.

W liście, który kobieta miała wysłać do ojca innego zaginionego chłopca, czytam:

„Starajmy się podobać Bogu w cierpieniu, które na nas zsyła, choć jest ono najcięższe ze wszystkich. On je dla nas wybrał, podziękujmy Mu za nie z wdzięczności za miłość, którą nas otacza.

Nasze dzieci spotkało to, co zaplanował dla nich Bóg. Niech nie będzie to podstawą do pochopnych sądów. (...) Nie ma we mnie gniewu. Jednej rzeczy tylko znieść nie mogę, że protestancki szef [dopisek: ministerstwa] chciał oskarżyć ojca [Langloisa] zarządzającego szkołą”

Na koniec Agnes Kioki zapewniła, że nie zamierza obwiniać księży: „Nie włączę się do rebelii przeciwko Bogu, który mnie miłuje”

O tym, że ojcowie chłopców od początku oskarżali opiekunów o niedbalstwo, biskup nie wspomniał.

Ale Philip Phelan nie dał się przekonać. Żądał wyjaśnień, bo do Świętej Anny miał coraz więcej zastrzeżeń.

Po pierwsze, obowiązkowy raport kwartalny szkoła wysłała z wielomiesięcznym opóźnieniem.

Po drugie, na liście uczniów brakowało wielu nazwisk i jednocześnie dokumentów potwierdzających zwolnienie dzieci ze szkoły. Urzędnicy pytali, co się stało od czerwca do września z numerami: 103, 111, 113, 114, 115, 116, 120, 121, 126, 127, 128, 132, 133, 134, 078, 0106, 0130, 0139, 0152, 0122, 0149, 0157, 0160, 0161, 0165, 0166, 0167, 0168, 0170, 0176, 0180.

Szkoła miała bałagan w papierach – nie można było doliczyć się ponad trzydziściorga dzieci.

Oczywiście pozostawały jeszcze numery 97 (John Kioki), 119 (Michel Sutherland) i 125 (Michel Matinas). Urzędnicy dopytywali

także o nie, bo formalnie szkoła nigdy nie poinformowała ministerstwa o zaginięciu.

Urzednicy pytali też o dzieci, które w szkole pojawiły się we wrześniu, ale nie było ich w czerwcu, a konkretnie o numery 066, 070, 074, 0127, 0129, 0136, 0138. W aktach brakowało podstawy, by przyjąć je do szkoły (nie było pozwolenia na odebranie ich rodzicom).

Jakim cudem te dzieci w ogóle przebywały u księży?

Brakowało też dokumentacji potwierdzającej warunki przyjęcia oraz stan zdrowia numerów 137, 138, 139, 140, 141, 142, 0181, 0182, 0183, 0184, 0185, 0186, 0187, 0188, 0189, 0190, 0191 oraz 0192. Urzednicy próbowali się dowiedzieć, jak te dzieci trafiły do księży oblatów i w jakim były stanie.

Ale korespondencja z kancelarii księdza zarządzającego szkołą szła bardzo długo, a czasem na biurko Phelana nie docierała wcale.

W końcu wszczęto śledztwo w sprawie zaginięcia i śmierci chłopców. Raport rządowy sporządzony w Ministerstwie Kopalń i Zasobów Naturalnych, w Oddziale do spraw Indian, podsumował je tak: „Z satysfakcją przyjmujemy informację, że władze szkoły nie mogły przewidzieć tego nieszczęsnego wydarzenia oraz zrobiły wszystko, co możliwe w danych okolicznościach, by odnaleźć wagarowiczów. Ojcowie dwóch chłopców obecni na posiedzeniu komisji opuścili je przekonani, że nikomu nie można przypisać winy za śmierć ich dzieci”

Kilka lat później przed śnieżnobiałym budynkiem Świętej Anny staje Louis Knapaysweet. Ma pięć lat i nigdy w życiu nie dostał klapsa.

\* \* \*



Louis spędził w szkole dziewięć lat, od 1951 do 1960 roku. To było tak dawno, wiele szczegółów już uleciało z pamięci. Ale niektóre wryły się w głowę tak mocno, że Louis do dzisiaj widzi się w dormitorium, w chłopięcej sypialni na piętrze drewnianego budynku w głuchych lasach północnego Ontario.

Zbliża się pora kolacji. Potem modlitwa i spanie. Ale dzieci nadal nie mogą się wyciszyć. Czekają na jedzenie, rozrabiają. Niektóre szaleją, inne po prostu się bawią. Jak można mówić o skupieniu się w ciszy przed wieczerzą, kiedy w jednym pokoju zgromadzonych jest kilkudziesięciu chłopców?

Dlatego co wieczór do sypialni przychodzi ksiądz z ozdobnym krucyfiksem na piersiach albo siostra w szarym habicie, by zaprowadzić porządek.

Są skuteczni. Dzięki ich sprawdzonym metodom kolacja przebiega potem w bezwzględnej ciszy.

Kto posłuży dziś za przykład? Tego dzieci nigdy do końca nie wiedzą.

Louis wspomina, że któregoś wieczoru jedna z sióstr wybrała sobie chłopaczka, który miał sześć, może siedem lat. Zachowywał się za głośno, więc zakonnica zdjęła mu ubranie – koszulę, portki i majtki – i kazała mu się położyć na metalowym łóżku brzuchem do dołu.

Pozostałym dzieciom poleciła, by ustawiły się dookoła i wyciągały dla siebie wnioski.

– Oto nauka dla nas wszystkich – powiedziała.

Dzieciom kazała podejść jeszcze bliżej i zacieśnić krąg.

– Będziecie stać. Będziecie patrzeć.

Chłopiec nie próbował uciekać, położył się buzią do materaca.

Zakonnica wyciągnęła pas z czarnej skóry i wzięła zamach. Raz, drugi, trzeci.

Uderzała gorliwie, z wielką cierpliwością. Chłopiec na łóżku płakał, ale ona nie przestawała.

Inne dzieci stały, niektóre próbowały opuszczać brody, żeby dłużej tego nie oglądać. Wtedy podchodziła cicho inna szarytka i ciągnęła czarnowłosą główkę w górę i do tyłu:

– Patrz i ucz się, szczeniaku.

Z tego wieczoru Louis pamięta, że strasznie mu burczało w brzuchu. Chłopcy byli już głodni i chcieli, żeby bicie jak najszybciej się skończyło.

Dlaczego stali w milczeniu?

– Nie było sensu przeszkadzać siostrze. I mnie kazałaby się wtedy położyć do bicia. A to by oznaczało, że cała grupa będzie tylko dłużej głodna.

Dzieci stały cierpliwie i czekały zmiłowania nie tylko nad plecami chłopca, ale i nad własnymi żołądkami.

Ale zakonnica biła nadal.

Chłopiec na łóżku posikał się.

Szarytki to nie opamiętało, nie ustawała w biciu i wkrótce dormitorium wypełnił inny zapach.

Pod wpływem ciosów chłopiec na łóżku załatwił się.

– Widzicie, do czego mnie doprowadziliście? – Dopiero wtedy zakonnica się uspokoiła. Dzieci poproszono, by wyciągnęły z tej lekcji odpowiednią naukę i w skupieniu przystąpiły do wieczerzy.

Siostry na posiłek wyszły jako pierwsze. Ktoś delikatnie zamknął za nimi drzwi.

Dopiero wtedy chłopcy mogli zacząć działać. Kilku powlokło pobitego do mycia, ale byli za mali. Nie dawali sobie rady. Myć i tamponować trzeba go było na leżąco. Spieszyli się, bo w każdej chwili na progu mógł znów pojawić się szary habit.

Pracowali prędko, mieli to już przećwiczone.

Louis był jeszcze za mały, żeby pomagać w dźwiganiu, więc przydzielono mu wartę. Dzieci kazały mu zostać, a same zeszły do kantyny na wieczorny posiłek. Tego wieczoru Louis siedział przy łóżku chłopca, który raz odzyskiwał przytomność, a raz ją tracił. Żadnemu z nich koledzy nie przynieśli wtedy kolacji.

Louis dzisiaj nie wie, czy bardziej bali się wynosić jedzenie, czy raczej nie mieli już takich odruchów.

Potem, w nocy, nie myślał już o tym, że jest głodny – tylko o tym, że musi się jakoś ratować.

Mówi mi, że po tym biciu uciekł do domu.

Ze Świętej Anny do jego miejscowości jest ponad osiemdziesiąt kilometrów w linii prostej. A po drodze są jeszcze przecieź rzeki. Louis nie mówi, jak je pokonał. Może więc to była inna okazja, inna ucieczka?

Może na którejś przepustce do domu postanowił po prostu nie wracać? O ocalenie przed powrotem do szkoły, o nieosiągalną łaskę bycia w rodzinnym domu błagało przecieź wiele dzieci.

To się z czasem zatarło. Louis pamięta tyle, że był znów z mamą i czuł się bezpiecznie.

Ale trwało to krótko.

Po kilku dniach na progu domu pojawili się dwaj księża ze Świętej Anny:

– Szukamy waszego dziecka, jego miejsce jest w szkole.

Rodzice Louisa skłāmali:

– Nasz syn jest gdzieś w lesie, na polowaniu z dorosłymi. Jak za kilka dni wróci, to go odeślemy.

Przekonywali księży, że to załatwią, że wszystko będzie w porządku.

– Przecieź wiemy, że kłāmiecie – odparli tamci. – Tym fałszywym świadectwem obrażacie Pana Boga. Zaprawdę jako grzesznicy nie

wejdziecie do Królestwa Niebieskiego. Oddajcie nam dziecko.

– Moi rodzice rozumieli, że za odmowę spotka ich kara. Nie chodziło tylko o grzech nie do zmazania i ryzyko, że nie spotkamy się po śmierci. W życiu doczesnym sprzeciw oznaczał, że zostanie zabrany zasiłek, z którego żyło wtedy wiele rdzennych rodzin. Rodzice byli dobrymi chrześcijanami, bardzo bali się piekła. Kazali mi wyjść spod łóżka i przekazali księżom.

Louis ruszył z powrotem do Świętej Anny. Księża rozmawiali po francusku, nie rozumiał o czym. Kiedy dotarli na miejsce, zapadł już wieczór. Chłopiec był przekonany, że pozwolą mu się położyć i pokutę dostanie dopiero nazajutrz.

Nie miał racji.

– Obudzili inne dzieci i jak zwykle kazali im patrzeć. Tej nocy była kolej na mnie. Księża rozebrali mnie do naga. Przez nasze dormitorium biegła w pionie rura od ogrzewania. Przywiązali mi ręce nad głową do tej rury jak do pręgierza.

Pamiętam jednego z nich, nazywał się Jules Leguerrier.

\* \* \*

Leguerrier był wtedy młodym księdzem i miał w sobie ewangelizacyjny ogień. Tłumaczył Biblię na język kri i z zapałem zakładał coraz to nowsze misje wśród rdzennej ludności. Szybko awansował. W 1967 roku Henri Belleau (ten, który nie chciał nadaremno wzywać pomocy do trzech zaginionych chłopców) nałożył mu na palec pierścień biskupi. Był to znak zaślubin z *Dioecesis Musonitana*, diecezją Moosonee. Leguerrier zmarł w 1995 roku. Potem okazało się, że policyjne notatki na temat czynów biskupa wobec dzieci zajmują ponad trzy tysiące stron.

Biskup nie żyje, ale wciąż patrzy na wiernych z witraża w katedrze pod wezwaniem Chrystusa Króla w Moosonee, dawnej

diecezji, a dziś półtoratysięcznym miasteczku nazywanym kanadyjską bramą do Arktyki. Ozdobny witraż przedstawia Leguerriera i papieża Jana Pawła II na tle wiernych z Pierwszych Narodów.

Louis Knapaysweet zdejmuje czapkę z daszkiem i gładzi dłonią związane w kitkę siwe włosy:

– Tej nocy Leguerrier udzielił mi lekcji, którą zapamiętałem na całe życie. Przyniósł do dziecięcej sypialni kota o dziewięciu ogonach. Był to pejcz upleciony z dziewięciu osobnych rzemieni, więc przy jednym uderzeniu na ciało spadało dziewięć ciosów równocześnie.

Narzędzie księży miało wiele funkcji. Każdy z ogonów był dodatkowo zakończony kulką, ciasnym skórzanym węzełkiem. Dzięki temu rozpędzone rzemienie cięły skórę, a jednocześnie spadające na plecy kulki dodatkowo miażdżyły tkanki. To nie był nowy wynalazek, korzystano z niego już na statkach napędzanych siłą niewolniczą.

Ale księża i zakonnice wychowujący dzieci w Świętej Annie udoskonalili narzędzie. Wszystkie rzemienie najeżono gwoździkami. Dzięki temu każdy ze świstów oznaczał dla dziecka nie tylko cięcie skóry i uraz tkanek, ale też grad dziurawiących plecy ukłuć.

Louis Knapaysweet wstaje z krzesła i dopiero teraz widać, jak wielki i potężny jest to mężczyzna. Stoi na szeroko rozstawionych nogach, skręca tułów w lewo i bierze zamach zza łopatk, jakby grał w golfa.

– O tak mnie bił, o tak! Przez grzbiet, na wskroś, na wskroś!

Patrzę w milczeniu, jak Louisowi wydaje się, że znów ma dziesięć lat i stoi przypięty do żeliwnej rury.

Potem zaczyna tłuc powietrze niewidzialnym kotem o dziewięciu ogonach. A później jego głos zaczyna się trząść, tak samo jak i plecy.

– Bił mnie i mówił, że wymierza mi karę za grzechy w imię Jezusa Chrystusa, Pana naszego, amen! – płacze blisko dwumetrowy, bezzębny chłopiec z siwą kitką.

Kiedy dziesięcioletni Louis nie miał już siły stać, zawisł na nadgarstkach. Dopiero wtedy kot zamilkł, a chłopca odcięto. Nauka, jakiej udzielił dzieciom przyszły biskup, była jasna: sprzeciw wobec Kościoła zawsze będzie oznaczać nieuchronną karę.

Ale poza biciem Louis ma też inne wspomnienia ze szkoły.

Katolickie wychowanie to dla niego nie tylko kot o dziewięciu ogonach, ale też oklaski, owacje i śmiech.

\* \* \*

To był koncert z okazji zakończenia roku szkolnego. Szczęśliwe dni, bo wkrótce rozpoczynały się wakacje. Kto tylko mógł, starał się o powrót do domu, choćby na tych kilka tygodni w roku.

Louis przebierał nogami z radości. Skończy się bicie, zacznie się mama!

Na uroczystość podsumowującą rok szkolny w szkole Świętej Anny zapraszano także gości z zewnątrz (choć akurat rodzice nie byli mile widziani). Louis nie pamięta dokładnie, ale zazwyczaj przyjeżdżali wyżsi rangą duchowni, przedstawiciele policji konnej, czasem piloci i zaprzyjaźnieni wojskowi. Większość dzieci ustawiono w rzędach, jak to na apelu. Niektóre miały wyznaczone miejsca.

Louis pamięta, że jeden z księży kazał mu usiąść na sporym krześle, które stało osobno, dalej od innych mebli.

Jedni uczniowie wspominali potem, że mebel był zielony. Inni – że podobny do wózka inwalidzkiego, ale nie miał kół. Zdaniem niektórych był drewniany, ale większość twierdziła, że metalowy, giętki, jak zwykłe krzesło ogrodowe, które dostawia się do kawiarnianych stolików.

Jak dokładnie krzesło wyglądało, do końca nie wiadomo, bo nie zachowało się żadne zdjęcie.

Zachowały się natomiast zbieżne wspomnienia dzieci, które potwierdzają, że istniało. Niektóre były na nim sadzane, a inne pod koniec lat sześćdziesiątych pod okiem księży pomagały je rozmontowywać. Elementy drewniane spalono, a metalowe okucia przetopiono.

Dziś żadnych śladów poza pamięcią dzieci nie ma.

Ale wtedy Louis nie mógł tego wiedzieć. Ksiądz wskazał mu miejsce i kazał usiąść.

– Mam dla ciebie niespodziankę.

\* \* \*

Ludzi naokoło jest dużo, gromadzą się w kręgu, otaczając go. Louis siada. Jest zadowolony, bo nie będzie musiał stać przez cały apel, tak jak inni.

Ale czy na pewno wszystko jest tak, jak trzeba? Naraz wydaje mu się, że niektóre dzieci zamykają oczy.

A inne – wręcz przeciwnie. Patrzą na niego, ale mają w oczach coś takiego, coś takiego, na co do tej pory, prawie sześćdziesiąt lat później, Louis nie może znaleźć słowa.

To dzieci, które widziały już ten pokaz.

Ksiądz prosi go, żeby położył ręce na poręczach. Przypina chude przedramiona Louisa skórzanymi pasami ze sporą, klekoczącą sprzączką. Pochyla się, żeby przypiąć do mebla także chłopięce kostki.

Niestety nie daje rady.

Louis jest za mały, a jego nogi za krótkie. Nie sięgają do strzemion, majtają się nad podłogą.

No trudno. Może tak będzie nawet zabawniej.

Louis, zaciekawiony, siedzi więc sobie w centrum uwagi, dynda nogami i czeka na niespodziankę. Jego łydki są cienkie, z kilkoma zadrapaniami i siniakami, jak to u kilkulatka, który latem bawi się na dworze z kolegami. Machają swobodnie w przód w tył, w przód, w tył.

Nagle prostują się i podnoszą do kąta prostego od podłogi.

Czyli to już.

Louis powie potem, że trwało to króciutko: tylko pięć sekund, może dziesięć.

Na razie cienkie nogi Louisa Knapaysweeta fruwać na wszystkie strony jak puste portki, które ktoś przypiął klamerkami do sznura na pranie w wietrzne, sobotnie przedpołudnie.

Za to ręce Louisa, przypięte do poręczy, leżą unieruchomione. Zgromadzeni patrzą więc tylko na te poobijane chłopięce nogi, które wyprężone, w konwulsjach młóć powietrze w szkole Świętej Anny, prowadzonej przez księży oblatów i siostry szarytki.

Wtedy, podczas uroczystości zakończenia roku szkolnego, Louis Knapaysweet zastanawia się nad dwiema rzeczami jednocześnie: dlaczego boli i dlaczego zgromadzeni wokół niego ludzie klaszczą.

Nie wie, że siła, która zmienia jego ciało w podrygującą pacynkę, to prąd.

Nie wie, że mebel, do którego został przypięty, to krzesło elektryczne, rozrywka personelu katolickiej szkoły Świętej Anny w Fort Albany, po którym zostanie wiele wspomnień, lecz ani jedno zdjęcie.

Nie wie, że ma szczęście, bo wajcha, którą manipuluje właśnie jeden z księży, uwalnia napięcie wystarczające, by rozbawić gości, lecz zbyt małe, by zabić dziecko.

Louis wierzga więc przypięty do krzesła, a dorośli zgromadzeni na uroczystości biją brawo. Po chwili (Louis mówi: „To było



króciutko, co najmniej dziesięć sekund, najwyżej pięć”) prąd ustaje. Ale nie można wstać.

Bo ksiądz przesuwiał wajchę jeszcze kilka razy. Louis nie pamięta ile. Trzy, cztery? Na pewno nie za dużo, bo przecież od tego nie zemdlął.

Był jednak zbyt oszołomiony i do dziś nie może sobie przez to przypomnieć, czy tego dnia mszę świętą odprawiono przed jego kaźnią, czy może raczej po.

\* \* \*

– Louis Knapaysweet był ulubieńcem księdza Julesa Leguerriera, który całymi latami go wykorzystywał – dopowiada Susan Enberg, reżyserka filmu. – Przekonał Knapaysweetów nie tylko, że ich syn jest krnąbrny i kłamie, ale też, że ze strony katolickich księży żadna krzywda chłopca nie spotka. No to jakie masz szanse, jeśli jesteś dzieckiem? Do kogo możesz uciec? Kto ci uwierzy i powie: jestem po twojej stronie? Zamiast tego takie dzieci słyszały: jeszcze raz mi się sprzeciwisz, a zabiję twego ojca. Jeszcze raz, a zgwałcę twoją matkę. Kto uwierzy dziecku, które daje swoje słowo przeciw słowu duchownego? – pyta Susan, ale aula w Toronto Reference Library milczy.

\* \* \*

Leguerrier kierował szkołą Świętej Anny przez dziesięć lat; przez ponad pięćdziesiąt był księdzem, przez ponad trzydzieści – biskupem. Władzę w diecezji Moosonee przekazał w 1992 roku, kiedy na posterunku policji w Cochrane zjawił się dawny wychowanek szkoły, Edmund Metatawabin.

Edmund miał osiem lat, gdy trafił do Świętej Anny. Jego rodzina była wtedy w trudnym położeniu. Utrzymywali się z polowania, ale ceny futer w skupie spadały z tygodnia na tydzień i stary Metatawabin przynosił do domu coraz mniej pieniędzy. Handlarze ze sklepu Kompanii Zatoki Hudsona nie chcieli już dłużej dawać jedzenia na zeszyt. Matka Edmunda sama zabiegała o przyjęcie najstarszego syna do Świętej Anny – w następnych latach będzie starała się tam umieścić kolejne z jedenaściorga swoich dzieci. Wierzyła, że zapewnia im w ten sposób nie tylko lepsze warunki, regularne posiłki i naukę angielskiego, ale także zbawienie. Utwierdzali ją w tym przekonaniu księża, na przykład ojciec Arthur Lavoie, handlarze z Kompanii i siostry szarytki.

W dokumentach sądowych mowa jest o raporcie policyjnym na temat ojca Lavoie – zapiski o jego czynach wobec nieletnich mieszczą się na dziewięćdziesięciu sześciu stronach. Dwadzieścia trzy lata po śmierci, w 2015 roku, Lavoie zostanie uznany za seryjnego przestępcę seksualnego. Gazety napiszą, że jako lubrykantu używał wody święconej.

Ale tego mama Eda jeszcze przecież nie wie. Choć sama zna szkoły z internatem. Nauczono ją tam, że jeśli dziecko jest bite, to znaczy, że sobie na to zasłużyło.

Edmund (wtedy znany jako numer 15) próbował ze Świętej Anny uciekać. Akurat trwała wizytacja i personel szkoły był mniej surowy niż zazwyczaj. Edmund i jego przyjaciel Tom zbiegli do lasu, ale przestraszyli się konsekwencji. Szybko zawrócili. Ale nic to nie pomogło. Opiekunowie dzieci bali się, że chłopcy narażą na szwank reputację szkoły i zachęcą innych do niesubordynacji. Dlatego gdy tylko goście wyjechali, dzieci ukarano.

Edmund Metatawabin, ocaleniec ze Świętej Anny, opowie o tym najwięcej w autobiografii *Up Ghost River* (W górę Rzeki Duchów).

Zapamięta to tak:

Po śniadaniu siostra Maria Niepokalana, *soeur Marie Immaculata* (a naprawdę: Anna Wesley), która na co dzień nadzorowała grupę chłopców, zaprowadziła Eda i Toma do pustej salki. Czekali już tam ksiądz Goulet oraz biskup Gagnon, ówczesny dyrektor szkoły.

– Chłopcy tacy jak wy narażają nas wszystkich na spore ryzyko. Jak martwe szczury w studni. A co robimy ze zdechłymi szczurami?

Następnie chłopców zaprowadzono do bawialni, gdzie w rzędach stały już pozostałe dzieci.

– Niech to będzie lekcja dla was wszystkich. Ucieczka ze Świętej Anny to grzech śmiertelny. Zostaniecie ukarani przez Boga zarówno w życiu wiecznym, jak i tutaj, na ziemi – powiedział biskup, a ksiądz Goulet wziął do ręki drewnianą skrzynkę uwalniającą prąd.

Pierwszy został przypięty Tom. Napięcie zwiększano stopniowo. Dziecko najpierw krzyczało, potem gryzło własne wargi, na końcu się wyprężyło. Po chwili wajcha przesunęła się do bezpiecznej pozycji, ciało Toma opadło. Ale tylko po to, żeby ksiądz Goulet znów mógł puścić prąd i patrzeć, jak dziecko na powrót sztywnieje.

Kiedy skończyli z Tomem, przypięli Eda. Miał wtedy osiem lat. On też, tak jak Louis Knapaysweet, był niski i nie dało się unieruchomić jego nóg.

– Proszę księdza, to już się nie powtórzy – szepnął.

– No pewnie, że nie – odparł Goulet i przesunął wajchę.

Ed wspomina, że ból poszedł od rąk do nóg. Chłopiec próbował oddychać, ale się nie dało. Mógł tylko patrzeć, jak jego nogi fruwały przed nim w powietrzu.

Jak bardzo bolało?

Nie był to taki ból, który palił – raczej podobny do tego, kiedy ciało wpada w przeręb, do lodowatej otchłani rzeki Albany.

Reżyserce filmu *In Jesus' Name* Edmund powie, że słyszał, jak dorośli się z niego śmiali.

Było mu wstyd, szczególnie przed kolegami, którzy stali w ciszy i wszystko widzieli.

Nie potrafił znieść ich spojrzeń. Zdążył jeszcze zamknąć powieki. Zęby zacisnął już bezwiednie, na chłopięcej szyi odznaczyły się ścięgna. Ksiądz Goulet cierpliwie manipulował wajchą, Ed długo rozpadał się na kawałki, aż na szczęście stracił przytomność.

Następnego dnia parzyło go całe ciało. Nie był w stanie się ubrać. Był odrętwiały i wszystko leciało mu z rąk. Nie mógł też tak od razu zwlec się po schodach na jedzenie.

Kiedy dotarł do kantyny, dzieci patrzyły na niego w ciszy. Staął w kolejce, wziął miskę z owsianką. Dał radę wmusić w siebie dwie łyżki. Ale po wczorajszym jego organizm nie był w stanie ich przyjąć i Ed zwymiotował. Wpatrywał się w jaskrawe kawałki marchwi, które zwrócił właśnie na szarawą owsiankę, i starał się powstrzymać kolejne torsje swojego nienawykłego do prądu, ledwie ośmioletniego organizmu.

U jego boku pojawiła się wtedy siostra Wesley, opiekunka chłopców. Wzięła miskę Eda i wylała jej zawartość na podłogę.

– Zjedz to – powiedziała.

Chłopak zczołgał się na ziemię i zaczął zgarniać dłońmi masę z powrotem do naczynia, a zaraz potem – szukać łyżki.

– Nie tak. Masz jeść jak pies.

Ed nie rozumiał, więc siostra chwyciła jego głowę i wepchnęła do miski. Zapach wymiocin przemieszanych z jedzeniem sprawił, że chłopca znów chwyciły torsje. Próbował wydłubywać łyżką niezanieczyszczoną owsiankę z samego dna, ale nie na wiele się to zdało. Nie dawało się nie nabrać rzygowin, które – co prawda – śmierdziały jak ocet, ale smakowały gorzko, jak żółć.

W czasie tego posiłku Edmund ponownie zwymiotował i zemdłał. Koledzy odnieśli go do sypialni.

Następnego dnia powlókł się na śniadanie. Jak co dzień ustawił się w kolejce po owsiankę, ale mężczyzna, który ją nalewał, pokręcił głową: siostra Wesley dała nam inne rozkazy.

Na Eda czekała od poprzedniego śniadania miska zepsutej już brei. Usłyszał: dopóki nie dokończysz swojej porcji, nie wstaniesz od stołu.

Zbierało mu się jednocześnie i na wymioty, i na płacz, ale siostra Wesley stała z boku i przyglądała się cierpliwie.

W zeznaniu, które trafi do sądowych akt, Edmund opowie też o innym śniadaniu. Był wtedy chory na grypę. Rozstrojony żołądek niczego nie przyjmował i Ed zwrócił owsiankę wprost do miski. Siostra Wesley odprawiła go od stołu, kazała iść się położyć w chłopięcej sypialni. Ed gorączkował tam przez trzy doby. Kiedy mu się polepszyło i wstał z łóżka, czekało na niego tamto zarzygane śniadanie.

Anna Wesley stała nad nim tak długo, aż chłopiec zjadł wszystko.

Wtedy, po krześle, Edmund szybko trafił do przyszkolnego szpitala. Przyznał też pielęgniarce, że siostra Wesley kazała mu jeść wczorajsze wymiociny.

– Jeszcze jeden – westchnęła kobieta i zatrzymała Eda w szpitalu na trzy doby.

Ale dochodzenie do zdrowia trwało. Bardzo długo Ed nie trzymał moczu. Ciekło z niego nie tylko w nocy, ale też w ciągu dnia. W kaplicy, w szkolnej ławce, w czasie pracy na farmie i w czasie zabawy. Próbował to maskować, ale siostra Wesley i tak się w końcu orientowała i wymierzała karę.

Czasem biła ręką spontanicznie, na miejscu, a czasem prowadziła do bawialni. Dzieci ustawiały się tam w kolejce, czekając na bicie

pejczem.

Siostra często biła albo kopała także bez zapowiedzi. Podczas strzyżenia ciągnęła za włosy i dziabała nożyczkami, kalecząc do krwi. Na co dzień wystarczyło, że któryś z chłopców się uśmiechnął, zażartował, odezwał do kolegi wtedy, gdy nie trzeba.

Prask, trzask, jeb – Anna Wesley reagowała natychmiast i była gorliwa.

Ed Metatawabin stanie kiedyś na czele rdzennej społeczności w Fort Albany. Będzie ocalańcem, który pójdzie do sądu w sprawie dzieci ze Świętej Anny. Anna Wesley zostanie wtedy postawiona w stan oskarżenia. Ale poza nią i jeszcze czterema osobami reszta personelu właściwie uniknie odpowiedzialności. Kary nie poniesie żaden z katolickich księży.

Louis Knapaysweet, który opuścił bielutkie ściany katolickiej szkoły z internatem imienia Świętej Anny równo pięćdziesiąt osiem lat temu, zastanawia się nad tym każdego dnia. Nie może pojąć, że na dzieciach dokonano zbrodni bez kary.

Nachyla się do mnie i mówi:

– Jeśli jesteś z Polski, to może mi to wytłumaczysz. Jak katolicki papież może się na to godzić? Jak może nas nie przeprosić? Wszyscy papieże po kolei umywali ręce. A przecież każdy z nich miał chyba dostęp do Biblii?

Powiedz mi, co w tej Biblii jest takiego, że zabrania Kościołowi powiedzieć: przepraszam?

Nawet Jezus, nasz Pan, tuż przed śmiercią żałował za swoje grzechy. Dlaczego więc papież nie może powiedzieć, że przeprasza za to, co nam uczyniono?

## 4. NIEBO HENRY’EGO PITAWANAKWATA

Pół wieku temu mały Henry Pitawanakwat został nauczony, że ma być jak najciszej. Musi też zajmować sobą jak najmniej miejsca, nawet kiedy z czasem będzie rósł. Wąsy Henry’ego zdążyły już posiwieć, ale jego głos nadal jest ledwo słyszalny i co chwila muszę czytać z ruchu warg.

– Mama urodziła mnie w rezerwacie. Było biednie, ale przynajmniej nie chodziliśmy głodni. Z polecenia władz karmiono nas mlekiem w proszku i ciasteczkami – mówi Henry.

Stoimy przed rządowym budynkiem, regionalną delegaturą Ministerstwa do spraw Rdzennej Ludności i Spraw Północy (Indigenous and Northern Affairs Canada, INAC), w Toronto<sup>[4]</sup>. Obok wejścia rozstawiono niebieski namiot protestujących, z którego pachnie paloną szałwią i tytoniem.

Za plecami jazgot miasta. Czteropasmowa jezdnia i tramwaj numer 512, który kolebie się i skrzypi. Ledwie słyszę. Muszę dopytać:

- Rząd kupował dzieciom ciastka? *The cookies?*
- *Dog cookies*. W rezerwacie żywili nas psią karmą.

\* \* \*

W Europie uczymy się, że nieszczęsna nimfa Kallisto, zamieniona w niedźwiedzicę, została zawieszona na niebie przez samego Zeusa jako siedem gwiazd. To Ursa Maior. Ale ci, którzy byli w Kanadzie

od początku świata, inaczej czytają to samo niebo. Siedem gwiazd oznacza tu siedem nauk, siedem drogowskazów na życie.

Zadzieram głowę. Patrzymy z Henrym na jedną konstelację. Ja widzę w górze wóz i dyszel. Henry widzi siedem przykazań: wiedzę, miłość, pokorę, szczerść, odwagę, szacunek i prawdę.

W czasie naszej podróży Henry Pitawanakwat podaruje mi wszystkie gwiazdki z nieba.

\* \* \*

Obok namiotu, w którym śpią protestujący, rozwieszono zdjęcia, postulaty i rysunki. Na brudnym plastikowym wiadrze ktoś położył deskę klozetową.

Po lewej licznik: od początku roku tylko w północnej części prowincji Ontario życie odebrało już sobie trzydzieścioro dwoje dzieci z Pierwszych Narodów. Po prawej zaciśnięta dłoń trzymająca orle pióro i rysunek wielkiego żółwia. Na środku transparent: „Ani jednego indiańskiego dziecka więcej!”

Tylko sami „Indianie”, jak nadal uparcie nazywamy ich w Europie, mogą nazywać się Indianami.

W ustach białego człowieka to obraźliwy egzoetnonim, nazwa narzucona przez obcych. Dziś tego słowa używa się właściwie tylko w kontekście historycznym i w odniesieniu do tak zwanej Ustawy o Indianach (The Indian Act) z 1876 roku, która – mimo wielu zmian – nadal w Kanadzie obowiązuje.

Język w tym kraju zmienia się szybko. Uważność na słowa jest tu ważniejsza od akcentu: każdy może przyjechać z własną melodią języka. Mowa może być twarda i nieporadna, ale nie może być krzywdząca dla innych.

W Kanadzie umówiono się, że język ma znaczenie wykraczające poza dosłowny przekaz, ma moc sprawczą. Uważa się, że procesy



społeczne zaczynają się od słów, a język jest narzędziem, jak inne.

Dlatego też w Kanadzie od dawna nie mówi się już „Indianie”. Na tych, którzy są tu od niepamiętnych czasów, mówi się po prostu „Pierwsze Narody”. Słowa przypominają, kto był gospodarzem tych ziem od dnia, kiedy to Kruk rzucił piasek na powierzchnię oceanu i stworzył Ziemię. Dlatego na ulicy można usłyszeć, że to *Kanata*, a nie Kanada, *Tkaronto*, a nie Toronto. Przy niektórych ulicach pojawiają się dodatkowe tabliczki – Spadina to jednocześnie rdzenna Ishpadinaa, a Davenport to ulica Gete-Onigaming. Język ma przypominać o pierwszych gospodarzach. Tabliczki są widoczne z daleka dla mieszkańców i sąsiadów – ale na oficjalnych mapach nadal istnieje tylko język angielski.

Pierwsze Narody to wcale nie to samo, co „rdzenni mieszkańcy”. Obok nich są tu przecież mieszkający na północy Inuici i Innu, jak Toby i jego sąsiedzi, których lubimy nazywać Eskimosami. Dziś to słowo w Kanadzie także uznawane jest za obraźliwe: przypomina czasy, w których biały człowiek próbował narzucić autochtonom, kim mają być i jakie imię mają nosić.

Obok nich są jeszcze Metysi, mający w sobie krew i ludzi z Pierwszych Narodów, i osadników z Europy.

Dopiero razem Pierwsze Narody, Inuici i Metysi tworzą mozaikę *Indigenous Peoples*, rdzennych mieszkańców Kanady. Stanowią około pięciu procent kanadyjskiej ludności.

Kanada pracuje nad językiem i odrabia zaległe ćwiczenia z wrażliwości – ale to dziś. Bardzo długo o rdzennych mówiło się tu po prostu „obywatele minus”.

Ponoć francuski podróżnik Jacques Cartier usłyszał, jak dwóch młodych mieszkańców tej ziemi rozmawiało o *Kanacie*. Cartier uznał, że to nazwa lądu, choć *kanata* w języku ludów Wendat i Haudenosaunee znaczy tyle co „nasza wieś”.

W pogodną noc Kanada z okien samolotu wygląda jak czarny ocean, na którym co jakiś czas można wypatrzyć wysepkę światła. Najczęściej jednak widać tylko ciemność, dlatego Niemcy lubią śmiać się z Kanady: *Keine dah!* Tak jak Portugalczycy, którzy dodają po swojemu: *Aca nada*.

W obu językach oznacza to: nic tu nie ma.

\* \* \*

Jest koniec października, wieje. Przechodzący obok ludzie stawiają kołnierze i naciągają kaptury, mało kto zatrzymuje się, żeby porozmawiać o sprawie. Co trzyma tu protestujących?

Staję naprzeciw Sue-Lynn Manone Cornfoot, wojowniczkii w granatowej, mięsistej bluzie z kapturem. Sue-Lynn ma rdzenne rysy i mleczną cerę. Szczupłą dłonią odgarnia długie włosy w kolorze gorzkiej czekolady. Na początek słyszę, że powinniśmy używać innego języka.

– My tu nie demonstrujemy ani nie okupujemy budynku. *We are holding space*. Wypełniamy sobą przestrzeń, by ktoś nas wreszcie zauważył. Nie używamy przemocy. Trwamy cierpliwie i w biernym oporze wobec krzywd, jakichśmy doznali i my, i nasi rodzice.

Ten ból rozlewa się na kolejne pokolenia, odziedziczyły go nasze dzieci. One nie mają już sił, by unieść swój los. Jesteśmy tu w imieniu dzieci, które się zabiły. Śmierć każdego dziecka osłabia naszą społeczność. Jesteśmy jak ptak, który roni pióra: spadają po cichutku, ale na koniec już nie ma się jak ruszyć i taki ptak ginie. Patrzycie w naszą stronę, zachwycacie się iluzją. Wy w Europie upajacie się Kanadą, chociaż nic a nic o nas nie wiecie. Rozejrzyj się dookoła. Co widzisz?

Jesteśmy w sercu największego i najbogatszego miasta Kanady, o którym mówi się, że to Nowy Jork, ale zarządzany przez

Szwajcarów. Delegatura INAC znajduje się w cichej, willowej dzielnicy. Na wypielegnowanych trawnikach rozsadzono gustowne krzewy. Zbliża się Halloween, więc przed drzwiami, na których wiszą ozdobne kołatki, stoją dynie. Najczęściej pomarańczowe, ale nie brakuje też tych mniej pospolitych, elegantszych, w kolorze écru.

W dzielnicy panuje spokój, dobrobyt i architektura udająca wiktoriańską. Właściciele posesji nie fatygują się nawet, by zamykać bramy do garażu, dlatego można obejrzeć z bliska nawoskowane bentleye, nowe tesle i zabytkowe mercedesy. O ile wjazdu nie tarasuje właśnie pick-up profesjonalnego wyprowadzacza psów. Zatrudnia się go, żeby zabierał zwierzęta na przejażdżki za miasto.

O zwierzęta dba się tu jak o dzieci. Natomiast dziećmi zajmują się zazwyczaj filipińskie nianie, które pchają wózki po regularnie odkurzanych chodnikach. Niania wie, że wózek z wmontowaną mufką na marznące dłonie kosztuje więcej niż jej miesięczna pensja. Dzieci w tych kręgach to kosztowne hobby, więc także dlatego na świat przychodzi ich tu coraz mniej.

Kiedy opiekunki z Filipin i ogrodnicy z Chin kończą pracę, dzielnica staje się w większości biała i podstarzała. Nie widać tu wielokulturowości, z której słynie Toronto. Ratusz z dumą informuje, że w mieście pobrzmiewa sto czterdzieści języków i dialektów. W 2016 roku BBC głosi, że Toronto jest najbardziej międzynarodowym miastem świata.

Są tu wszyscy. Poza tymi, którzy się tu urodzili.

Przez miasto biegnie Yonge Street, niesłusznie wpisana do *Księgi rekordów Guinnessa* jako najdłuższa ulica świata – tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt sześć kilometrów. Tak naprawdę, jeśli odjąć od niej autostradę, zostaje ledwie osiemdziesiąt sześć kilometrów. Ale

Yonge jest jedną z ważniejszych osi miasta. Jednak przeciętny torontończyk ma większe szanse spotkać przy niej turystę z Sopotu niż kogoś z Pierwszych Narodów.

Kanadyjski urząd statystyczny podaje, że rdzenni stanowią mniej niż jeden procent mieszkańców Toronto. Ale opieka społeczna i służby miejskie mówią, że to zaniżone dane i że ta liczba jest dwa razy większa. Mimo to w przestrzeni miejskiej Pierwsze Narody są przezroczyście.

Czego jeszcze nie widzę?

Pod koniec grudnia w jednej z pobliskich publicznych podstawówek odbędzie się koncert świąteczny, w którym wybrzmiały przeróżne melodie. Dzieci zaśpiewają podnoszące na duchu pieśni o ośmiu świecach w chanukii i o Bogu narodzonym w stajence. Będą też pokojowe protest songi, znane rodzicom z demonstracji w obronie praw człowieka. Potem – podskoki i uniwersalna piosenka o tym, że w zimowy poranek nie ma nic lepszego niż czekolada z pianką *marshmallow*.

Codziennie w tej szkole patrzę na żywą pocztówkę UNICEF-u, ziszczony sen Johna Lennona.

Co trzeci uczeń mówi do swoich rodziców w języku innym niż urzędowy angielski czy francuski. Dzieci mają różne kolory skóry, fryzury i stroje. W wielobarwnym chórze śpiewają Chang, Josephine, Jasiek, Amery i Coulter. Zwykły ranek w Toronto, gdzie niedaleko Yonge Street jak co dzień krzyżują się drogi z Pekinu, Teheranu, Warszawy, Mumbaju i Aleppo.

Jednak ci, którzy byli tu pierwsi, nie zmieścili się na kolorowej pocztówce.

Razem z Sue-Lynn rozglądamy się po ulicy. Powietrze jest mroźne, a światło ostre.

To, co widzimy, to brak.

\* \* \*

Świeci słońce, ale znad jeziora Ontario, przy którym położone jest Toronto, przenikliwie wieje. Chwilami powietrze wpada do ust z taką siłą, że nie można zrobić wydechu. Przemarznięta zaczynam przestępować z nogi na nogę; spod niebieskiej plandeki dobiega głos:

– Ty nawet nie wiesz, co to zimno, dziecko. Pomyśl, jak mieszka się nam w rezerwatach, tam, na Północy.

Dociera do mnie, że mogę wyrzucić wszystkie swoje narzędzia. Nic, co włożono mi do plecaka w Europie – w szkole, uniwersytecie i w redakcji – mi się tu nie przyda. Żadne moje doświadczenie nie zostanie uznane za porównywalne z ich doświadczeniem.

To pierwsza gwiazdka, którą podaruje mi Henry: pokora.

Wieje tak, że nie da się rozmawiać, więc Henry Pitawanakwat i ja zostawiamy protestujących przy namiocie, idziemy schronić się przed wiatrem do kawiarni. Będziemy mówić o tym, dlaczego pióra spadają tu częściej niż w innych kanadyjskich domach.

Henry skończył pięćdziesiąt lat. Wygląda jak dziecko, które nagle się postarzało, ale w środku niewiele się zmieniło. Najwięcej zmarszczek ma wokół swych oczu, czarnych i wąziutkich, bo Henry Pitawanakwat mimo tego, jak wyglądało jego życie, bardzo dużo się śmieje.

– Jestem z narodu Wikwemikongów, plemienia Bobrów, które władało niegdyś tą ziemią.

Jestem historykiem. Tak. Nie. Jestem robotnikiem, interesuję się historią. Mój ojciec był prostym człowiekiem, drwalem. Ożenił się z moją mamą i umiał wytrzymać jej cierpienie. Wiesz, moja mama była ocalańcem, *a survivor*.

Henry niczego więcej nie tłumaczy. Ale kiedy mówi, że jego matka była ocaleńcem, w czterech sylabach koduje całą opowieść.

\* \* \*

Zaczęło się w miarę pokojowym współistnieniem. Przybysze z Europy nie przeżyliby w surowych warunkach, gdyby nie poprowadzili ich rdzenni gospodarze. Z jednymi toczyli wojny i odganiaли ich od źródeł wody i jedzenia, ale z innymi po prostu handlowali, oferując chętnie przyjmowaną zapłatę. Zazwyczaj płacili bezwartościowymi dla siebie przedmiotami. Na początku obie strony na tym korzystały.

Wielu osadników, zwanych przez siebie pionierami, zachwycało się bogactwem naturalnym północnoamerykańskich ziem: niedźwiedzimi i bobrowymi skórami, a nade wszystko drewnem, z którego można było budować maszty żaglowców wyruszających na dalszy podbój Nowego Świata. Na szczęście dla rdzennych mieszkańców Europejczycy długo uważali dzisiejszą Kanadę za bezwartościową. Francuski król musiał wyciągać z podparyskich szkół i sierocińców dziewczęta, *filles du roi*, które wysyłał za ocean dla zawiązania i wzmocnienia populacji.

Handel drewnem i futrami zakończył trwającą tysiące lat epokę, którą w Kanadzie nazywa się „przed kontaktem”.

Europejczycy nie kierowali się specjalnie imperatywem wyrażonym starorzymską maksymą: *pacta sunt servanda*. Dla zabezpieczenia interesów sporządzono jednak umowy. Nazwano je traktatami, bo przystępowały do nich dwa suwerenne podmioty, równe sobie strony. Ale każda z nich inaczej rozumiała to, na co się umawia.

Rdzenni uważali, że ziemia w swej istocie nie należy do człowieka, który jest na niej tylko tymczasowym gościem. Nie

można więc zbyć czegoś, do czego nie ma się prawa. Można się jednak posunąć, zrobić miejsce dla nowych sąsiadów.

Europejczycy, którzy wyrosli z rzymskiej lub z anglosaskiej tradycji prawa zwyczajowego i konwenansu, uważali, że zawierają transakcję *emptio venditio*, kupna – sprzedaży. Uznali, że ziemię dostają na własność.

Do tego często umowy nie sporządzano w dwóch jednobrzmiących egzemplarzach. Zdarzały się traktaty pisane atramentem, zdarzały się wyszywane koralikami.

Jak ozdobne pasy wampum, na które nanizywano przewiercone maleńkie muszelki, a później też szklane koraliki. Wampum (podobnie jak złęczone groty czy drzewo życia) jest po dziś dzień hołubionym symbolem odwiecznej jedności lokalnych, rdzennych społeczności.

Obok dawnej szkoły Mohawk Institute istnieje muzeum – pochylam się w nim nad jednym z takich pasów. Widać dwie równoległe, grube linie. To rzeka, po której przypłynęli do osady holenderscy emisariusze. To dwa nurty, które nigdy się nie krzyżują, ale płyną obok siebie spokojnie. To dwa narody, które współistnieją, nie wchodząc sobie w drogę.

Tak pas wampum czytali gospodarze. Opowiedziana muszelkami historia przymierza była dla nich jasna i wiążąca. Ale druga strona z czasem zaczęła powoływać się na papierowy dokument, który był zrozumiały tylko dla niej.

Początki były więc obiecujące dla obu stron, ale dość szybko okazało się, że istnieją różnice nie do pogodzenia. Jedna strona uznała, że w imię gościnności i dobrych relacji będzie je tolerować. A druga – że je zmiażdży.

Najpierw zawłaszczono ziemię. Wysiedlono setki tysięcy ludzi. Ci, którzy od tysiącleci łowili, nagle dostali do ręki broń. Tym, którzy

zbierali, od dziś kazano polować.

Nie umieli sobie poradzić. Głodowali. Chorowali. Ginęli.

Wypędzonych zamykano w rezerwach, których nie mogli opuszczać. Nie wolno im było handlować ani głosować. Nie wolno było ubierać się po swojemu, modlić się i śpiewać.

A przede wszystkim nie wolno im było wychować nowego pokolenia.

Ojcowie Kanady pomysł mieli prosty. Ich strategią było odebrać dzieci rdzennym mieszkańcom i przerobić je *à la mode européenne*.

Taktyka wskazywała proste i tanie rozwiązania. Nie licząc stłumienia powstań metyskich, wybierano przede wszystkim edukację od podstaw – była dużo tańsza niż wojna. Rząd postanowił uruchomić inżynierię społeczną, by wychować całe pokolenia farmerów i drwali oraz posłusznych żon.

Najszybszym i najtańszym rozwiązaniem było oplecenie kraju siecią szkół z internatem dla rdzennych dzieci od szóstego do piętnastego lub szesnastego roku życia. Obok nich stworzono też klasyczne szkoły zawodowe (*industrial schools*), w których nauka trwała od czternastego do osiemnastego roku życia. Takie placówki nie powstały jedynie na Wyspie Księcia Edwarda, rozstawionej sagą o Ani z Zielonego Wzgórza, oraz w Nowym Brunswiku – władze najwyraźniej uznały, że tamtejsi rdzenni mieszkańcy wystarczająco się zasymilowali. Ale to były wyjątki. Poza tym powszechnie obowiązywało prawo mówiące, że od szkoły z internatem ucieczki nie ma.

Pierwszy premier i polityczny twórca Kanady, John Macdonald, wyjaśnił to Izbie Gmin w 1833 roku:

„Kiedy szkoła jest w rezerwacie, dziecko nadal przebywa z rodzicami, którzy są dzikusami; jest otoczone przez dzikusów i jeśli nawet nauczy się czytać i pisać, jego zwyczaje, umiejętności



i sposób myślenia nadal pozostaną indiańskie. Takie dziecko będzie po prostu dzikusem wyuczonym czytania i pisanie. (...) Dzieci Indian powinny być całkowicie pozbawione wpływu rodziców, jedynym na to sposobem jest umieszczenie ich w szkołach zawodowych, przygotowawczych, w których nabędą zwyczajów i sposobów postępowania wedle ludzi białych”

Tak naprawdę szkoły nie miały być placówkami oświatowymi, ale samowystarczalnymi farmami pracowników.

Chłopców uczono ciesiołki, kowalstwa i szewstwa, a także pracy na roli. Dziewczynki – prowadzenia domu. Hodowano tanią, niewykwalifikowaną i bezwolną siłę roboczą, bo zdaniem przybyszy z Europy przepastne prerie domagały się skolonizowania. Przyszłym robotnikom i rolnikom miały być podporządkowane żony zajmujące się domem. To była rewolucja, bo w tradycyjnych społecznościach te role się przenikały. Żeby przeżyć, każdy musiał umieć zrobić wszystko, a kobiety nie były zamykane w domach, w kuchni i przy dzieciach.

Ale postanowiono, że to już przeszłość: rząd Johna A. Macdonalda miał swoje pomysły na wychowanie cudzych dzieci.

Trzeba było zorganizować państwo, zabezpieczyć byt i przeżyć w trudnym klimacie. Białe władze zgodziły się na zapłacenie za to ludobójczej ceny.

To znaczy zgodziły się, by tę cenę zapłacili rdzenni mieszkańcy.

Jednak administracja państwowa nie dałaby rady zrobić tego sama. Wymazywaniu kultur nie tylko przyglądał się z aprobatą, ale i wspierał je ze wszech sił ktoś jeszcze.

Oto ochoczo zakasano rękawy krochmalonych habitów i sutann.

Szkoła, do której trafił Toby Obed z rodzeństwem, była wyjątkowa, bo świecka. W znakomitej większości przypadków

system szkół z internatem, w których zamknięto sto pięćdziesiąt tysięcy rdzennych dzieci, był zarządzany księżowską ręką.

\* \* \*

Wojna o Kanadę toczyła się więc równolegle na gruncie i cywilizacji, i religii.

Poszczególne Kościoły zresztą rywalizowały między sobą zaciekle. Kościoły katolicki (szarytki, jezuici i oblaci) oraz protestancki (anglikanie, metodyści i presbiterianie) z poświęceniem walczyły o rząd pogańskich dotychczas dusz. Nie tylko błogosławiły moralnemu imperatywowi kolonizacji, ale także zapewniały realną pomoc, posyłając za ocean misjonarki i misjonarzy. W ten sposób Kościół katolicki był zdolny do objęcia aż dwóch trzecich kanadyjskich szkół.

Duchowni podjęli się pracy na terytorium, które ogłosili *terra nullius*, ziemią niczyją, nie patrząc w oczy jej mieszkańcom. Tradycyjną kulturę i wierzenia uważali za barierę na drodze ku zbawieniu. Zależało im na wprowadzeniu własnej etyki pracy i nowego systemu kontroli. Wkrótce okazało się, że stworzenie szkół, w których wiodącym przedmiotem był katechizm, niewiele dawało. Wpajanie nauk szło na marne, bo dzieci nadal były zanurzone w kulturze rodziców.

Trzeba było z tym skończyć. Dość szybko udało się przejść od niesienia kaganka oświaty do wymazywania narodów i kulturowego ludobójstwa.

Konfiskowano święte przedmioty, jak na przykład insygnia, tradycyjne fajki i bębny, które imitują bicie serca matki Ziemi. Wiele rodzin, chcących przekazać tradycje kolejnym pokoleniom, miniaturyzowało instrumenty i rozmontowywało je na części.

W razie kontroli tłumaczono na przykład, że małe bębny to tylko naczynia, potrzebne w każdej kuchni.

Władza zakazywała też poszczególnych obrzędów, jak Taniec Słońca i Pragnienia. Zwyczaj mówił o sześciu tygodniach uroczystości na preriach środkowej Kanady. Dla władz było to nie do pojęcia: lato powinno być wyteżonym czasem pracy na polu, a nie odpoczynku na łonie przyrody. Zachłyśnięci obfitością Europejczycy uważali, że rdzenni marnują okazję i są zbyt leniwi, by się wzbogacić, ponieważ spędzają czas, siedząc, jedząc i grając, zamiast powiększać majątek.

Różnic w filozofii było więcej. Dla Kościoła katolickiego dziełem Szatana był potlach (*potlatch*) – duchowa ceremonia odprawiana przy okazji narodzin, ślubów i pogrzebów. Tańczono wtedy i śpiewano, wymieniano też podarki. Czasem je niszczone, by pokazać, że uczestników uroczystości na to po prostu stać. Czasem kulminacyjnym momentem było zniszczenie siedziby gospodarza za jego zgodą i gorącą namową. Był to wyraz szacunku: mógł przecież bez wysiłku odbudować swoje mienie.

Europa nie rozumiała, jak można niszczyć dobra, zamiast je akumulować, i kpiła z tego. Jednocześnie nie przerywała zwyczaju urządzania kosztownych zaślubin czy chrzcin.

Władzy – zarówno świeckiej, jak i kościelnej – rdzenne ceremonie się nie podobały. Rząd Macdonalda poprawił obowiązującą już Ustawę o Indianach i od tej pory za udział w potlachu lub za zachęcanie do udziału w nim groziła kara do pół roku więzienia. Niektóre społeczności, zwłaszcza te żyjące na brzegu Pacyfiku, o zakazie dowiedziały się po czterech latach od jego wprowadzenia. Odpowiedziały, że rząd jest niemowlęciem, które nie ma władzy nad dorosłymi ludźmi. Rząd uzmysłowił im, że są w błędzie i od teraz zasady są inne niż te, na które się umawiano.

Prawo przestało ścigać tych, którzy odważali się tańczyć, dopiero w 1951 roku.

Choć zdarzali się też nadzorcy, agenci do spraw Indian, którzy współczuli Pierwszym Narodom i ciężko pracowali nad zabezpieczeniem ich bytu. Nie egzekwowali surowego prawa, przymykali oko na ich zwyczaje, a nawet zdarzało się, że stawali w ich obronie. Nie wszystko było też narzucane siłą – wiele rdzennych społeczności w nowym porządku widziało dla siebie sporo korzyści. Osadnicy i misjonarze zakładali szpitale i szkoły, a także sklepy, z których korzystali miejscowi – i jako klienci, i jako dostawcy.

Ojcowie Kanady uważali, że reformy były konieczne, więc zmiany wprowadzano szybko. Kanada weszła na drogę pełną zakrętów, dysponując nieaktualną mapą i sprzecznymi drogowskazami. Nie chciano zobaczyć, co czeka za rogiem.

Szkoły też nie wydawały się wtedy jeszcze zagrożeniem – lokalni przywódcy widzieli w nich szansę na skok cywilizacyjny dla swoich dzieci, na przepustkę do przyszłości. Lekcje były darmowe, a po zajęciach dzieci wracały do domów. Na razie.

Pierwsza szkoła z internatem dla rdzennej ludności została otwarta na początku XVII wieku obok bazy handlarzy futrem na terytorium dzisiejszego Quebecu. Ale lokalni mieszkańcy nie przyklasnęli misjonarzom i szybko przestali posyłać tam swoje dzieci.

Do pomysłu szkół z internatem, organizowanych przez państwo, a prowadzonych przez Kościół, powrócono dopiero na początku XIX wieku. To wtedy zarządzono nieznany w wielu rdzennych społecznościach restrykcyjny podział na zajęcia żeńskie i męskie. Do tej pory nie było ról wyraźnie przypisanych do biologicznych płci. Sama płeć była zresztą czymś płynnym, podlegającym

wyborowi. Zdarzało się więc, że mężczyzna chciał żyć z mężczyzną albo pragnął pełnić w rodzinie typowo matriarchalne funkcje. Obyczaj wymagał, by podkreślił swoją nową kobiecość odpowiednim, żeńskim strojem. Jego wybór był powszechnie szanowany, a otoczenie ułatwiało mu podjęcie nowej roli.

Hołubiono też ludzi dwóch dusz (*Two Spirit*, 2S), w których ciałach mieszkowały – jednocześnie lub naprzemiennie – jaźń męska i kobieca.

Kościół katolicki nie mógł się na to zgodzić. Postanowiono „zbawić Indian od grzechu”, choćby wbrew ich woli. Cały system kolonizacji, w tym stworzenie szkół z internatem, miał być jednak dla ich dobra. Cóż, że chodziło o dobro dopiero w przyszłym życiu.

Kościół katolicki i jego młodszy bracia mieli wiele powodów, by współtworzyć system szkół, więc do pracy przystąpiono z pionierską gorliwością i Bogiem na ustach. Obowiązki w budowaniu nowego ładu na nowej ziemi zostały podzielone. Z reguły wyglądało to tak: państwo przeznaczało znaczną wówczas kwotę, od siedemdziesięciu dwóch do stu czterdziestu pięciu dolarów (*grant per capita*), na stworzenie miejsca i utrzymanie dziecka w szkole, ale potem całą resztą zajmował się już kler.

Dla porównania koszt utrzymania ucznia w zwykłych, prywatnych szkołach z internatem wahał się wówczas od pięciuset do sześciuset czterdziestu dolarów kanadyjskich rocznie. Mimo to dla Kościoła była to intratna oferta. Szerzenie słowa Bożego linijką i trzcina stało się źródłem stałego dochodu gwarantowanego przez państwo.

Obowiązek kształcenia brały na siebie nowo powstałe kanadyjskie władze – regulowały to także traktaty, które po dziś dzień leżą u podstaw ustroju politycznego i administracyjnego Kanady. Traktat numer 1, obejmujący południową część dzisiejszej

provincji Manitoba, stwierdzał: „Jej Wysokość Królowa wyraża zgodę na utrzymanie szkoły w każdym z rezerwatów, jeśli tylko rdzenni mieszkańcy rezerwatu wyrażą takie pragnienie”.

Zrobiono więc wszystko, by takie pragnienie zostało wyrażone, często w języku, którego rdzenni mieszkańcy nie znali. Ich pragnienie realizowano siłą.

\* \* \*

Wyrwane z rodzin siłą dzieci zostawiały po sobie lukę, której w kolejnych pokoleniach nie dało się załatać.

Raport Komisji Prawdy i Pojednania w Kanadzie to księga hańby i jednocześnie księga wyjścia, od krzywdy do przebaczenia, od wyznania do zadośćuczynienia. Kilkuletnia praca nad nią była tak wymagająca, że sędziowie komisji mieli zagwarantowane wsparcie psychologiczne i duchowe. Fragmenty i wnioski z raportu zostały wydane w niezliczonych zbiorach, książkach historycznych, popularnonaukowych i książeczkach dla dzieci.

Ostateczny raport ma sześć tomów. Na okładkach widać siedem piór symbolizujących siedem nauk, siedem gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy, o których lubi opowiadać Henry.

W kraju, który uważa się za obrońcę praw człowieka, bastion tolerancji i otwartości, konfrontacja z tą lekturą była szokiem.

Wynotowuję imiona niektórych dzieci, które zostały skazane na szkoły.

Po Fredericka Ernesta Koego przyjechał anglikański duchowny i policjant konny. Chłopiec nie zdążył się nawet pożegnać z tatą, nie mógł po raz ostatni pogłaskać psów.

Małą Malene Kayseas zabrano ciężarówką pełną dzieci, ale za to pozbawioną choćby jednego okna.

Larry Beardy został przydzielony do szkoły tysiąc dwieście kilometrów od domu, dzięki czemu nie musiał się łudzić, że ktoś go kiedykolwiek odwiedzi.

Niekiedy rodziny wiedziały, co je czeka, i miały czas się pożegnać, a nawet przygotować. Matki i babki szykowały dzieciom nowe, wyjściowe ubrania. Tygodniami wyszywały koralikami mokasyny i kubraki, całą wyprawkę, z której maluchy mogły być dumne i która miała przypominać im o domu. Kobiety nie wiedziały, że ubrania zostaną dzieciom na wejściu odebrane i od razu na ich oczach wrzucone do śmietnika albo pieca.

Imiona dzieci w oczach opiekunów nie zasługiwały ani na pamięć, ani na szacunek. W kanadyjskich szkołach z internatem personel nie kwapił się, by je zapamiętywać, szczególnie jeśli wywodziły się z języków narodowych, jak Waaseyaa (Pierwszy Promyk), Bawaajige (Marzenia) czy Myeengun (Mały Wilczek). Dlatego zazwyczaj dzieciom zabierano z grzbietów koszule uszyte maminą ręką oraz imię, a dawano numer porządkowy. Numerami nie tylko operowano w dokumentacji, ale zwracano się tak do dzieci. Numery naszywano też na ubranie. Czasem co rok się zmieniały, bo dzieci rosły i przekazywały ponumerowaną odzież następnym. A także dlatego, że jedne dzieci przyjeżdżały, a inne opuszczały szkołę albo po prostu umierały. Niekiedy numer zastępował imię na kolejnych kilkanaście lat.

Pierwszy dzień szkoły zaczynał się od postrzyżyn, najczęściej pierwszych w życiu. Maluchom golono główki albo przynajmniej krótko strzyżono włosy. Napawało to dzieci lękiem, bo wedle wierzeń wielu rdzennych społeczności jaźń człowieka mieszka w jego włosach. Splot warkocza symbolizuje połączenie ciała, umysłu i duszy. Mocne, lśniące włosy są odzwierciedleniem siły,

więc obcina się je, kiedy na rodzinę spada śmierć. Ostrzyżona głowa oznacza, że wydarzyło się nieszczęście.

Jednak ręce trzymające maszynki niewiele sobie z tego robiły.

\* \* \*

Szkoły czasem mieściły się w skleconych byle jak barakach i dziurawych stodołach, gdzie dzieci umierały od zimna i chorób.

Czasem jednak misje zajmowały okazałe budynki, fundowane przez Kościół katolicki i Kościoły protestanckie. Umieszczano je wtedy na fotografiach, które rozsyłano wiernym w podziękę za monety wrzucone na tacę.

Im dalej od domu położona była szkoła z internatem, tym lepiej. Rodzice nie mieli możliwości i środków, by odwiedzać swoje dzieci, a one nie mogły wracać do domu na wakacje albo na święta – oczywiście przepustki wydawano tylko z okazji tych kościelnych. Ci rodzice, którym jednak na odwiedzinę pozwolono, musieli rozmawiać podczas widzeń po angielsku lub francusku, aby zakonnice mogły kontrolować przepływ informacji. Nie wszyscy rodzice te języki znali.

Kanada otwarcie rozmawia dziś o tym, co działo się w szkołach z internatem, jednak podręczniki do historii milczały przez całe dekady. Teraz misję mówienia o prawdzie wzięły na siebie media, ośrodki kultury i biblioteki. W monumentalnej, głównej bibliotece miasta, tam, gdzie opowiadał o sobie Louis Knapaysweet, znalazłam długie regały beznamiętnych opracowań historycznych i zapisy wyrzutów sumienia współczesnych Kanadyjczyków.

Pomiędzy nimi archiwa pełne zdjęć.

Jest tam fotografia zrobiona ze wzgórza. Oto ceglany, czteropiętrowy gmach szkoły Qu'Appelle w prowincji Saskatchewan. Za nim idylliczne jezioro i farna wieża. Jest 1888 rok.



W zasadzie na zdjęciu nie dzieje się wiele więcej: to tylko szkoła, świątynia i parę gospodarstw na krzyż. Ale fotograf, chcąc uchwycić malowniczy pejzaż, zapisał na kliszy coś jeszcze.

Za płotem okalającym szkolną posiadłość stoi dziewięć namiotów. To rodzice, którym odebrano dzieci. Nie mogli ich wychowywać, a w nowej szkole prawdopodobnie nie mogli ich nawet odwiedzać. Ale „dzikusy”, jak mawiał o nich premier Macdonald, nie chcieli zapomnieć o swoich dzieciach.

Ile setek kilometrów ci rodzice za nimi przeszli, nie sposób sprawdzić. Jaką cenę, wyrażoną w pieniądzu i krzywdzie, za to zapłacili? Nie ma na to żadnych dokumentów. Wiadomo, że trwali pod płotem niezależnie od pory roku. Nie mogli z dziećmi rozmawiać ani w żaden sposób im pomóc. Jeśli mieli szczęście, czasem je zobaczyli, ale tylko z daleka.

Co czuły tamte matki? O czym rozmawiały? Czy w swoich językach znajdowały na to odpowiednie, pojemne słowa?

To pocztówka, której nikt nie wybierze, by wysłać w świat pozdrowienia z Kanady.

Takich odkryć jest więcej.

Oto Thomas Moore Keesick, chłopiec wyznaczony na ambasadora szkół z internatem. Jego przemiana miała być ucieleśnieniem cywilizacyjnego przeobrażenia, któremu służył system szkół.

Fotografie kilkuletniego Thomasa opublikowano w 1904 roku na łamach „Przeglądu Rocznego” („Annual Report”) wydawanego przez Ministerstwo Spraw Indiańskich (Department of Indian Affairs), by zilustrować stan „przed naukami i po nich”.

Thomas był Kri, trafił do szkoły w Reginie, niedaleko obozowiska namiotów, niecałą godzinę jazdy od swojego domu.

Na pierwszej fotografii chłopiec jest na początku przemiany. Pozuje ubrany w skórzaną koszulę, ozdobioną napierśnikami

i sznurami koralu. Badacze będą się potem spierać, czy aby na pewno był to strój męski. Niektórzy powiedzą, że ubranie chłopca w kobiece stroje miało go zniewieścić i ośmieszyć.

Włosy Thomasa zapleciono w długie warkocze, przystrojono łątkami futra. Grzywka nierówna, zmierzwiona, stercząca. Na nogach ozdobne mokasyny. Buzia w ciup. Dziecko stoi oparte o wysoki przedmiot, na który narzucono niedźwiedzią skórę. W ręku pukawka lub mały pistolet. Biali lubili wierzyć, że rdzenni są od urodzenia skorzy do przemocy. Chłopiec ze zdjęcia jest „idealnym dzikiem”, modelowym przykładem do zatarcia. Ucieleśnia epokę, która nieubłaganie odchodzi: tradycyjne stroje, brak uporządkowania, a także handel futrami.

Tryby ruszyły i po jakimś czasie zrobiono inne zdjęcie, dokumentujące przemianę. Chłopiec ma już na sobie skromny mundurek i czarne lakierki. Włosy obcięte, grzecznie leżą przyлизane na boczek, skóra chłopca jest znacząco bielsza. Thomas stoi oparty nie o niedźwiedzia, lecz o balustradę, może fragment eleganckiej budowli. Wpisano go w geometryczną architekturę, w uporządkowaną siatkę społeczną. Z boku leży toczek z ozdobną wstążką. Obok – najważniejszy symbol na zdjęciu: roślina w donicy, natura poddana woli i pracy człowieka.

To zdjęcie ma pokazać przyszłość: opanowanie, przywiązanie do zasad, późnowiktoriańską kulturę opartą na pracy wytwórczej. Na współpracę z rdzennymi myśliwymi i handlarzami miejsca tu już nie ma.

Na obu fotografiach to samo dziecko, a dwie różne tożsamości. Pomiedzy – historia znikania. Jeśli skasowano wszystko, czym był chłopiec, to czy udało mu się nie zapomnieć języka, którym mówili do niego najbliżsi?

Statystyki podpowiedzą, że chłopcu się nie udało.

W Reginie Thomas został numerem 22. Szkoły nie skończył. Po czterech latach odesłano go do domu, żeby tam umarł na niezaleczoną gruźlicę.

\* \* \*

Gdyby Thomas przeżył, co czekałoby go potem?

Dzieci rdzennych mieszkańców miały inny program niż dzieci białe. Mniej niż co drugie osiągało wyniki pozwalające na promocję do kolejnej klasy, co nauczyciele uznawali za znak przynależności do rasy o niższych możliwościach intelektualnych.

Co prawda, mało który nauczyciel rzeczywiście miał prawo wykonywania zawodu. Osobom tworzącym kadrę najczęściej brakowało przygotowania, czasem pracowały tylko za dach nad głową. Bywało, że szesnastolatek opuszczający mury szkoły w rzeczywistości odebrał edukację tylko na poziomie trzeciej klasy szkoły podstawowej. Dziećmi zajmowali się ludzie wiecznie zajęci i zmęczeni, bo klasy liczyły nawet po sześćdziesięcioro uczniów. Nauczyciele byli sfrustrowani, źle opłacani i bezradni. Swoich uczniów bili.

Na lekcjach dominowały katecheza i historia Europy. Dzieci uczyły się o Jezusie i o królach, ale nie o sobie. To było pisanie historii na nowo, co zdarza się pod różnymi szerokościami geograficznymi i w różnych czasach – ale zazwyczaj w takich sytuacjach dzieci mogą liczyć na rodziców, którzy prostują i uzupełniają podręcznik. Jednak wtedy rodzice do życia swoich dzieci dostępu nie mieli.

Po zajęciach z przysposobienia do zbawienia reszta dnia była wypełniona nieodpłatną pracą fizyczną, którą markowano nazwą „szkolenia zawodowego”. Już sześciolatki dostawały prace przy plewieniu, praniu czy sprzątanii. Dzięki ich wkładowi szkoły

fundowane przez państwo i prowadzone przez kler miały być w założeniu samowystarczalne w utrzymaniu.

Nie wszystkie dzieci dawały sobie radę w pracy. Małe palce często grzęzły w maszynach, takich jak wyżymaczki. Szybko okazało się, że wejście do pralni, kuchni, warsztatu, a także praca na polu grożą amputacją palców. Wina była nieodmiennie po stronie nieuważnych dzieci, więc wypadków nie zgłaszano.

Opracowano za to program wychowawczy. Dzieci bywały niesforne, dlatego kary trzeba było wymyślać ciągle na nowo.

\* \* \*

Wiele szkół urządziło specjalne pomieszczenia, które dziś nazwalibyśmy miejscami kaźni. To tam przykuwano dzieci łańcuchami do drewnianych prycz albo skuwano im ręce i nogi kajdankami. Kiedy nie mogły się ruszyć, bito je pejczem o wielu ogonach albo klasycznie, prostym pasem.

W przepełnionych budynkach warunki były trudne, nie zawsze udawało się urządzić specjalne pomieszczenie. Dlatego dzieci więziono i kaleczono zarówno po piwnicach, jak i w zwykłych schowkach na szczotki. Obowiązywał system kar.

Za zabawę śnieżkami nie w porę – bicie kijem hokejowym po dłoniach.

Za list ze skargą do rodziców – łańcuch.

Za niewykonywanie poleceń – głodówka.

Raport Komisji Prawdy i Pojednania pokazuje, że w szkołach pielęgnowano własne, lokalne tradycje. W niektórych przyjęło się na przykład, że dzieci stały lub siedziały na mrozie lub śniegu w lekkich ubraniach. W innych dorastającym chłopcom kazano stać lub klęczeć przed wszystkimi z opuszczonymi spodniami.

Na co dzień starsze dzieci po prostu zwyczajowo lano pasem albo odbierano im dostęp do jedzenia i picia.

\* \* \*

Zwykle mama czuje, że trzeba się niepokoić, kiedy kilkuletnie dziecko zaczyna moczyć łóżko. W kanadyjskich szkołach personel nie szukał przyczyn, tylko chciał usunąć skutki. Środkiem z wyboru było kazać dziecku chodzić w zasikanych ubraniach. Czasem zawijano dzieci w mokre prześcieradła albo nakładano im je na głowy, upodabniając do cuchnących urną duchów.

Jedną z pierwszych nauk, którą przyswajały dzieci, było to, że ich ciało nie należy do nich. Ich ciało było świątynią Ducha Świętego, zaś wyłączne prawo do zarządzania świątynią mieli ksiądz, pastor oraz zakonnice.

Jak dokumentuje raport komisji, dzieci nie tylko bito i torturowano, ale również gwałcono. I znowu nie były to patologiczne przypadki, ale zorganizowany system. Szkoły z internatem za sprawą panującego obowiązku posłuszeństwa, braku kontroli zewnętrznej, a nawet geograficznego oddalenia stanowiły idealny teren łowiecki dla sadystów i pedofilów.

Najłatwiejszymi ofiarami były pierwszaki i przedszkolaki, najbardziej przestraszone. Dało się zdobyć ich zaufanie uśmiechem i życzliwością. W nienormalnym wrogim świecie dzieci lgnęły do dobrych policjantów w sutannach i dobrych policjantek w habitach. Wdzięczność kupowało się także okazywaniem miłosierdzia, czyli nieco łagodniejszą karą.

Jeśli to nie pomagało, zostawało coś jeszcze – jedzenie. Przyjętą powszechnie walutą za seks z dziećmi była dodatkowa kromka chleba. Starsze dzieci nie były takie ufne i często dłużej znosiły głód, więc po prostu je sobie brano. Raport odnotowuje ataki

w konfesjonalach, zarzucanie worka na głowę, wzywanie pod prysznic w środku nocy.

Polecenie posługiwania do księżowskiej kolacji było jak wyjący w głowie alarm. Dzieci szybko się uczyły, jak to działa, i pilnowały, by zwłaszcza te młodsze nie zostawały sam na sam z opiekunami. Nie zawsze to wystarczało. A do tego – tak jak opowiadał Phil Fontaine – z czasem te, które krzywdzono, same zaczynały krzywdzić inne, jeszcze młodsze i jeszcze słabsze. Trauma rozlewała się na pokolenia, lepi się po dziś dzień.

Władze często wiedziały. Rozwiązywały problemy po swojemu.

Jak w szkole na dawnej Kuper Island (dziś Penelakut Island) niedaleko Vancouver, skąd uciekło kilku chłopców. Złapani przez policję, opowiedzieli o molestowaniu w szkole. Wszczęto dochodzenie, które potwierdziło zeznania chłopców. Sprawcy ponieśli konsekwencje – zostali przeniesieni do innej placówki. W innych przypadkach krzywdziciele dzieci nadal pełnili swoje funkcje, nawet jeśli zostali skazani.

Wtedy, to znaczy jeszcze niedawno, zasadą było wyciszenie sprawy. Ta-kie-by-ły-cza-sy.

Nie było przyjęte, by kler powiadamiał policję czy urzędników o przestępstwach popełnionych na dzieciach. Urzędnicy, nawet jeśli wiedzieli, nie mieli zwyczaju informować rodziny. Zresztą kto uwierzyłby dziecku? Ile waży dziecięca skarga wobec słów osoby duchownej, noszącej Zbawiciela na sercu?

\* \* \*

Większość personelu do końca twierdziła, że praca w szkole była po prostu rodzajem moralnej krucjaty, a na świętej wojnie bez ofiar obejść się nie sposób. Szkoła mogła mieć swój kres, ale kontrola i zniewolenie – nie. Nieposłuszne dzieci, kiedy zbliżały się

do pełnoletności, łatwo było przenieść wprost do systemu penitencjarnego. Większość była jednak szybko przeznaczana do sakramentu małżeństwa – o wyborze małżonka i dacie ceremonii często decydowała szkoła. Rodziców powiadamiano albo i nie. Poświęcenie dla miłego Boga *matrimonium* nie wykluczało się z przymusową sterylizacją, popularną zwłaszcza w pierwszej połowie XX wieku. Szczególnie rdzenne dziewczynki uznawano za „psychicznie niezdolne do rozmnażania się”, więc masowo je ubezpłodniano.

Nie jest to zamierzchła historia. Coraz głośniej mówi się, że z jednej strony Kanada jest gorliwym, międzynarodowym czempionem w walce o prawa kobiet, w tym prawa reprodukcyjne, ale z drugiej strony nadal decyduje o najintymniejszych sprawach swoich rdzennych obywateli.

\* \* \*

W 2017 roku został opublikowany raport o wymuszonych ubezpłodnieniach w regionie Saskatoon w prowincji Saskatchewan. W raporcie odnotowano przypadki nakłaniania do aborcji („bo i tak odbiorą ci dziecko, jesteś niewydolna wychowawczo”), ubezpłodniania podczas innych zabiegów ginekologicznych, podsuwania zgód na sterylizację w trakcie akcji porodowej lub na stole, tuż przed cesarskim cięciem.

Czasem rdzenna kobieta budziła się po cesarskim cięciu z klipsami na jajowodach, czasem po prostu wwożono wózek z pacjentką na salę i przez igłę pomiędzy kręgami wtłaczano jej epidural, nie mówiąc, po co to znieczulenie. Jedna z kobiet zeznała, że chciała uciec ze szpitala przed zabiegiem, ale ktoś z personelu zatrzymał i zawrócił wózek, na którym wytaczała się ku wyjściu.

Czasem podczas porodu komunikowano wprost: musisz się podwiązać. Albo: nie wypiszemy cię, dopóki nie podpiszesz zgody na zabieg. Albo: urodziłaś jedno z porażeniem, każde następne też będzie chore. Lepiej będzie dla wszystkich, jeśli się zaklipsujesz.

Jeśli rodząca była niepełnoletnia, nie zawsze dopuszczano do niej partnera albo matkę. Zalecenia medyczne wyglądały tak: zwiń się jak embrion, odsłoń kręgosłup, nie wołaj nikogo.

Często wywierano presję: od poddania się zabiegowi uzależniano inne świadczenia medyczne. Najczęściej jednak proponowano podwiązanie albo przyżeganie jajowodów jako wygodną formę antykoncepcji – nie informowano jednak pacjentek, że to, co się stanie, jest właściwie nieodwracalne.

W skleionej, zabliźnionej tubce nie pocznie się już więcej żadne dziecko. Ale personel uznawał, że rdzenne kobiety nie muszą tego wiedzieć.

\* \* \*

W tle tej historii jest też opowieść o brance lat sześćdziesiątych, *the Sixties Scoop*. Szkoły z internatem wówczas stopniowo wygaszano, ale nadal odbierano dzieci rdzennym rodzicom. Nie oddawano ich jednak do kurczących się placówek, tylko od razu do adopcji. Nazwa może być myląca: faktycznie branka trwała do początku lat dziewięćdziesiątych.

Wyjątkowo często maluchy lądowały na terenach wiejskich, gdzie do pracy przydawała się każda para rąk, zwłaszcza tych najmniejszych. Adoptowano w ten sposób kilkadziesiąt tysięcy dzieci, wiele z nich trafiło też do Stanów i Europy. Dopiero w ostatnich kilku latach zaczynają się liczyć i szukać prawników. W grudniu 2018 roku rząd federalny zaproponował ugodę i ogłosił



wypłatę ośmiuset siedemdziesięciu pięciu milionów dolarów dla ofiar branki.

Czasy się zmieniły, ale tradycja pozostała. Do dziś częściej odbiera się dzieci rdzennym (co trzydzieste) niż białym rodzicom (co trzechsetne).

\* \* \*

W stworzonym przez szkoły systemie ciała rdzennych dzieci – i dziewczynek, i chłopców – nie mogły należeć do nich samych.

Od rozpoczęcia prac Komisji Prawdy i Pojednania aż do końca 2015 roku zgłoszono trzydzieści siedem tysięcy dziewięćset pięćdziesiąt jeden przypadków uszkodzeń ciała na skutek fizycznego i seksualnego wykorzystania dzieci w murach szkół z internatem. Większość z tych spraw została już zakończona, do tej pory kosztowało to Kanadę blisko sześć miliardów dolarów.

Komisja uważa, że prawo do odszkodowania za bycie ofiarą ataku seksualnego przysługuje średnio co drugiemu dziecku, które zamknięto w takiej szkole. Na razie pieniądze otrzymało blisko osiemdziesiąt tysięcy dawnych uczniów. Ale trafiają tylko do tych, którzy jeszcze żyją.

Do tych jak Henry, którzy niosą w sobie traumy nieutulonych rodziców – już nie. Tymczasem w Kanadzie żyją kolejne pokolenia, które choć same nie zostały w szkołach zamknięte, także są ich ofiarami. Raport Komisji Prawdy i Pojednania nie pozostawia złudzeń: ludzie tacy jak mama Henry’ego po opuszczeniu szkoły już zawsze niosą w sobie wstyd, poczucie winy i gniew.

Komisja podkreśliła, że traumę się dziedziczy, a szkoły trwale skrzywdziły też pokolenia przyszłe i równoległe.

\* \* \*

Niektóre dzieci decydowały się na ucieczkę, ale najczęściej celem było przetrwać na miejscu.

Wiele z budynków szkolnych było nieogrzewanych, zarobaczonych i nieprzystosowanych do pomieszczenia dzieci. Wstawiano kraty, zdejmowano schody przeciwpożarowe i ryglowano na noc drzwi, żeby zapobiec ucieczkom. Dlatego dziś wiele ze szkół określa się jako pułapki, z których nie da się uciec w czasie pożaru, *fire traps*. Szacuje się, że w sumie spłonęło ponad pięćdziesiąt szkół z internatem, niektóre razem ze śpiącymi w nich dziećmi.

Zagrożenie przychodziło nie tylko z ognia, ale i z powietrza. W szkołach szerzyły się choroby przywleczone przez osadników i misjonarzy, zwłaszcza gruźlica. Tubylczych dzieci nie szczepiono. Kiedy któreś zachorowało, kładziono je do łóżka, często bez lekarstw: jeśli miało szczęście, to jeszcze wstało. Zresztą o dostęp do lekarza, nie mówiąc o stomatologu, było trudno. Znieczulenia nie uważano za konieczne.

W 1905 roku lekarz Peter Bryce odwiedził kilkadziesiąt szkół z internatem. W raporcie zatytułowanym *Historia zbrodni narodowej* opowiedział o szkołach, w których umierało blisko trzy czwarte zakwaterowanych tam dzieci. Średnio w skontrolowanych placówkach śmiertelność wynosiła dwadzieścia pięć procent. Raport nie został podchwycony, opublikowała go tylko jedna gazeta. To wystarczyło, by doktor stracił pracę na uczelni, a jego alarmujące statystyki zostały na długo pogrzebane.

Z czasem stawało się jasne, że program asymilacji w szkołach się nie sprawdza. Utrzymanie placówek było kosztowne, a efekty mizerne. Niektórzy przedstawiciele Kościołów protestanckich

zażądali zamknięcia placówek i przekształcenia ich w zwykłe szkoły publiczne albo w sanatoria. Ale wymagałoby to sporych nakładów, dlatego nic się nie zmieniało.

Dopiero w 1969 roku rząd federalny przejął od kleru odpowiedzialność za sytuację w internatach. Z czasem zaczął te placówki wygaszać i przekształcać w szkoły zawodowe i schroniska.

Trzeba też powiedzieć, że nie dla wszystkich szkoła była traumą – Komisja Prawdy i Pojednania otrzymała zapewnienia, że niektórzy wychowankowie są wdzięczni za naukę czytania i pisanie, możliwość uprawiania sportu, znajomość angielskiego. Dla części dzieci szkoły były ratunkiem przed domem, gdzie było picie, bicie i nędra.

Zostało to zapisane, lecz przeważać czy choćby zrównoważyć szali nie zdoła nigdy.

\* \* \*

Pod niebieskim namiotem, w którym spotykam Henry'ego Pitawanakwata, wisi podobizna premiera Macdonalda z napisem: „To co, może kocyk?”

Na początku XX wieku gruźlica była sposobem regulowania populacji w internatach. Koce, których używały zakażone dzieci, przekazywano kolejnym uczniom. Jedna z placówek wyliczyła, że siedemdziesiąt procent wychowanków przyjętych pod jej dach zmarło z powodu gruźlicy. Ale to wyjątek, bo w tamtych czasach w szkole umierało średnio co trzecie dziecko. Dokładnych danych brak. Dokumenty komisji mówią o setkach tysięcy zniszczonych teczek personalnych – badacze ustalili, że spalono piętnaście ton papieru. Dyrektorzy mieli obowiązek rocznego składania raportów o zgonach, ale nie zawsze o nim pamiętali. Nawet jeśli

szkół raportowała o śmierci, to rzadko podawano imiona czy nazwiska zmarłych dzieci.

Kościół katolicki ma piękny zwyczaj ręcznego zapisywania imienia i nazwiska wiernego, który zmarł, w grubej, przechowywanej w kancelarii *Księdze umarłych*. Przywilej ten nie dotyczył rdzennych dzieci. Wchodziły do szkoły jako numerki i jako numerki ją opuszczały.

Komisja Prawdy i Pojednania (Truth and Reconciliation Commission of Canada, TRC) podała, że w latach 1867–2000 w tych szkołach zarejestrowano ponad dwa tysiące zgonów wśród uczniów. Do tego komisja dodała ponad trzy tysiące dwieście potwierdzonych zgonów, których nie ujęto w rejestrach, choć nieoficjalnie mówi się o sześciu tysiącach zmarłych dzieci.

Praktyką było grzebanie kilkorga wychowanków w jednej mogile, bo tak było szybciej i przede wszystkim taniej. Nie wysyłano ciał rodzinie, bo kto by za to zapłacił? Dzieci odbierano i nigdy rodzicom nie zwracano, choćby martwych.

Dziś powoli ruszają ekshumacje i ciała są oddawane rodzinom. Ale procedury pozostają niejasne, a koszty bardzo wysokie. Kanada jest wielkim krajem, a paliwo lotnicze kosztuje. Czasem zbiera się na ten cel pieniądze wśród organizacji pozarządowych albo czytelników lokalnej gazety.

Zwyczajowo większość dziecięcych grobów miała biały krzyż bez daty i bez imienia. Obok grzebano zakonnnice i księży, którzy czekali zmartwychwstania pod kamiennymi, rytymi tablicami. O groby dzieci z czasem przestano dbać, więc zarosły. Wkrótce zaczęły pasać się na nich krowy.

Od czasu, gdy w 1828 roku otwarto pierwszą szkołę, Mohawk Institute w Ontario (tę obok muzeum z pasami wampum), do roku 1996, gdy zamknięto Qu'Appelle w Saskatchewan (tę od namiotów),

przez kanadyjski system szkół z internatem przeszło co najmniej sto pięćdziesięcioro tysięcy rdzennych dzieci.

Zatem to wszystko – od pukania do drzwi poprzez zepsutą owsiankę, zakażone koce i elektryczne krzesło aż po krowy na zbiorowej mogile – ma na myśli Henry, kiedy mówi:

– Wiesz, moja mama była ocaleńcem.

\* \* \*

– Jak ci już mówiłem, mama była po szkole. Trafiła tam, gdy miała trzy lata. Wyszła, jak miała szesnaście. Nie pamiętała niczego sprzed. Nie znała głosu i dotyku swojej mamy, nie znała domowego jedzenia i brania na kolana. Sama często na nas krzyczała, bywała samolubna i chciwa, szczególnie gdy chodziło o jedzenie. Życie z naszą mamą było bardzo trudne. Kiedy robiła coś strasznego, tato przygarniał mnie i głaskał po głowie, mówił: „To nie mama, to szkoła”.

Było nas trzynaścioro rodzeństwa. Mama rodziła nas jedno po drugim, może za każdym razem miała nadzieję, że tym razem coś się zmieni. Że z kolejnym porodem przyjdzie ulga i miłość do nowego dziecka.

Ale nic takiego nigdy się nie wydarzyło.

To kolejna gwiazda w zbiorze siedmiu nauk, którejśmy zawsze szukali: miłość.

Tacy jak moja mama po wyjściu ze szkoły nie umieli się odnaleźć. Wiecznie byli obcy. Wstydzili się rodziców i tego, jacy są prości. Nienawidzili ich za to i przez to nienawidzili też siebie. A i rodzice nie zawsze umieli na nowo pokochać swoje dzieci, całkowicie zmienione przez szkołę.

Poprzecinano łączące nas sznurki. Szkoły z internatem zniszczyły całą naszą społeczność. Nigdyśmy się nie podnieśli. Ekscytujecie się

modą na Kanadę, bo patrzycie na nią przez kolorowe skarpetki naszego nowoczesnego premiera. Ale prawda mniej nadaje się do lajkowania.

\* \* \*

Henry mówi po angielsku, ale nie jest to jego pierwszy język.

– Poszedłem do szkoły w 1967 roku, nie musiałem już być zamknięty w internacie. Angielskiego nauczyłem się dość szybko, mieliśmy dobrych nauczycieli. Bili nas z dużą troską.

Pani kazała wyciągnąć ręce, uderzała linijką. Ale nie płazem, tylko krawędzią, więc na dziecięcych dłoniach skóra szybko pękała. Zakrwawiona linijka świszczła, a po chwili przecinała powłoki kolejnego dziecka i jeszcze kolejnego.

Byłem mały, a już się nauczyłem nie być. Udawałem, że to nie mnie się to wszystko dzieje. Tato mówił, że mam duchowy dar, ale chyba sam to wynalazłem. To proste, zwyczajnie tłumaczysz sobie, że to cudza krew, nie twoja. Odlatujesz ze swojego ciała, wtedy możesz na chwilę zablokować ból. Ta umiejętność bardzo mi się w życiu potem przydawała. Ale wtedy w szkole chłopaki mnie podziwiali. Oni strasznie płakali, a ja – nic. Ani łezki. Dopiero po latach poznałem słowo „dysocjacja”. W chwili zagrożenia umysł odcina cię od rzeczywistości, żebyś mógł się jakoś uratować. Dla nas to był elementarz.

Dlaczego dziwi cię, że nikomu o tym nie mówiliśmy? Powiedz mi, a kto normalny uwierzy dziecku? Wtedy nie widziałem na niebie gwiazdy, która jest prawdą.

Po prostu chciałem przetrwać. To wszystko.

Zresztą na początku skarżyliśmy się rodzicom, ale oni prosili, żeby być cicho. Bali się, że stanie się coś gorszego i na przykład zabiorą nas do szkoły z internatem.

Jak masz siedem lat i mamę po takiej szkole, to wytrzymasz wszystko, po prostu wszystko, byle cię nie zabrali.

I widzisz, urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą, a nawet pod siedmioma! Codziennie dziękuję za to losowi: *miigwetch!* Bo miałem w życiu szczęście: nie zabrali mnie.

\* \* \*

Po raporcie doktora Bryce'a z początku XX wieku, w 1966 roku pojawił się jeszcze raport antropologa Harry'ego B. Hawthrona. Pokazał on przepaść w poziomie życia, w warunkach społecznych pomiędzy rdzennymi i białymi mieszkańcami Kanady.

Rząd odpowiedział Białą księgą (*The White Paper*), która miała zrównać status wszystkich mieszkańców, jednocześnie unieważniając traktaty – jej publikacja wywołała w Kanadzie kryzys polityczny. Protestowali głównie rdzenni mieszkańcy, którzy obawiali się totalnej asymilacji. Były to czasy premiera Pierre'a Elliotta Trudeau, ojca obecnego szefa rządu. Wtedy było już wiadomo, że przymusowa asymilacja nie przynosi społecznych korzyści i system szkół z internatem stopniowo wygaszano. Postawiono na zwykłe szkoły dzienne. Najgoręcej protestowali przeciw temu księża oblaci, którzy prowadzili wówczas ponad połowę placówek i nadal byli szczerą ręką subsydiowani przez państwo.

O krzywdach na dzieciach zaczęto mówić coraz głośniejsze, jednak tylko w zamkniętych kręgach. Od lat sześćdziesiątych stopniowo pojawiały się kolejne głosy, z czasem przybierały na sile, ale nie było to jeszcze chór.

Najdonośniej zabrzmiał dopiero szept Phila Fontaine'a pod koniec października 1990 roku. O tym, że jego słowa odwróciły bieg kanadyjskiej historii, już wiemy. Potem, w 1991 roku, w odpowiedzi

na narastające napięcie i kryzys w Ocie powołano Królewską Komisję do spraw Ludności Rdzennej (The Royal Commission on Aboriginal Peoples). Przyjęto założenie, że „kwestia indiańska” nie dotyczy tylko rdzennych mieszkańców, lecz jest problemem i zadaniem dla całej Kanady. Raport komisji był dogłębny i obszerny, lecz lista zaleceń nieskończenie długa, a przez to niewykonalna.

Za to zaczęły mnożyć się pytania – czy da się cofnąć nieodwracalne?

Czy da się naprawić niewybaczalne?

A także: skoro są skrzywdzeni, to gdzie są krzywdziciele?

\* \* \*

Na początku lat dziewięćdziesiątych specjalną grupę śledczą do spraw szkół z internatem powołała policja, ruszyły też procesy cywilne przeciwko sprawcom. Ale to nie wystarczyło.

W sądzie zarejestrowano historyczny wniosek w sprawie *Fontaine vs. Canada*, Fontaine przeciwko Kanadzie. Do pozwu zbiorowego razem z Philem Fontaine’em przystąpili też inni ocalańcy. Dopiero wtedy sprawy przyspieszyły, a rząd federalny rozpoczął negocjacje. W 2005 roku została zawarta historyczna IRSSA (*Indian Residential School Settlement Agreement*, Uгода w sprawie indiańskich szkół z internatem), która weszła w życie dwa lata później. Cichy i małomówny Phil Fontaine wynegocjował najwyższą ugodę w historii Kanady.

Złożone pod nią podpisy należały do Kanady, grona skarżących, Zgromadzenia Pierwszych Narodów (Assembly of First Nations, AFN) i przedstawicieli Inuitów. A także do Synodu Generalnego Anglikańskiego Kościoła Kanady, Prezbiteriańskiego Kościoła Kanady, Zjednoczonego Kościoła Kanady oraz przedstawicieli



Kościoła rzymskokatolickiego – organizacji, które stworzyły i utrzymywały system szkół z internatem. Pomimo podpisania ugody ani Kanada, ani żadna z organizacji religijnych nie wzięły na siebie odpowiedzialności za to, co działo się w szkołach.

Zgodnie z zapisami ugody Kościół katolicki miał wpłacić dwadzieścia dziewięć milionów dolarów na utworzony właśnie fundusz Aboriginal Healing Foundation, przeznaczyć świadczenia warte dwadzieścia pięć milionów na wsparcie rdzennych społeczności oraz dodatkowo zgromadzić drugie tyle na pomoc dla ocalańców ze szkół z internatem. Zaczął nawet zbierać pieniądze – ale ich jakoś nie zebrał.

Po kilku latach okazało się, że rząd federalny zwolnił Kościół z tych zobowiązań finansowych. Pieniądze, które trafiły do ocalonych, zostały wypłacone przez państwo – rząd federalny wysłał wtedy przelewy na łączną kwotę sześciu i pół miliarda dolarów.

Tylko że otwarcie szkatuły to nie wszystko. Nadal brakowało mocnego gestu, oczekiwanego symbolu: przeprosin z samej góry.

W 2008 roku premier Stephen Harper, szef Partii Konserwatywnej, przyznał oficjalnie na forum parlamentu, że system szkół z internatem obliczono na oderwanie dzieci od rodziców i zasymilowanie ich w ramach dominującej kultury.

To był przełom.

– Niektórzy chcieli, jak to się niestety mawiało, zabić w dziecku Indianina. Dziś wiemy, że taka polityka asymilacji była złem i spowodowała ogromne szkody. Nie ma na nią miejsca w naszym kraju – podkreślił.

Głos Harpera wybrzmiał na jednej nucie, bez pauz i akcentów. W monotonne przeprosiny trudno było wtedy uwierzyć i wiele

osób czuło się nimi podwójnie dotkniętych. Ale i tak wiadomo, że były to historyczne słowa:

*Nous le regrettons.*

*We are sorry.*

*Nimitataynan.*

*Niminchinowesamin.*

*Mamiattugut.*

Przepraszamy.

\* \* \*

Jak wejść wspólnie na drogę pojednania, skoro nie ma ani mapy, ani nawet punktu zbiórki?

Podjęto wiele prób zmierzenia się z historią. Rozpisaną na wiele głosów dyskusję o tym, co się tu wydarzyło, przeprowadzono. Niełatwe lekcje porządnie odrobiono. Opinie się różnią – każdy może mieć swoją własną, ale panuje zgoda, że nie można mieć swoich własnych faktów. Jednak ustalenie prawdy to był dopiero początek. Historyczna IRSSA zobowiązała rząd nie tylko do uruchomienia wypłat, ale i do podjęcia wysiłku zbliznienia ran. Tak właśnie powstała Komisja Prawdy i Pojednania.

\* \* \*

Raport komisji czyta się dziś nie tylko w salach plenarnych i sądowych, ale także w szkołach i domach. O tym, co się w Kanadzie wydarzyło, zaczyna się mówić już małym dzieciom.

Przedszkolaki, które uczą się alfabetu, mogą ćwiczyć:

*H is for Hockey, our heroes, our boys.*

*M is for Mother, all of them special, unlike any other.*

*O is for Ojibwa, first on the land.*

H jak hokej – nasi bohaterowie, nasi chłopcy.  
M jak mama, każda wyjątkowa, do innych niepodobna.  
O jak Odżibwejka, na tej ziemi była pierwsza.

Pokolenie, które przychodzi na świat w Kanadzie, oraz tak zwani Nowi Kanadyjczycy (*New Canadians*), napływający z innych miejsc na ziemi, są już taką edukacją objęci. Musimy mówić o prawdzie, choćby była dla nas najstraszniejsza, uważają Kanadyjczycy. Jednak nie każdy ma siłę unieść raport Komisji Prawdy i Pojednania. Kanada przez jakiś czas szukała sposobu na zmierzenie się z jego treścią.

Pomogli go znaleźć Chanie Wenjack, chłopiec z zapałkami, i Gord Downie, mężczyzna z piórkiem w kapeluszu.

## 5. TAJEMNA ŚCIEŻKA CHANIEGO WENJACKA

Dom Wenjacków stał w miejscu, gdzie rzeka Ogoki łączy się z wodami wielkiej Albany, by w końcu wlać się do Zatoki Jamesa. W słoneczne dni, kiedy woda była spokojna, jej powierzchnia odbijała wiernie niebosiężne, świerkowe drzewa. Na takim właśnie lustrze pod koniec wakacji lądował samolot, by zabrać dzieci z Ogoki Post do odległej szkoły z internatem.

Chanie Wenjack był Anishinaabe, więc od zamknięcia w szkole nie było odwrotu. Trafił do placówki imienia Cecilii Jeffrey w Kenorze na północy prowincji Ontario. Rodzice musieli go tam oddać razem z resztą rodzeństwa: Annie, Margaret, Daisy, Evelyn, Martha, Lizzie, George'em, Samem i Emily.

Na liście zabrakło Pearl – to ona w przyszłości zgodzi się, by Gord Downie opisał historię jej brata. Potem okaże się, że to sam dyrektor szkoły wówczas pozwolił, by Pearl została: w tym czasie matka Wenjacków umierała na nowotwór, ktoś musiał zająć się domem. Latem 1966 roku Chanie miał dwanaście lat. Wchodząc na pokład samolotu, odwrócił się do siostry i powiedział:

– Pearl, mam prośbę. Upierz moje ubrania i odłóż je do osobnego pudełka. Mój bordowy sweter możesz sobie wziąć.

Samolot odleciał, ale niecałe dwa miesiące później Chanie postanowił wrócić do domu – na piechotę. Znał adres. Wiedział, że powinien iść do Ogoki Post, nadrzecznej osady w rezerwacie Marten Falls. Wiedział, w którą stronę ma się kierować. Ale nie wiedział, że do pokonania ma sześćset kilometrów. Szedł wzdłuż

torów kolejowych; padał śnieg. Chanie miał ze sobą słoik, w którym trzymał siedem zapalek. Udało mu się żadnej z nich nie zamoczyć – były jego jedynym źródłem ciepła i światła.

\* \* \*

Istnieje co najmniej sześć fotografii Chaniego. Jedna, często powielana, pokazuje roześmianego zawadiakę. Chanie opiera się o ścianę budynku, ma na sobie niedopiętą kurtkę. Jego policzki są pucołowate, a oczy zmrużone od słońca i śmiechu.

Na pozostałych zdjęciach Chanie ma ostre rysy, leży na wznak w mokrym bawełnianym ubraniu. Na nogach ma skórzane buty do kostki, ich brzegi są wywinięte do środka, żeby chronić stopę przed wpadającym do wewnątrz buta śniegiem.

Kiedy go znaleziono, Chanie nie miał przy sobie dokumentów – miał za to rozległą bliznę w kształcie litery U, idącą od prawego obojczyka w dół i w górę, do lewego. Znak, że jego klatkę piersiową kiedyś otwarto. Nauczyciele ze szkoły w Kenorze nie potrafili powiedzieć, kiedy i po co. O życiu swego podopiecznego nie wiedzieli zbyt wiele. Nie chcieli nawet mówić do niego imieniem, które wybrali mu rodzice. Woleli nazywać go Charlie. Po wszystkim powtarzali: „Nasz Charlie był takim dobrym, takim wesołym chłopcem”.

Nie potwierdzili, czy ucieczka miała coś wspólnego z tym, że tydzień wcześniej spuszczano mu potężne lanie. O tym, że nie tylko go bili, nie powiedzieli wcale.

To wkrótce po tamtym Chanie zdecydował się uciekać. Był ciepły październik – chłopcy nosili jeansy, koszule w kratę, cienkie kurtki i skórzane buty do kostki. W placówce mieszkało wówczas jakieś sto pięćdziesięcioro dzieci i tylko sześcioro dorosłych. Zniknąć było łatwo. Budynek otaczał płot z drutu kolczastego, ale w jednym

miejscu dzieci zrobiły dziurę. Wystarczyło się prześlizgnąć, a potem już tylko pędzić przed siebie. Nie środkiem, a brzegiem, przez leśną gęstwinę, przez las.

Dzieci ze szkoły wiedziały, że istnieje tajemna ścieżka, *a secret path*, którą umieli się poruszać tylko rdzenni mieszkańcy tych ziem. Na taką właśnie ścieżkę wkroczył Chanie z kolegami, braćmi McDonald. Ale był po operacji, nie nadążał. Koledzy musieli na niego czekać i szybko zrozumieli: Chanie spowalnia tempo i przez to naraża całą grupę.

Chłopcy dotarli do chatki, w której żyli traperzy, dalecy krewni braci McDonald. Chaniego nazwali: „ten obcy”. Karmili trzech uciekinierów przez parę dni, ale wkrótce trzeba było ruszyć na wielodniowe polowanie. Traperzy zabrali ze sobą tylko kuzynów. Powiedzieli: „Ten obcy z nami nie idzie”.

Żona trapera na wszelki wypadek zostawiła Chanemu smażone ziemniaki z boczkiem i zakręcany słoiczek z zapałkami. Chłopak próbował ich gonić, ale przemieszczali się zbyt szybko. Jeszcze się z nimi spotkał podczas postoju, jeszcze dali mu herbaty, ale do jedzenia już nic. Wkrótce ruszyli dalej, Chanie został sam. Dotarł do torów, gdzie znalazł porzucony rozkład jazdy pociągów. Na papierze była mapa i litery, których mimo kilku lat w szkole z internatem Chanie nie rozumiał. Wiedział, że gdzieś na tej mapie widnieje jego droga do domu. Ale nie umiał jej rozpoznać.

Zdecydował się pójść wzdłuż torów i szedł tak przez co najmniej trzy dni. Zasinienia na jego podudziach, na czole i pod lewym okiem powiedzą, że kilkakrotnie przewracał się na podkłady między torami. Aż w którymś momencie padł na wznak.

W niedzielę rano, 23 października 1966 roku, maszynista pociągu numer 821 kanadyjskich kolei zaciągnął hamulec i zatrzymał skład obok leżącego przy torach dzieciaka w przemoczonym ubraniu. Był

przekonany, że to on potrafił chłopca. Potem specjaliści długo się kłócili, co chłopca powaliło pierwsze: zimno czy głód. Zlecono sekcję; wykazała, że dziecko zmarło na skutek wychłodzenia. Protokół nadmienił też, że w jego żołądku nie znaleziono śladów pokarmu.

Dyrektor szkoły w Kenorze, sam wychowany w internacie, uznał, że w tej sytuacji należy odesłać do domu pozostałe dzieci Wenjacków. Wsadził je do samolotu lądującego na gładkim lustrze Ogoki. Kiedy stary Wenjack wrócił do domu, stanął jak wryty na widok swoich dzieci i żony, zwolnionej specjalnie ze szpitala. Od razu zrozumiał, że są tu wszyscy, tylko nie Chanie, i osunął się na ziemię.

Przez kilka dni nie wstawał ani nie jadł. Kiedy w końcu się podniósł, wyszedł na dwór kopać swojemu synowi grób. Sam złożył w nim ciało Chaniego, sam odprawił nabożeństwo – tak wspomina to Pearl.

Wenjackowie nie wiedzieli, że w dokumentacji koroner dopisał wśród zaleceń wszczęcie osobnego śledztwa w sprawie wysokiego odsetka ucieczek chłopców mieszkających w szkole z internatem imienia Cecylia Jeffrey. Ale żadnego śledztwa nie było. Powstał za to reportaż. W 1967 roku kanadyjski magazyn opinii „Maclean's” opublikował tekst *Samotna śmierć Chaniego Wenjacka*:

„Nic w tym dziwnego, że indiańskie dzieci uciekają ze szkół z internatem, do których są wysyłane. Robią tak cały czas, odmrażają sobie i tracą wtedy palce u stóp i u rąk. Czasem tracą nogę albo rękę, starając się wdrapać na wagony pociągów towarowych. Czasem któreś ginie. Być może dlatego, że są Indianami, nikt za bardzo się tym nie przejmuje. Mamy tu do czynienia z historią małego chłopca, którego spotkała straszna i samotna śmierć. To opowieść o grupie ludzi, która się do tego

przyczyniła, a także o miasteczku, które właściwie niczego nie zauważyło”.

Po latach do Daisy, jednej z sióstr Chaniego, zadzwonił mężczyzna. Przedstawił się i powiedział, że jest jego kolegą ze szkoły. Dodał, że tamtej październikowej niedzieli poza Chaniem i braćmi McDonald ze szkoły w Kenorze uciekło kilku innych chłopców – w sumie było ich dziewięciu.

– W internacie dręczono nas nocami. Robili nam to nie dorośli, lecz starsi chłopcy. To dlatego uciekliśmy – dodał głos w telefonie. – Ja nie pobiegłem z Chaniem. Wybrałem inną drogę, schroniłem się na pobliskiej farmie. Nakarmiono mnie tam i ogrzano. A kiedy już poczułem się bezpieczny, gospodarz wziął telefon i wezwał policję.

\* \* \*

Kilkanaście lat temu numer magazynu „Maclean’s” z reportażem o samotnej śmierci chłopca z zapalkami trafił do rąk Gorda Downiego, człowieka w kapeluszu fedora z piórkiem wetkniętym za wstążkę.

– Nigdy nie znałem Chaniego, ale zawsze będę go kochać. Jego duch nie daje mi spokoju. Jego historia to historia Kanady. Nie jesteśmy krajem, za jaki się uważamy – powie Gord Downie, poeta, aktywista, kanadyjski Bruce Springsteen. On i jego zespół, The Tragically Hip, od ponad trzydziestu lat są kronikarzami, powiernikami i tłumaczami Kanady. Muzyk, który nosi kapelusz z piórkiem, zaprzęgnie dla upamiętnienia chłopca z zapalkami cały swój autorytet i popularność.

Zacznie pisać o historii Chaniego i dalej, o historii szkół z internatem. Pierwszych dziesięć wierszy wyda jako tomik *The Secret Path* (Tajemna ścieżka). Potem pójda za tym piosenki, a za nimi – nagrody. Downie stanie się rzecznikiem historii



ocalenców – w Kanadzie go kochają, jest ich bardem, przyjacielem i sumieniem. Będą słuchać, co ma im do powiedzenia.

To będzie jego testament. Z ustawicznego opowiadania o Chaniem i szkołach z internatem Gord Downie, zwany przez kochających go rodaków „Gordiem”, uczyni swoje dziedzictwo, które przyćmi jego wszystkie wcześniejsze dokonania artystyczne. Powoła fundację, wyprodukuje film i wyda komiks o Chaniem. Zdecyduje, że pieniądze trafią do National Center for Truth and Reconciliation, Narodowego Centrum Prawdy i Pojednania, które powstało dzięki komisji. Ale nie ograniczy się tylko do sztuki. Będzie też organizował szkolenia, warsztaty i kursy mówiące o kanadyjskich internatach dla rdzennych dzieci.

Chce, by dowiedzieli się wszyscy. Ale do tego potrzebuje sojuszników.

Po pierwsze, chociaż od kilkunastu lat działał w sprawie pojednania, nadal jest białym outsiderem. Rozumie, że nie może zawłaszczyć historii Chaniego – potrzebuje zgody rodziny. Siostra chłopca, Pearl Wenjack, daje mu swoje przyzwolenie. Po drugie, potrzebne będą pieniądze. Co zrobić, by mu nie odmówiono? Do których drzwi ma zapukać, by być usłyszonym w sprawie nieżyjącego od pięćdziesięciu lat dziecka?

Wiosną 2016 roku Gord Downie wypowiada publicznie słowa: *glioblastoma multiforme*. W jego głowie rośnie glejak wielopostaciowy. Nie pomaga już żadne leczenie, będziemy się żegnać.

Zespół rusza w ostatnią trasę. Na finałowy koncert The Tragically Hip w ich rodzinnym Kingston przychodzi premier Justin Trudeau. Ale nie może cieszyć się muzyką – zostaje wywołany ze sceny i zobowiązany do pracy nad pojednaniem. Słucha tego blisko dwanaście milionów Kanadyjczyków w domach, barach, parkach

i salach kinowych – bo tej nocy zbierają się, by być z Gordem. Jego ostatni koncert transmitowany jest w radiu, telewizji i w sieci. CBC nie przerywa go ani jedną reklamą. Policja tweetuje: „Drogi świecie, uprzejmie informujemy, że dziś od godziny 20:30 Kanada zostanie zamknięta z okazji dnia #TragicallyHip”.

– To, co działo się w szkołach, było bardzo, ale to bardzo złe. Musimy sobie z tym poradzić. To wy musicie sobie z tym poradzić – mówi Gord na do widzenia. Kiedy w Kingston cichnie muzyka, zrywają się brawa i wybucha szloch. – Dziękuję wszystkim. Dzięki, że tego wysłuchaliście. Dzięki, że słuchaliście, koniec. Miłego życia.

Wkrótce nadchodzi wiadomość: Gord Downie, najważniejszy muzyk Kanady i adwokat Chaniego Wenjacka, nie żyje. Kanadyjski parlament żegna go minutą ciszy. Stacje radiowe na okrągło puszcza jego muzykę. Autobusy zastępują numery linii na wyświetlaczach zdaniem: „Będziemy tęsknić, Gord”. Pracownicy knajp w miejsce informacji o menu wypisują na tablicach cytaty z jego piosenek. A czasem tylko: „RIP, Gordie”. W okolicach stacji metra Rosedale w Toronto zamiast zaproszenia na lunch dnia ktoś pisze na potykaczu: „Czekamy do 22:00. Nie płacz sam”.

Telewizja pokazuje premiera Trudeau, który siąka do mikrofonu, nie kryjąc łez przed dziennikarzami i opinią publiczną. Ale ta sama kanadyjska opinia publiczna, choć otwarta na empatię i emocje, jest bardzo pragmatyczna. Choć na weselu z radości upiła się połowa liberalnego świata, to mało kto zauważył, że Kanada zawarła w 2015 roku małżeństwo z rozsądku, stawiając na czele rządu federalnego nie księcia, lecz menadżera, który naprawianie krzywd i pojednanie wpisał do swojego programu wyborczego.

Po dwóch latach, na półmetku kadencji, będzie musiał zorganizować wielką, jubileuszową imprezę. Pierwszego lipca 1897 roku weszła bowiem w życie podpisana przez królową Wiktorię

Ustawa o Ameryce Brytyjskiej (British North America Act). Na jej mocy cztery dawne kolonie brytyjskie – Ontario, Quebec, Nowy Brunswik i Nowa Szkocja – zawiązały konfederację, Dominium Kanady.

Co roku Kanada świętuje to jako *Canada Day* – ale rok 2017 przyniósł naprawdę wyjątkowe obchody.

## 6. LUSTRO NA URODZINY

Urodziny rozpoczęły się od egzekucji. Głowy spadły szybko i niezatrzymywane przez nikogo potoczyły się po obrusie daleko poza stół, na którym stawiano patery.

– To sygnał, że nie wolno już mówić tego, co się myśli. Ktoś chce nam sznurować usta – powiedzieli goście, zajmując miejsca po jednej stronie urodzinowego stołu.

– To nie tak. Te głosy były niegodne i krzywdzące. Nie ma na nie zgody. Nie możemy śpiewać radosnego *Sto lat*, gdy głosy obok brzmią fałszywie – odparli ci, którzy zasiedli naprzeciwko.

Jak to czasem bywa w kochających się rodzinach, na przyjęciu doszło do awantury. Repertuar był klasyczny: kto ma prawo mówić i o czym, kto i jak powinien się dziś ubierać i kto za to wszystko ma zapłacić. Potem na imprezie jedni wznosili toasty, obejmowali się i tańczyli. To ci, którzy nie mogą zliczyć powodów do radości. Innym, siedzącym tuż obok, tort stawał w gardle. Nie byli w stanie rzucać serpentyn, nie dmuchali baloników. To ci, którzy nadal opłakują stratę. Pomiedzy nimi na stole zapakowany w biało-czerwone bibułki leżał najważniejszy, jubileuszowy prezent.

Lustro.

Nie wszystkim spodobało się to, co w nim zobaczyli. Ale zgromadzeni na przyjęciu goście uznali, że przyzwoitość wymaga, by się w nim w końcu wspólnie przejrzeć.

Zdejmijmy filtry, spójrzmy, tacy właśnie jesteśmy. Jesteśmy jednym z najwspanialszych krajów na świecie. Latami

pozwalał mi krzywdzić dzieci.

Z okazji jubileuszu Kanada zafundowała sobie trudne pytania o tożsamość, winę i odpowiedzialność. Pretekstem do dyskusji przy torcie była zawodowa śmierć kilku prominentnych ludzi mediów.

Pierwszy z nich napisał: sięgajcie po to, czego nie znacie. Drugi poparł nagrodę za przekraczanie granic swojej bańki. Trzeci stwierdził, że debatę o tych granicach należy w końcu odbyć. W Kanadzie nie spotkali się ze zrozumieniem.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam dlaczego. Wiosną 2017 roku siadywaliśmy więc z mężem przy stole w naszym torontońskim mieszkaniu i codziennie po kolacji rozmawialiśmy o debacie, która właśnie przetaczała się przez Kanadę. Patrzyliśmy na kolumny w gazetach, rozumieliśmy język, ale nie czuliśmy jego nerwu. Co dostrzegają ci, którzy tu mieszkają?

Gdyby któryś z naszych synów zrobił wtedy zdjęcie, wyglądałoby to tak: dwoje dziennikarzy, obłożonych gazetami, próbuje patrzeć na nie pod różnymi kątami, raz zbliżając papier do oczu, raz go oddalając. Drapią się po głowach i szukają w swoim bagażu narzędzi, które pozwolą im odczytać to, co napisano w metatekście. Przyjechaliśmy na drugi koniec świata w złe dobranych okularach. Przetarliśmy je ze zdumienia w dniu, kiedy głowa Hala Niedzwieckiego spadła jako pierwsza.

\* \* \*

Wiosną 2017 roku Hal Niedzwiecki szefował jeszcze niszowemu magazynowi „Write”. Przygotował właśnie numer w całości poświęcony rdzennym twórcom i pisarzom, *Indigenous writers*. Płyną oni bocznym strumieniem, który próbuje łączyć się z rwącymi wodami *CanLit*, głównego nurtu kanadyjskiej literatury.

Sprawdzam w największej sieciowej księgarni Indigo<sup>[5]</sup> – na listach bestsellerów nie ma ani jednego rdzennego autora. Rdzenni twórcy nie mają znaczącego udziału w rynku wydawniczym. Ich rękopisy bywają przez wydawców zwracane z dopiskiem: *non-marketable*, bez wartości rynkowej.

Przygotowany przez Niedzwieckiego numer miał być początkiem rzetelnej środowiskowej dyskusji o trudach i wyzwaniach, z jakimi mierzą się rdzenni twórcy. Mógł być początkiem rzetelnej debaty o tym, że w mediach rządzonych przez białych, dojrzałych mężczyzn twórcy reprezentujący mniejszości – kobiety, środowiska imigrantów, LGBT+ czy rdzennych – wciąż nie mogą mówić pełnym głosem.

A jednak niszowy magazyn stał się zarzewiem narodowej dyskusji o winach Kanadyjczyków, kulturowym ludobójstwie i nadziejach na pojednanie.

Jako naczelny Niedzwiecki stwierdził we wstępniku, że rdzenni twórcy są solą kanadyjskiej literatury i jej najbardziej życionośną częścią, chociaż nie sprzyjały im historia i okoliczności.

Ale dodał coś jeszcze, za co przyszło mu zapłacić stanowiskiem i narodową infamią:

„Nie wierzę w kulturowe zawłaszczanie. Moim zdaniem każdy i wszędzie powinien być zachęcany do tego, by przywoływać wyobrażenia innych ludzi, innych kultur, innych tożsamości”.

„Piszcie o tym, czego nie znacie. Niestrudzenie odkrywajcie życiorysy ludzi, którzy są różni od was”, radził Niedzwiecki pisarzom, dziennikarzom, bloggerom.

Kanadyjska literatura należy do białej klasy średniej, dlatego autorzy powinni przyjmować inne, nieznane im perspektywy i oddawać głos ludziom spoza kręgu piszących – tak odczytali to jedni.

Zamiast wspierać twórczość rdzennych pisarzy, Niedzwiecki zachęca białych i uprzywilejowanych, by sięgali po historie tych, którzy byli tu pierwsi. Zaprasza ich, by byli rzecznikami spraw, o których nie mają pojęcia, a potem jeszcze zarabiali krocie, i to kosztem tych, których prawdziwy, nieznieskształcony głos nigdy nie będzie słyszany – tak odczytali to drudzy.

Niedzwiecki napisał, że warto nagradzać tych, którzy odważą się wyjść poza własne środowisko: „Powiedziałbym nawet, że powinna być ustanowiona specjalna nagroda, która będzie to promować – nagroda za zawłaszczanie dla autora piszącego o ludziach zupełnie do niego czy do niej niepodobnych”.

Nagroda za zawłaszczanie. W kraju, który szykował się do obchodów sto pięćdziesiątych urodzin, wieszając od Wyspy Księcia Edwarda na Atlantyku aż po wyspy Haida Gwaii na Pacyfiku plakaty z napisem Canada150. Tylko że na tych plakatach coraz częściej dopisywano dodatkowe dwa zera. Canada15000 – byliśmy tu dawno przed wami. Jesteśmy tu od początku świata.

Coraz wyraźniej było słychać pomruk: to nagroda za to, że biali przez chwilę poudają, że są nami. To nagroda za kradzież i bogacenie się na cudzej krzywdzie.

Przecież to tylko taki żart, tłumaczyli potem w prasie biali publicyści. Ale Hal Niedzwiecki się nie śmiał. W mediach społecznościowych, elektronicznych i drukowanych padały pod jego adresem oskarżenia o strukturalny rasizm i kulturowe ludobójstwo. Szybko przeprosił za brak wrażliwości, ale to już było bez znaczenia. Kiedy majowy numer „Write” trafił na półki, nie był już naczelnym. Jego znajomi mówią, że musiał zniknąć z radaru. Na moje prośby o rozmowę nie odpowiedział.

\* \* \*

Pomysł Hala na nagrodę za zawłaszczanie skomentował inny prominentny redaktor, Steve Ladurantaye. Dziewiętnaście znaków ze spacjami przekreśliło jego karierę. Ladurantaye był wtedy szefem najpopularniejszego programu informacyjnego w telewizji CBC. Niezależnie od przekonań politycznych, kraju pochodzenia czy języka, jakim na co dzień posługują się w domach, Kanadyjczycy zasiadają przed telewizorami, by obejrzeć „The National”.

Dlatego szeroko komentowano fakt, że stacji udało się pozyskać wielką gwiazdę: eksperta od nowych mediów, menedżera, który dotychczas zarządzał Twitterem. Stacja wiązała z nim wielkie nadzieje, ale wkrótce jednym ruchem odetnie rękę, która ją zgorszy. Kiedy w maju Steve Ladurantaye dowiedział się o burzy wokół słów Hala Niedzwieckiego i jego pomysłu na nagrodę, napisał na Twitterze, że dorzuci stówkę: *I'll throw in \$100*.

Następnego dnia było już jasne, że będą kłopoty. Ladurantaye skasował tweeta i publicznie przeprosił.

– Nie zadałem sobie trudu, by pomyśleć, jak to jest, gdy się nie ma mojej pozycji, mojej władzy albo mojego głosu.

Ale to już nic nie dało.

W sobotę próbował się tłumaczyć tweetami, które potem kasował. W poniedziałek rano, kiedy przyszedł do pracy, dowiedział się w redakcji, że wielu kolegów czuje się głęboko urażonych. W środę Jennifer McGuire, szefowa działu informacji stacji CBC, poinformowała, że Ladurantaye stracił posadę, a decyzją firmy wakacje spędzi, studiując dziedzictwo rdzennych mieszkańców Kanady. Stacja nie była wyrozumiała: musi być jasne, że brak elementarnej wrażliwości społecznej oznacza automatyczne wykluczenie z publicznej debaty.



Wakacje minęły, ale Ladurantaye nie wrócił do pracy w najważniejszym programie Kanady. Dziennikarzom odpowiada: teraz skupiam się na tym, by słuchać. O tym, co się wydarzyło, rozmawiać ze mną nie chciał.

Pięć lat przed tym, jak na oczach narodu spadł w medialny niebyt, mówił studentom, jaki kodeks powinien obowiązywać dziennikarzy na Twitterze. Punkt pierwszy i ostatni brzmią tak samo: „Pamiętaj, że od wywalenia na bruk dzieli cię tylko jeden tweet”.

\* \* \*

W sprawie głos zabrał też Jonathan Kay, uznany konserwatywny publicysta i naczelny magazynu „Walrus”. „Walrus” publikuje dłuższe reportaże, opowiadania i wiersze, za to tylko na jeden temat: na temat Kanady.

Ale choć wątków i spojrzeń jest tam wiele, to norma – tylko jedna. Kay przyznał, że coraz częściej łapie się na tym, że musi się cenzurować i że jest już tym coraz bardziej zmęczony. Na łamach konserwatywnego dziennika „The National Post” jako jeden z nielicznych otwarcie skrytykował zdławienie debaty o tym, komu i o czym wolno pisać w Kanadzie. Dodał, że rozumie, że wkrótce i on straci posadę. Ale zanim spadła i jego posiwiata głowa, zdążył napisać: „Powinniśmy odbyć dyskusję o kulturowych zapożyczeniach: co jest ważniejsze? Prawa artystów do poszerzania granic swej wyobraźni ku całości ludzkiego doświadczenia czy raczej prawa marginalizowanych przez historię społeczności, które chcą chronić się przed potencjalnymi błędami w interpretacji ich historii?”. Stwierdził, że staje po stronie wolności słowa, po czym w atmosferze skandalu zrezygnował z pracy.

\* \* \*

O problemie kulturowych zawłaszczeń piszą krytycy sztuki i antropolodzy kultury – w znakomitej większości biali, wywodzący się z anglosaskiej tradycji akademickiej. To najczęściej teoretyczne rozważania.

Istotę problemu najlepiej widać przy gablocie z kolczykami.

Przy ulicy Bloor, która dzieli centrum Toronto na północ i południe, są dwa miejsca, które próbują zaznaczyć obecność rdzennych mieszkańców. Jedno to knajpka, w której można zjeść tak, jak gotowało się dawniej. Nish-Dish, gra słów, danie Nishów, danie ludu Anishinaabe. W menu gulasz z dziczyzny, gęsta zupa z trzech sióstr (kukurydza, fasola, dynia), gorzki napar z szaławii. Drugie miejsce to sklep z rdzennymi artefaktami. Ale nie ma tu pamiątek, jakie z reguły z Kanady przywożą turyści. Nie ma tu „indiańskich łapaczy snów” *made in China* ani świętych figurek podbiegunowych, inuksuków (w wersji eksportowej zbudowanych z nałożonych na siebie płaskich kamieni, klejonych w azjatyckiej fabryce). To sklep z ręczną robotą. Można tu kupić biżuterię, skórzane buty, grube, gryzące koce, a nawet metalowe bidony na wodę ozdobione etnicznym wzorem. Przy większości przedmiotów karteczka – kto to zrobił, skąd pochodzi.

W jednej z gablot wiszą kolczyki z drobnych koralików. Proste, ale charakterystyczne: zakrzywiony haczyk i zawieszony na nim żółt, symbol płodności i jednocześnie symbol tej ziemi, Żółtwej Wyspy.

W sklepie są ze mną moje dzieci.

– I co, podobają się wam? – pytam synów, przykładając haczyki do uszu.

– Są piękne, mamó. Takie kolorowe, jak na bal. Ale nie pasują ci.

– Dlaczego? Za duże? Za ciężkie?

– Nie, mamó! *That's not the point*. Nie o to chodzi – śmieją się chłopaki. – To nigdy nie będzie twoje. Nie widzisz? Przecież ty nie-jes-teś *Indigenous*!

\* \* \*

Dzieci już od przedszkola uczone są, że osadnicy z Europy nie byli pierwsi na tych ziemiach. Kiedy w popularnym sieciowym sklepie pojawia się książka pokazująca uśmiechniętego rdzennego chłopca z pióropuszem jak z kreskówki, zapraszającego szerokim gestem innego chłopca, w kowbojskim stroju, opinia publiczna trzęsie się z oburzenia. Książka zostaje wycofana ze sprzedaży.

Zazwyczaj kiedy biblioteka pozbywa się zasobów, kładzie się obok kurtuazyjną kartkę: *Please enjoy your free copy*. Darmowa książka, miłej lektury. Ale dziś takiej kartki nie będzie. W jednej ze szkół w centrum Toronto bibliotekarka wykłada stos książek na stoliku przed sekretariatem. To podręczniki, elementarze dla pierwszoklasistów. Prawie niezniszczone, niedawno wydane, w twardej oprawie, bogato ilustrowane. Drogie. Dlaczego szkoła się ich pozbywa?

I już wiem. Rozdział o historii Kanady mówi wiele o zwyczajach mieszkających w tej prowincji Pierwszych Narodów, o ich strojach, kuchni i systemie budowania palisad i długich domów, w których chroniło się wiele rodzin naraz. Jest tam wszystko oprócz tego, co się z tymi ludźmi stało. Dlatego z takiego podręcznika szkoła nie chce już korzystać.

Ale jak uczyć młode pokolenie, do końca nie wiadomo. Wiele osób się stara, ale nie ma narzędzi. Zamiast zabić ranę, tylko ją rozjątrają.

Jak biała nauczycielka z Montrealu, która rozpoczęła rok szkolny, witając dzieci na boisku ze sztucznym pióropuszem na głowie. Nie była to prawdziwa ozdoba, święte nakrycie głowy, tylko udająca je opaska z przyczepionymi piórami. Podobne pióropusze rozdała dzieciom. Niektóre założyły je na głowy i poszły ganiać po boisku. Ale niektóre były poruszone, chciały je podrzeć.

Szkoła tłumaczyła się, że miał to być miły wstęp do nauczania o kulturowym dziedzictwie rdzennych narodów. Ale jak można uczciwie uczyć historii, biorąc cudzą traumę za kostium?

\* \* \*

Kanada nie bez wysiłku na co dzień analizuje, gdzie jest granica między zapożyczeniami a kradzieżą. Nie ma jednego wzorca, nie ma ustawy, rozporządzenia, norm, które pomogą określić, którądy ta linia przebiega. Zasadę, kto ma prawo mówić i o czym, negocjuje się wciąż na nowo. Z reguły przynajmniej jedna ze stron jest urażona, najczęściej – obie.

Jak w przypadku Amandy PL. W maju 2017 roku, tuż przed urodzinowym jubileuszem, kiedy spadają głowy dziennikarzy, galeria Visions w Toronto ogłasza otwarcie wystawy. Zaprezentowane mają być prace Amandy PL, młodej, dwudziestodziewięcioletniej artystki. Amanda nie kryje, że jest pod wielkim wpływem dzieł rdzennych kanadyjskich malarzy, znanych jako grupa z Woodlando.

W jej obrazach najmocniej widać wzorowanie się na Norvalu Morrisseau, który zdobył sławę w latach sześćdziesiątych i właściwie dźwignął rdzenną sztukę do panteonu skarbów narodowych. Jego prace to dziś w Kanadzie kanon, elementarz malarstwa; przypominają witraże pełne zwierząt, roślin i alegorycznych postaci z rdzennej kosmogonii. Kontury malowane

charakterystyczną, grubą czarną kreską, a w środku jaskrawe, płaskie kolory. Są to też kształty, których nie można odkleić od rdzennej kultury – a Norvala nie można pomylić z nikim innym.

Widać, że Amanda pokochała jego talent. To zapatrzenie jest tak wielkie, że można nawet się spierać, czy wolno jeszcze mówić o inspiracji, czy należałoby podejrzewać plagiat. Ale nie to jest teraz największym problemem Amandy. Chodzi o to, że kopiuje styl Morrisseau, odrywając go od treści. Przetwarza obrazy, ale gubi istotę.

Morrisseau należał do Pierwszych Narodów. A Amanda jest biała.

W rezultacie publiczność patrzy na kopiowane przez nią ślady po Norvalu, ale nie rozumie, co widzi. A patrzy przecież na zapis terapii i wychodzenie z traumy.

Norval Morrisseau jako dziecko został odebrany rodzicom i zamknięty w internacie. Oderwany od kultury, przymuszany do chrześcijaństwa, bity, wykorzystywany seksualnie chłopiec zachorował tam na gruźlicę. Niedoleczona, z powikłaniami, ciągnęła się za nim przez lata. W końcu na długo trafił do sanatorium. Przykutą do łóżka i fotela, zaczął malować. Okazało się, że idzie mu doskonale – chociaż do tej pory nie wiedział, że ma jakiejkolwiek zdolności. W szkole nikt nie zwracał uwagi na naturalne predyspozycje czy talenty uczniów, więc jego, tak jak wiele innych dzieci, po prostu przegapiono.

Morrisseau malował w charakterystycznym, ludowym stylu. Kto ma cień pojęcia o kanadyjskiej kulturze, zna jego kreskę. Motywem była przyroda: góry, ryby, ptaki. Ale tematem było co innego. Na jego płótnach ponad ptakami można wyczytać opowieść o szkołach z internatem, o wykorzystywaniu dzieci, o niedożywieniu i o chorobach. Poza tym Morrisseau był Anishinaabe – czerpał z kultury i obrzędów swoich ludzi.

Metaforyczne obrazy, które tworzył, oparte są na tysiącletnich tradycjach, na świętych przekazach, na mitotwórczych symbolach. Nie da się patrzeć na jego prace, nie rozumiejąc, skąd się wzięły. Droga Morrisseau na ściany galerii i muzeów rozpoczęła się na progu domu, z którego go przemocą wyrwano.

Czy jest więc uczciwe, gdy ktoś kopiuje jego styl, nie dzieląc jego doświadczeń, tylko ćwicząc technikę w klimatyzowanych pracowniach akademii sztuk pięknych? Czy można udawać, że jest się jak Norval Morrisseau, nie mówiąc, przez co przeszedł? Czy można liczyć na sprzedaż płócien, na które przekleja się cudzą historię wychodzenia z traumy, lecz ozdabia się je metką ze swoim nazwiskiem i wysoką ceną? Latem 2017 roku Kanada uznała, że nie można.

Kiedy galeria rozesłała zaproszenia na wystawę, w ciągu kilku godzin została zalana odpowiedziami ludzi oburzonych brakiem wrażliwości i szacunku. To przykład kulturowego ludobójstwa, pisali, te obrazy są niegodziwe. Amanda PL była zaskoczona. Tłumaczyła się w prasie, że poświęciła wiele lat na studiowanie rdzennej kultury. Właściciele galerii przyznali, że kontaktując się z artystką, nigdy nie zapytali o jej pochodzenie. Winę wzięli na siebie.

Jednak Amanda zapowiedziała dziennikarzom, że nie odpuści: „Tak się składa, że to mój styl, do którego jestem przywiązana. Tak właśnie zamierzam wyrażać siebie”. I tak właśnie wyraża siebie, ale w galeriach internetowych, bo te realne już jej raczej nie zapraszają. O tym, że wyraża traumę Norwała Morrisseau, Amanda nie mówi. Ale na rozmowę zgadza się chętnie.

– Nie rozumiem tego zamieszania. Moje malarstwo jest ukłonem w stronę rdzennych twórców. – Amanda rozkłada szczupłutkie dłonie. Jest filigranowa, ma długie kasztanowe włosy skręcone

w pierścioneczki i cerę bez jednej zmarszczki. Na spotkaniu towarzyszy jej partner, Gleb. – Media mnie zlinczowały. Oczywiście nie wszystkie. Część mnie popiera, ale w głównym nurcie tego nie słyszeć. Popiera mnie też kuzyn Norvala, napisał mi, że unieśmiertelniam malarstwo jego wuja.

– Media mówią, że rodzina Norvala sprzeciwia się twoim pracom – zauważam.

– Może ktoś tam się sprzeciwia, ale przecież naprawdę nie zrobiłam nic złego. Ja kocham Norvala! Pojechałam zobaczyć miejsca, w których żył. Podążałam jego śladami, patrzyłam na to, na co i on patrzył. A oni mówią mi teraz, że to nie wystarczy. Kanada próbuje mi narzucić, co mam mówić i jak się wyrażać.

– Cenzura idzie jeszcze dalej – wtrąca Gleb. – Sięga się nie tylko po współczesnych artystów, ale i po klasyków. Słyszałaś o skandalu wokół Emily Carr?

\* \* \*

Emily Carr jest najważniejszą kobietą u kanadyjskiej sztalgii. Jedną z jej słynniejszych prac to maleńki obraz przedstawiający białą kapliczkę na tle ciemnozielonego lasu. Emily nazwała ten obraz *Indian Church* – Indiański kościółek. Było to w 1929 roku – ale w Kanadzie czasy się zmieniły.

Jedną z czołowych instytucji kulturalnych w Kanadzie, Galeria Sztuki Ontario, która przygotowała retrospektywę Emily Carr, zdążyła to zauważyć. W futurystycznym budynku na osi dzielącej miasto – po lewej szklana i zimna dzielnica finansowa, po prawej dymiące parą znad dim sumów Chinatown – można obejrzeć europejskie i kanadyjskie skarby. Obok niewielkiego obrazka plakietka: teraz to *Church At Yuquot Village* – *Kościółek we wsi*

*Yuquot*. Tytuł pracy został zmieniony, bo wiele osób czuło się urażonych.

\* \* \*

– Ten świat stanął na głowie! – mówią chórem Gleb i Amanda.

– Do tego tyle jest w naszym kraju rasizmu, ale w drugą stronę. To ja jestem atakowana, bo jestem biała, mam europejskie korzenie i urodziłam się w Toronto – dodaje Amanda. – Po tej aferze straciłam pracę. To znaczy nie do końca. Miałam dostać posadę nauczycielki plastyki. W ostatniej chwili dyrektorka musiała mnie wygooglować, dowiedziała się o skandalu i przestała odbierać telefony.

– Poza tym popatrz, zamek błyskawiczny, jeansy, komputer, Internet – to są wszystko nasze wynalazki, nasze osiągnięcia. Indianie nigdy czegoś takiego nie wymyślili – włącza się Gleb. – A teraz burzą się na Facebooku. W sumie to śmieszne, że do atakowania nas korzystają z tego, co stworzył Zuckerberg.

No bo jakim prawem? Indianie obrażają białych ludzi i mają czelność korzystać przy tym z tego, co dała im cywilizacja białego człowieka.

\* \* \*

Amanda nie jest jedyną, której opinia publiczna kazała przemyśleć swoją wrażliwość.

Jako jedni z pierwszych usłyszeli to liberałowie. Za kadencji Justina Trudeau rozpoczęło się czyszczenie przestrzeni publicznej z nazwisk splamionych kulturowym ludobójstwem. Zapręgnięto język i symbole do naprawiania historycznych zbrodni. Rządzącym



najłatwiej zacząć od gestów. Na przykład zmienić nazwę ważnego budynku, w którym urzęduje rząd federalny.

Do tej pory gmach w Ottawie, stojący naprzeciwko parlamentu, nazywał się Langevin Block. To serce kanadyjskiej państwowości, ośrodek władzy – mieści się tam biuro premiera. Sir Hector-Louis Langevin, człowiek w opiętym surducie i z pomadą ulizującą rzadkie kosmyki, był jednym z ojców konfederacji. Ale nie da się ukryć, że był też jednym z architektów systemu szkół z internatem.

Justin Trudeau zaprosił majstrów, którzy odkręcili tabliczkę z nazwiskiem Langevina. Rdzennym współobywatelom za pośrednictwem mediów powiedział:

– Usłyszeliśmy wasz głos. Ktoś taki jak Langevin nie pasuje do wizji rządu. Rządu, który zakłada silne partnerstwo z rdzennymi mieszkańcami Kanady.

W tym samym czasie na tle obchodów stu pięćdziesięciolecia zawiązania federacji w Kanadzie rozpoczęła się akcja obalania pomników. Dotknęła największe postaci w kanadyjskiej historii.

Ojcem systemu edukacji, łączącego najlepsze brytyjskie tradycje z najgorszymi kolonizatorskimi metodami, był metodysta Egerton Ryerson. Dziś jego imię nosi wiele szkół, w tym jeden z największych w Kanadzie uniwersytetów. W 2017 roku studenci tej uczelni uznali, że winy Ryersona są większe niż jego zasługi i jest dla szkoły hańbą nosić imię człowieka, który stworzył system *residential schools*.

Symboliczny był też upadek pierwszego kanadyjskiego premiera, Johna A. Macdonalda. Pod koniec maja 2018 roku Kanadyjskie Towarzystwo Historyczne przytłaczającą większością głosów podjęło uchwałę o usunięciu nazwiska premiera Macdonalda z nazwy prestiżowej nagrody. Jak zauważono, Macdonald dokonał wielu chwalebnych rzeczy, zbudował państwo. Ale wzniósł je

na plecach rdzennych mieszkańców, dlatego nie jest godny bycia wzorem i patronem.

Dla Macdonalda system szkół był projektem cywilizacyjnym. Zagonić „Indian do rezerwatów”, zbudować kolej, połączyć odległe osady i wymazać rdzenną kulturę – to najważniejsze punkty z *exposé* tamtych rządów. Na przestrzeni kolejnych dekad tę myśl polityczną tylko rozwijano.

Pięćdziesiąt lat później minister prac publicznych i sekretarz stanu Hector-Louis Langevin walczył w parlamencie o większe pieniądze na szkoły i mówił właściwie to samo: „Jeśli chcecie kształcić te dzieci, musicie odseparować je od rodziców (...). Jeśli zostawić je przy rodzinie, nauczą się czytać i pisać, ale pozostaną dzikusami; podczas gdy separacja w sposób, jaki proponujemy, spowoduje, że nabiorą przyzwyczajień i gustów (...) człowieka cywilizowanego”

\* \* \*

Byli też tacy, którzy wprawdzie dostrzegali winy Macdonalda, jednak lubili dodawać to, co zawsze się dodaje: ta-kie-by-ły-cza-sy. Robił rzeczy straszne, ale tak właśnie wtedy było.

Henry Pitawanakwat mówi, że dla jednych premier Macdonald był twórcą państwowości i ojcem konfederacji, ale dla drugih – rasistą i architektem ludobójstwa. Henry zastanawia się, czy w Polsce płaci się banknotami z podobizną Stalina.

– Nie? A w Kanadzie, jeśli chcesz zapłacić za dwie kawy albo kostkę masła, to z dziesięciodolarowego banknotu w pięknym, liliowym kolorze spojrzy na ciebie premier Macdonald.

Wkrótce po naszej rozmowie głos zabrał kanadyjski Bank Centralny. Ogłoszono plebiscyt na nową twarz dziesięciodolarówki. W 2018 roku usunięto wizerunek Macdonalda, zastępując go podobizną Violi Desmond, czarnoskórej bohaterki oporu wobec

rasizmu. Na dodatek na rewersie umieszczono rysunek Kanadyjskiego Muzeum Praw Człowieka. Czy to zadośćuczynienie, czy fanatyczny purytyzm? Czy to działanie ku pojednaniu, czy zaognianie sporów? Tego jeszcze Kanada nie wie – ale nie boi się o tym rozmawiać. W debacie publicznej przeważał pogląd środka: Macdonald jest fundamentalną postacią naszej historii i tożsamości – ale musimy widzieć go w całości.

\* \* \*

Zmiany są widoczne także w szkołach. W 2017 roku odpowiednik kuratorium oświaty w Toronto (Toronto District School Board, TDSB) postanowiło usunąć słowo *chief* ze wszystkich tabliczek ze stanowiskami w swoich strukturach. *Chief* znaczy „główny” – jak główny inspektor do spraw imigracji, główna księgowa. Ale *chief* to także „wódz”. Latami mawiano tak pogardliwie do Kanadyjczyków rdzennego pochodzenia. Kuratorium uznało, że nie godzi się używać słowa, które dla wielu uczniów i nauczycieli oznacza obelgę i przywołuje przykre wspomnienia. W tym samym czasie przybrały na sile głosy, by w czasie narodowego święta zrezygnować z fajerwerków. W Toronto mieszkają ludzie z całego świata, także z ogarniętej wojną Syrii, tłumaczyli pomysłodawcy. Jak możemy zapraszać ich tutaj, obiecując pomoc i schronienie, by potem strzelać im nad głową? Dla nas to festyn, tania rozrywka – im to przypomina bombardowania, zniszczone domy i zabitych bliskich.

Kanadyjskie szkoły publiczne kładą nacisk na budowanie wolontariatu i wspieranie inicjatyw obywatelskich. Ale coraz częściej widać, że w granicach rozsądku, a raczej swojego komfortu. Oznacza to tyle, że uwrażliwiając dzieci zamożnej Kanady na potrzeby innych, w kółko zbiera się tu pieniądze na inicjatywy dobroczynne. Na przykład na budowę studni w Afryce – ale już

raczej nie na wsparcie sąsiadów z Pierwszych Narodów, którzy borykają się z biedą i nie mają dostępu do bezpiecznej wody innej niż butelkowana.

Świętując wieloetniczność, zaprasza się filipińskie nianie, chińskich sprzedawców warzyw i dziadków ocalonych z Shoah, by opowiedzieli o bogactwie swoich kultur. Uczy się dzieci japońskiej pieśni *Sakura* o kwitnącej wiśni, by uczcić powitanie wiosny. Ale nie uczy się, jak ludzie tacy jak Henry Pitawanakwat patrzą na niebo nad prowincją Ontario. Uczy się chwytających za serce pieśni w jidysz, ale alfabet Odżibwejów nie trafia na szkolne tablice. Tych, którzy byli tu od początku świata, do stołu zaprasza się rzadko.

Organizuje się marsze poparcia, kampanie i zbiera pieniądze – ale wedle zainteresowań, a nie potrzeb. Debata toczy się bez przerwy, ale głównie w tle. Koniec końców z fajerwerków nie zrezygnowano, nazwy Uniwersytetu Ryersona nie zmieniono. Rozmowa o pojednaniu odbywa się zresztą głównie w kategorii gestu – premier Macdonald zniknął, co prawda, z dziesięciodolarówki, ale już zapowiedziano, że wróci. Jego podobizna ma ozdobić inny banknot. O wyższym nominale.

\* \* \*

Wzniesiony przez premiera Justina Trudeau entuzjazm opada, bo do naprawienia systemowych krzywd nie wystarczy jeden podpis pod projektem ustawy. Droga do pojednania jest stroma i nierówna. Na razie widać, że zaczęła się od symboli i na nich tak naprawdę się kończy. Obie strony rozumieją, że to już bardzo dużo – a jednocześnie o wiele za mało. Pojednanie jest procesem o wyraźnym początku, ale bez końca.

W czasie spotkania jednej z grup dyskusyjnych w galerii AGO poświęconej pojednaniu jedna z młodych kobiet wstaje z miejsca. Zaciska palce do białości, nie umie powstrzymać łez.

– Ja pierdolę, ludzie! Roimy tu o jakimś pojednaniu, palimy szałwie i wydaje się nam, że zbawiamy świat. My tu onanizujemy się naszym wybaczeniem, a Justin Trudeau właśnie leci odrzutowcem na drugi koniec kraju ratować budowę rurociągu Kinder Morgan!

W tych dniach Kanada wstrzymuje oddech i patrzy na piaski Alberta, pod którymi leżą złoża ropy naftowej. To polisa na przyszłość kanadyjskiej gospodarki, szansa na uniezależnienie się od eksportu paliwa do krainy rządzonej kaprysami Donalda Trumpa. Z wydobyciem ropy jest mniejszy problem, gorzej z jej transportem. Optymalna ścieżka wiedzie z brudnych piasków Alberta na zachód, na wybrzeża Pacyfiku. A tam, w portach Kolumbii Brytyjskiej, czekają tankowce, które powiozą ropę w świat. A konkretnie – do Chin, może do Europy. Rurociąg już jest, ale malutki. Paliwo płynie nim powoli, a Kanada liczy dolary, które traci z każdą nieprzelaną kroplą. Na razie ropa ciurka cieniutką strużką, jest też transportowana cysternami i pociągami – ale to i drogie, i niebezpieczne zarówno dla ludzi, jak i dla środowiska.

Rozbudowa rurociągu to kwestia wagi państwowej, imperatyw kanadyjskiej gospodarki – tak uważa rząd. Naciska na niego amerykańska firma z Teksasu, Kinder Morgan, która doskonale zna rurociąg i bierze na siebie odpowiedzialność za rozbudowanie go zgodnie z kanadyjskimi potrzebami. Ale to oznacza, że będzie on przecinał terytoria należące do Pierwszych Narodów, święte tereny. Rdzenni Kanadyjczycy nie chcą tego poświęcać w imię tysięcy miejsc pracy dla nacierzy z Alberta. Powołują się na traktaty, apelują do rządu. Ale ten mówi z kamienną twarzą: rurociąg

powstać musi. Także Kinder Morgan domaga się realizacji rządowych obietnic – w przeciwnym razie wycofa się z inwestycji. Jeśli rura powstanie, przekreśli rządowe obietnice, bo pojednanie okaże się oszustwem.

Minister finansów i premier robią jednak wszystko, by uratować inwestycję. Ale Amerykanie się wycofują – to zbyt ryzykowny projekt. Wtedy rząd decyduje się na ruch, który albo będzie ozdrowieńczy, albo samobójczy – na razie tego nie sposób przewidzieć. Nacjonalizuje rurę. Kupuje inwestycję, będzie sam ciągnął tysiące kilometrów drogi z piasków Alberta do naftoportów Kolumbii Brytyjskiej.

Justin Trudeau zostaje okrzyknięty kolejno: szejkiem Kanady, zbawcą gospodarki, zdrajcą narodu. Kanada nie osiąga kompromisu – sprawa rurociągu dzieli kraj tak samo jak dyskusje o zawłaszczeniach.

– Co za hipokryci! Jak możecie okadzać się dymem znad perłowej muszli i jednocześnie godzić się na ten pierdolony rurociąg? – Dziewczyna z grupy dyskusyjnej załamuje ręce.

I zaczyna płakać, więc nie usłyszysz odpowiedzi. A brzmi ona:

– Wszyscy musimy zapłacić z czegoś rachunki.

## 7. TATUAŻE TOBY'EGO SICKSA

Toby Sicks, artysta z Toronto, prowadzi niewielkie, ale popularne studio tatuażu Inkdigenous. To gra słów, która świetnie pozycjonuje jego biznes. *Ink* to tusz, atrament. *Indigenous* znaczy rdzenny. Inkdigenous to miejsce wyrastające z rdzennej tradycji, oddające jej cześć tuszem, filozofią i polityczną aktywnością.

Mały lokal na skrzyżowaniu ulic Queen i Jarvis w centrum miasta leży na drodze do mniej prestiżowej dzielnicy. Parę kroków stąd rozpościera się park, a w nim są ci, którym w życiu nie powiodło się tak dobrze. Queen East, rejon przytułków i centrów pomocy społecznej, pełny mężczyzn, którzy mają mnóstwo czasu i niewiele ponad to. Kolega, który wskazał mi ten adres, podpowiada: umów się za dnia.

Studio jest nowe, ma niecały rok. Kiedy powstało, media często o nim wspominały – to doskonała pozytywna historia, którą kochają dziennikarze: jak czerpać ze swojej tradycji, być z niej dumnym i przekuć ją w dochodowy biznes. Teraz ekip telewizyjnych już nie ma, ale drzwi do studia właściwie się nie zamykają. Toby krząta się za niewielką ladą, szuka zapalniczki. Ma na oko trzydzieści lat. Na szyi zawiesił *medicine bag*, skórzany woreczek pełen świętych ziół. Spod rękawów czarnego, obcisłego swetra wychodzą wielobarwne tatuaże. Ale to nie one najbardziej przykuwają uwagę, lecz oczy Toby'ego Sicksa. Szare, zimne, prawie nieruchome.

Znalazła się. Toby podpala suszoną turówkę i szalwie leżące na wielkiej płaskiej muszli i niewielką przestrzeń studia wypełnia przyjemny, lekko swędzący dym. Podchodzę do muszli, zagarniam dym do siebie. Okadzam nim ręce, pocieram dłonie. Przenoszę na czoło, na oczy i uszy, a na końcu – na serce. Toby obserwuje to uważnie:

– To ciekawe, że się przygotowałaś. Często ludzie nie mają pojęcia, jak się zachować. Nie umieją zacząć rozmowy od oczyszczenia myśli i zmysłów. Siadaj. Pomówimy.

Toby zajmuje się nie tylko tatuowaniem – wymyślił, że jego studio będzie miejscem promocji prawdziwej, nieodpuśczonej rdzennej kultury. Na ścianach aż po sufit wiszą olejne prace, pełne motywów zwierząt malowanych dobrze znaną, charakterystyczną kreską Norvala Morrisseau. Ale Toby mówi, że inaczej niż w przypadku Amandy PL obrazy powielające styl Morrisseau dobrze tu pasują:

– *They belong here*. To dlatego, że człowiek, który je wykonał, pochodzi z tej samej co Morrisseau kultury. Nie chodził może w jego butach, ale po jego śladach – już tak.

Studio Toby'ego Sicksa to także tak zwana *safe space*, bezpieczna przystań. Każdy, kto potrzebuje odkryć swoją prawdziwą tożsamość, połączyć się z duchami przodków, jest tu mile widziany.

– Nasi ludzie mogą wreszcie poczuć się u siebie, a osadnicy tacy jak ty mogą tu zajrzeć, by przeformułować swoje dotychczasowe myślenie – mówi Toby. – Uprzedzenia i swoją wersję naszej historii zostaw, proszę, na wycieraczce.

W gablotach biżuteria – nie z chińskich, fabrycznie toczonych koralików, ale chropawa, nieidealna, ręcznie robiona. Kości i czaszki małych zwierząt. Na ścianach – pióropusz, ceremonialne nakrycie głowy. Sznurkowy łapacz snów, orle pióra i muszle. Na stoliku –



albumy z reprodukcjami obrazów, ale i książki o radzeniu sobie z metyską tożsamością, wychodzeniu z traumy i zdrowiu psychicznym.

Toby ma dziś dobry dzień, kalendarz pęka od umówionych wizyt.

– Czy ja też mogę się umówić? – pytam Toby’ego Sicksa. – Podoba mi się ten kruk z katalogu.

– Oczywiście, spotkajmy się. Ale ten katalog nie jest dla ciebie. Mam dwa. Jeden komercyjny, otwarty, dla wszystkich, drugi tylko dla swoich. Powiedzmy, że jako biała kobieta zachwycasz się naszą kulturą. Czytasz, uczysz się, zanurzasz się w niej do tego stopnia, że chcesz ją mieć na swoim ciele. W porządku, to miłe. Mogę ci zaproponować wzór inspirowany misiem, ptakiem, co tam sobie zechcesz. Ale nie wytatuuję ci kruka, żółwia ani innego zwierzęcia, które symbolizuje jeden z naszych klanów. Jeśli nie jesteś z klanu Niedźwiedzia, nie możesz nosić niedźwiedzia na ramieniu. To chyba oczywiste.

– Ale premier Trudeau ma na ramieniu kruka, opiekuna ludu Haida z Zachodniego Wybrzeża – przypominam sobie. – Ludzie mówią, że dzięki temu coraz więcej osób dowiaduje się o sztuce Haida, inaczej byłby to tylko lokalny folklor.

– To ty tak uważasz. Premier mówi, że ten tatuaż to wyraz jego uznania i miłości wobec ludu Haida. A ja mówię, że premier ma do dyspozycji inne sposoby, by okazać szacunek rdzennym współobywatelom. Nie rozumiem, dlaczego zrobił sobie ten tatuaż. Może nikt go nie przestrzegł? Biali nie powinni nosić naszych świętych znaków, kropka. Tak jak przecież nie nosisz pióropusza. On po prostu nie jest dla ciebie! – Toby jest coraz bardziej przejęty. – Wielu celebrytów pozuje do zdjęć z ozdobnymi pióropusząmi na głowach. To ignoranci, bez pojęcia o świecie. Albo ludzie okrutni,

nie wiem, co gorsze. Nie można nosić cudzych regaliów, cudzych świętości jak kostiumu. Zakładanie pióropuszy to świętokradztwo.

Wzory moich tatuaży są symboliczne, to nie są dekoracyjne obrazki, tylko znaki. Często symbolizują pokonywanie wielkich trudności, wychodzenie z cierpienia. Są potwierdzeniem statusu i tożsamości w łonie naszych rdzennych społeczności. Jak ktoś może chcieć to sobie przywłaszczyć?

Wiesz, jaki jest najlepiej sprzedający się teraz wzór? *Thunderbird*. To ptak zmartwychwstania, symbol zwycięstwa. Wiele osób, które do mnie przychodzi, jest po długiej walce. Borykają się z piciem, z dragami, z wieloletnim biciem. Czasem zapisują się na terapię, czasem otrząsają się sami. Dostają jakąś robotę, zaczynają wychodzić z długów, toksycznych związków, z cierpienia. Albo po prostu odkrywają swoją tożsamość – jestem Kanadyjczykiem, ale też Indianinem czy Metyse. Sięgają po siedem świętych nauk i dowiadują się, kim są.

Kiedy rodzisz się jako osoba, potrzebujesz rytuału przejścia. Pierwszy jest wtedy, gdy matka wypycha cię ze swojego wnętrza, odcina pępowinę i nadaje imię. Drugi, gdy w dorosłości stajesz się tym, kim chcesz być. Niektórzy potrzebują do tego obrączki na palcu, białej sukni i zmiany nazwiska. Inni – tatuażu i nowego imienia. Tatuaż to zawsze moment zwrotny, to zaznaczenie przemiany w życiu człowieka.

Ceremonia tatuowania nie jest tylko wbijaniem igły w skórę. Bywa, że ludzie przychodzą do mnie po rozmowie z duchowym przywódcą, medicine manem. On na nową drogę daje im nowe, duchowe imię, często powiązane z klanem, z którego się pochodzi. – Tobie podwija rękaw cienkiego swetra. – Ja na przykład jestem Małym Czarnym Niedźwiadkiem. To zwierzę z opuszczoną głową, gotowe do ataku. Zawsze w drodze, idące od wschodu na zachód.

Ten symbol pokazuje, że zostawiam problemy i idę, idę ku czemuś lepszemu, do pojednania ze sobą. Niedźwiadek rośnie, będzie wielkim drapieżnikiem. To imię i ten tatuaż dodają mi mocy.

Ale ja wiem, że w dokumentach jest jeszcze inne imię. Mój gospodarz nie jest w nich ani Małym Czarnym Niedźwiadkiem, ani Tobym Sicksem. Tak naprawdę nazywa się inaczej.

– Dlaczego zmieniłeś swoje imię, Toby?

Dotąd monologował głośno i z przejęciem. A teraz tylko szybko mruga i po raz pierwszy na chwilę milknie. Zatkaną go. Jednak po krótkiej chwili znów wpada w słowotok:

– To dla mojej rodziny, żeby ich chronić. Nie jestem tylko artystą, jestem też aktywistą. Nie wszystkim podoba się to, co robię. Moja rodzina nie powinna być na to narażona. Żyją w swoim miasteczku, mają sąsiadów, pracodawców, księży. Wiesz, z Kościołem jest mi nie po drodze. Żyjemy tu jak w czwartym świecie, kolonizowani wewnątrz własnego państwa przez zewnętrzne siły watykańskie. Religia jest naszą chorobą, rakiem, który daje obrzydliwe przerzuty, a państwo nie znajduje w sobie siły, by poddać się radykalnej operacji. Kto dał zgodę na szkoły z internatem? Państwo. A kto je z ochotą i wielką pasją prowadził? Kościół. To Kościół odpowiada za zburzenie fundamentów naszej kultury, naszej tożsamości. Gdyby takie zapędy miała jakakolwiek korporacja, zostałaby wyrzucona poza granice kraju, nie mogłaby tu inwestować. A Kościół? Jemu wszystko wolno. Ale i to się zmienia. Sięgamy do naszej tożsamości, którą tyle lat próbowano nam odebrać. Nie można pozbawić człowieka jego kodu genetycznego. Jak teraz odrąbię sobie fiuta, to nie zostanę przez to kobietą, prawda?

Sweter, który ma na sobie Toby, opina jego ramiona, pod materiałem rysują się mięśnie. Jeszcze niedawno na ramieniu

Toby'ego Sicksa siedział ludzik, który szeptał mu do ucha: nie nadajesz się, jesteś do niczego.

– Biali sączyli w nas ten jad całymi latami. Próbowali narzucić nam swoje myślenie, swoją kulturę i swój język. To niepojęte, że w Ameryce świętuje się *Columbus Day*, dzień upamiętniający „odkrycie” Ameryki przez Krzysztofa Kolumba. Przecież to był Hitler naszej Żółwiej Wyspy. Czy wy w tej waszej Europie stawiacie Hitlerowi pomniki? Świętujecie jego urodziny?

Do tego, jako biali, ciągle nami pogardzacie – może jesteś z Polski, ale dla mnie jesteś po prostu Europejką, nikim więcej niż siostrą i córką kolonizatorów. Mówiliście, że jesteśmy leniwi – ale to wy nie pozwalaliście nam pracować na naszych zasadach, a innej pracy nam nie daliście. Mówicie, że jesteśmy wiecznie pijani – ale to wy nas wpędziliście w rozpacz.

Toby opiera szeroko rozstawione ręce o szarą gablotę z mokasynami i krzyczy:

– Zniszczyliście nasze domy, rozwaliliście nasze rodziny. A teraz w ramach jakiejś perwersji litujecie się nad nami i chcecie się pojednać. Jak? Tatuując sobie nasze święte znaki na dupie?

## 8. KUCHNIA JONATHANA KAYA

Drzwi otwiera szczupły mężczyzna, zrelaksowany i uśmiechnięty. Mimo upału ubrany jest w błękitną koszulę z długim rękawem. Wokół nas gustowne bibeloty i obrazy. Siadamy w jadalni. W tle pobrzękują sztucce i naczynia. Obok nas krząta się niania – znosi pranie, dogląda dzieci, staje przy zlewie. Przez cały czas będzie na wyciągnięcie ręki.

– W tej chwili dyskusja wygląda tak, że jeśli nie siedzisz z twarzą w dłoniach, kajając się i żałując za swe winy, to jesteś złym człowiekiem – mówi Jonathan Kay, który za propozycję odbycia debaty o granicach kulturowych zapożyczeń zapłacił stanowiskiem, ale nie karierą. – Nasi intelektualiści nawołują: musimy być wielokulturowi, musimy być tolerancyjni i zróżnicowani. A ironia polega na tym, że nie znają ludzi spoza swojej bańki. Chociażby robotników z Chin czy Azji Południowej, takich jak na przykład moja niania, która pochodzi z Filipin. Jedyne głosy, na jakich im zależy, to głosy białych ludzi, przepełnionych poczuciem winy.

Na lśniącym brązowym stole lądują korkowe podkładki chroniące blat przed pokancerowaniem. Kay nalewa do szklanek wodę z karafki, a rozmowę o Kanadzie zaczyna od tego, że nad Wisłą rośnie gorączka i wzbiera panika moralna. Tego dnia będzie przerzucał mosty między Toronto a Warszawą. Będzie mi wyjaśniał, jak to jest w Kanadzie, ale przede wszystkim, jak to jest w Polsce.

– Panika moralna często owocuje teoriami spiskowymi, szczególnie jeśli zagrożone miałyby być dzieci. A takie teorie

otwierają drzwi do ludobójstwa. Musisz pamiętać, że Holocaust rozpoczął się od skutecznego straszenia tym, że Żydzi roznoszą choroby.

W Polsce trwa właśnie taka panika moralna, skupiona na formie i pilnowaniu jej nienaruszalności, jej czystości. Po prawej stronie spektrum przywołuje się wartości rodzinne i topos zdrowego organizmu, jakim ma być naród. Mówi się, że może on zostać zarażony, zainfekowany. Po takie analogie, często medyczne, sięgali naziści. Zarazą dla nich byli Żydzi.

Wydaje mi się, że ten etap macie właśnie w Polsce.

Przygotowaliście już sobie wszystkie składniki i konkretne cele: Żydów, uchodźców i homoseksualistów.

\* \* \*

– W Kanadzie elity rządzące są skupione na prawach rdzennych mieszkańców naszego kraju. I świetnie, bo oni rzeczywiście są poszkodowani. Ale jednocześnie zwalcza się każdego, kto nie zgadza się z modną narracją białego towarzystwa. Narzuca się pewne dogmaty i stwierdza: uważamy, że tego właśnie chcą rdzenni mieszkańcy. Jak każdy dogmat, tak i ten wpływa negatywnie na wolność słowa i wolność myśli.

Kanada to społeczeństwo postreligijne, ale ludziom nadal brakuje jakiegoś kultu, jakichś dogmatów – dlatego szukają swej tożsamości w polityce. A tam stosuje się takie same narzędzia, jakimi posługują się ruchy religijne. Orzeka się, co jest obowiązującym dogmatem, a co herezją. Namaszcza się przywódców moralnych jak kapłanów. Dziś stają się nimi rdzenni działacze, przywódcy i poeci. Tam też wskazuje się ludzi, którzy podlegają ekskomunie – to ci, którzy głoszą niepopularne poglądy.

W Europie pisarz z Polski może czerpać z niemieckiej filozofii. Niemiecki filozof może pożyczyć coś od francuskiego poety, który z kolei inspirował się angielskim malarstwem albo twórczością Dostojewskiego. Albo włoskimi mistrzami renesansu, którzy czerpali z antyku. To uniwersalizm kulturowy, który na waszym kontynencie świetnie działa. Jeśli jakiś Niemiec zechce napisać powieść o Polsce, nikt nie ma z tym problemu – jego książka może być dobra albo zła, waszej kulturze od tego nie ubędzie.

Cieszy się dorobkiem starożytnych kultur, opartych na tradycji słowa pisanego, które czerpały z siebie nawzajem. W Kanadzie jest inaczej.

Pierwsze Narody nie rozumieją kultury w ten sposób. Nie ma tam jednego autora – dzieło należy do całej społeczności. Mamy tu ponad sześćset Pierwszych Narodów, które kiedyś nazywaliśmy Indianami, ale dziś, jak wiadomo, jest to już obraźliwe słowo. Mamy też mieszkających na dalekiej Północy Inuitów i Metysów, ludzi mieszanej krwi. Prawie nikt z nich nie znał słowa pisanego, dopóki nie przybyli tu biali ludzie: osadnicy i odkrywcy.

\* \* \*

Kay mówi językiem, jakim do dziś lubi się posługiwać biała Kanada: odkrywcy, osadnicy, przybysze z Europy. Ale w kanadyjskim chórze coraz częściej pojawiają się określenia: kolonizatorzy, najeźdźcy, gwałciciele.

\* \* \*

– Na Zachodzie jest ta romantyczna idea indywidualnej zgody. I ten nimb, jakim otaczamy autora. Kiedy mówimy o *Iliadzie*, myślimy o Homerze. Myślimy o indywidualnym akcie geniuszu. Kiedy

czytam Kapuścińskiego, Orwella, Szekspira czy Moliера, to czuję, że otwierają oni okno do tego geniuszu. Kiedy myślę o *Cesarzu*, wspaniałej książce o Etiopii, to wiem, że Kapuściński nie dbał o zgodę bohaterów swojej opowieści.

\* \* \*

Mówię Kayowi, że dla nas to nie jest książka o Etiopii, ale nie słucha.

\* \* \*

– Jeśli jesteś Polką, ciągle słyszysz historie o tym, jak naziści, komuniści czy Ukraińcy mordowali Polaków. W Kanadzie dzieje biegły inną drogą. I dziś historia, jakiej nas tu uczą, opowiada o tym, że żyli tu sobie jacyś rdzenni mieszkańcy, potem przyjechali biali i wielu z nich wyróżnili. A ci, co przeżyli, dziś wegetują i są na marginesie sytego społeczeństwa. Cóż, jest w tym sporo prawdy, historia nie obeszła się z nimi łaskawie. Jednak bezustanne sączenie nam tego do uszu bardzo wpływa na nasze samopoczucie. Ta cała sytuacja bardzo psuje nam klimat i nastrój.

Jeśli pochodzisz z takiego kraju jak Polska, Izrael czy Tajwan, możesz dumnie powiedzieć: oto przetrwaliśmy. Mimo naszych wrogów i naszej historii nadal tu jesteśmy – czyż to nie jest wspaniałe przesłanie dla świata? No, ale oczywiście w Kanadzie zawsze musi być na odwrót.

Myśmy nigdy nie odczuwali żadnego zagrożenia. Nie wisiła nad nami żadna wojna. To my zadawaliśmy przemoc, to my dopuszczaliśmy się rozlewu krwi. Widzisz, nawet ja sam mówię „my”, bo ten język jest wszędzie. A my jesteśmy przecież Żydami, mój ojciec przyjechał tu z Rosji. Ale i tak, jako biali, musimy być



włączeni w tę zbiorową odpowiedzialność: ja też jestem winny ludobójstwa.

Czytałem książkę Jana Grossa o tym, jak spalono żywcem Żydów w stodole. Nie pamiętam, jak się... O, już wiem: Dżedwabnej. Ile o tym się mówi – a to była tylko jedna wieś!

To była przecież tylko jedna stodoła!

A tu? Przyjeżdżasz do Kanady i od razu słyszysz, że zamordowaliśmy w szkołach z internatem setki indiańskich dzieci! No, to powiem ci, że są tu ludzie, którzy mogą o ludobójstwie powiedzieć więcej. Rwanda. *Holodomor*. Rzeź Ormian. Mao Tse-tung. Cały świat spływa krwią. A jednak wiele tych narodów zostawia tę przeszłość za sobą i idzie do przodu. Tego nam właśnie potrzeba.

Mówisz, że historia lubi się powtarzać? Czasem poczucie winy jest przełamywane przez strach, ten strach przed tym, że na powrót staniesz się ofiarą. W Europie przecież boicie się kolejnej wojny i to pomniejsza wasze poczucie winy za kolaborację z Niemcami, za złe rzeczy, których się dopuszczaliście.

W Kanadzie takiej równowagi nie ma. Niczego się nie boimy. Któż mógłby nam zagrozić? Dlatego jest tutaj mnóstwo przestrzeni na pielęgnowanie poczucia winy. To dlatego dziennikarze nie mogą mówić, że oddają komuś głos. Bo kim jesteśmy, by decydować, kto ma prawo mówić i o czym? Tutaj jest inaczej: nie wystarczy dopuścić kogoś do dyskusji. Tu, żeby być uczciwym, musisz oddać im ten mikrofon do ręki. Mikrofon, czyli media. Umożliwiliśmy im zabranie głosu. To znaczy oddaliśmy głos, który im wcześniej sami zabraliśmy.

\* \* \*

Kiedy rozmawiamy, w Kanadzie trwają obchody jubileuszu stu pięćdziesięciolecia państwowości. Organizują je poszczególne prowincje, ale pieniądze płyną też szerokim strumieniem z budżetu federalnego. Wstęp do parków narodowych jest darmowy, kolej szyszykują specjalne promocje pozwalające obejrzeć bogactwo naturalne Kanady od oceanu do oceanu, a poszczególne miasta prześcigają się w zapewnianiu atrakcji. W sklepach patriotyczne szaleństwo. Wszystko ma barwy flagi państwowej – nie tylko czapki, kubki i peleryny, ale nawet pizza: plasterki kiełbasy pepperoni układa się na mozzarelli w kształt klonowego liścia. Na kilogramy sprzedaje się cukrowe posypki w formie małych białych i czerwonych listków.

W dowód wdzięczności dla kanadyjskich żołnierzy, którzy walczyli w Europie, Holandia tworzy nową odmianę tulipanów: białe pączki w postrzępione czerwone łaty. Kiedy kielich się rozwinie, wewnątrz widać kształt czerwonego klonowego liścia na białym tle. Oryginalne rocznicowe cebulki można było kupić poprzedniej jesieni tylko w jednej sieci sklepów, HardwareStore. Szkoły i miejsca pamięci dostały je za darmo. Teraz wszyscy fotografują wyjątkowe kwiaty, ale nie brakuje rozczarowanych. Z niektórych cebulek wyrosły zwykłe żółte tulipany, więc prasa drukuje listy rozżalonych klientów.

Do Toronto wpływa wielka żółta kaczka, która cumuje przy pirsie Harbourfront, na brzegu jeziora Ontario. Po co nam kaczka? Czy to jest symbol na miarę naszych możliwości? Ale pielgrzymują do niej tłumy, robiąc zdjęcia i zostawiając w mieście miliony dolarów. Oblężenie przeżywają pływające po jeziorze restauracje – zamożniejsi mieszkańcy mogą świętować na pokładzie, ciesząc się pokazem fajerwerków i oglądając od strony wody imponującą, nowoczesną linię miasta.

W Ottawie, gdzie odbywa się najwięcej państwowych uroczystości, rząd zaprasza Kanadyjczyków na przyjęcie urodzinowe. Gwiazdą wieczoru jest irlandzka supergrupa U2. Bono, jej frontman, nie raz podkreślał swoją zażyłość z kanadyjskim premierem. Czasem można odnieść wrażenie, że to polityk Bono spotyka się z gwiazdą popkultury – Justinem Trudeau. Do tego to właśnie Irlandczyk od kilkunastu lat jest orędownikiem hasła: *The world needs more Canada!* Świat potrzebuje więcej Kanady!

Jednak nie wszyscy chcą brać udział w tej imprezie.

\* \* \*

– Niektórzy aktywiści i przedstawiciele Pierwszych Narodów mówią, że nie mają ochoty obchodzić jubileuszu Canada150. Mówią: nasi ludzie byli tu tysiąc pięćset, a nawet piętnaście tysięcy lat temu. Świętujemy raczej Canada15000. No i dobrze, nie muszą przecież z nami świętować. Ale w tym momencie włącza się grupa intelektualistów, biała inteligencja, która mówi: dobrze, w tej sytuacji to my też się nie będziemy bawić. Nie będzie balu. Powinniśmy raczej porozmawiać o tych wszystkich strasznych rzeczach, jakich się dopuszczamy. I tak oto urodziny zmieniają się w stypę.

Ale powiedz, ilu mamy tych rdzennych? Jakies cztery, może pięć procent społeczeństwa. A inteligencji? Dziesięć, może piętnaście. Co z resztą? Co z większością, która chce się bawić? Ta większość Kanadyjczyków mówi: tak, robiliśmy im złe rzeczy. Ale przecież żyjemy we wspaniałym miejscu, mamy co świętować. Mamy powody do dumy! To wyjątkowy kraj, być może jeden z najlepszych na świecie. Wypijmy za to.

Spójrz, żyjemy w kraju wielokulturowym. Mamy Azjatów, Filipińczyków, Chińczyków, Arabów, Żydów. Żaden z nich nie zrobił

krzywdy żadnemu rdzennemu. Oni nie mają za co przepraszać! Ci ludzie czują się dziś częścią społeczeństwa. Spójrzmy chociaż na moją nianię, zajmuje się moimi dziećmi. Przyjechała z Filipin piętnaście czy dwadzieścia lat temu. Przyjęła kanadyjskie obywatelstwo, towarzyszyłem jej podczas tej uroczystości. Kupiła dom, sprowadziła tu dzieci. Jest najbardziej dumną kanadyjską patriotką, jaką można sobie wyobrazić. I ona zamierza świętować te urodziny. Ona nie czuje się za nic winna. Jej nie obchodzi kwestia indiańska.

\* \* \*

Niania krzątała się i pracowała dwa metry od nas. Kiedy odsłuchiwałam tę rozmowę, rozważaniom Kaya towarzyszyło stukanie naczyń w zlewie, uderzenia grubego noża o deskę, skwierczenie tłuszczu na patelni. Niania była z nami przez cały czas. A jednak w jadalni Jonathana Kaya dwoje białych dziennikarzy rozmawiało o patriotyzmie i uczuciach pochodzącej z Filipin Kanadyjki, używając tylko mowy zależnej. Gdyby i tu zrobić zdjęcie, na pierwszym planie byłiby ludzie *byline'u*. Dziennikarze, których nazwiska pojawiają się pod tytułem tekstu. Na drugim, pochylona nad zlewem, stałaby starsza kobieta, bohaterka tego nagrania.

Żadne z nas nie zaprosiło jej do rozmowy.

## 9. KAMIEŃ STEVENA COOPERA

Kiedy rodzina Cooperów przeprowadziła się do Coral Harbour na północy Zatoki Hudsona, jeden z mieszkańców kazał ojcu zdjąć czapkę, a potem położył ręce na jego głowie i miejsce przy miejscu przesuwając palce między włosami.

– Nie ma. Bardzo dziwne – stwierdził.

– Czego nie ma?

– Może odpiłowane tak nisko, że nie został nawet ślad?

– O czym pan mówi?

– O rogach. Byłem przekonany, że jak wszyscy Żydzi, także i wy macie na głowie szatańskie rogi. Tak uczył nas ksiądz. A tu niespodzianka. Pańska czaszka jest taka jak moja. Niebywałe.

Zaskoczeń było więcej. Takich jak to, że lokalna społeczność przyjęła Cooperów z czcią i szacunkiem graniczącym z uwielbieniem: jesteście Żydami, tak jak Jezus. Skoro on był jednym z was, to jesteśmy zaszczytzeni, mogąc was tu gościć.

\* \* \*

Ojciec Stevena miał polskie korzenie, jego rodzina nosiła kiedyś nazwisko Warszawski, które zatarło się w drodze za ocean. Był nauczycielem i nie miał pieniędzy. Miał za to żonę i troje małych dzieci.

W latach sześćdziesiątych nieoficjalnie mówiło się już o pewnych nieprawidłowościach w systemie edukacji. Prowincje wymieniały

kadrę w szkołach, przesuwano księży, pastorów i zakonnice ze szkół do salek katechetycznych. Potrzeba było świeckich nauczycieli, którzy poprowadzą dalej uczniów. W inuickiej społeczności rodziło się coraz więcej dzieci, trzeba je było włączyć do systemu szkolnictwa. Warunki nie były łatwe, ale pieniądze stosunkowo dobre, więc Cooperowie wyruszyli w drogę do Coral Harbour. To mała osada na Southampton Island, przepastnej wyspie wielkości Szwajcarii. Oblewające ją wody Zatoki Hudsona są skute lodem od listopada do czerwca, a ludzie mieszkają tu obok niedźwiedzi polarnych, morsów, karibu i fok. Dla Cooperów była to szansa na nowy początek.

Czekała na nich kraina, gdzie jeziora były wielkie jak oceany, a ryby – jak ludzie. Dla Stevena to były piękne dni. Zdjęcia już wyblakły, ale nadal dobrze widać, jak roześmiany, zakutany w skóry karibu chłopczyk wraca z polowania.

Ale nie mogło to trwać wiecznie. Dzieci dorastały, a to oznaczało szkołę. Na miejscu można było tylko rozpocząć edukację – do starszych klas trzeba było przenieść się dalej, w głąb lądu. Czyli najczęściej – do szkół z internatem.

Steven widział, jak po kolei znikają koledzy z sąsiedztwa. W jego żołądku pojawił się wtedy kamyczek.

– Od obowiązku nie można było się uchylić. Szkoły przyjmowały głównie inuickie dzieci, ale niekiedy także białe. Jak ja. Moi rodzice wiedzieli, że dzieci wracają z tych szkół odmienione – choć wydaje mi się, że nikt nie zadawał wtedy głośno pytania dlaczego.

Mama i tata woleli mnie tam nie posyłać. Wyprowadziliśmy się w głąb kontynentu, na południe, gdzie mogłem chodzić do zwyczajnej szkoły. Po trzech latach wróciliśmy w te okolice, ale do miejsca, które miało własną szkołę średnią. Po lekcjach mogłem wracać do domu.

Z czasem Steven skończył studia, zaczął praktykować jako adwokat. Kamyczek przestał dokuczać. Był raczej jak krzywy ząb, który można wymacać w buzi czubkiem języka, upewnić się, że wciąż tam tkwi. Ale na co dzień się o nim nie myśli. Choć pojawiały się pierwsze symptomy. Jak wtedy, w 1997 roku.

Steven Cooper odebrał telefon. Rozmowa zamiejskowa, z Iqaluit z terytorium Nunavut.

– Nie znamy się osobiście. Są tu ze mną dawni koledzy ze szkoły  
– powiedział głos w słuchawce. – Wiemy, że seriami wygrywa pan spory cywilne. Chcemy panu opowiedzieć o naszym niedawnym zjeździe absolwentów.

\* \* \*

To było wiele lat po ostatnim dzwonku w katolickiej szkole z internatem w Chesterfield Inlet. Zaczęło się przewidywalnie. Jubileusz jak jubileusz – przemowy, akademie, trochę wspomnień, kurtuazyjne brawa. Mikrofon niespiesznie przechodził z rąk do rąk.

– No to kto następny opowie jakąś anegdotkę? Zapraszamy!

– To może ja – odezwał się Marius Tungilik.

Staął przed dawną kadrą: nauczycielami, księżmi i woźnymi. Wyprostował się i po prostu powiedział:

– A ja pamiętam, że tu, w Chesterfield Inlet, latami byłem przez was wykorzystywany seksualnie.

Zrobiło się cicho. Marius jako jedyny z przemawiających tego wieczoru nie dostał oklasków.

Reakcje zgromadzonych na uroczystości były podręcznikowe. Zaskoczenie, niedowierzanie – i właściwie od razu całkowite zaprzeczenie: to się nie wydarzyło.

– Daj spokój, Marius. Wstydzilibyś się opowiadać takie rzeczy. Było kiepsko, fatalne żarcie i zdarzały się klapsy, a nawet porządne

bicie. Ale bez przesady! Po co psuć imprezę? Przecież nic podobnego nie miało miejsca.

Solidarnie wszystkiemu zaprzeczyli nie tylko dawni nauczyciele, ale i dawni uczniowie. Przez lata większość krzywdzonych dzieci wykorzystywała sprawdzony mechanizm obronny: dysocjację. To nie mnie się to działo, tylko komuś innemu. Mózg przekłamuje wspomnienia, oszukuje. Taka ułuda pozwala dziecku ocaleć.

Wkrótce po szkolnej uroczystości kilkunastu kolegów Mariusa Tungilika doszło jednak do wniosku, że przecież oni też pamiętają. Postanowili odszukać Stevena Coopera, który miał już na koncie wygrane sprawy o przemoc seksualną, a do tego wiedział, jak wygląda życie na kanadyjskiej Północy. Można powiedzieć, że to wtedy Steven po raz pierwszy pojął coś, co przeczuwał od dawna.

Wkrótce w kolejnych salach gimnastycznych, w kolejnych aulach zaczęły się zbierać dorosłe dzieci ze szkół z internatem. Posypały się pierwsze pozwy cywilne przeciw konkretnym sprawcom, a za nimi pierwsze odszkodowania i ugody.

W 2001 roku Steven Cooper współpracował z konsorcjum dwudziestu jeden firm prawniczych, które naciskały na rząd federalny Kanady w imieniu ocalańców, by podpisał IRSSA – ugodę w sprawie szkół z internatem, do której doprowadziło wyznanie Phila Fontaine’a. O tym, co działo się w tych szkołach, od Atlantyku po Pacyfik, było coraz głośniejsze. Mówiło się o przypadkach, ale nie o skali.

– IRSSA to był nasz wielki sukces, zawodowy, osobisty, historyczny. Byłem szczęśliwy. Moja kariera wystrzeliła, zostałem wziętym prawnikiem do spraw pozwów zbiorowych. Wygrywać, wyszarpywać od rządu odszkodowania – to była moja codzienność i bardzo byłem z siebie zadowolony – wspomina Cooper.

Zepsuł to jeden telefon.



– Czy Kanada uważa, że cierpiałem nie dość? Toby Obed z tej strony.

\* \* \*

Historyczna ugoda nie objęła Nowej Fundlandii i Labradoru. Także i w 2008 roku premier Stephen Harper w oficjalnych rządowych przeprosinach pominął te ziemie i nie wspomniał słowem o tysiącu dzieci z tych okolic, które również zamknięto w szkołach. Gdyby to zrobił, uznałby winę kanadyjskiego państwa, a to byłoby jak zaproszenie do ubiegania się o odszkodowania. Ziemie te stały się formalnie częścią Kanady dopiero w 1949 roku, a szkoły z internatem budowano tam wcześniej. W razie czego skargi należy kierować więc do Wielkiej Brytanii, nie do nas – uważał rząd.

Kiedy premier Harper zdecydował, że nie przeprosi, serce Toby'ego Obeda zatrzymało się dwudziesty siódmy raz.

A potem Toby zawołał:

– Trzeba coś z tym, kurwa, zrobić!

Tylko co? Prawnicy oceniają, że to sprawa nie do wygrania. Po pierwsze, nie wiadomo, czy w ogóle trafi na wokandę. Po drugie, trzeba zgromadzić przekonujący materiał dowodowy. Nie każdy prawnik to wytrzyma, nie każdy udźwignie zeznania poszkodowanych. Ludzie nie chcą pracować z traumą. Po trzecie, proces wymagałby nie tylko emocjonalnego pancerza, ale i całkowitego poświęcenia czasu i środków. Żeby mieć w sądzie cię szansy, trzeba by skupić się wyłącznie na tej skardze – a to oznaczałoby, że nie będzie jak przyjmować innych zleceń, z których żyje firma. Kto może sobie na to pozwolić? Kto będzie na tyle szalony? Która kancelaria dobrowolnie poświęci swoją reputację w wątpliwej sprawie? A na koniec – kto za to zapłaci? Obed i inni

ocalenci z Labradoru utrzymywali się z rent, zasiłków i różnych form pomocy z opieki społecznej.

Prawnicy z kolejnych kancelarii, którzy przyjmowali Toby'ego Obeda, dziękowali mu serdecznie za zaufanie i chwyтали za złote, ozdobne klamki. Szeroko otwierali drzwi, żeby Toby jak najszybciej wykuśtykał poza ich gabinety. Wątpliwości właściwie nie było – sprawa nie rokowała. W imieniu Toby'ego i innych dzieci z Labradoru głosu nie chciał zabrać nikt.

Tylko że Steven Cooper, prawnik z Alberty, po telefonie od Toby'ego Obeda nie mógł sobie znaleźć miejsca. Głowa mówiła mu to, co orzekli koledzy z palestry: sprawa jest niewygrzalna, szkoda na nią czasu i pieniędzy. Ale w brzuchu Stevena odezwał się kamyczek, o którym dawno zapomniał.

Najpierw był mały jak orzeszek. Można przestać go czuć, jeśli zmieni się pozycję na wygodniejszą albo zajmie myśli czymś innym. Ale z każdym tygodniem dokuczał coraz bardziej. Leżał w brzuchu przez tyle lat, obrósł kolejnymi powłokami, nabrał ciężaru. Teraz nie można już było przez niego normalnie jeść, nie dało się normalnie spać. Steven miał wrażenie, że czasem nawet ciężiej jest oddychać. Nie było sensu udawać przed samym sobą. Steven Cooper wiedział, że samo nie przejdzie. Że jedyną szansą na pozbycie się kamienia jest wstać i zabrać głos. Chwycił za telefon:

– Toby, pozwól mi być twoim adwokatem.

Był 2007 rok. Rozpoczęła się wojna, którą mężczyzna bez nóg i bez ręki wypowiedział swojej ojczyźnie.

Jego skarga trafiła do prawniczego elementarza w teczce z napisem „prawa człowieka”. W Kanadzie te słowa znaczą trochę co innego niż w Europie – to często sprawy rdzennych mieszkańców przeciwko ojczyźnie.

Do skargi Obeda dołączyli inni ocalańcy z Labradoru. W dokumentach ich nazwiska ułożone są alfabetycznie, dlatego do historii sprawa przeszła jako Anderson przeciwko Kanadzie.

\* \* \*

Toby Obed przyszedł ze swoją skargą do Stevena Coopera, ale później to Cooper musiał dojeżdżać, dolatywać do Toby'ego. Kancelaria prawnicza Stevena mieści się w Sherwood, spokojnym miasteczku zamożnej, leżącej na złożach ropy prowincji Alberta, prawie trzy i pół tysiąca kilometrów<sup>[6]</sup> od domu Toby'ego. Dość szybko okazało się, że w sprawę trzeba włądować nie tylko mnóstwo czasu, ale i pieniędzy. Steven wiedział, że takiego zlecenia nie sposób dźwignąć samemu. Do sprawy przystąpił też między innymi Kirk de Baert z Toronto, specjalista od pozwów zbiorowych, i Ches Crosbie z St. John's w Nowej Fundlandii, z rodziny o sędziowskich tradycjach.

Asystentka umawia mnie na spotkanie z de Baertem.

– Czy mogę prosić o jakieś szczegóły, żeby powiedzieć szefowi, w jakiej sprawie pani przychodzi?

– Chcę porozmawiać o tym, jak Kanada naprawia, co było złe. *Canada righting its wrongs*.

– Rozumiem. Anderson przeciwko Kanadzie. Czy odpowiada pani godzina piętnasta?

\* \* \*

Zespół prawników szykował się, by pozwać ojczyznę Toby'ego za to, że go zaniedbała. Że naraziła go na wieloletnie tortury i krzywdy. Że państwo, które nadzorowało szkoły z internatem,

pozwoliło, by działały się tam potworności, po których dzieci nigdy się nie podniosły.

– Kiedy stracisz oko, możesz liczyć na odszkodowanie i rentę. Tobie doznał wielorakiego uszkodzenia ciała. Chcieliśmy to Kanadzie pokazać – opowiada Steven Cooper. On i współpracujący z nim prawnicy zbudowali pozew na wniosku, że państwo nie wywiązało się z obowiązku powierniczego. Że zawiodło dzieci, którymi miało się opiekować. A zobowiązało się do tego, podpisując traktaty, czyli zajmując kolejne połacie kontynentu.

W uproszczeniu:

Kanada nie jest państwem jednolitym, ale patchworkiem terytoriów cedowanych na mocy traktatów. Rdzenni mieszkańcy przekazywali ziemie – z lasami, bogactwami naturalnymi, ze zwierzyną – osadnikom, a w zamian za to państwo zobowiązało się otoczyć ich opieką, w tym zapewnić im odpowiednie wykształcenie.

To już litygacyjna sądowa codzienność: rdzenni mieszkańcy pozywają Kanadę, trzymając tekst traktatu w garści. Sto lat temu coś naszym ludziom obiecaliście, mówią, aleście tego nie spełnili. Najwyższy czas wywiązać się z umowy. W takich przypadkach sądy badają sprawę i orzekają: jeśli traktat nadal obowiązuje, to *pacta sunt servanda*. Daną w XIX wieku obietnicę trzeba spełnić.

Tak zwane traktaty numerowane – spisywane atramentem na papierze (kopia osadników) albo koralikami na pasie wampum (kopia gospodarzy) – nie obejmują całego terytorium dzisiejszej Kanady. Część ziem nie została scedowana i o nie także toczą się dziś spory sądowe.

Z czasem brytyjska monarchia zaczęła się wycofywać, a Kanada wybiła się na niepodległość. Pierwsze połączyły się cztery prowincje – był rok 1867, dziś uważa się go za początek kanadyjskiej

państwowości, narodziny Kanady. Z czasem dołączały kolejne prowincje i terytoria, tworząc federację. Jako ostatnie dołączyły Nowa Fundlandia i Labrador, które – borykając się z gospodarczymi trudnościami – chciały schronić się pod parasol rosnącego w siłę, bogatego państwa. Był rok 1949.

Szkoła Yale, ukryta w lasach North West River, działała wtedy już od dawna – wprawdzie założyło ją dobroczynne Międzynarodowe Towarzystwo Grenfell podlegające brytyjskiej koronie, ale obejmując władztwo nad prowincją, Kanada weszła w buty wcześniejszego komisarycznego brytyjskiego zarządu, biorąc na siebie jego zobowiązania.

Oznaczało to, że od 1949 roku Kanada była winna mieszkańcom Nowej Fundlandii i Labradoru dokładnie to samo, co mieszkańcom innych prowincji.

\* \* \*

Steven Cooper z Alberty, Kirk de Baert z Toronto i Ches Crosbie z St. John's, a także zastęp prawników, spędzili nad sprawą ocaleńców dziesięć lat. Cooper mówi, że zafakturowali dziewiętnaście tysięcy dziewięćset trzydzieści godzin. Przez ten czas nie zobaczyli ani grosza.

Żeby otworzyć przewód sądowy, musieli dostać legitymację procesową – sąd musiał dopuścić ich wnioszek, ocenić, czy mają prawo zajmować czas wymiarowi sprawiedliwości. A także – czy te sprawy rozpatrywać łącznie, w pozwie zbiorowym. Trzeba było zgromadzić dowody. A szkolna dokumentacja albo już nie istniała, albo była dziurawa.

– Po dokumentację lataliśmy do Wielkiej Brytanii i do Stanów – wspomina Cooper. – Tam wydobywaliśmy ślady z archiwów misji morawskich, towarzystwa Grenfell i amerykańskich osadników.

Zgromadziliśmy czterdzieści pudeł z opisami praktyk, jakie stosowano wobec dzieci w szkołach z internatem.

Chcę wyraźnie powiedzieć, że były to dzieci tak małe, że dziś nie nadawałyby się jeszcze do przedszkola.

Dowody w związku z czynnościami, jakich dopuszczali się wobec nich bracia z Moraw i dobroczyńcy z Grenfell, znaleźliśmy w Pensylwanii i na Wyspach Brytyjskich. A także w Portland w Maine. Była to brama do Nowego Świata, z której korzystali misjonarze i podróżnicy opuszczający Stany przed powrotem do Europy.

W samej Kanadzie śladów zostało niewiele, poza niewielkim archiwum w St. John's. Kanada nie ma swojego repozytorium dokumentującego te krzywdy.

\* \* \*

Oprócz dokumentów musieli przemówić też świadkowie. Żeby uwiarygodnić skargę, prawnicy zaczęli gromadzić zeznania ocalonych. Rozpoczęła się runda przesłuchań. Płakali zeznający, płakali odbierający zeznania.

W większości przypadków trzeba było polegać na wspomnieniach tych, którzy przeszli przez szkołę czterdzieści, pięćdziesiąt lat temu. Wielu uczniów już nie żyło – o tym, jak wyglądało ich okaleczone życie po, opowiadały dzieci i wnuki ocalańców. Trzeba było do nich dotrzeć, dolecieć, zorganizować bezpieczne emocjonalnie miejsca przesłuchań. Czasem, szczególnie w mniejszych miejscowościach, były to niestety te same budynki, w których kiedyś przetrzymywano dzieci. Świadkowie nie znosili tego dobrze.

Niektórzy prawnicy z zespołu z czasem się wycofali. Nie byli w stanie przebrnąć przez dokumentację, wytrzymać zeznań.

Niektórzy z tych, co zostali, podczas pracy nad tą sprawą latami korzystali ze wsparcia psychologów.

– Jako prawnicy, zwłaszcza sądowi, nie możemy pokazać cienia słabości. Musimy nie tylko oddzielić sprawcę od czynu, lecz także oddzielić od niego samych siebie. Tylko tak można się uratować – mówi Cooper. – Kto chce być dobrym prawnikiem z zakresu praw człowieka w Kanadzie, musi umieć powiedzieć słowo „penis”, „odbyt” i „wagina” w tym samym zdaniu.

Młodzi prawnicy śmieją się, kiedy to słyszą. Tłumaczę im: to nie są żadne śmichy-chichy. To różnica do pięćdziesięciu tysięcy dolarów w kwocie, o którą walczymy.

Któregoś dnia dzwonię do kolegi z palestry, pytam go: „Powiedz mi, stary, czym dla ciebie jest masturbacja?” „*Are you out of your fucking mind?* Czyś ty, kurwa, oszalał?” A pytałem poważnie. Chodziło o to, by stwierdzić, czy niezbędnym elementem masturbacji jest ruch. Czy w celu wywołania u siebie pobudzenia seksualnego trzeba koniecznie poruszać dłonią lub przedmiotem w bezpośrednim kontakcie z genitaliami? W naszej sprawie chodziło o genitalia dziecka. Dowiedliśmy przed sądem, że ręka może być nieruchoma. Że już samo dotykanie dziecka w ten sposób to zbrodnia.

\* \* \*

Kiedy już dowody zostały zebrane, archiwa przeryte, a zeznania spisane, trzeba było przekonać sąd, by zgodził się na przyjęcie pozwu zbiorowego przeciwko Kanadzie. Prawnicy strony pozywanej przekonywali, że w czasach zakładania szkół Kanada nie miała z tym regionem nic wspólnego. Ergo nie jest niczemu winna.

Prawnicy ocalańców uważali za to, że na mocy traktatów to Kanada jest odpowiedzialna za sytuację w prowincji już od 1949

roku – nawet jeśli nie otwierała szkół, pozwalała na ich działalność i nienależycie je kontrolowała.

Może gdyby państwo bardziej się wtrącało, ktoś by coś zauważył?

Może – gdyby państwo brało na serio składane obietnice – dzieci nie musiałyby przechodzić przez to, co śni im się po dziś dzień? Adwokaci prosili, by sąd się nad tym zastanowił.

Ich wniosek w sprawie złamanego życia Toby’ego Obeda był krótki, ledwie dwadzieścia dwie strony. Ale dołączono jeszcze załącznik, dokumentację krzywdzenia. Miał tysiąc kartek. Streszczał, co ustalili prawnicy – zgromadzone przez nich przypisy do opowieści Toby’ego Obeda mieściły się w czterdziestu pudłach.

\* \* \*

Ocaleńcy chodzili do szkół zarządzanych przez braci z Moraw, przez Grenfell albo przez Kościoły.

– Ściganie towarzystwa miało się z celem – mówi Steven Cooper. – Nawet gdybyśmy wygrali, oni nie mieli wystarczających środków na zaspokojenie naszych roszczeń. Grenfell nie byłoby stać na przeprosiny. Z kolei Kościoły mają bardzo zawiłą strukturę finansową. Trudno byłoby wyegzekwować od nich pieniądze, bo pochowane są w przeróżnych kieszeniach.

Dlatego wybraliśmy Kanadę. Państwo nie może zbankrutować, nie może powiedzieć obywatelowi: *sorry*, na ciebie pieniędzy nie mam. Mieliśmy też do dyspozycji przejrzyste instrumenty prawne – mieliśmy konstytucję.

Zdecydowaliśmy, że Toby Obed i inni pozwą swoją ojczyznę. 25 listopada 2015 roku dokument wpłynął do sądu w St. John’s. Dowodziliśmy, że Inuici i inni mieszkańcy nowej prowincji byli



przez władze federalne traktowani tak samo jak rdzenni mieszkańcy z pozostałych obszarów Kanady.

\* \* \*

Czyli Kanada była matką dzieci Labradoru i Nowej Fundlandii tak samo jak dzieci w innych prowincjach.

I dalej: „Skarżący podnoszą, że udział Kanady lub jego brak w [sprawach] szkoły był złamaniem jej obowiązków powierniczych i innych zobowiązań wobec ludności rdzennej”

A także: „Biorąc pod uwagę naturę związku Kanady z rdzenną ludnością, powstał obowiązek powierniczy, by zachować, ochronić i promować dobrostan i edukację rdzennych dzieci, a odpowiedzialność za jego dopełnienie spoczywała wyłącznie na Kanadzie”

Oraz: „W tym samym czasie Kanada doskonale wiedziała o nieprawidłowościach w indiańskich szkołach z internatem, jakie działały w pozostałych częściach kraju”

Drużyna Obeda wyliczyła kroki prawne, jakie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych podejmowała prowincja, walcząc o wyrównanie finansowania z budżetu federalnego. Dysproporcje były na niekorzyść Nowej Fundlandii i Labradoru. „Pieniądze wydawane przez rząd federalny na Eskimosów w Labradorze w prowincji Nowa Fundlandia były zaledwie ułamkiem tego, co rząd federalny przeznaczał na Eskimosów w innych częściach Kanady”

A także: „Warunki i nadużycia w szkole w czasie [o którym mowa w pozwie] były Kanadzie dobrze znane”

Ale na ogólnikach się nie skończyło.

Ocaleńcy „byli systematycznie poddawani w szkole instytucjonalnym warunkom, reżimowi i dyscyplinie i w czasie

zamknięcia w szkole byli ponadto poddawani niegodziwemu traktowaniu z rąk Kanady.

W szczególności Obed (...) doznał znacznego fizycznego wykorzystywania i był atakowany słownie przez nauczycieli, »opiekunów« i innych uczniów. Obed (...) ucierpiał także z powodu poważnego urazu fizycznego i psychicznego, doznanego ze strony nauczycieli i uczniów. W szczególności Obed (...) był wielokrotnie wykorzystywany seksualnie przez nadzorców internatu, osoby mające być opiekunami, oraz przez innych uczniów”.

Jak podkreślali adwokaci, którzy mieli za sobą rozmowy z ocalałcami, „rdzenni chłopcy i rdzenne dziewczęta, w tym Obed, byli obiektem wykorzystywania i nadużyć zarówno związanych, jak i niezwiązanych z ich płcią, byli też zaniedbywani i maltretowani. Systematycznie pozbawiano ich niezbędnych elementów prawidłowego okresu dzieciństwa. Byli poddawani fizycznemu, emocjonalnemu, psychologicznemu, kulturowemu, duchowemu i seksualnemu wykorzystywaniu ze strony tych, którzy mieli obowiązek dbać o ich dobro”.

W jaki sposób ojczyzna zawiodła dzieci takie jak Toby Obed, według prawników można streścić następująco:

Nie zadbała o to, by upewnić się, że szkoły dostają wystarczająco dużo pieniędzy – a wiedziała, że nie wywiązują się z obowiązku zapewnienia bezpieczeństwa i kulturowej tożsamości dzieci.

Nie powstrzymała tego, co działo się w szkołach, które nadzorowała. Nie kontrolowała ich wystarczająco dokładnie.

Celowo i stale pozbawiała dzieci prawa do należnej im i przyrzeczonej edukacji. Nie przeznaczała na to odpowiednich środków.

Zaprojektowała, zbudowała i utrzymywała budynki szkolne, które nie spełniały standardów i powodowały szkody emocjonalne,

psychologiczne i fizyczne u przetrzymywanych tam dzieci.

Nie kontrolowała nauczycieli i opiekunów, od których zależało bezpieczeństwo dzieci.

Nie reagowała prawidłowo albo też wcale na ujawniane przypadki wykorzystywania dzieci. Dała przyzwolenie na to, by dzieci były bite i stały się celem ataków.

Kiedy już wiedziała albo powinna była wiedzieć, co dzieje się w szkole, nie podjęła żadnych kroków naprawczych.

Władze wiedziały, nic z tym nie zrobiły.

\* \* \*

Zanim Toby zajął miejsce za barierką dla świadków i pokazał się przed sądem, spróbowali go przedstawić jego adwokaci. W dokumentach sądowych znajduję stworzony przez nich portret Toby'ego Obeda. Wynika z niego, że po opuszczeniu szkoły w North West River dostał na nową drogę życia następującą wyprawkę:

Odcięcie od rodziny i społeczności. Pobicia i napaści. Wykorzystywanie seksualne.

Wykorzystywanie emocjonalne. Nadużycia psychologiczne. Pozbawienie podstawowej edukacji. Pogorszenie i zniszczenie stanu zdrowia psychicznego i emocjonalnego prowadzące do ciężkiej i trwałej niepełnosprawności.

Skłonności do nałogu. Ograniczoną zdolność do uczestniczenia w normalnym życiu rodzinnym. Zerwanie więzi z najbliższymi.

Ograniczenie zdolności do funkcjonowania w miejscu pracy, całkowitą niemożność zarobkowania i samodzielnego utrzymania się.

Potrzebę trwałego psychologicznego, psychiatrycznego i medycznego leczenia schorzeń i innych zaburzeń związanych

z tym, co stało się w szkole.

Depresję, zaburzenia lękowe i dysfunkcje.

Skłonności samobójcze.

Ból i cierpienie.

Pozbawienie miłości i wsparcia rodziców i rodzeństwa.

Utratę wiary w siebie i poczucie degradacji.

Strach, upokorzenia i zawstydzanie – zarówno jako dziecka, jak i osoby dorosłej.

Pomieszanie i dezorientację w sprawach seksualnych.

Ponadto szkoła pozbawiła Toby'ego umiejętności życia w społeczeństwie, między ludźmi. Dała za to stałe i intensywne emocjonalne cierpienie.

Kanada wiedziała. Nic z tym nie zrobiła.

Za to wszystko w imieniu ocalańców prawnicy zażądali pięćdziesięciu milionów dolarów (około stu pięćdziesięciu milionów złotych).

Toczące się w tle mediacje między prawnikami Inuitów a prawnikami korony (czyli rządowymi) skończyły się fiaskiem i sprawa Anderson przeciwko Kanadzie trafiła do wstępnej oceny sądu.

Sędzia zapoznał się z wnioskiem i niezwłocznie wezwał Toby'ego Obeda przed swe oblicze.

\* \* \*

W 2015 roku, osiem lat po tym, jak Toby Obed zadzwonił do Stevena Coopera, Kanada postanowiła wreszcie go wysłuchać. Sędzia chciał usłyszeć, co w praktyce oznacza dla Toby'ego „pozbawienie miłości”, „wykorzystywanie seksualne” oraz „ból i cierpienie”.

Toby pojawiał się zawsze w towarzystwie Coopera. Jeden w adidasach i T-shircie, szedł sprężystym krokiem na metalowych protezach. Drugi w łopocącym surducie, z łańcuszkiem zegarka zwisającym u dolnej kieszeni, z walizką pełną dokumentów.

Ruszyła machina i pod szary budynek sądu zleciały się stacje telewizyjne z całej Kanady.

Jako pierwszy zeznawał Toby Obed, rdzenne, kanadyjskie dziecko ocalone ze szkoły w North West River, prowadzonej przez Towarzystwo Dobroczynne Grenfell.

\* \* \*

– Byłem czteroletnim pyrrkiem, kiedy zabrano mnie od mamy. Więcej jej nie zobaczyłem.

Mama mówiła do mnie w inuktitut. Nic w tym dziwnego, jesteśmy Inukami, to nasz ojczysty język. Innych słów nie znałem.

Tymczasem w szkole, do której nas zabrali, nie wolno było mówić tym językiem. Jak miałem sobie z tym poradzić? Gdy masz cztery lata, to używasz głównie tych słów, których nauczyła cię mama.

Za to dostawaliśmy lanie. Chociaż z czasem było lepiej – wychowawcy przestali smagać batem, po prostu bili ręką, więc to była wielka ulga.

Ale gdy mieli gorszy dzień, kładli nam ręce na nieostygłym palniku. Zamykali w komórce, bez światła i bez jedzenia. Nie dawali też nocnika. Za karę chodziliśmy potem okutani w zabrudzone prześcieradła. W dziecięcej sypialni wiecznie śmierdziało wydzielinami i strachem.

Bicie za słowa i zawijanie w prześcieradła były na początku. Z czasem dzieci dostały kolejne zadania i role. Pamiętam zwłaszcza jedną wychowawczynię, dama po pięćdziesiątce, nazywaliśmy ją

*Miss Devil*, Panna Diabeł. Najgorszy człowiek, jaki się kiedykolwiek urodził.

Nie mam żalu, że nauczyła nas palić. Takie były wtedy czasy, że wszyscy palili. Ani że kazała nam pić piwo. Choć czasem myślę, że gdyby nie ona, tobym nie pił. Byłbym cały, miałbym nogi, rękę. Byłbym kimś innym, byłbym kimś. Ale zamiast tego los dał mi Panią Diabeł.

Miała takie hobby. Uwielbiała na nas patrzeć.

Zmuszała nas wtedy, żebyśmy wchodzili w siebie nawzajem.

Żebyśmy robili sobie krzywdę, jedni drugim.

Starsze dzieci młodszym, chłopcy dziewczynkom, chłopcy chłopcom.

Pani nam kazała, a myśmy płakali.

Płakali ci, którzy leżeli pod spodem.

Ci, którzy musieli to robić, też płakali.

A ona patrzyła.

Uwielbiała nas oglądać.

Mój Boże, ona się na nas nie mogła napatrzeć!

I zmuszała do oglądania całą resztę. Nikomu nie wolno było odwrócić buzi.

Ale nie tylko dorośli krzywdzili – zagrożeniem były także inne dzieci. Uczyły się, że władzę zdobywa się przemocą, i uruchamiały jej cykl.

Wychowane gwałtami, same gwałciły.

Nie kończyło się to po opuszczeniu szkoły.

Przetracone wracały na zewnątrz, nie znały innego języka niż przemoc. Niosły ją dalej – to nie są odizolowane przypadki, ale

choroba układowa, której objawy widać do dziś od wybrzeży Kolumbii Brytyjskiej nad Pacyfikiem po sięgające w stronę Europy wschodnie brzegi Labradoru.

\* \* \*

Opowieść Toby'ego była tak trudna do uniesienia, że sąd przerywał sesję. Wtedy o tym, co działo się z dziećmi zamkniętymi w szkołach w Labradorze, dowiedział się cały kraj. Nie wszyscy uwierzyli.

Prawnicy reprezentujący kanadyjski rząd i towarzystwo Grenfell podawali zeznania Obeda w wątpliwość. Bo może on to wszystko zmyśla? W końcu tyle pije, że fantazje miesza mu się z rzeczywistością. Nie jest zamożny, pewnie liczy na łatwy zarobek.

Ale alkohol nie zatarł tego, co wryło się w pamięć Toby'ego. Te ścieżki neuronalne są trwale naznaczone.

– Nie kłamię ani nie zmyślam. Takiego bicia i takich obrazów zapomnieć się nie da.

Przed sądem wymieniał nazwiska nauczycieli, opiekunów – wszystkie szczegóły, jakby to było wczoraj. Prawnicy strony pozwanej próbowali wykazać, że pracownicy szkoły nie wiedzieli.

Wydarzyły się rzeczy straszne, ale pozwani nie-wie-dzie-li. Nie można ich za to winić!

Po rozmowie z Tobym przeglądałam archiwalne numery kwartalnika, które Grenfell wydawało w latach 1903–1981, a zatem przez cały okres działalności szkoły Yale. W 1975 roku, kiedy trafił tam Toby, towarzystwo informowało swoich członków i sympatyków na całym świecie o jednym tylko wydarzeniu w szkole.

Oto zmarła dawna nauczycielka. W nekrologu wspomniano jej talent do wekowania i puszkowania warzyw, które stanowiły cenne zapasy w miesiącach zimowych. Wspominano też, że zawsze umiała

wyczarować świeżą sałatę. O tym, co działo się poza grządkami i szklarnią, czytelnicy się nie dowiedzą aż do dnia, w którym Toby Obed stanie za barierką dla świadków.

\* \* \*

15 grudnia 2015 roku sędzia Sądu Najwyższego Nowej Fundlandii i Labradoru, wysłuchawszy Toby'ego i innych ocalańców, przebrnąwszy przez ponad tysiąc stron dokumentacji dowodowej, ogłosił decyzję.

„Macie dowody, które ponad wszelką wątpliwość przemawiają za waszym cierpieniem. Macie wszelkie prawo, by móc skarżyć Kanadę. Nie przesądzając o możliwym rozstrzygnięciu, ogłaszam, że Sąd Najwyższy gotów jest pochylić się nad waszą skargą”.

Droga do tego, by ocalańcy mogli pozwać ojczyznę, została otwarta. I wtedy przyszedł e-mail.

– Nie było wcześniej żadnego telefonu, żadnej zapowiedzi – mówi Steven Cooper. – Po prostu na ekranie mojego komputera wyskoczyło powiadomienie. Był to e-mail od prawników rządowych.

Kanada napisała do Obeda: Toby, dogadajmy się.

Był sierpień 2016 roku. Toby zgodził się na negocjacje i niebawem na biurko sędziego trafiła ugoda, jaką Kanada zawarła z Andersonem, Obedem i innymi ocalonymi. Sędzia parafował dokumenty i ogłosił: procesu nie będzie, sprawa zostaje na zawsze zamknięta. Obie strony umówiły się, że ugoda obejmie tych, którzy byli uczniami szkół po 1 kwietnia 1949 roku. To granica, która podzieliła wiele rodzin.

Jak u Miriam Saunders z Goose Bay. Zamknięto ją w tej samej szkole, co Toby'ego, ale troszkę wcześniej, w latach 1971–1974. Była tam bita i wykorzystywana seksualnie przez kobiety i przez



mężczyzn zatrudnionych w placówce. Dostała przeprosiny i odszkodowanie. W innej szkole, w Makkovik, przebywał jej ojciec. Był tam traktowany dużo gorzej, ale przed rokiem 1949, więc ani przeprosin, ani pieniędzy się nie doczekał.

Uważa się, że ugoda to i tak ogromny sukces i historyczny precedens. Oto Kanada uznała krzywdy dzieci zamkniętych w czterech szkołach w Labradorze oraz w jednej na północy Nowej Fundlandii. Trzy placówki prowadziła organizacja dobroczynna Grenfell, dwie – bracia z Moraw.

\* \* \*

Załącznikiem do ugody był cennik, podobny do tego, który przygotowano w ramach historycznej ugody IRSSA. Każdy uprawniony ma prawo do indywidualnej wyceny cierpienia. Rozkład krzywd i pieniędzy przedstawia się następująco:

Za samo umieszczenie w szkole na okres krótszy niż pięć lat należy się piętnaście tysięcy dolarów.

Powyżej pięciu lat – dwadzieścia tysięcy.

Procedura jest uproszczona, wystarczy złożyć oświadczenie woli, proces ma odbyć się w oparciu o zaufanie między stronami. Rząd zaznacza jednak, że zachowa prawo do wyrywkowego sprawdzania wniosków.

Cennik obejmuje też konkretne czyny, takie jak między innymi: co najmniej jednokrotne wymuszanie pocałunku lub pieszczot (pięćdziesiąt tysięcy dolarów), robienie nagich zdjęć (pięćdziesiąt tysięcy) albo cztery lub więcej przypadki stosunku analnego, waginalnego lub penetracji za pomocą przedmiotu (dwieście tysięcy dolarów).

Na mocy ugody Toby'emu Obedowi została przyznana najwyższa możliwa kwota.

Dzięki temu Toby z dnia na dzień zyskał wielu przyjaciół. Garnęli się, by mieć udział w radości Obeda, a dokładnie w jego pieniądzach. Inni ocalańcy pospłacali karty kredytowe, hipoteki. Wzięli rodzinę na dłuższe i lepsze wakacje. Wielu wyremontowało domy, kupiło sprzęt medyczny, nowsze wózki i kule. Nowi przyjaciele Toby'ego szybko zmienili się w dłużników, a pieniądze się rozeszły.

Jedną trzecią przyznanej kwoty zatrzymali prawnicy – to wynagrodzenie za dziesięć lat pracy.

Ale w tej historii pieniądze to nie wszystko.

\* \* \*

W sierpniu 2017 rok premier Justin Trudeau ogłosił, że jesienią przyjedzie do Labradoru i przeprosi w imieniu Kanady za to, co stało się Toby'emu Obedowi i tysiącowi inuickich dzieci.

Nie będzie ciepło witany – część inuickich organizacji zapowie, że to gadanie po próżnicy. Rozmawialiśmy z przedstawicielami naszych społeczności i dostaliśmy jasne instrukcje, powiedzą inuiccy przywódcy. Słowa nic nie kosztują, a w czasie przemowy premiera jego administracja będzie forsować swoje projekty. Jak w przypadku tamy na Muskrat Falls: rząd przekonuje, że musi powstać, by zasilić elektrownię. Bez niej gospodarka Labradoru nie będzie mogła się dźwignąć i ugrzęźnie. Ale mieszkańcy tamy na rzece nie chcą i głośno przeciw niej protestują: Na spotkanie z premierem nie przyjdziemy, jego przeprosiny w tej sytuacji nic dla nas nie zmieniają – mówią Inuici.

Toby Obed nie myśli o tamie, ale o czterolatku zamkniętym w szkole w North West River. Ktoś proponuje, żeby to on pojawił się na scenie razem z premierem Trudeau w geście pojednania.

Toby waha się, czy przyjść na uroczystość. Nie wie jeszcze, czy nie odtrąci wyciągniętej ręki premiera.

– To ja zdecyduję, czy w imieniu Inuitów odpowiedzieć mu: tak, akceptujemy twoje przeprosiny. Czy raczej: nie, przeprosiny premiera nie zostaną przyjęte – tłumaczy Toby.

Dziennikarzom zapowiada:

– Myślę, że na scenie podejść do Trudeau i na te przeprosiny rzucę mu prosto w twarz: no to rychło, kurwa, w czas!

\* \* \*

24 listopada 2017 roku w Happy Valley-Goose Bay, w miasteczku, które jest bramą na Północ, które ominęła wojna i lądowanie pojazdów kosmicznych, w którym Toby Obed umarł dwudziesty trzeci raz, wylądował samolot premiera. Do miejsca, w którym stała szkoła Toby'ego, jest stąd czterdzieści minut jazdy samochodem. Na uroczystość zaproszono tych, którzy ocaleli. Jak Toby'ego czy Sarę, jego siostrę, która też przeżyła szkołę w North West River. Sara razem z trojgiem rodzeństwa solidarnie przystąpiła do pozwu zbiorowego, ale nie miała okazji zeznawać przed sądem. Rząd zapowiedział, że zapłaci za pięćdziesiąt biletów tylko dla tych, którzy zeznawali – inne ofiary za dojazd, a właściwie za transport powietrzny, musiały zapłacić z własnej kieszeni.

Kto ma wolnych parę tysięcy na lot do Goose?

Dlatego setki ofiar nie miały szans usłyszeć, jak premier je przeprasza. Toby dostał bilet, Sara została w domu, czekając przed telewizorem. I Toby jak zwykle był sam.

Choć przecież towarzyszył mu adwokat, Steven Cooper, z zespołem.

– To była uroczystość oficjalna, ale bardzo, bardzo intymna. Jako prawnicy często przesuwamy pieniądze z sejfu jednego klienta

do pancernej kasy drugiego, więc odszkodowania czy zadośćuczynienia nie robią na nas wrażenia, ale tu nie chodziło tylko o pieniądze – mówi Cooper.

Cała Kanada wiedziała, co się święci: premier przyjeżdża przeprosić i zaofiarować miliony, a prosty gość bez nóg, w luźnej bluzie hokeisty zasłaniającej brakującą rękę, powie, że przeprosin premiera przyjąć nie zamierza. Jak to będzie wyglądało?

Czy będzie transmisja live, w telewizji i na Facebooku, jak to zwykle ma miejsce w przypadku ważnych wystąpień premiera? Czy Toby Obed coś powie, czy może jednak będzie tylko wymownie milczał? Czy jutro na pierwszych stronach wszystkich dzienników będzie to zdjęcie: wypielęgnowana dłoń Trudeau, wyrastająca z doskonale taliowanej, szytej na miarę marynarki, wisi w powietrzu, bo nie chce jej ucisnąć krzywdzone latami siwe dziecko?

Kanada zasiada przed telewizorami. W sali centrum sztuki w Goose Bay jest cicho, jeśli nie liczyć dyskretnego siąkania. Dla tych, którzy się nie zmieścili, pobliska szkoła otwiera salę i uruchamia streaming. Dla wszystkich – pudełka z chusteczkami do nosa. Z boku – terapeuci i ratownicy, gotowi w każdej chwili nieść pomoc. Na widowni – dawni uczniowie i ich bliscy. Wielu w ludowych, inuickich strojach. I sto dwadzieścia świec zapalonych w intencji stu dwudziestu dzieci, które nie dożyły dzisiejszych przeprosin od swojej ojczyzny.

Zaczyna się.

Na scenę wychodzi Justin Trudeau. Za jego plecami rozpięto nakrapianą foczą skórę. Na skórze – złamane serce, które unosi się w stronę pełnego serca. Premier opiera się o pulpit. Zawsze przykuwa uwagę, zawsze zagarnia dla siebie całą scenę, choć nie

zajmuje dużo miejsca. Teraz stoi z pochyloną głową. Czy kiedy szedł do wyborów, ktokolwiek go uprzedził, co go będzie czekać?

– Przyjeżdżam tu powiedzieć wam to, co należało powiedzieć lata temu. Kanada od dawna była wam winna przeprosiny.

Justin Trudeau zrobił to, na co nie odważył się jego ojciec. To Pierre Trudeau był premierem, kiedy Toby Obed został zabrany z rodzinnego domu i na lata zamknięty w szkole z internatem.

– W imieniu kanadyjskiego rządu i wszystkich Kanadyjczyków ludziom, którzy w Labradorze przeżyli szkoły z internatem, mówię głośno: przepraszamy.

Justin Trudeau nie kryje łez. Świat obiegają obrazki: czerwony nos, załzawione oczy, głos na granicy płaczu. Kanada patrzy na swojego przywódcę, który stoi przed ocalałymi z pochyloną głową. Jeden z potężniejszych ludzi na świecie prosi o wybaczenie. Blask ciemnieje. Majestat państwa w pokorze.

Nic mu od tego nie ubywa. Niczego w tym uniżeniu nie traci. Kanadyjski premier płacze razem z ocalałymi i ich bliskimi: tacy właśnie byliśmy, tacy być już nie możemy.

\* \* \*

Po chwili na scenę wchodzi Toby Obed, zamasyście, kiwając się na boki. Justin Trudeau rozluźnia barki. Wyciąga dłoń. Toby zbliża się, chwyta rękę premiera i mocno ściska. Przez chwilę potrząsają złączonymi dłońmi, w tle strzelają migawki, błyskają flesze. Wszyscy płaczą.

Toby opiera się o pulpit, podnosi ręce w geście triumfu. Jedna pięść mierzy wysoko w sufit, po drugiej stronie opada podwinięty rękaw bluzy, bo drugiej ręki Toby przecież nie ma.

– Ponieważ pochodzę z kultury cierpliwej... – mówi do mikrofonu, ale zaczyna płakać. – Ponieważ pochodzę z kultury cierpliwej

i skłonnej do wybaczenia, uważam, że należy przyjąć przeprosiny od kanadyjskiego rządu. – Zakłopotany premier Trudeau przynosi mu chusteczki.

– Zostaliśmy potraktowani tak jak reszta Kanady – otrzymaliśmy nasze przeprosiny. Mamy to, mamy to, kurwa. Zwyciężyliśmy!

Brawa. Owacje. Ulga. Te obrazki poszły w świat na żywo i dotarły aż do Sary, która oglądała brata skulona w fotelu.

Ale był jeszcze jeden moment, którego tak od razu nie pokazano.

Zanim premier zabrał głos, zanim wyszedł na scenę, stał za kulisami. Czy bał się, że Obed go upokorzy, odtrącając dłoń wyciągniętą na pojednanie? Czy raczej liczył na to, że to on przekona Toby'ego: cytatami z ustawy, sentencją wyroku, swoimi okrągłymi zdaniem z ulotek wyborczych?

Trudeau zastanawia się, stojąc w ciasnym korytarzu, gdzieś na zapleczu. Za chwilę będzie przechodził tamtędy Obed.

Już idzie. Maszeruje hardo jak dragon, jak żołnierz. Brwi ma zmarszczone, usta zaciśnięte. Premier stoi bez słowa. Nie wyciąga ku Toby'emu dłoni. Wie, że nie zostanie przyjęta.

Otwiera za to ramiona. A w tej samej sekundzie Toby Obed przymyka powieki i przywiera do klatki piersiowej premiera. Mikrofon przypięty do koszuli Justina Trudeau jest włączony, trzeszczy. Słysząc, jak premier szepcze:

– *It's okay.* Już dobrze.

Puszcza tama większa od tej na Muskrat Falls i Toby szlocha. Trudeau obejmuje wstrząsane płaczem plecy, gładzi je otwartą dłonią. Im głośniejszy Toby płacze, tym mocniej przyciska go do siebie Justin.

– Wiem, Toby. Wiem. Wielki ciężar niosłeś na swych ramionach, Toby. A teraz – jesteśmy tu razem.

\* \* \*

Proces był ważny, wystąpienie też było ważne. Tak samo ugoda i odszkodowanie. Ale Toby mówi, że najważniejszy był tamten moment za kulisami. Nieutulone nigdy dziecko, zmienione w posiwiąłego mężczyznę bez nóg, usłyszało:

– Wiem, co ci zrobiono. Wiem wszystko.

Potem wszedł na scenę. Były publiczne uściski, gratulacje i błyski fleszy. Była publiczność – w sali i na świecie, patrząca na łzy Toby’ego Obeda. Tylu ludzi w jego sprawie! Przybijali piątki, gratulowali, robili pamiątkowe zdjęcia. Toby rozglądał się dookoła. Byli tam z nim wszyscy.

Tylko nie mama.

\* \* \*

Steven Cooper miał do pracy nad tą sprawą silną motywację. Cały czas pamiętał tamten telefon od Mariusa Tungilika, który opowiedział na zjeździe absolwentów, jak krzywdzono go w katolickiej szkole z internatem w Chesterfield Inlet.

– Marius nigdy nie podniósł się po tym, co mu zrobiono w szkole. I co zrobił z nim system zaprojektowany, by zgładzić to, kim Marius był. A okazał się pełnym talentu erudyta. Jego życie to przykład zmarnowanego przez system potencjału. Był samorządowcem i dziennikarzem, wykorzenionym i zawieszonym pomiędzy światem tradycyjnym i nowoczesnym, ale czuł, że nie pasuje do żadnego z nich. Był dumny, gorzał gniewem, który jestem w stanie zrozumieć. Znam wielu ocalańców, rozdartych jak on. Niektórzy sobie jakoś radzą, jakoś tę przepaść kontrolują, ale mało kto jest w stanie ją pokonać.

Mariusowi Tungilikowi się to nie udało. W 2012 roku został znaleziony przez swojego syna. Do ostatnich dni nawoływał do postawienia przed sądem oblata, księdza Johannes Rivoire'a, który przez blisko trzydzieści lat miał krzywdzić dzieci w szkołach z internatem. Jeszcze w 1998 roku kanadyjska policja wydała za księdzem list gończy. Ale Rivoire za przypisywane mu zbrodnie na dzieciach nie odpowie – zdążył schronić się we Francji, gdzie dożywa swych dni w domu dla księży emerytów.

Pytam Stevena Coopera o następne kroki.

– Dobrze, że Kanada rozlicza się z tego, że zamykała rdzenne dzieci w internatach. Ale wiesz, zbudowaliśmy też drugi system, lecz o nim jak dotąd niewiele się mówi. A był niemal identyczny, tylko nie należał do resortu edukacji, lecz zdrowia.

Bo obok szkół, w których zamykano rdzenne dzieci, były też przecież takie szpitale.



## 10. DZIECI ŻÓŁWIEJ WYSPY

W okolicy torontońskiej stacji metra St. Clair nie brakuje delikatesów. Pomyślano o wszystkich, którzy mają ochotę się porozpieszczać i znajdą na to pieniądze. W sklepowych lodówkach stoją kartoniki w kilku rozmiarach: mały do pracy, duży na co dzień i większy dla całej rodziny. W każdym kurze białko, pozbawione śladów żółtka – to dla osób dbających o poziom cholesterolu. Obok akwarium z żywymi homarami, którym spętano szczypce specjalną gumką. Dalej – długa aleja makaronów dla niejedzących maki z kłosem. Najskromniejsza jest sekcja z mrożonkami, bo owoce i warzywa sprowadza się przecież świeżutkie, prosto z Meksyku. Jesień czy zima, dojrzałe mango i pachnące maliny wysypują się tu z koszy. Można kupić wszystko, tylko trzeba za to dużo zapłacić.

Z perspektywy niebieskiego namiotu to przygnębiająca perspektywa.

Pada na nas cień biurowej wieży, w której mieści się centrala koncernu, do którego należą delikatesy. Jego szef został (po raz kolejny) okrzyknięty drugim najbogatszym człowiekiem Kanady, tej mitycznej w oczach świata krainy, w której mleko i miód płyną szerokim strumieniem.

Ale choć gospodarka ma się świetnie, to ludzie nie za bardzo. Wielu mieszkańców Kanady o zamożności i potędze swojej ojczyzny dowiadyuje się z mediów.

Jak choćby Henry Pitawanakwat i inni, którzy nocują w niebieskim namiocie. Jak na przykład John Lord Kenebutch.

John jest potężnym mężczyzną, czuć od niego paloną szałwią i papierochami. Ma skórzany kapelusz z orlim piórem, wetkniętym za wstążkę z etnicznym wzorem: żółw za żółwiem, żółw za żółwiem. Dziś Lord John ma pomalowaną twarz. Od czoła do czubka nosa na czarno, od nozdrzy do brody na biało. Skóra jest ogorzała od wiatru, więc farba zaczyna się łuszczyć, jak u zmęczonego mima pod koniec dnia na gdańskiej starówce.

Skąd te barwy? John mówi niechętnie.

– Mohawkowie tak się malowali w czasie wojny. I ja tu jestem na swojej wojnie.

John nie ma jednak życzenia ze mną dyskutować. Gdy Henry i ja uciekamy przed wiatrem do kawiarni, żeby porozmawiać, on zabiera się jednak z nami. My sobie porozmawiamy, a on się wysika. W kawiarni pachnie kawą i kaszmirowymi swetrami, które pod wpływem ciepła oddają słodkie perfumy. Lord John podchodzi do baru. Nikt tu nie weźmie jego stroju za kostium. Panuje milcząca zgoda, że to element tożsamości. Oto kim Lord John po prostu jest. Naprzeciwko jego pomalowanej na czarno-biało twarzy staje młody barista.

Chłopak, któremu nie drgnie powieka, pyta:

– *How's it going, man?* Co dla ciebie, stary?

– *Good.* – John nie traci czasu na uśmiech. – Daj mi herbaty. Ona płaci. – Kapeluszem z piórem kiwa w moją stronę. Posiedzi z nami przez chwilę, ale nie będzie bawił się w konwenanse. Lordowi Johnowi przyświeca gwiazda szczerości.

Za jakiś czas, kiedy przyjdę do nich pod namiot, przywita mnie dobrym znakiem. Na płaskiej muszli zapali suszoną turówkę i coś jeszcze, zagarniając dym w moją stronę. Ale dziś John nie ma melodii na słowa.

– Media mają nas w nosie. Siedzimy tu dzień i noc od miesiący i pies z kulawą nogą się nami nie interesuje – prycha. – Raz przylecieli z kamerą. Ucieszyłem się. Ale okazało się, że na skrzyżowaniu obok tramwaj przejechał kobitę z siatkami. Pytali, czy słyszeliśmy krzyki, i zaraz sobie poszli.

Lord John wypije z nami herbatę i nie żegnając się, wróci do namiotu na wartę.

\* \* \*

Stoję obok niebieskiego brezentu, przeglądam ulotki: „Jeśli nie chcesz godzić się na śmierć dzieci, zadzwoń do premiera Justina Trudeau (tel. 613 995 0253) i zostaw mu wiadomość”.

Sue-Lynn odgarnia zgrabiałą ręką błyszczące kosmyki. Cały czas wieje, więc włosy wysmykują się spod kaptura i wchodzi jej do ust. Nie używa makijażu, ale nie można oderwać od niej wzroku – także dlatego, że jest w niej trudny do nazwania gniew.

– Mówisz, że chcesz wiedzieć, czemu tu jestem? Chodzi o dzieci. *Enough is enough*, już wystarczy tego piekła. Oglądałam telewizję, w reportażu mówili, że jedna z naszych rodzin tylko jednego dnia straciła dwoje dzieci. Dwoje dzieci naraz odebrało sobie życie, wyobrażasz sobie?

Klęknęłam na podłodze i zaczęłam płakać, bo stracić dziecko to najgorsze z ludzkich doświadczeń. A co dopiero stracić naraz dwoje. Myślałam o tej matce, czy jej serce to wytrzyma. Nie ożywię tych dzieci, ale pomyślałam, że trzeba zrobić coś z tą rozpaczą. Kupiłam świece. Zorganizowaliśmy czuwanie. Nie, nie kontaktowaliśmy się z tą rodziną, bo to ich ból, którego ja nie umniejszę. Ale mogę o tych dzieciach komuś opowiedzieć, pomyślałam.

One przecież były, one przez chwilę tu żyły, tylkośmy nie umieli ich zatrzymać. Te dzieci zginęły, bo nie widziały nadziei na poprawę

swojego losu – mówi Sue-Lynn i patrzy na mnie bez sympatii.

W 2004 roku władze w Ontario zaczęły się przyglądać epidemii samobójstw wśród przedstawicieli Pierwszych Narodów. Obliczono, że blisko co czwarta taka śmierć ma miejsce w okolicach Pikangikum, niewielkiej osady w rezerwacie na północy prowincji Ontario. W 2012 roku tygodnik „Maclean’s” opublikował głośny reportaż o tym, jak się żyje i umiera w Kanadzie z perspektywy Pikangikum. Pik leży na północnym zachodzie prowincji, blisko granicy z mroźną Manitobą, w dziewiczych, cedrowo-świerkowych lasach Ontario. Można tam dotrzeć jedynie samolotem. Cztery na pięć domów nie ma kanalizacji ani bieżącej wody. Nadal kopie się latryny. Do niedawna prąd wytwarzał tam tylko dieslowy generator. Przeciążony, często stawał – w Pikangikum brakowało i ogrzewania, i wody – ta, którą mają do dyspozycji mieszkańcy, musi być gotowana.

Choć i to się zmienia. W grudniu 2018 roku, na Boże Narodzenie, w Pikangikum postawiono udekorowaną lampkami choinkę – i włączono prąd. Aby to umożliwić, potrzeba było ponad półtora miliarda dolarów i tysiąc osiemset kilometrów linii przesyłowych. Tuż przed świętami ostatni raz zafurczał napędzany dieslem generator i w Pikangikum zapaliło się światło.

Prawie wszyscy mieszkańcy Piku mówią po odżibwejsku – angielski to język drugi, często obcy. Populacja jest niewielka, nieco ponad dwa tysiące mieszkańców. Rocznie notuje się tu około trzech i pół tysiąca aresztowań i blisko pięć tysięcy interwencji policji. Wskaźnik samobójstw to dwadzieścia pięć na sto tysięcy mieszkańców – dwadzieścia razy więcej niż w pozostałych częściach Kanady.

Tematów do rozmów w Pikangikum nie brakuje: picie i bicie, problemy z policją. Klej i aerozole wachają tu nawet maluchy. Starsi

zajmują się brakiem pracy i ciężarami za młodych na to córek. Ale tematem wiodącym jest śmierć.

\* \* \*

– To są właśnie moje dzieci.

Gdyby Juliette Turtle tylko chciała, stanęłaby przed swoim domem i wskazała szerokim gestem:

– Patrzcie tylko! Oto pięcioro z dwanaściorga moich dzieci. Od lewej do prawej.

Dzieci Juliette są zawsze blisko niej, właściwie nie sposób stracić je z oczu. W przydomowym ogródku leżą grzecznie w płytkich, nieutrąsionych jeszcze grobach. Juliette mogła przestać się o nie martwić. Są wreszcie w domu i nic złego już im się nie stanie.

To lokalna tradycja, przy domach w Pikangikum stawia się białe drewniane krzyże. Starszyzna zabroniła chować samobójców na cmentarzu, ponieważ ciężko zgrzeszyli przeciwko Bogu. Skończyło się na tym, że ciała chowa się w podwórkach i ogródkach na tyłach domów. Także i Juliette swoje dzieci pogrzebała za ścianą. W ziemi przed jej drewnianym rozpadającym się domem są więc naprzemiennie: otwory po latrynie i otwory z ciałami jej dzieci. Kiedy latryna się napełnia i trzeba kopać dół na nowo, Juliette musi być uważna.

Wieś Pikangikum na północy Kanady, w której urodziły się i umarły jej dzieci, nazywana jest światową stolicą samobójstw. Nie prowadzi tam żadna przejezdna droga. Dostać się trudno, ale jeszcze trudniej stamtąd uciec.

\* \* \*

Dwa lata spędził w Piku Jeffrey Kiyoshk Ross, trzydziestoczteroletni akademik, urodzony z rdzennej matki i czarnoskórego ojca. Dziś kieruje instytucją First Nations House, Domem Pierwszych Narodów na Uniwersytecie Toronto.

W jego gabinecie książki leżą na regałach, na podłodze i na biurku, pomiędzy dokumentami i muszlą pełną spalonych zapalek i popiołu po szalwii. W oknie – łapacz snów. Niesymetryczny, pogięty i podniszczony, nie przypomina produkowanych masowo pamiątek dla turystów.

– Bo to nasze życie, a nie historia. To wszystko dzieje się teraz, na co dzień. Nie w muzealnych gablotach, ale w naszych kuchniach i sypialniach. Wciąż żyją ci, którzy przeszli przez szkoły. Jak moja mama.

Matka Jeffa, Ramona, jest uznaną dziennikarką, mocnym rdzennym głosem w przestrzeni publicznej w Kanadzie. Urodziła się w odżibwejskim rezerwacie na południu Ontario. W jej społeczności tradycję zastąpiono religią, a wartości rodzinne alkoholem. Ramona i jej siostra trafiły do szkoły z internatem, do Mohawk Institute. Latem mogły przyjechać do domu. W rezerwacie stały już wtedy białe namioty głosicieli Ewangelii.

Był to czas, kiedy pastorzy i kaznodzieje korzystali z dobrej pogody i przemierzali Kanadę w poszukiwaniu dusz do zbawienia. Siali słowo Boże, zbierali plon w postaci nowych wiernych i sporej, nierejestrowanej gotówki. Ojciec Ramony uznał, że to doskonały sposób, by dźwignąć się z biedy – sprzedaż bimbru była i nieopłacalna, i niebezpieczna. Został kaznodzieją. Potrzebował świadków przemienienia, więc Ramona i jej siostra pomagały ojcu. Na koniec każdego jego wystąpienia zgłaszały się jako pierwsze: żarliwe, pragnące prędko przyjąć chrzest. Ojciec zanurzał je w rzece

i włączał do wspólnoty Kościoła. A za ich przykładem szli następni, gotowi pozbyć się grzechu pierworodnego i pieniędzy.

Tamto lato upłynęło dziewczynkom na regularnym przyjmowaniu chrztu z wody. Wyzbywały się Szatana i przyjmowały sakrament kilkanaście razy. Ale potem trzeba było wrócić do szkoły.

– O szczegółach mama opowiadała rzadko, ale i tak szkoła mówiła przez nią, odkąd pamiętam.

Jak wtedy, gdy wróciłem po lekcjach do domu z rozkwaszonym nosem. Krew kapała mi na podłogę. A mama machnęła ręką: co ty możesz wiedzieć o przemocy. Ja, to ja byłem w szkole z internatem.

Byłem mały, a i tak wiedziałem: wszystko złe, co mnie spotyka, i tak nie przebije tego, co jej zrobiono – opowiada Jeff. – Tak samo ojciec. Był czarny, pochodził z Saint Vincent, wulkanicznej wyspy na Morzu Karaibskim. Jego przeznaczeniem było karczować plantacje maranty trzcinowej, z której robi się zagęstniki do żywności ekologicznej. Jeśli mój ojciec pracował na takiej plantacji, to co ja wiem o przemocy?

Po studiach wyjechałem do Pikangikum. To takie miejsce, w którym jest zero pracy, zero szans. Starych jest tam mało, rodzi się za to dużo dzieci, których nie ma jak ogarnąć. Uczyłem je angielskiego.

Tak było w kontrakcie. Ale na co dzień zajmowałem się zwracaniem dzieci ku życiu. Wiedziałem, że po ostatnim dzwonku nie za bardzo miały co ze sobą zrobić. Spędzałem z nimi sporo czasu, nierzadko więcej niż ich rodzice. I może to dobrze. Czasem dom to dla dziecka bardzo niebezpieczne miejsce.

Miałem trochę pieniędzy, otworzyłem knajpę. Nic wielkiego, parę stolików, frytki, odgrzewane hamburgery, telewizor. Dzieciaki przesiadywały tam godzinami, były pod dachem, były bezpieczne.

Ale na noc wracały do rodziców. Co mogłem zrobić? Chciałem stamtąd napisać książkę o Piku, ale byłaby to kronika śmierci, tak to wtedy widziałem.

Za dużo było wokół umierania z własnej ręki – tak odeszła moja ciotka, mój kuzyn i mój najlepszy przyjaciel. W Kanadzie mamy wiele powodów do radości i do dumy, ale wciąż nadal wiele do przepracowania. Nasza historia to worek pełen kamieni – w pojedynkę jest to nie do uniesienia.

Pamiętam ten reportaż „Macleans” o życiu i umieraniu w Pikangikum. Zlecieli się dziennikarze, każdy chciał zrobić wywiad z Juliette Turtle, która pochowała dzieci między latrynami. Kto mógł, sprowadzał *fixera* i tłumacza, żeby Juliette opowiedziała: oto właśnie moje dzieci, mądre, dobre i bez winy.

Więc kiedy któryś z dziennikarzy znów pyta o Pikangikum, robi mi się niedobrze. Zawsze pada to pytanie: czemu rdzenne dzieci nie chcą tam żyć? Tamtych już nie ma i nie będzie, ale zostały inne, jakoś się trzymają.

Może ktoś z was wreszcie zada pytanie, czemu dzieci żyją tam mimo wszystko?

\* \* \*

Sue-Lynn dobrze zna historię Pikangikum. Za chwilę w niebieskim namiocie pokaże mi je na mapie.

Pierwszy raz urządziła czuwanie w 2011 roku, mieszkała na ulicy wśród świeczek przez czterdzieści cztery dni. Potem, w kwietniu 2016 roku, znowu. Zginęło wtedy piętnaścioro dzieci.

– Jednej nocy odebrało sobie życie aż jedenaścioro. W lipcu – kolejna dziesiątka, w tym pięcioro z Pikangikum. Powiem ci, że Kanada to jest ciężkie miejsce do życia – wzdycha.



Do tego pieniędzy jest wciąż za mało i nie wiadomo, z której kieszeni trzeba sypnąć najwięcej. Obowiązuje jednak tak zwana zasada Jordana (*Jordan's Principle*), która najpierw nakazuje pomóc dziecku w kryzysie, a dopiero potem szukać pieniędzy na opłacenie rachunków. Kanadyjski parlament przyjął ją jednogłośnie w 2007 roku, ogłaszając, że żadne dziecko pochodzące spośród rdzennych mieszkańców nie powinno mieć ograniczanej opieki zdrowotnej z powodu wątpliwości co do tego, kto pokrywa rachunek: rząd prowincji czy rząd federalny. Od tej pory za opiekę nad dziećmi płaci najbliższy urząd, który potem może dochodzić zwrotu kosztów od innych instytucji.

Zasadę przyjęto po tym, jak przez dwa lata różni płatnicy dyskutowali, kto i do jakiej wysokości powinien pokryć koszty leczenia Jordana Rivera Andersona. Pięciolatek zmarł w szpitalu, nie doczekawszy decyzji.

Wskaźnik samobójstw wśród przedstawicieli Pierwszych Narodów jest dwukrotnie wyższy niż w całej kanadyjskiej populacji. Wśród Inuitów, żyjących na Północy, jest jeszcze gorzej – śmierć ludzie zadają tu sobie dziesięć razy częściej niż w pozostałych rejonach. Każdego roku rządy poszczególnych prowincji i rząd federalny wydają miliardy dolarów, by przełamać fenotyp cierpienia, by zaleczyć skutki traumy, które przekazywane są tu z pokolenia na pokolenie. Pieniądze pompuje się w interwencje kryzysowe, zasiłki dla dzieci, przeciwdziałanie przemocy domowej, profilaktykę uzależnień i zapobieganie przestępczości.

Robi się wiele, ale to nadal za mało.

Rząd wysyła helikoptery i doraźną pomoc psychologiczną, ale Sue-Lynn uważa, że to jak wysyłanie karetki na sygnale do człowieka w agonii po to, by przykleić mu plaster. Co się dzieje,

że w Kanadzie dzieci nie widzą powodu, by żyć? Sue-Lynn przewraca oczami, bo pytam o rzeczy dla niej oczywiste.

– Pierwsze Narody, Inuici i Metysi są tu traktowani jak druga kategoria. I nie chodzi tylko o tę, jak wy ją nazywacie, Kanadę. Zresztą my, pierwsi mieszkańcy tych ziem, nie używamy określenia „Ameryka Północna”. Stany czy *Kanata* to dla nas jedna ojczyzna. Nie uznajemy granic między tymi państwami, narzucono je nam sztucznie. Osadnicy nazwali tę ziemię Kanadą, ale to nieporozumienie. Witaj na Żółwiej Wyspie! – mówi Sue-Lynn i zaprasza mnie do niebieskiego namiotu.

\* \* \*

– O takich jak ja mówi się, że cieszą się w tym kraju przywilejami. Nigdy nie mieszkałam w rezerwacie, wychowywałam się w *Tkaronto*. Moja mama była biała, a to już w *Kanacie* bardzo wiele.

Miałam dobry start, choć ojciec mnie zostawił. Porzucił mnie, gdy miałam osiem miesięcy. Nawet nie zobaczył, jak stawiam pierwsze kroki. Nie cieszył się, widząc, jak dorastam.

Potem poszłam do pracy, harowałam dla dużej korporacji. Malowałam paznokcie i farbowałam włosy. Swoje dziecko odbierałam ze świetlicy dopiero pod wieczór. W końcu zaczęłam się zastanawiać, co ja robię ze swoim życiem. Straciłam pracę, wyłudowałam na zasiłku. Teraz myślę, że chyba miałam depresję.

Jednego dnia upadłam z płaczem na podłogę. Było pogodnie, przez okno wpadło trochę słońca. Poczułam ciepłe promienie na plecach. Wydawało mi się, że mnie ktoś pogłaskał. Mało mnie w życiu głaskano.

Postanowiłam odnaleźć ojca, jego rodzinę. Okazało się, że jestem z Mohawków. Zaczęłam czytać o losach Indian dopiero jako osoba

dorośla. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie uczy się o tym w szkołach. Wyobraź sobie, że dorastasza, a wszyscy naokoło milczą o tym, kim jesteś. I ta cisza jest tak ciężka, że sama przestajesz w końcu pytać. Ale wątpliwość nie znika. Im usilniej próbujesz to zignorować, tym mocniej słyszysz głos, który terkocze w twojej głowie i w końcu jest tak silny, że rozsadza ci czaszkę.

Zapłaciłam włosy, przestałam się malować. Nie nadaję się już do pracy, rząd pomaga mi finansowo. Mam czas, więc chodzę na czuwania. Uważam, że to moje najważniejsze zadanie.

Ludzie są nam raczej życzliwi. Przechodnie zatrzymują się, by zamienić dwa słowa, podpiszą petycję, uściskną dłoń. Często wracają z drobnymi zakupami – jakieś kanapki, owoce z supermarketu, kawa ze Starbucksa. Marzniemy, ale cóż to wielkiego. Co parę godzin można pójść do domu, przespać się, wykąpać. Rodziny, w których imieniu tu jesteśmy, nie mają takiej możliwości. To nie do uwierzenia, że w XXI wieku w *Kanacie* ludzie żyją w takich warunkach.

Pytasz, czy rozmawiamy z władzami. Nie będziemy z nimi rozmawiać, to oni powinni przyjść do nas i się ukorzyć. Nie zrobią tego, wiem. Na razie tolerują nasz pobyt przed tym budynkiem. Oczywiście uważam, że to zupełny przypadek, że tuż po rozpoczęciu naszego protestu zorganizowano tu roboty drogowe. Ulica jest długa, a remont nawierzchni zaczęto akurat od tych kilku metrów, przy których czuwamy. Młoty pneumatyczne, zrywanie asfaltu, pył – nawet robotnikom było głupio. Ale takie dostali polecenie.

Potem zdecydowano o wymianie kabli – rozpruli chodnik, na którym siedzieliśmy. Nie można było przejść, wszystko rozwalone i w pyłe. Pamiętam cię zresztą, jak szłaś kiedyś z wózkiem koło naszego namiotu, policjant pomagał ci przenieść

dziecko przez gruz. Byłaś na tym tak skupiona, że nawet na nas i nasze plakaty nie spojrzałaś.

Wszystkiego pilnowała policja, która przyjeżdżała tu specjalnie, by upewnić się, że remont przebiega z poszanowaniem zasad bezpieczeństwa. Kiedy zasypialiśmy pod namiotem, przez brezent prześwitywały niebiesko-czerwone sygnały z wozu patrolowego. Nie, nie czujemy się niemile widziani.

Poza tym niewiele się dzieje. Nikt się nami nie interesuje. *Kanata* nas ignoruje. Wybieramy się do Justina Trudeau, jedziemy niedługo do stolicy na masowy protest. Będzie o nas głośno. Jeśli chcesz, możesz pojechać z nami.

\* \* \*

Sue-Lynn jest kolejną z siedmiu gwiazd, jaką pokazał mi Henry Pitawanakwat: odwagą. Rozmowy z nią sprawiają, że inaczej patrzę na swój dyplom w szufladzie, w którym stoi, że jestem osobą wysoko wykształconą. Tu zaczynam od podstaw, z biblioteki wypożyczam książki dla dzieci. Od kilku lat publikuje się proste historie, w których już kilkulatkom tłumaczy się, że Kanada ma więcej niż sto pięćdziesiąt lat, i opowiada się, że kiedyś żyli tu inni ludzie. Mówi się też dzieciom, że tych ludzi już nie ma, a przede wszystkim – dlaczego.

Zapisuję się na kurs o historii i współczesności rdzennych mieszkańców Kanady. Podczas wielu miesięcy nauki nie uniknę błędów, czasem zabraknie mi wyczucia, nie dostrzegę kulturowych niuansów i uda mi się obrazić prowadzącą. Jak wtedy, kiedy użyję słowa *squaw*. Usłyszę wtedy:

– Jako biała kobieta używasz słowa uznanego tu za niedopuszczalne. Europa jest oderwana od rzeczywistości, nie

macie pojęcia o świecie i o tym, przez jaki proces w Kanadzie przechodzimy.

Ale nie tylko Europa nie ma pojęcia o Kanadzie, również sami mieszkańcy Kanady – nie tylko jej obywatele, ale właśnie ci, którzy wybrali tutaj życie na emigracji – mają wiele do nadrobienia. Pytam Sue-Lynn, ile to potrwa.

– Dłużej niż moje czy twoje życie. Ja mam misję, żeby tu zostać tyle, ile będzie trzeba. To teraz sens mojego życia. Czasem tylko myślę, że moje życie mogłoby być zupełnie inne. Nie, gdybym się urodziła biała. Ale gdyby ojciec nas nie opuścił. On też był ofiarą polityki historycznej *Kanaty*. Nie wiedział, jak być oparciem, bo sam nie miał korzeni. Nie umiał być dumny ze swego indiańskiego pochodzenia. A jak nie wiesz, kim jesteś, to nie masz tej siły, by unieść w ramionach, wychować dziecko. Odszedł, bo nie wiedział, kim jest.

Łzy Sue-Lynn ciekną wzdłuż nosa i wpadają do ust.

– Czekam tu dniami i nocami, czuwam i palę świece. I wiesz, cały czas myślę sobie, że byłabym kimś, gdyby mnie ojciec nie zostawił.

– Kimś innym?

– Nie. Po prostu kimś.

Podchodzi do niej Henry, obejmuje ją i w milczeniu głaszcze po włosach. W jego ramionach Sue-Lynn płacze coraz głośniej. Henry zamyka oczy i kiwa się z nią powoli w lewo i w prawo, w lewo i w prawo.

\* \* \*

Jest jeszcze ciemno, zacina lodowaciejący deszcz. Autokar ma ruszyć o piątej rano spod niebieskiego namiotu. Dziś Dzień Zaduszny. Protestujący jadą ze swoją krzywdą do samej Ottawy. Chcą stanąć u stóp Wzgórza Parlamentu (Parliament Hill) w stolicy Kanady,

zanieść swoją skargę premierowi Justinowi Trudeau. Człowiekowi, który w oczach świata jest dziś rzecznikiem pojednania i nie wstydzi się łez: cudzych i swoich.

Może się uda.

W politycznej agendzie premiera jest nie tylko zarządzanie państwem, ale i przeproszanie za cierpienie, jakiego z rąk osadników z Europy, a potem samych Kanadyjczyków doznali tu rdzenni mieszkańcy.

W naszym autokarze pachnie nieumytymi włosami i tytoniem. Wiele ubrań jest przeżartych smrodem papierosów, pod wpływem ciepła otwierają się pory i dym wydobywa się z każdego centymetra skóry. Ale pachnie też mieszanką ziół, szaławii i turówki, którymi protestujący okadzili się, rozpoczynając podróż.

Ruszamy. Trochę się boję. Na wzgórze zjeżdżają się dziś grupy z całego kraju, może być tłum, w którym łatwo się zgubić. A co, jeśli dojdzie do eskalacji, jeśli ktoś z nas zostanie zatrzymany? Wda się w awanturę z policją albo kontrmanifestacją? Czy władza pozwoli na siebie krzyczeć i tupać?

Przewodniczka powie więc jeszcze:

– Dobrej podróży. Pamiętajcie, by dokonywać właściwych wyborów, i nie zapomnijcie o dzieciach, dla których tam jedziemy.

Ale oczywiście każdy z nas jedzie tam we własnej sprawie.

Kiedy wchodzę do środka, John Lord Kenebutch wskazuje mi miejsce obok Henry'ego, ale blisko swojego fotela.

– Tu usiądziesz. Będziemy mówili.

Odjazd się przeciąga, bo jeszcze kawa, jeszcze siku, jeszcze parę fajek. W końcu odjeżdżamy, miasto nadal śpi. Toronto jest zielone, jedziemy serpentynami przez dolinę Don Mills, mijając położoną w lesie cegielnię Brick Works, dziś zrewitalizowaną jako centrum kultury. W oknach cegielni jeszcze ciemno, nikt z pasażerów nie

wie, co tu dziś się wydarzy, choć wystarczyło sprawdzić w Internecie.

Nie myślimy o tym. Dziś liczy się zapał, przygoda i dzieci. Jedziemy.

Kierowca włącza ogrzewanie, dopijamy kawę i głowy same układają się do snu. Lord John wyciąga magnetofon, podkreca głośność. Leci R.E.M, *The One I Love*, ale John zarzeka się, że to czysty przypadek.

Mijamy las i wtaczamy się na autostradę, sześć szerokich pasów w każdą stronę. O piątej rano – korek na autostradzie. Auta wjeżdżające do Toronto posuwają się wolniutko, po horyzont zderzak przy zderzaku. W każdym tylko jeden człowiek, najczęściej z kubkiem termicznym w dłoni, w żółtej drodze do pracy. Na naszym pasie pusto, jakby nikt nie miał po co z tego miasta wyjeżdżać, jakby w oczach Toronto świat poza jego granicami nie był ani interesujący, ani w ogóle istotny.

Nasze nastroje są dobre, a brzuchy puste. Kiedy przychodzi czas na drugie śniadanie, rozwijam kanapki z upieczonego w domu chleba. Nie smakuje mi tutejsze białe, dmuchane pieczywo. Kilka razy w tygodniu pieczemy tradycyjny chleb: mąka, woda, zakwas podarowany przez koleżankę z Polski. Częstuję Henry'ego, który dziękuje, uśmiecha się i potem powoli żuje.

Przez grzeczność nie odmówi. Nie powie, że jest uczulony na pszenicę. Przez całą drogę, tysiąc dwieście kilometrów tam i z powrotem, będzie się drapał po nadgarstkach. To kolejna z jego gwiazd: szacunek.

\* \* \*

Jedną z organizacji, która władała potężnymi terenami i budowała bogactwo współczesnej Kanady, jest Kompania Zatoki Hudsona.

W Kanadzie mówi się, że zaczęła działać tu jeszcze w czasach przed Chrystusem. To dlatego, że handlarze zainteresowali się Kanadą wcześniej niż misjonarze.

Wzbogaciła się najpierw na handlu futrami. To był jeszcze miodowy miesiąc. Biali osadnicy nie przetrwaliby zimy bez wsparcia miejscowych, którzy się nimi opiekowali, wskazywali łowiska i uczyli o skórach niedźwiedzi i bobrów. Czekali na nie kuśnierze i kapelusznicy w Europie, płacili Rosjanom za technologię szycia z futer.

Rdzenni mieszkańcy Kanady pokazali przybyszom, jak lepić *pemmican*, baton energetyczny. To mieszanina łoju, suszonego mięsa i jagód. Bardzo kaloryczny, ułatwiał przetrwanie głodu w zimie. Pomagali też ścinać i ekspediować wysokie, niespotykane w Europie pnie, które stawały się masztami we flocie wojennej i handlowej. Rdzenni mieszkańcy bogacili się na tej współpracy. Zyskiwali i materialnie, i społecznie, tworząc potężne rodziny skupiające władzę w regionie.

Były to relacje zupełnie inne od tych, jakie układali Europejczycy z innymi zamorskimi terytoriami. Z reguły podbijano ziemie, fedrując i wywożąc najcenniejsze zasoby. Tu najczęściej działano nie przemocą, lecz perswazją; nie konkwistą, lecz importem.

Przez dziesięciolecia kwitł biznes i dyplomacja między Pierwszymi Narodami a ludźmi w domach z kamienia, jak nazywano przybyszy. Mariaż umacniał się, a Kompania Zatoki Hudsona rosła w siłę. Z czasem jej władza rozlewała się na kolejne terytoria, kontrolując nie tylko bogactwa ziemi, ale także życie ludzi.

Eksportowane przez nią bobrowe skóry stały się pożądanym dobrem narodowym: bóbr trafił na kanadyjskie monety, znaczki i do masowej wyobraźni. Ale i kompania potrzebowała swojego symbolu. Zainspirowana lokalną twórczością i metodami



farbiarskimi stworzyła własne, markowe barwy. Jej symbolem został wełniany biały koc w czerwone, zielone, granatowe i żółte pasy.

Dziś Kompania Zatoki Hudsona ma ekskluzywny dom towarowy na jednej z najdroższych ulic Toronto. Co rok przyciąga tłumy otwarciem świątecznej witryny. Ludzie stoją w kolejce, by podziwiać ruchome figurki i scenki z niedźwiedziami polarnymi. Zaprasza się gwiazdy, w ubiegłym roku ze swoimi pięcioma oktavami wystąpiła na chodniku Mariah Carey.

Kompania to jedna z bardziej znanych kanadyjskich marek, lokomotywa handlu i prestiżu. Nic dziwnego, że zarabia na samej sobie: sprzedaje drogie akcesoria w swoich barwach. Po ulicach Toronto – także przed niebieskim miasteczkiem – spacerują kobiety w jedwabnych apaszkach w charakterystyczne białoczerwonozielono-żółte pasy. Kto ma cieńszy portfel, może sobie pozwolić choć na breloczek do kluczy albo smycz do telefonu w paski, które w Kanadzie są nie do pomylenia z niczym innym.

– Tylko że przecież dla nas to upokarzające – mówi Henry. Na to wtrąca się Lord John.

– Teraz. Teraz jestem gotowy.

Z głośnika płynie Tom Petty, *Into the Great Wide Open*. Autobus sunie prawym pasem. Głos Johna robi się nagle cichy, bardzo niski i spokojny. Lord John odwraca się w moją stronę i zaczyna swoją przygotowaną dużo wcześniej historię. Co będzie w niej najważniejsze? To, czego nie ma.

Mama.

\* \* \*

– Urodziłem się w Michigan, jestem obywatelem USA. Ale to bez znaczenia, bo uważam się za Indianina. To właśnie mnie definiuje,

a nie paszport, który mam w kieszeni. Mogę żyć wszędzie. Na granicy nawet nie potrzebuję paszportu ani wizy. Mam dokumenty, które – tak jak i innym Indianom – pozwalają mi podróżować bez przeszkód przez ziemie naszych ojców.

Ale nie zawsze tak było, bo rządy nie honorowały naszego dziedzictwa. I nie zawsze tak musi być, bo wolności nie ma się raz na zawsze. Czasem trafi się jakiś złośliwy pogranicznik, nie uzna papierów. Każe wysiąść z autobusu czy pociągu, robi rewizję. Zawsze pomaga wezwanie szefa, bo żyjemy w państwie prawa, więc nie mogą mnie zatrzymać bez powodu. Ale co z tego, że w końcu cię puszczają, jeśli twój autobus już dawno pojechał bez ciebie? Wiesz, czasem myślę, że nam całe życie umyka bez nas w środku.

Kiedy byłem mały, żyłem z tatą. Był stolarzem, mieszkaliśmy tam, gdzie budowano mosty. A najwięcej mostów buduje się w Stanach, dlatego mama urodziła mnie na Amerykanina. Ale nie chciała takiego życia, jakie mieliśmy. Choć jak byłem mały, to długo myślałem, że to mnie nie chciała. Wolała mieszkać w rezerwacie, tam przynajmniej wiedziała, czego się może spodziewać. Sprawdź sobie na mapie, to okolice Serpent River, Wężowej Rzeki, która wije się sześćset kilometrów od *Tkaronto*.

Przeniosę się tam, ale dopiero na starość. Na razie nie uważam, że jestem stary. Postanowiłem jeszcze żyć. Jeszcze mi ten autobus tak zupełnie nie uciekł.

To stamtąd jestem. Ale tam nic nie ma. Jest ziemia, jest powietrze, które pachnie jak nigdzie indziej na świecie. Oddychasz tak głęboko, że aż kręci ci się w głowie. Ale brakuje tam pracy. W rezerwacie można się urodzić i można umierać, tylko nie da się tam żyć.

\* \* \*

Wkrótce wzdłuż szarej autostrady zaczynają wyrastać równie szare magazyny, sklepy i domy. Po ponad sześciu godzinach trasy docieramy do Ottawy, która w deszczu jest smętna i ponura. Kierowca naszego autokaru gubi się i źle skręca. Widzimy Wzgórze Parlamentarne, na którym zbierają się grupy protestujących z całego kraju. Ale zostawiamy je za sobą. Nie można tu zawrócić, musimy wjechać na most, przekroczyć rzekę i po chwili jesteśmy już we francuskojęzycznym Quebecu.

Dla wszystkich jest oczywiste, że nie zdążymy. Znaki pokazały się nam już o piątej rano.

Od samego początku padał deszcz. Trzeba było jechać powoli. Przed wyjazdem ciężko było się zorganizować i na czas wejść na pokład autokaru. W kółko zatrzymywaliśmy się na stacjach benzynowych po jedzenie. Nie wszyscy sikali wtedy, kiedy był na to czas, więc i tak mieliśmy nieplanowane przystanki. Co jakiś czas komuś bardzo chciało się palić, z jednej fajki robiły się dwie. A na koniec kierowca się zgubił i z Ontario pojechał do Quebecu.

Kiedy w końcu docieramy na miejsce, na schodach budynku parlamentu stoi zaledwie kilka osób. W większości to turyści.

\* \* \*

Wychodzimy z autokaru. Lord John jest tak zły, że idzie w odwrotną stronę i nie chce z nikim rozmawiać. W deszczu wdrapujemy się na schody wiodące do serca kanadyjskiej państwowości. Po drodze mijamy dwoje starszych ludzi, stoją z niewielkimi plakatami. Na jednym napis: „Pozwalamy zabijać nasze dzieci aborcją, aby one zabiły nas eutanazją”. Na innych: zakrwawione resztki płodów. Jeden z mężczyzn z autokaru staje

przed nimi, zasłaniając sobą plakaty tak, by reszta grupy nie musiała na nie patrzeć.

– Ludzie, zlitujcie się z tymi zdjęciami. To wolny kraj, ale to, co wyprawiacie, to przemoc. Nie zmuszajcie nas do patrzenia.

Tymczasem docieramy w deszczu do końca schodów, reszta grupy robi dobrą minę do złej gry. Rozwijają transparenty, fotografują się ze swoimi postulatami na tle parlamentu. Jedno ujęcie i drugie, więcej uśmiechu. I trzecie, pokażcie kciuki. I czwarte, środkowe palce w górę. Obok stoją strażnicy i policjanci. Na czapkach, na wysokości czoła, na jaskrawym tle mają napisane RESPECT. To pierwsze, co się zauważa, dopiero potem dostrzega się broń i paralizatory.

– *How are you, buddy?* – pyta jednego z policjantów chłopak z naszej grupy.

– Spoko, spoko. Szkoda, że się spóźniliście, bo już po imprezie.

– A premier to jest może w biurze? Bo wiesz, przejechaliśmy sześćset kilometrów, żeby mu opowiedzieć o losie tych dzieci.

– No to macie niezłego pecha, stary. – Policjant bierze się pod boki. – Premiera nie ma, pojechał do Toronto.

Kalendarz Justina Trudeau jest publiczny i każdy może sprawdzić, co i gdzie premier planuje robić. Dziś akurat wziął udział w otwartym spotkaniu z przedstawicielami firmy Google w Toronto. Gości zaproszono do odnowionej cegielni Brick Works.

To sześć minut drogi od niebieskiego namiotu, spod którego wyruszyliśmy w deszczu o piątej rano.

– *So sorry, buddy* – rzuca policjant i rozmowa na tym właściwie się kończy, bo co tu jeszcze dodać.

Ruszamy na spacer. Czarnoskóra dziewczyna z tipsami i burzą sztucznych blond loków; odpalający skręta od skręta chłopak z oczami bez wyrazu; zgarbiony i przygaszony Henry; postawny

Lord John w kamizelce z naszywką „Wojownik” i ze dwadzieścia innych zmęczonych i rozczarowanych osób.

Mijają nas mężczyźni w czystych butach, którzy odwracają się za nami za mało dyskretnie. Kobiety w wełnianych płaszczach i skórkowych rękawiczkach omijają nas na chodniku szerszym, niż trzeba, łukiem. Nie pasujemy do tego miejsca. Nie pasujemy do tych pieniędzy, do perfum i do poczucia sprawczości. Nie chodzi tylko o to, że jedni mówią po angielsku, a inni po francusku. Trudno oprzeć się wrażeniu, że obie grupy Kanadyjczyków mijające się na tym samym chodniku łączy tylko prawo do darmowej opieki medycznej i bordowy paszport.

Toronto zbudowało mit gościnnej wyspy, na której każdy znajdzie dla siebie miejsce, ale to nie znaczy, że tak wygląda cała Kanada. Z perspektywy Toronto świat jest otwarty i przyjazny, ludzie tańczą wokół równika w wielokulturowym korowodzie. Ale to złudzenie Kanady, chętnie powielane przez media w Europie.

Pada. Jesteśmy głodni. Wchodzimy do eleganckiego hotelu, obsługa jest uprzejma i nie robi problemów. To znaczy nikt nas nie wyrzuca. Dołączamy do przyjęcia, na które nikt nas nie zapraszał. Ale i tu jesteśmy spóźnieni. Zostały resztki pizzy, a w salaterkach pojedyncze kępkę sałaty. Poza tym na stole leżą podgrzewane talerze i posrebrzane sztucze zawinięte fantazyjnie w krochmalone, brązowe serwetki. Można dojeść resztki, ale tak naprawdę nic tu po nas. Wracamy do autobusu, przed nami sześć, może siedem godzin drogi do domu. Lord John nie włączy już muzyki. Siedzimy po cichu, zgaszeni.

– Jak się czuję? Nie tak miało być, ale widocznie tak być musiało – mówi cicho Henry. – Najważniejsze, że pojechałem, chciałem zawieźć premierowi wiadomość. Jestem uczciwy wobec samego siebie i to jest dla mnie ważne.

– Prawdę mówiąc, trochę szkoda, że się nie udało. Ale ponieśliśmy wysiłek i to się liczy. Nasza pielgrzymka ma znaczenie, więc mniejsza o efekt – mówi powoli Sue-Lynn. – Najważniejsze, żeśmy podjęli ten trud. Cóż z tego, że na marne.

Chłopak, który osłaniał nas przed antyaborcyjnymi plakatami, klęka na fotelu, twarzą do reszty pasażerów.

– Słuchajcie, jednak jest jakiś sukces! – woła, wyciągając z plecaka kilka brązowych pakunków. To krochmalone serwetki pełne hotelowych sztućców. – Jak wrócę do domu, położę je na stole. I wiecie co, będę kiedyś Francuzem! *Oh là là!*

Autobus klaszcze, ale potem jedziemy w dobijającej ciszy. Deszcz pada przez całą drogę do domu. Wracamy z niczym.

## 11. ŚMIECH ROBYN BOURGEOIS

– Uciekaj, dziewczyno, uciekaj! – wrzeszczał policjant. – Biegnij i się nie oglądaj!

Robyn wysmyczyła się i puściła pędem na korytarz, byle dalej przed siebie, w ciemność.

– O czym myślałam? O niczym. Nie wiedziałam, że boli. Nie czułam, że krwawię. Rozumiałam tylko, że od tego, jak szybko będę biegła, zależy, czy przeżyję.

To było w hostelu w Vancouver na zachodnim wybrzeżu Kanady. Teraz Robyn Bourgeois przyjmuje mnie w swoim gabinecie na Uniwersytecie Brocka w St. Catherines w prowincji Ontario. Trwają wakacje, kampus jest pustawy. W pobliskim miasteczku większość sklepów i restauracji zaryglowano. Uśpione St. Catherines czeka na powrót studentów, pieniędzy i życia.

Na drzwiach gabinetu profesor Bourgeois wisi plakat ze zdjęciem piętnastoletniej Tiny Fontaine. Jej lekki uśmiech prześladował kolejne federalne rządy Kanady. Dziewczyny szukano przez miesiąc, aż w sierpniu 2014 roku w końcu ją znaleźli na dnie Red River, rzeki płynącej przez Winnipeg. Była zawinięta w kołdrę, obciążona kamieniami, wyrzucona jak stara, dziurawa opona. Rozpoznano ją po różowo-białych adidasach.

\* \* \*

Tina Fontaine wychowywała się w rezerwacie Sagkeeng First Nation, sto dwadzieścia kilometrów na północ od Winnipeg, stolicy prowincji Manitoba. Odkąd jej ojciec został pobity na śmierć, mieszkała w rodzinie zastępczej, z ciocią-babcią i jej mężem. Mama Tiny żyła w Winnipeg, gdzie z przerwami pracowała, głównie na ulicy. Tina chciała odwiedzić matkę, więc latem opiekunowie dali jej pięćdziesiąt dolarów na drogę. Były wakacje, jak mogli ją zatrzymać? Nie wiedzieli, że jej matka akurat wróciła na ulicę i nie zajmie się już dzieckiem. Minęło kilka dni, zanim się zorientowali, że Tina nie ma opieki. Powiadomili władze, że jest w mieście sama i nie wiadomo, gdzie śpi. Opieka społeczna (Child and Family Services, CFS) nie miała akurat miejsca w schronisku, więc dziewczynę umieszczono w tanim hotelu w centrum miasta. Formalnie system opiekuńczy działał, jak należy.

Ale hotelowych gości nie da się upilnować. Tina prędko przestała wracać tam na noc.

W końcu opieka zgłosiła zaginięcie. Tiny szukano, ale niezbyt gorliwie. Policja mówiła, że ślad się nie urwał – patrol znalazł przecież dziewczynę i wylegitymował ją, gdy siedziała nocą w aucie z jakimś mężczyzną. Niektóre media podały, że tej nocy była jeszcze krótko w szpitalu, ale potem dziewczyna przepadła. Pokazała się dopiero zawinięta w kołdrę.

Proces był poszlakowy, więc główny oskarżony Raymond Cormier został uniewinniony. Dalszego ciągu na wokandzie nie było. Ale o Tinie nie zapomniano – bardzo szybko stała się ikoną ruchu walki o sprawiedliwość dla rdzennych kobiet, które doznały przemocy. Jej uśmiechnięta buzia spoziera z plakatów na uczelniach, w centrach pomocy, na marszach i demonstracjach. Jesienią 2018 roku w Winnipeg otwarto schronisko jej imienia dla dziewcząt takich jak ona: z problemami w domu, mających kontakt z piciem



i braniem, wykorzystywanych przez starszych mężczyzn, śpiących byle gdzie i z byle kim w zamian za dach nad głową.

Po śmierci Tiny powstała Komisja do spraw Zaginionych i Zamordowanych Rdzennych Kobiet i Dziewcząt (Missing and Murdered Indigenous Women and Girls, MMIWG). Miała ustalić, dlaczego tak wiele rdzennych kobiet w Kanadzie idzie tą samą co Tina ścieżką. To znaczy dlaczego giną i dlaczego nie szuka się ich szczególnie gorliwie.

Przed obliczem komisji stanie ponad półtora tysiąca świadków, wśród nich także Robyn Bourgeois, kobieta o śmiechu jak cynowy dzwoneczek i łzach nieznających tamy.

Ale na razie jeszcze trwają wakacje. Na terenie uniwersytetu w St. Catherine's – hałas. Pracownicy uwijają się z remontami, byle skończyć przed powrotem studentów. Robyn zaczyna mówić. Jej głos jest wysoki, a gestykulujące ręce prędkie. Im boleśniejsze wypowie zdania, tym perliściej będzie się śmiała.

\* \* \*

Robyn jest Kri, ale jej cera jest biała jak mleko. Razem z rodziną mieszkała w położonej na zachodzie Kolumbii Brytyjskiej, na terytoriach należących do ludów Sylix i Splatshin. Dziadek Robyn był ocaleńcem po szkole. Co się w niej działo, nie mówił nigdy. Został mu nawyk regularnego jedzenia, codziennie to samo i o stałej porze: kubek czarnej kawy i suchy tost na śniadanie, potem kawałek *apple pie*, mało słodkiego ciasta z jabłkami. Każdego dnia taki sam posiłek aż do śmierci.

Babka Robyn też była w szkole – uciekła do niej z rodzinnego domu w Stanach, w którym źle się działo. Do końca życia nosiła tradycyjne stroje Kri, futrzane buty i rękawice. Przekazała w genach dzieciom, wnukom i prawnukom dwie cechy nie do zatarcia:

odwagę i tendencję do ciemnych plam na skórze. Pojawiają się czasem u nich małe, nieco ciemniejsze łatki, które po jakimś czasie łuszczą się i znikają. Dla rodziny było to normalne, ale dla nauczycieli nie.

Brat Robyn ma nieco ciemniejszą karnację niż ona. Jego plamki są mocniej zabarwione i wyraźniejsze. Bardzo szybko w klasie nauczyciele zaczęli wyzywać go od brudasów. Przy wszystkich brali szczotkę i tarli szyję, żeby zetrzeć plamy.

Chłopak krwawił, ale plam od tego nie ubywało.

Pewnego dnia rodzice kupili router i w domu pojawił się Internet. Robyn miała siedemnaście lat, szybko przemigrowała do sieci.

– Mama mnie lała. Dziś jako dorosła uważam, że znęcała się nade mną także psychicznie. Ojciec był wycofany. Jako ocaleniec po szkole nie chciał się angażować w żadne konflikty. Nie bronił swoich dzieci przed zagrożeniem, jakim była dla nas mama.

Robyn zbliżała się do pełnoletności i chciała się dowiedzieć, jak to jest, gdy ktoś cię kocha. Na jednym z chatów zaczął ją – tak go tu nazwijmy – Bob.

Bob miał czas i niesamowicie interesował go sprawy nastolatki. Powtarzał, że Robyn zasługuje na lepsze życie, że to bez sensu użerać się z rodzicami i tkwić w zabitej dechami dziurze. Powiedział, że powinna przyjechać do niego, do Vancouver. Tu jest wielki świat, duże pieniądze, a życie słodsze niż masło z syropu klonowego.

Padły słowa, na które czekała całe życie. Spakowała plecak, uciekła z domu. Regularnie meldowała się rodzicom: nie martwcie się, wszystko u mnie w porządku. Oboje uznali, że są bezradni i że Robyn wróci, kiedy się wyszaleje albo kiedy skończą się jej pieniądze. Byli spokojni: całe szczęście, że córka miała opiekę. Bo działo się to w czasach, kiedy w Vancouver policja nie mogła

opanować handlu narkotykami i prostytutce. Wszystko ogniskowało się w dzielnicy Downtown Eastside (DTES), pomiędzy „czterema przecznkami piekła”. Tutejszy kod pocztowy to do dziś znany w całym kraju adres ubóstwa, bezdomności i wysokiej przestępczości. A także handlu twardymi narkotykami i tkankami miękkimi, łatwo poddającymi się penetracji.

To prosta i znana melodia: młode dziewczyny i młodzi chłopcy, zmęczeni domem pełnym picia i bicia, uciekają przez okno z trzema stówami w kieszeni i łapią autobus do Vancouver. Jak mawiają miejscowi, „to jedyne miasto w Kanadzie, gdzie zimą umrzesz z głodu, zanim zamarzniesz na śmierć”. W odróżnieniu od wielu skutych lodem połaci Kanady klimat jest tam łagodny, a czas płynie leniwie, zamazany opiatami. W dzielnicy DTES pełno jest pomocnych i gościnnych ludzi, którzy zapraszają młodych przyjezdnych do siebie. Częstują butelką i podgrzaną łyżką. Oczywiście nie za darmo.

Robyn знаła takie historie, ale przecież jej nic takiego nie mogło się przydarzyć. Była zakochana. Chciała wsiąknąć w Vancouver, pożyczyć innym, cudzym życiem.

Udawało się. Imprezowali, mieli znajomych. Byli królami życia, ona i Bob. On nadal miał dla niej dużo czasu, bo właściwie nie pracował. Czasem zniknął na parę godzin, ale na pewno nie chodził do biura czy do warsztatu. Pieniądze zawsze były, choć za dużo o nich nie rozmawiali. Czas spędzali nad brzegiem oceanu, piknikując i wypatrując wielorybów. Było bajkowo, ale z czasem Robyn poczuła się jak pasażerka na gapę. Zaproponowała, że pójdzie do pracy, nie chciała być ciągle na cudzym utrzymaniu.

– No, skoro tak, to podskocz może w tygodniu do mojego kolegi – zgodził się Bob. – Coś mu zanieziesz.

I Robyn podskakiwała tak często, że stało się to jej głównym zajęciem.

Statystyka i praktyka, dwie siostry pomocnice każdego policjanta, podpowiadały, że mułami przenoszącymi narkotyki bywają często młode rdzenne kobiety. Chowają torebki z proszkiem pod ubraniem albo w ciele. Wylegitymowanie każdej „indiańskiej ćpunkki” idącej z opuszczoną głową wzdłuż murów DTES było dla policji jak strzelanie do siedzącej kaczki.

Robyn nikt nie niepokoił. Była dobrze ubrana i zadbana. No i przede wszystkim miała białą cerę, która była jej nieprzerwanie i bez wezwania okazywaną przepustką, *white passing*.

– To dlatego Bob chciał, bym przeprowadziła się kilkaset kilometrów dalej, do Vancouver. Bo byłam jednocześnie i głupia, i biała. Wtedy jeszcze nie rozumiałam, że jestem ofiarą idealną – wspomina.

Robyn szło tak dobrze, że Bob zaczął wysyłać ją także poza miasto. Jednymi ze stałych odbiorców przesyłek byli goście na farmie Picktona pod Port Coquitlam, dwadzieścia parę kilometrów na wschód od Vancouver. Starzy Picktonowie mieli ogromną świńską farmę. Kiedy zmarli, gospodarkę odziedziczyli synowie. Jeden spłacił drugiego i przejął dorobek rodziców. Nazywał się Robert. Zachował część chlewni i nadal utrzymywał się z hodowli i uboju świń. Ale drugą część zaczął wynajmować i urządzać w niej imprezy. Miejsce było idealne, pięknie położone, z dala od zgiełku wielkiego miasta. Można było bawić się do rana w przebudowanych stodołach i szopach. Imprezy u Picktona zrobiły się sławne.

– Farma była *a go to place*, modnym miejscem, w którym bywali także lokalni politycy i policjanci. Przywoziłam tam przesyłki, do których nie zaglądałam. W ogóle za bardzo starałam się nie

rozglądać, raczej wlepiąłem wzrok w podłogę. Dawałam, co trzeba, i wychodziłam.

Interes szedł wyśmienie, Pickton zarejestrował nawet Stowarzyszenie Dobrej Zabawy „Świński Pałac”, które miało organizować wydarzenia specjalne, pokazy taneczne i wystawy. W dawnej ubojni na terenie jego farmy w weekendowe noce bawiły się nawet dwa tysiące ludzi. Ale sam Pickton miał kłopoty.

Gazety pisały, że w Vancouver grasuje seryjny zabójca. Na ulicach DTES już w latach osiemdziesiątych ginęły kobiety, ale od połowy lat dziewięćdziesiątych sytuacja stawała się dramatyczna. Służby były bezradne, jednak niestrudzenie legitymowały klientów prostytutek i dzięki temu w kartotece pojawił się Robert Pickton. W 1997 roku jedna z kobiet oskarżyła go o usiłowanie zabójstwa. Według jej zeznań skuł ją kajdankami i dźgał nożem tak, by ranić, ale nie zabić od razu. Wywiązała się walka, kobieta przechwyciła nóż, raniła napastnika. Uciekła i wezwała pomoc. Ranni, oboje trafili do tego samego szpitala.

On wszystkiemu zaprzeczył: mówił, że podrzucił autostopowiczkę, która podstępnie go zaatakowała. Ale z jego kieszeni wyciągnięto kluczyki, które pasowały do kajdanek na przegubach dziewczyny.

Pickton został aresztowany, lecz szybko oczyszczono go z zarzutów. Policjanci uznali, że ranna kobieta jest ćpunką i dziwką, dali wiarę lokalnemu, zamożnemu biznesmenowi z branży hodowli i przetwórstwa mięsnego.

Pickton wrócił na farmę do organizacji imprez i mielenia mięsa. Ale sąsiedzi coraz częściej skarżyli się na hałas w Świńskim Pałacu. U Picktona bywali członkowie gangów motocyklowych i ludzie zaczęli się bać. Ktoś doniósł policji, że nielegalnie handluje się tam bronią. Wezwany patrol przyjechał szukać pistoletów, a znalazł

rzeczy osobiste kobiet, które w policyjnej bazie figurowały jako zaginione. Na rękach Picktona zatrzasnęły się kajdanki.

Policjanci zaczęli podejrzewać, że kobiet przetrzymywanych na farmie mogło być więcej. Wzięli łomy i szpadle, sprowadzili koparki. Pod podłogą, w ziemi, w chlewniach i na polu znaleźli szczątki prawie pięćdziesięciu kobiet.

Śledczy dowodzili, że po wszystkim Pickton rozczłonkował ciała i karmił nimi świnię. Wkrótce władze sanitarne w prowincji podzieliły się w mediach przypuszczeniem, że w mięsie mielonym, sprzedawanym przez Picktona jako wieprzowe, mogły znajdować się też szczątki zaginionych kobiet.

Robyn wie, jak niewiele brakowało:

– Mogłam być jedną z nich. Bywałam tam w dniach, kiedy te kobiety były więzione i zabijane. Dlaczego Pickton mnie nie tknął, nie rozumiem. Może byłam zbyt biała?

Proces ruszył dopiero po pięciu latach, kiedy zidentyfikowano szczątki dwudziestu siedmiu ofiar. Robert Pickton odsiaduje dożywocie za zabójstwo sześciu z nich. Ale w celi chwalił się współwięźniowi, którym był podstawiony policjant, że w latach 1983–2001 zabił czterdzieści dziewięć kobiet i dał się złapać tuż przed okrągłym *five O*, numerem 50.

O tym Robyn dowie się później z gazet. Na razie ogląda w telewizji, jak śledczy przesiewają glebę na farmie przy Świńskim Pałacu w poszukiwaniu kości. Dowiaduje się, że na butach Picktona znaleziono DNA pasujące do jej najlepszej przyjaciółki.

To po tym ze ściśniętym gardłem oświadczyła Bobowi, że nie chce więcej jeździć z żadnymi paczkami. Przytulił ją i powiedział, żeby się nie martwiła i że on coś wymyśli.

I rzeczywiście, wymyślił. Któregoś dnia poszli na kolację do hotelu Pacific. Było elegancko i drogo. Patrzyli na inne pięknie

ubrane pary: kobiety z ostentacyjnymi, wiszącymi kolczykami i mężczyzn, którzy bawili się kluczykami do jachtowych stacyjek. Po kolacji poszli na romantyczny spacer nad wodę, do mariny. Odeszli od hotelowego gwaru i kobiet w sukniach z cekinów. Robyn chciała się całować. Bob chwycił ją za szyję i pchnął na pomost. Chwycił ją za kark, a jej głowę wepchnął pod wodę. Po chwili – Robyn nie wie, ile to trwało, chyba parę sekund, chociaż wydawało się, że cały kwadrans – szarpnął za włosy i pociągnął do góry.

– Nagle odechciało ci się pracować, biała cipo? – Dał jej czas na wdech i znów wepchnął pod wodę, by po chwili szarpnąć do góry. – Nie pasują ci już spacerki, kurwa? – syknął i znowu głowa pod powierzchnię. – No to znajdziemy ci coś innego. Jeszcze się, kurwa, zaczniesz prosić, żebym zmienił zdanie.

Zawiózł oszołomioną i przemoczoną Robyn do innego hotelu, w którym nie było już ani restauracji, ani pięknych gości. Wynajęty pokój był dwuosobowy, ale nie byli w nim sami. Któryś z kolegów Boba wyciągnął strzykawkę.

– No i całe szczęście – mówi Robyn. – Przez kolejne tygodnie byłam non stop naćpana. Temu, który mnie otumanił, jestem ogromnie wdzięczna. Dzięki temu nie pamiętam wielu szczegółów. Głowa odcięła mnie od tego, co mi robiono.

Od tego momentu jej noce stały się długie, a tygodnie króciutkie. Bob przynosił do pokoju jedzenie i telefon, żeby raz na jakiś czas zadzwoniła do rodziców i powiedziała: tak, mam, wszystko u mnie w porządku.

Robyn świetnie zarabiała, ale nie dostawała ani centa. Wszystkie pieniądze brał Bob. Regulował rachunki za pokój, w którym była przetrzymywana, i dzielił się z innymi mężczyznami – i banknotami,

i mlecznym ciałem Robyn. Z czasem zorientowała się, że takich pokoi i takich dziewczyn jest pod tym adresem dużo więcej.

Kilka razy wyszła nawet na zewnątrz, do sklepu. Cemu nie próbowała uciec, skoro była między ludźmi? Czy nie mogła wezwać pomocy? Robyn macha ręką.

– Wiedziałam, że idą parę kroków za mną i że nic nie da się zrobić. Gdybym próbowała uciec, biliby jeszcze mocniej.

Po zakupach wracała więc prosto do pokoju, do pracy. Policzyła, że życie na materacu trwa już pół roku.

– Widzisz, kochanie, nasz kontrakt jest bezterminowy – wyjaśnił jej Bob któregoś dnia.

Ale bywały momenty, kiedy Robyn chciała go renegocjować. Kłócili się, więc Bob ją lał. Wtedy krzyk zamieniał się w wycie, a na koniec w skuczenie.

Z czasem Bob zaczął jako argumentu używać noża. Błyskał jej ostrzem przed samym nosem. Którejś nocy przestał straszyć i po prostu wziął zamach. Wbił ostrze w lewe podudzie. Profesor Robyn Bourgeois podciąga nogawkę. Na nodze widać zrosty po złe zabliźnionym cięciu.

– Kiedy mnie pchnął, zaczęłam krzyczeć, tak z brzucha. Musiałam krzyczeć jak w jakimś pierwotnym lęku, bo któryś z hotelowych gości nie wytrzymał i zadzwonił pod dziewięćset jedenaście.

Pewnie zgłosił przemoc domową. Gdyby poskarżył się, że chodzi o nocne hałasy w hotelu, pies z kulawą nogą by się nie ruszył. Na co dzień w takich hotelikach odbywały się głośne imprezy, na których dziwki regularnie dostawały wpierdol. Policja nie angażowała się w to emocjonalnie i rzadko fatygowała się do tego typu zgłoszeń.

Ale tej nocy patrol, który przyjechał, musiał uznać, że to nie półświadek, tylko normalny gość hotelowy leje swoją żonę. Nie



pukali, tylko wtargnęli do pokoju. Powalili Boba na ziemię i od razu skuli.

Jeden z policjantów opatrywał nogę Robyn i jednocześnie tłumaczył:

– Jeżeli teraz złożysz skargę, będziemy musieli wsząć dochodzenie. Jesteś nieletnia, dziewczyno. Trafisz do ośrodka. On cię tam znajdzie. Twoje dane będą w papierach. Nie rób sobie tego, na litość boską. Uciekaj! Uciekaj stąd jak najdalej, dziecko! Biegnij i nawet się nie oglądaj.

I Robyn uciekła, tak jak stała. Kolejne trzy miesiące spędziła na dworcach autobusowych. Czasem, kiedy miała trochę pieniędzy, kupowała bilet i jeździła greyhoundem do innych miejscowości. Przez ten czas nie stało jej się nic złego i na tym etapie to było najważniejsze: upewnić się, że to koniec krzywdzenia.

Ale robiło się zimno, a Robyn zaczęła tracić siły. Czuła się coraz gorzej. Słabosilna, wiecznie rozstrojona, czasem nawet wymiotowała.

Wróciła do domu. Matka o nic nie zapytała.

Lokalne przepisy mówiły, że potrzebne jest uzyskanie zgody co najmniej trzech lekarzy. Nie miały tyle czasu. Matka pozbiierała pieniądze, pojechała z nią do miasta, trzymała za rękę.

– Nigdy nie było mi z nią po drodze, była matką okropną i okrutną. Ale wtedy? Stała za mną jak matka za dzieckiem, ale i jak kobieta za inną kobietą – podkreśla Robyn. – Nie analizowałam tego, nie zastanawiałam się. Nie miałam cienia wątpliwości. To był instynkt, który kazał mi ratować siebie samą. Bez wątpienia tej aborcji zawdzięczam swoje życie i dziś także życie moich dzieci.

Robyn dała sobie czas na wygojenie ran po półrocznym zamknięciu w burdelu. Mijały miesiące, rozpuszczały się szwy,

a leki niwelowały narkotyczny głód. Ale pojawiła się ziejąca dziura, której Robyn nie chciała pokazać żadnemu specjalście. Przestała sypiać, bo bała się, że znów będzie się jej śniło. W nocy i w dzień – ciągle o tym myślała. Że ją znajdą, że znów zamkną w hotelu, że tak jak wtedy będą ją kaleczyć na wszystkie wymyślne sposoby, na jakie mężczyzna może skrzywdzić kobietę.

Uznała, że musi znów uciec, zostawić to za sobą, założyć nową maskę. Ale jak stać się kimś innym? Najłatwiej było dostać się na studia. To znaczy najłatwiej komuś, kto mieszka w dużym mieście, ma pieniądze i rodziców z pozycją. A Robyn miała tylko instynkt, który ją gnał do ucieczki. Zdała egzaminy, zdobyła miejsce na liście.

– Jestem pierwszą osobą w mojej rodzinie, która dostała się na studia. *How cool is that?* – Robyn śmieje się tak wysokim głosem, że brzęczą szyby w oknach. – Był tam jeden profesor. Na pierwszym roku powiedział mi: tu może być teraz twój dom, jeśli tylko się na to odważysz. Na ostatnim powiedział: umiesz rozmawiać z każdym, i z dziekanem, i z menelem. Będiesz wspaniałą socjolożką. Zostań na uczelni.

W pracy zajęłam się koncepcją *white pass*, tego, co uchodzi białym w świecie wielu kolorów. Robiłam badania na dużej populacji, ale pisałam oczywiście o sobie. Przykładałam naukowe narzędzia, żeby coś tym sobie załatwić. Wiesz, jestem biała, ale nie jestem biała. Jak to pojąć?

Doktorat obroniłam na Uniwersytecie Toronto. Uważałam oczywiście, że na to nie zasługuję. Cały czas wiedziałam, że nawet jeśli napiszę coś sensownego, to i tak jestem tylko brudną ścierą, pulchnym opakowaniem, w które spuszczaali się naćpani goście z burdelu w Vancouver. Żadna praca i żaden tytuł naukowy nie mogły tego zmienić.

Mimo to napisałam rozprawę o przemocy wobec rdzennych kobiet, wtedy już coraz częściej zaczynało się mówić o zaginionych i zamordowanych rdzennych kobietach i dziewczętach. Zaczęto uważać, że to nie jest zwykła przemoc, że to nie są incydenty, lecz cały system. Bardzo chciałam badać to naukowo. Myślałam, że władze wezmą to na poważnie.

Wtedy znaleziono zawiniętą w kołdrę piętnastoletnią Tinę Fontaine. Ówczesny premier, Stephen Harper z Partii Konserwatywnej, powiedział, że to smutny, ale odizolowany incydent i nie należy wyciągać zbyt daleko idących wniosków. To przypadek dla kryminologów, ale nie dla socjologów, powtarzał.

To było dla mnie jak splunięcie w twarz. Dlatego napisałam do *Keetsahnak* ten rozdział, z którym tu do mnie przyjechałaś.

\* \* \*

Rozmawiam z Robyn w jej gabinecie na Uniwersytecie Brocka, ale to nie było nasze pierwsze spotkanie. Poznałyśmy się przed wakacjami w Toronto na promocji książki *Keetsahnak. Nasze zaginione i zamordowane rdzenne siostry*. To zbiór publicystycznych i naukowych esejów, przeplatanych osobistymi historiami kobiet.

\* \* \*

Doktor Aleksandra Bergier, która zaprosiła mnie na spotkanie i która na Uniwersytecie Guelph zajmuje się rdzennymi językami, szepcze, że prawie każda z autorek to w Kanadzie ikona feminizmu.

Robyn mówi do mikrofonu, że ta książka wzięła się z gniewu. Ze sprzeciwu wobec słów premiera, który uznał, że śmierć Tiny Fontaine, zgwałconej i wyrzuconej jak odpadek, nie ma nic

wspólnego z systemowym traktowaniem rdzennych kobiet. Po niej mikrofon bierze do ręki Kim Anderson:

– Mam nadzieję, że wkrótce nie będziemy już musiały pisać takich książek.

Kim jest metyską pisarką, profesorką na Uniwersytecie Guelph. Dumna, władcza, z wysoko uniesioną brodą. Między długimi czarnymi włosami błyskają siwe pasma. Jej wargi i paznokcie pomalowane są na żywo czerwono. Kiedy mówi, gestykuluje pięknymi, kościstymi dłońmi i nigdy się nie uśmiecha.

A opowiada, że ciągle widzi łosia stojącego pośrodku pokoju. To nawiązanie do popularnego powiedzenia o słońcu, którego wszyscy omijają, ale nikt nie pisze o nim ani słowa. Kim Anderson uważa, że takim niewysłownym tabu jest przemoc, jakie rdzenne kobiety doznają z rąk mężczyzn. Według przywoływanych przez nią badań nawet dziewięć na dziesięć rdzennych Kanadyjek to ofiary przemocy. Najczęściej ręka, która na nie spada, należy do męża albo innego członka rodziny, czyli prawie tak samo jak wśród białych Kanadyjek.

Istnieje też jednak zasadnicza różnica – sprawcą blisko co dziesiątego ataku jest inny rdzenny mężczyzna, znajomy spoza rodziny. Takich odmienności jest więcej – o ile najbardziej niebezpiecznym miejscem dla kobiety w Kanadzie jest dom, bo to tam statystycznie najczęściej dochodzi do aktów przemocy, rdzenne kobiety są dużo bardziej narażone na krzywdę także w najbliższej okolicy. Tak, jakby w społeczności panowało przyzwolenie na bicie i branie sobie rdzennych kobiet jak jabłek z przydrożnego drzewa.

– Zaczynamy mówić o przemocy, ale już nie o tym, skąd się ona bierze – zaznacza Kim Anderson. – Tymczasem oprawcami są najczęściej nasi mężowie, bracia, sąsiedzi. Nasi ludzie. Dziedziczą przemoc jak jakiś straszny talent po rodzicach, którzy też ich bili. Nie

znają innego modelu rodziny; nie wiedzą, że istnieją domy, w których nie bije się żony.

Jak mówi Kim, czasem nie wiedzą tego też same kobiety. Urodzone w przemocowych domach, bite przez rodziców i napastowane przez braci, gładko wchodzą w podobną rolę w małżeństwie. Nie pojmują, że mogą nie być bite.

Zresztą małżeństwa rdzennych Kanadyjek to osobna historia. Wiele z nich nosi w portfelu statusową kartę, dowód tożsamości, który pozwala też na pewne przywileje, jak na przykład prawo do wydłużonego okresu polowań, osiedlania się na terytorium rezerwatu, a także dodatki edukacyjne i zwolnienia podatkowe. Ale nie każdy, kto ma rdzenne rysy, jest uznawany przez prawo za „statusowego Indianina”. To sprawa urzędowa, nie tożsamościowa. O tym, kto w Kanadzie jest „Indianinem”, decyduje nie pochodzenie, lecz urzędnik. Reguluje to działająca do dziś Ustawa o Indianach z 1876 roku, którą wielokrotnie poprawiano, ale nigdy nie derogowano. Wyjęci są spod niej Metysi i Inuici. Jeszcze w latach osiemdziesiątych działało to tak: kobieta mająca status prawny Indianki wychodząc za mąż za białego (albo rdzennego bez statusu), traciła swoją pozycję i przywileje. I ona, i jej przyszłe dzieci. Z jej ślubem, tak jak i ze śmiercią, kończyła się uznawana przez prawo indiańska rodzina. Rwały się sznurki, a w codzienności rozpoczynało spadanie w marginalizację, społeczną izolację i coraz częściej – biedę. Pozbawiona statusu osoba traciła prawo do mieszkania w rezerwacie, przestawały jej się należeć dotychczasowe świadczenia.

Ale to przykład prawa, które działa tylko w jedną stronę. Rdzenny mężczyzna poślubiający kobietę bez statusu pozycji nie traci. Karana jest tylko kobieta. Status nadal dziedziczy się po ojcu.

– Ale to nie my stworzyliśmy takie ramy, lecz wy – mówi profesor Anderson, kiedy dzwonię do niej jakiś czas po wieczorze autorskim. – Dwadzieścia trzy lata temu prowadziłam badania nad systemem zasiłków i opieki społecznej. Byłam wtedy w ciąży i właśnie to otworzyło mi oczy. Z jednej strony uczą nas bowiem, że kobieta jest święta, jest dawczynią życia. Ale na co dzień jest pomiatana, nie może o sobie decydować i bardzo często pada ofiarą przemocy. Nie mogłam się z tą sprzecznością i z tym zakłamaniem pogodzić.

Kim Anderson zaczęła badać korzenie współczesnej przemocy wobec kobiet. Postawiła tezę, że to kolonizatorzy i misjonarze przywieźli swoje porządki i narrację, wedle której kobieta jest jak *commodity*, dobro, które można posiąść i dowolnie nim rozporządzać. W wielu tradycyjnych społecznościach kobiety obdarzano szacunkiem, bo były płodne, dawały życie. Nie oznacza to, że czasy przed kontaktem były wolne od przemocy. Nigdy jednak nie miała ona takiej skali ani takiego nasilenia.

– Historia przemocy wobec kobiet to stara, dobrze znana także wam opowieść – tłumaczy Kim. – Teraz w Kanadzie, którą urządziliście, nowe jest tylko to, że wreszcie nasza władza zaczyna słuchać. Widać, że presja ma sens. Musimy też pamiętać, że właśnie teraz mamy swoje okienko czasowe, swoją szczelinę w historii. Ona pewnie wkrótce się zamknie, tak układają się dzieje ludzkości. Póki czas trzeba więc odpowiedzieć na pytanie, skąd bierze się krzywda naszych kobiet. Skąd bierze się całe to zło wzdłuż Autostrady Łez.

Bo w Kanadzie to właśnie Autostrada Łez jest kluczem do zrozumienia przemocy.

\* \* \*

Tak naprawdę Autostrada 16 to asfaltowa droga numer 16 i płatanina prowadzących do niej leśnych korytarzy. Biegnie przez ponad siedemset kilometrów, przecina bezludne połącie lasów Kolumbii Brytyjskiej na północnym zachodzie Kanady, trochę poniżej Alaski.

Tamtejsza gospodarka opiera się nadal na naturalnych surowcach, na drewnie i węglu, wydobywaniu i rybołówstwie. Wzrost ekonomiczny jest tam stabilny i szybki, ale bardzo nierówno rozłożony. W efekcie istnieją wyspy bogactwa na bezkresach biedy.

Geograficznie to teren rozległy, przepastny, poza kontrolą. Odległości między osadami powodują, że podróż do lekarza, do sklepu, do szkoły to wyprawa na kraj świata. Kto ma samochód, może ruszyć w trasę, w której połyka kilometry, godzinami nie mijając innych ludzi.

Kogo na samochód i jego ubezpieczenie nie stać, kiedyś jeszcze mógł liczyć na transport publiczny. Ale to trasa nieopłacalna. W 2017 roku obsługująca te rejony firma Greyhound poinformowała Komisję Transportu Pasażerskiego (Passenger Transportation Boards), że każdego dnia dopłaca do przewozów i dłużej już nie chce. Ostatnimi laty straty liczy się w dziesiątkach milionów dolarów. Ten biznes już się nie opłaca – jeśli rząd prowincji nie pomoże, greyhoundy przestaną kursować.

Władze odparły ponuro, że nie mogą nakazać prywatnemu przedsiębiorstwu zmienić się w towarzystwo dobroczynne. Z przystanków zdjęto więc rozkłady jazdy, a połączenia zlikwidowano. Co zostało na przestrzeniach niepokrytych kolejową siatką, lecz tylko rzadko uczęszczanymi niteczkami asfaltu? Autostop albo aplikacje carpoolingowe, łączące kierowców z pasażerami, dające ułudę bezpieczeństwa. Tak czy inaczej, trzeba liczyć na okazję, a raczej na łut szczęścia, które wzdłuż autostrady nabiera nieco

innego znaczenia. Nie tylko kobiety, ale także mężczyźni stają więc na poboczu i wystawiają kciuk. Jeżeli jakiś samochód – czasem osobowy, częściej tir – się zatrzyma, świadków nie będzie.

Wiedzą zatem, że za każdym razem ryzykują życie.

Wiedzą, że to przede wszystkim dlatego, że są biedni.

Ale Autostrada Łez to nie jest jedna asfaltowa wstęga. Od głównej drogi numer 16 odchodzą niezliczone boczne ścieżki, wijące się przez wąwozy i tunele, którymi wielkie lory zwożą drwa do autostrady i stamtąd dalej, na zachód, do portów u wybrzeży Pacyfiku. W tych schowanych w lasach korytarzach widuje się drwali, kierowców i lokalnych mieszkańców zatrudnionych przy wyrębie i transporcie.

Spotkanie z niektórymi z nich oznacza dla kobiet śmierć.

Ale nie jest tak, że wzdłuż drogi grasuje od lat seryjny morderca – autostrada pokazuje, że jest częścią złożonego problemu i że lata kolonializmu właśnie tu przynoszą swoje zatrute owoce.

Według danych policji federalnej wzdłuż Autostrady Łez w ostatnich latach zaginęło osiemnaście kobiet. Organizacje społeczne mówią, że było ich ponad dwa razy więcej. Rząd przyznał, że w całej Kanadzie takich przypadków odnotowano ponad tysiąc dwieście. To pierwsza odsłona w dramacie MMIWG.

Druga to taka, że kiedy ginie kobieta, policja nie zawsze czuje się zaalarmowana. Zaniepokojeni bliscy, którzy dzwonią na posterunek, słyszą, że może pojechała do miasta się zabawić. Albo zapła i wkrótce wróci.

Jeśli zaginie biała turystka, prace przyspieszają, ale to nieczęste przypadki. Zazwyczaj lokalne śledztwa prowadzi się bez nadmiernego pośpiechu i przesadnej gorliwości. Mieszkańcy nie ufają policjantom, uważają, że sprzyjają oni krzywdzicielom. Określają władze słowem *nilchuk-un* – ci, którzy nas zabierają.



Od zgłoszenia czas się wlecze, ale nadal nie wiadomo, kogo dopytywać, do jakich drzwi pukać. Nie wiadomo też, kto pilnuje policji i kto sędzi sędziów w takich sprawach. Bo i wymiar sprawiedliwości ma tu swoją rolę. Ludzie pamiętają sprawę sędziego Davida Williama Ramseya, który przez dziewięć lat płacił za seks rdzennym nastolatkom. Najmłodsza dziewczyna miała dwanaście lat, wszystkie były jego podsądnymi. Jak więc ufać władzy, że rozwiąże problem?

Oficjalnie latami zwykło się uważać, że to odizolowane przypadki – powiedział tak przecież sam premier Harper. Do tego przemoc wobec kobiet nieczęsto jest łączona z naruszeniem praw człowieka. W 2004 roku Amnesty International opublikowała raport *Stolen Sisters* (Ukradzione siostry), z którym dzięki mediom przebiła się do opinii publicznej. To kronika zaniedbań, historia przemocy i katalog stereotypów wobec kobiet. Raport odbił się szerokim echem, które głośno wybrzmiało, lecz szybko ucichło.

W 2005 roku powołano zespół śledczy E-PANA. Próbował rozwikłać sprawę trzynastu zabójstw i pięciu zaginięć kobiet, które przepadły wzdłuż autostrady od końca lat sześćdziesiątych. Ale śledztwo nie przyniosło przełomu, a policjanci dalej odbierali telefony: moja siostra, moja mama, moja córka nie wróciła do domu. Odpowiadali: musimy czekać dwie doby, zanim przyjmujemy zgłoszenie.

W 2013 roku międzynarodowa organizacja prawnoczułowiecza Human Rights Watch alarmowała, że kanadyjska policja RCMP nie jest w stanie zapewnić kobietom bezpieczeństwa i bagatelizuje doniesienia o zaginionych. Rdzenne Kanadyjki są blisko cztery razy bardziej narażone na przemoc niż ich białe sąsiadki, a policja niewiele z tym robi.

Przez wiele miejscowości przeszły marsze protestacyjne, niektóre maleńkie jak rodzinne pikniki. Część z nich zorganizowano w proteście wobec słów premiera Harpera. W 2015 roku na czuwaniach i demonstracjach pojawiły się plakaty z delikatnie uśmiechniętą Tiną Fontaine. Wtedy było już jasne, że lokalnie problemu nie tylko nie da się rozwiązać, ale nawet zbadać. Coraz więcej grup osieroconych rodzin zaczęło naciskać na rząd, by powołał krajową komisję śledczą. Ale konserwatywny premier Harper nie kwapił się do tego i nie ugiął pod presją. Stał na stanowisku, że to wszystko odizolowane przypadki, a przemoc systemowa wobec rdzennych kobiet w takim kraju jak Kanada nie istnieje.

\* \* \*

*krzycz  
by pewnego dnia  
sto lat od dziś  
inna siostra nie musiała  
osuszać swoich łez zastanawiając się  
gdzie na przestrzeni dziejów  
straciła swój głos*

Napisała kanadyjska poetka Jasmin Kaur, a ktoś przekreślił pierwszy wyraz, zastępując je słowem „głosuj”.

Kiedy śledczy wydobyli obciążoną kamieniami kołdrę z zimnych wód Red River, w Kanadzie trwała już gorączka przedwyborcza. Na wiece przychodzili wyborcy z plakatami, z których uśmiechała się Tina Fontaine. O przemocy wobec kobiet dyskutowano równie zawzięcie, jak o podatkach.

Wkrótce po władzę sięgnęła opozycyjna wobec konserwatywnego rządu Stephena Harpera Partia Liberalna. Jej szef, Justin Trudeau, do programu wyborczego wpisał pojednanie z rdzennymi Kanadyjczykami i naprawianie krzywd. Jego gabinet zaprzysiężono w listopadzie 2015 roku, a już w grudniu premier zapowiedział narodowe śledztwo, dodając: „Rasizm i seksizm w tym kraju zabijają”.

Trudeau powołał Komisję do spraw Zaginionych i Zamordowanych Rdzennych Kobiet i Dziewcząt. To przełom po latach rządów konserwatystów, którzy w przypadkach śmierci i zaginięć nie dopatrzili się powtarzalności. Ale nie był to pomysł „boskiego Justina”, jak czasem z przekąsem mówi się o premierze – swoje powstanie komisja zawdzięcza przede wszystkim starszej i większej siostrze, Komisji Prawdy i Pojednania. To ona dołączyła do swego druzgocącego raportu dziewięćdziesiąt cztery wezwania do działania. Początkowo miały być to rekomendacje, ale któż by ich posłuchał? Nie ma kraju, w którym wołanie na puszczy docierałoby do siedziby rady ministrów.

Dlatego TRC wezwała rząd do konkretnych zadań. Jednym z nich było zbadanie sytuacji rdzennych kobiet. Prace czteroosobowej komisji miały być niezależne i od władz federalnych, i tych sprawujących rządy w prowincjach i w terytoriach, które składają się na Kanadę. To śledztwo niezależne i od korony, i od pióropusza. Na posiedzeniach komisji pomiędzy krzesłami krążyła brązowa, papierowa torba z napisem Ł Z Y. Wrzucano do niej zużyte jednorazowe chusteczki. Podczas przesłuchań zapalano *qulliq*, kamienną inuicką lampę olejową. Zgodnie z tradycją taka lampa jest podarkiem męża dla żony, który symbolizuje płynące z serca światło i ciepło. Do dziś *qulliq* jest symbolem kobiecej siły, opiekuńczości i miłości. Płonął na wszystkich przesłuchaniach,

mówiąc zeznającym: nasze matki, babki i wszystkie prababki są tu dzisiaj z nami i są wam ku pomocy.

Ale w tej sprawie brakowało nie tylko czasu, ale też pieniędzy. Do tego premier mierzył się z wielowątkowym kryzysem wieku świetnego. Ważyła się nie tylko rola i znaczenie komisji, ale i wiarygodność całego rządu Justina Trudeau.

– Gorąco orędujesz za pojednaniem, ale musisz wyjść poza ulubioną frazę i naprawdę spełnić swoje obietnice – powiedzieli mu rodacy, przypominając o przypadających na 2019 rok kolejnych wyborach federalnych. Członkowie komisji wystąpili o podwojenie budżetu i rząd (nie nazbyt ochoczo) musiał otworzyć szkatułę.

Raport pokazujący systemowe krzywdy wobec rdzennych kobiet ma ukazać się w 2019 roku, na parę miesięcy przed dniem, w którym Kanadyjczycy zdecydują o losie rządzących. Tymczasem organizacja kobieca YWCA podaje, że w Kanadzie notuje się rocznie czterysta sześćdziesiąt tysięcy napaści o charakterze seksualnym. Ponad tysiąc kobiet dziennie pada ofiarą przemocy seksualnej. Z tysiąca takich spraw tylko trzydzieści trzy zostają zgłoszone. Zarzuty stawia się tylko w dwunastu przypadkach, jedynie trzy zakończą się wyrokiem.

Oznacza to, że na każdy tysiąc przypadków przemocy seksualnej dziewięćset dziewięćdziesięciu siedmiu sprawców nie poniesie kary.

\* \* \*

O pracach Komisji do spraw Zaginionych i Zamordowanych Rdzennych Kobiet i Dziewcząt mówi się nie tylko w Kanadzie, ale także na świecie. Mało kto dostrzega jednak, że komisja ma zbadać systemowe przyczyny przemocy wobec kobiet i dziewcząt, ale także osób nieheteronormatywnych, ze społeczności 2SLGBTQQA.

W naszej części świata nawykliśmy używać akronimu LGBT+ oznaczającego lesbijki, gejów, osoby bi- i transpłciowe oraz queer. W Kanadzie używa się także szerszego określenia 2SLGBTQQIA, oznaczającego także osoby dwóch dusz (*Two Spirit*), kwestionujących swoją płć (*questioning*), postrzegające się jako międzypłciowe (*intersex*) i aseksualne (*asexual*, po polsku nazywane czasem asami).

W wielu pierwotnych społecznościach panowała umowa, że biologia nie determinuje tego, czym jest człowiek. Według licznych tradycyjnych wierzeń wszyscy ludzie są istotami ożywionymi, a płć nie jest przypisanym raz na zawsze atrybutem. Dziecko jest białą kartą, jak powiedzielibyśmy w naszym oświeceniowym języku, na którym płć zostanie dopiero zapisana w toku osobistych wyborów i doświadczeń. To społeczność dopasowuje się do drogi dziecka, a nie ono przybiera kształt matrycy nadanej przez grupę.

Wierzono, że płć wynika z kontekstu, a genitalia nie określają tego, kim w przyszłości ma być człowiek. Są jak kolor oczu – przyrodzone, ale nie determinują ludzkiego losu. Płć biologiczna nie była więc pierwszą cechą, jaką się identyfikowano, była płynna, umowna i przechodnia. Nikogo to nie gorszyło – ludzie uważali, że w jednym ciele mogą mieszkać dwie dusze, naprzemiennie dochodzące do głosu.

Tak było w czasach przed kontaktem. Potem, zamiast zmienić niepasujące narzędzie, nieprzydatne do opisu rzeczywistości, ludzie mówiący po angielsku postanowili zmienić niezrozumiałą dla nich rzeczywistość. Wprowadzili nowe porządki, w tym heteropatriarchat. Dla ludzi o dwóch duszach nie było miejsca, należało ich zatrzeć. Podjęty się tego szkoły z internatem. To, jaki

powinien być człowiek, formatowano słowem Bożym i trzcina, perswazją i przemocą.

Dziś coraz częściej na kolonizację i ewangelizację Kanady przez Europejczyków badacze patrzą jako na wojnę płci, na przemoc mężczyzn wobec kobiet. W czasach dla Kanady przedjesusowych wiele społeczności było matriarchalnych. A nawet jeśli radę stanowili mężczyźni, byli oni często tylko narzędziami w rękach kobiet, które decydowały o obsadzie stanowisk, podziale dóbr i zawieraniu małżeństw. I dobra, i status dziedziczono często w linii żeńskiej.

Wkrótce zapanowała nowa narracja, opowieść o *squaw*. Kiedyś to słowo oznaczało po prostu w jednym z algonkińskich języków kobietę. Ale osadnicy zaczęli bawić się nim w swojej wyobraźni i nasycili swoimi fantazjami. W piosenkach, opowieściach i filmach rdzenne kobiety zaczęto przedstawiać jako nienasycone dzikuski, zawsze skore do niezobowiązującego, wyuzdanego seksu. Jeśli nie szły chętnie, to pokazywano je jako butne „indiańskie księżniczki”, niedostępne i ambitne kusicielki. Wpisano je w dyskurs świętej ładacznicy, rozpustnej dzikuski, grzesznej i chutliwej władczyni.

Sprzyjał temu mocno Kościół katolicki. Pozycja, filozofia i obyczaje rdzennych kobiet nie przystawały do jego moralności.

W świecie rządzonym przez kobiety walutą bywał seks. Ale nie to było przyczyną obrazy Boga importowanego z Europy, lecz raczej fakt, że była to moneta w oficjalnym obiegu. Kler patrzył ze zgrozą, jak wiele narodów i plemion podkreślało moc kobiecej seksualności i płodności. Urządzano specjalne uroczystości i rytuały przejścia nie tylko z okazji narodzin, ale i z okazji menarche, pierwszej miesiączki, która na Starym Kontynencie po dziś dzień jest czymś co najmniej wstydliwym, jeśli nie wstrętnym.

W narracji przywiezionej z Europy i nagłaśnianej przez duchownych rdzenne kobiety widziano jako łatwo dostępne, wręcz darmowe. Dlatego czasem po prostu je sobie brano – jak rzecz, a czasem wymieniano, jak inne dobra materialne. W oczach białych cenione były szczególnie rdzenne dziewice, już te trzynastoletnie.

Czyniono je sobie poddane, zupełnie jak ziemię, na których żyły.

\* \* \*

O seksualizacji wizerunku rdzennych dziewcząt i kobiet opowiadał przed komisją MMIWG Jesse Wentę, działacz od lat zajmujący kluczowe stanowiska w kanadyjskiej kulturze. W czasie jubileuszu stu pięćdziesięciolecia Kanady to on głośno występował przeciwko Halowi Niedzwieckiemu, Steve’owi Ladurantaye’owi i Jonathanowi Kayowi w wojnie o prawo do kulturowych zawłaszczeń i tłumaczył, dlaczego ich perspektywa jest niewłaściwa i krzywdząca.

Komisja poprosiła go o nakreślenie kulturowego kontekstu przemocy, a Wente opowiedział, że rdzenne dziewczęta i kobiety pokazuje się współcześnie jako wiecznie chętne, gotowe i dojrzałe do seksu, nawet jeśli są bardzo młode. Pokazał, że rdzenne postacie kobiece w filmach są powielonymi kalkami – „indiańskiej księżniczki” w nieprawdziwym micie o Pocahontas, który bezrefleksyjnie powtarzany jest w kreskówkach oglądanych przez dzieci na całym świecie. Przywołał też przykłady ze współczesnego kina, choćby oscarową *Zjawę* z 2015 roku z Leonarde DiCaprio.

Niektórzy się śmiali, że Wente przesadza.

Przecież ta-kie-by-ły-cza-sy.

Ale inni pomyśleli, że oto zaczynają dostrzegać coś, na co całe życie patrzyli, lecz czego nigdy nie widzieli.

\* \* \*

Któregoś dnia w jednym z bardziej uczęszczanych parków w Toronto, między legislaturą Ontario a uniwersytetem, dostrzegam wiszące na drzewach czerwone sukienki. Z daleka wyglądają jak scenografia *Opowieści podręcznej*, kręconej zresztą w tych dniach w Toronto i okolicach.

Bujające się na gałęziach czerwone kobiece stroje przypominają wisielców. Ale to opróżnione z ciał duchy kobiet zaginionych i zabitych wzdłuż kanadyjskiej Autostrady Łez. Nie da się odwrócić od nich oczu. Tak właśnie wymyśliła to Jamie Black, metyska artystka z Winnipeg, pomysłodawczyni projektu REDress. *Red dress* to „czerwona sukienka”, zaś *redress* znaczy „wyrównać”, „naprawić”.

Jak to często w Kanadzie bywa, projekt zorganizowano społecznie, angażując wolontariuszy. Przekazane w darach sukienki mają różne kroje, ale w większości są średniej długości, taliowane, często z niewielkim dekoltem eksponującym piersi. Jak je czytać?

W jednej kulturze czerwony to emanacja kobiecości, barwa żywotności, władzy i płodności. Ale w innych, tych starszych, kolor czerwony to czasem wiadomość dla świata duchów. Jest to w końcu jedyna barwa, jaką dostrzegają dusze zmarłych. Sukienki są więc i przykrą pobudką dla żyjących, i przywołaniem dla kobiet, które nigdy nie wróciły do domu.

Od 2010 roku setki czerwonych sukienek podróżują przez całą Kanadę. Wieszają się w miejscach publicznych, gdzie nikt się ich nie spodziewa i gdzie na długo psują komfort przechodniom. Wzięło je też do siebie Kanadyjskie Muzeum Praw Człowieka, zapraszają uniwersytety. Prawie zawsze uruchomieniu instalacji w nowym miejscu towarzyszy uroczystość z udziałem rodzin, które straciły matkę, ciotkę, córkę.



Rok później znów natknęłam się na czerwone, trzepoczące postulaty. Tym razem zawisły na murach anglikańskiego kościoła, stojącego na rogu Bloor Street i Avenue Road, jednym z głównych skrzyżowań miasta. Pod krzyżem na cztery strony świata zawieszono kobiece, strażacko czerwone suknie jako wskazówki dla zmarłych i jako wezwanie do rachunku sumienia dla żywych.

Premier Stephen Harper mówił, że to jednostkowe przypadki, sprawa dla detektywa, a nie dla socjologa. Bardzo się pomylił.

Jeszcze zanim jego uwielbiany przez świat następca powołał Komisję do spraw Zaginionych i Zamordowanych Rdzennych Kobiet i Dziewcząt, z każdym rokiem opowieść o Autostradzie Łez wybrzmiewała w Kanadzie coraz głośniej. Miała w tym swój niemały udział Robyn Bourgeois. Zajmowała się przypadkami przemocy wobec kobiet, robiła badania, publikowała, budowała akademicką karierę – a jednocześnie zapadała się do środka.

\* \* \*

– Odnosiłam sukcesy naukowe, ale nie czułam się ich godna. Zaczęłam pić – mówi Robyn. – Latami byłam świetnie funkcjonującą alkoholiczką. Nikt nie wiedział, że jadę na gapę. Ale z biegiem czasu zaczęłam zawalać zajęcia, pracę i wszystko, co trzymało mnie na powierzchni. Byłam zrozpaczona.

Powiedziałam o sobie jednemu facetowi w naszej katedrze, nazwijmy go Tim. Chciałam tylko zapytać, czy jego zdaniem nie piję za dużo i czy nie powinnam czegoś z tym zrobić. Tylko tyle. Ale nie wiadomo jak, wypadły z moich ust słowa, których nie planowałam. Na tym samym oddechu powiedziałam mu, co robiono z moim ciałem w hotelowym pokoju w Vancouver. Powiedziałam mu też wszystko inne – o kolacjach w eleganckim hotelu, o świńskiej farmie Picktona, o materacu, gotówce od mamy

i uldze, kiedy mój brzuch był już pusty. Mówiłam, że dni są dobre, bo pełne pracy, a noce złe, bo pełne snów.

Tim nie przerwał tej opowieści, pozwolił jej płynąć. Czekał, aż opróżnię się z niej do końca.

Kiedy skończyłam, chciałam wstać i wybiec z pokoju, tak strasznie było mi wstyd. Po pierwsze, zdradziłam swoje wszystkie tajemnice. Po drugie, zrozumiałam, że Tim już zawsze będzie patrzył na mnie z obrzydzeniem, jak na najohydniejszą z dziwek. A po trzecie, byłam pewna, że zaraz się odwróci i odejdzie bez słowa, a na koniec złoży raport dziekanowi i wyrzuci mnie z uczelni.

Ale on mnie nie odepchnął. Powiedział tylko: „Przynieś mi muszlę i zapałki. Zapalę dla ciebie tytoń. Jesteś niewiarygodnie silną kobietą, Robyn”.

A potem dodał: „Spotkały cię okropne rzeczy. Bardzo mi przykro, że tak się stało. Ale to nie twoja wina. Pamiętaj, że to wszystko nie twoja wina, dziecko”.

Płakaliśmy.

Zaczęłam szukać pomocy. W tamtych czasach uniwersytet był instytucją dość konserwatywną. Do rdzennych tradycji akademicy podchodzili z rezerwą, woleli się trzymać klasycznych narzędzi: psychiatrii, grup wsparcia i leków na receptę. Tim powiedział mi któregoś dnia, żebym poszła na bębny. Uśmiełam się najwyższym z głosów, że to strasznie głupie i nie dla mnie. Jakieś kobiety w tradycyjnych strojach kiwały się, uderzając w obciągniętą skórą, podobne do tamburynów szerokie i płaskie instrumenty. Wydawały mi się anachroniczne, śmieszne i żałosne jednocześnie. Nie pasowały do nowoczesnego miasta, w którym żyliśmy i pracowaliśmy.

Poszłam tam i za tydzień, i za dwa. Przestałam się śmiać, zaczęłam stawać z boku w milczeniu. Któregoś razu jedna z bębniarek wzięła mnie za rękę i wciągnęła do koła. Jestem Anishinaabe, a one były Kri. Nasze ludy się nie uwielbiają. Ale nie miało to dla mnie znaczenia. Zaczęłam walić w ten bęben i kiwać się jak one. Śpiewałam coś, sama nie wiem, co to było. Jakaś wokaliza, nieskładne wycie, głos z brzucha. Stałam w tym kole, wołałam z całych sił. No a po chwili już nie mogłam stłumić szlochu.

Zaczęłam regularnie chodzić na ceremonie. Dobrze się po nich czułam, nie chciałam tego opuszczać. Tylko że na próbach musiałam być trzeźwa. Powoli, powoli zaczęłam się dźwigać z picia.

Nauczyłam się, jak zrobić własny instrument. Jego rytm mnie uspokaja, bo to bicie serca mojej matki Ziemi. To dla mnie bardzo osobisty przedmiot, nikomu swoich bębnów nie pożyczam. Ale choć ma to dla mnie wymiar intymny, to pozwala też spojrzeć na siebie szerzej. Bębny umieściły mnie, całą moją opowieść w szerszym kontekście. Na spotkaniach jestem częścią czegoś większego. Jestem częścią narodu, który jest tu od początku świata. Jestem z narodu, który przetrwał. I ja też ocalałam. Pasujemy do siebie.

Dziś mogę powiedzieć, że jestem tym, kim zawsze byłam. Jestem w domu, jestem sobą i u siebie. Czekałam na to prawie czterdzieści lat.

Dziś mówię, że żyję, bo odnalazłam się w rdzennej tradycji. Z czasem sama byłam gotowa dać życie. Jestem matką. Nawet ktoś taki jak ja może umieć być dobrą matką.

Kiedy mówię ludziom, że nigdy nie uderzyłam żadnego z trojga moich dzieci, nie mogą uwierzyć. Łapią się za głowę: „Przecież nie da się nie bić dziecka! Nawet jednego klapsa? To niemożliwe!”

Patrzę im w oczy i mówię powoli: na-wet-klap-sa.

Obiecałam sobie, im obiecałam, że nie będą się mnie bały.

Przeszłam wiele terapii, zajmuję się NVC, *Nonviolent Communication*, Porozumieniem Bez Przemocy. Trzy czwarte mojej pracy to opowiadanie ludziom o krzywdzie i przecinaniu zakłętego kręgu. Reszta to podawanie im dłoni.

Co stało się z Bobem, łowczym kobiet, który zamknął mnie na pół roku w hotelowym pokoju? *Well*, nigdy nie poszedł do więzienia. Odmraża sobie tyłek w Winnipeg. Podobno zajął się handlem. Oczywiście, handluje kobietami.

Wielu mężczyzn nadal sądzi, że mają prawa do naszych ciał. Chcą ich używać w tym najprostszym sensie, ale także chcą nimi władać. Na przykład kazać im nosić ciężę. To przecież też jest przemoc – decydować, czy mamy rodzić i kiedy.

Nasze ciała i nasze życia są dla nich mało warte. Można je sobie wziąć, użyć i potem wyrzucić, nawet dosłownie. Tak jak Tinę.

Ja się już niczego nie boję. Mnie już wszystko, co złe, zdążyło spotkać. Teraz chodzi o moje dzieci. Tylko dlatego, że urodziły się z rdzennych rodziców, mają pięciokrotnie wyższe prawdopodobieństwo, że zostaną zabite, zanim dorosną. Moje dzieci mają mleczną cerę, ale rdzenne rysy. To ich dziedzictwo i ich klątwa.

Trzeba mówić o tym, że Kanada może być dla kobiet miejscem śmiertelnie niebezpiecznym.

I o tym, że już najwyższy czas, by to się zmieniło. Ale wiesz, samo się nie robi – mówi Robyn Bourgeois, kładzie dłonie na kolanach i odrzuca do tyłu siwe włosy, skręcone jak sprężynki. Śmieje się tak, że podskakują jej nogi.

Głos kobiety z blizną na pół łydki i śmiechem jak dzwoneczek niesie się daleko.

\* \* \*

We wrześniu 2018 roku Robyn dostaje wezwanie. Nie tylko zna się na mechanizmach przemocy i handlu kobietami, ale i sama przez to przeszła. Jako academiczka i jako ocalona powinna włączyć się do ogólnokrajowej dyskusji, uważają zapraszający. Ale ona się waha. Ile komisji już powstało, ile dochodzeń przeprowadzono! Rdzennym kobietom nie jest wcale od tego lepiej. Mnoży się słowa, ale wciąż brakuje ratunku. Mimo wszystko w październiku 2018 roku Robyn Bourgeois decyduje się zeznawać.

Planowała ograniczyć swoje zeznania do suchych faktów związanych z jej pracą na uczelni i dorobkiem akademickim. Strukturalna przemoc wobec kobiet, społeczne przejawy rasizmu, wykorzystywanie seksualne kobiet ze środowisk zagrożonych biedą i wykluczeniem – to zwroty pojemne i bezpieczne, Robyn na co dzień gładko nimi żongluje.

Ktoś pyta o tendencje samobójcze wśród kobiet, które padły ofiarą przemocy seksualnej i wtedy Robyn bierze głęboki wdech i opowiada o sobie. Opowiada tak, jak kiedyś na uczelni opowiadała Timowi, aż wycieknie z niej cała, trzymana za tamą historia.

Tłumaczy, jak w praktyce wygląda życie kobiety traktowanej niczym dobro szybko zbywalne.

Mówi, co to znaczy radzić sobie z traumą po przemocy.

Czy można próbować okiełznać objawy zespołu stresu pourazowego.

Jak balansuje się między wolą życia a pragnieniem śmierci, która ten ból zatrze.

Jak wychowuje się dzieci, pilnując, by jak najmniej je okaleczyć.

Co jeszcze chcecie wiedzieć?

## 12. UŚCISK MICHAELA WHITE'A

Maleńka Raven nie chciała spać, więc Michael White nosił córkę na rękach cały wieczór, pijąc kawę za kawą. Zadzwoił telefon. Był listopad 2017 roku, a pod drzwiami galerii AGO stała kolejka zmarzniętych ludzi chcących wziąć udział w warsztatach pojednania. Organizatorzy mieli kłopot – za dużo chętnych, za mało wsparcia. Przydałby się ktoś z rdzennych, kto nadałby temu odpowiednią, godną oprawę. Ale Michael się wahał.

– Może i pojednanie jest ostatnio *en vogue*, ale nie można zawłaszcząć czasu, który jest dla rodziny. Mam małą córkę, muszę towarzyszyć żonie. Jeśli się zgodzi, pomogę wam.

Zgodziła się.

\* \* \*

Poznajemy się na warsztatach, na których omawia się raport Komisji Prawdy i Pojednania.

Spotkania te organizuje jedna z najważniejszych kanadyjskich instytucji kulturalnych, czyli AGO. Miesiąc wcześniej trzeba przeczytać tekst i spróbować samemu się z nim zmierzyć. Potem, pod opieką historyków i badaczy, będzie można o tym rozmawiać w zamkniętym gronie. Sesje nie będą publiczne, choć na Facebooku pojawia się wiele petycji w sprawie streamingu: także ludzie spoza miasta chcą wziąć udział w dyskusji.

Ale transmisji nie będzie.

Organizatorzy mówią, że lektura i rozmowa obudzą wiele trudnych emocji, będą łączyły: z szacunku dla ocalańców i ich rodzin, a także z szacunku dla tych, którzy chcą pracować z traumą, nie pokażemy tych spotkań. Zapraszamy wszystkich, którzy na żywo chcą zmierzyć się z tą hańbiącą kartą naszej historii.

Docieram do AGO. W galerii, przed drzwiami do auli, stoi kolejka smutnych ludzi z odmrożonymi nosami. Naprzeciwko kuratorka przeprasza i rozkłada ręce.

– Bardzo mi przykro, ale nikt z państwa już nie wejdzie. Mamy taki tłum, że i tak już chyba złamaliśmy wszystkie przepisy przeciwpożarowe. Nikt więcej się już nie zmieści.

Kolejka jest rozczarowana, ale nikt się nie wyklóca.

Kuratorka:

– Jesteśmy zaskoczeni zainteresowaniem, nie doceniliśmy torontończyków.

Obiecuje, że po Nowym Roku wynajmą od miasta większe audytorium, żeby pomieścić chętnych do pracy z prawdą i pojednaniem.

Przez kolejne miesiące spotykamy się w AGO na dwugodzinnych sesjach. Ale to tylko zwieńczenie pracy, którą każdy musi wykonać w domu: przeczytać i udźwignąć każdy z sążnistych tomów Raportu Komisji Prawdy i Pojednania. Jednym z prowadzących jest Jeffrey Kiyoshk Ross (ten, który zajmował się dziećmi w Pikangikum). Zazwyczaj rozpoczyna spotkania od palenia szaławii. Sypie suszone zioła do wnętrza otwartej, płaskiej muszli i zapala. Najpierw upewnia się, że na sali nie ma alergików, astmatyków i dym nikomu nie będzie przeszkadzał. Potem podchodzi do każdego chętnego, ale go nie okadza. Każdy sam decyduje, czy robi *smudging*. W siwym dymie można obmyć swoje dłonie, swoją głowę i swoje serce.

Trzeba być czystym, nim zacznie się grzebać w swojej i cudzej głowie.

\* \* \*

Drugim prowadzącym jest Michael White. Kiedy rozmawiam z nim po raz pierwszy, pyta, skąd przyjechałam.

– Z Polski? Jak super! Wiesz, Wojtek to właściwie moje drugie imię, można powiedzieć. Uwielbiam Wojtkę!

– *Sorry*, Michael. Nie rozumiem.

– Ja jestem z klanu Niedźwiedzi, a wy macie w historii Wojtkę, niedźwiedzia przygarniętego przez żołnierzy Andersa. Bił się z nimi o Monte Cassino, został kapralem. Można powiedzieć, że był w pewien sposób Polakiem. Więc widzisz, spotykamy się po raz pierwszy, a już mamy ze sobą coś wspólnego!

Michael White ma wielką łatwość przerzucania mostów i łagodzenia sporów. Długie czarne włosy spleta w kucyk, na piersi nosi naszyjnik z tarczą wielkości spodka. Na niej – niedźwiedzia łapa z pazurami, zrobiona z nanizanych ciasno różnokolorowych koralików. Przez kolejne miesiące, podczas czytania raportu Komisji Prawdy i Pojednania, Michael jak tłumacz będzie przekładał kulturę na kulturę, jedną optykę na drugą, jedno myślenie na inne.

Już po kursie spotykamy się w jego gabinecie w kampusie Uniwersytetu Toronto. White jest koordynatorem do spraw projektów specjalnych – pilnuje, czy uczelnia działa zgodnie z zaleceniami komisji, i organizuje odpowiednie szkolenia dla władz i pracowników uniwersytetu.

– To nowe stanowisko, a właściwie rewolucja. Uczelniom zaczyna zależeć, by kształcić ludzi w prawdzie, szanować rdzenne dziedzictwo i obyczaje. A to, że ja, rdzenny gość, mam dziś swój



gabinet w siedzibie takiego uniwersytetu, to jest po prostu mistrzostwo świata! – śmieje się Michael.

Ale kilkanaście lat temu, kiedy studiował tu archeologię, nie mógł o tym marzyć. Był jednym z niewielu kolorowych, jednym z bardzo niewielu rdzennych na uczelni. Od niektórych wykładowców usłyszał, że uniwersytet powinien mieć wyższe standardy i nie wpuszczać tu Indian. Dziś razem pracują.

– Wiele się zmieniło. W naszych rozmowach ważne są teraz inne wątki. Ale nawet na uczelni wciąż sporo jest do zrobienia. Kilka dni wcześniej czytałem artykuł. Opublikował go portal telewizji publicznej CBC, opowiadał o Grecji. I padło tam zdanie: wszyscy jesteśmy przybyszami. O nie, o nie, nie – pomyślałem sobie. – Żadne wszyscy. Ja nie jestem przybyszem. Pochodzę z narodu, który jest tu od początku świata.

W pokoju Michaela pełno książek: cała Naomi Klein, *Zderzenie cywilizacji* Huntingtona, biografia Louisa Riela, metyskiego powstańca. Na białej tablicy – zapisane flamastrem notatki w dwóch językach, po angielsku i w odżibwe. Na regale kolekcja miśków. Na ścianach parę dyplomów, pod biurkiem buty, w których można pokazać się na spotkaniu.

– Chodź, pokażę ci mapę. To wyspa, z której pochodzę. Manitoulin Island.

– Wyspa Manitou, Wyspa Wielkiego Ducha?

– Tak i nie. Nazywa ją tak cały świat, ale tak naprawdę to Wyspa Mówiących o Wielkim Duchu. Może dla kartografa był to drobiazg, ale dla nas to jednak spora różnica.

Takich przekłamań jest między nami więcej. Czy wiesz na przykład, skąd wzięły się łapacze snów sprzedawane jako pamiątka z Kanady? Teraz robi się je na planie koła, w środku wypełnionego szydełkowym haftem albo kordonkiem

na drucikach, a na dole przyczepia się trzy pióra na rzemykach. Cena – trzydzieści dolarów za mały, bliżej stu za duży wielkości talerza obiadowego. Ale to tylko komercyjne echo, artystyczne wspomnienie zabawki. Wiem, bo jak byłem mały, sam takie robiłem i sprzedawałem, żeby dorobić.

Okrągły łapacz snów zawsze się sprzedaje, choć nie jest prawdziwy. Popatrz, prawdziwy ma kształt łezki albo rybki. Bierze się gałązkę czerwonej wierzby i wygina, krzyżując końcówki. Do wierzby mocuje się kawałki futra, pióra, a środek przeplata nicią. Ale żadnych drucików, żadnych stelaży – tylko nić się plecie i plecie. Piórko wiesza się jedno, nie trzy. Łapacz jest zabawką. Wiesza się go nad dziecięcym łóżeczkiem. Niemowlę wyciąga do niego ręce i godzinami mu się przygląda. Tak samo jak łyżce, którą też zazwyczaj wiesza się tuż obok. Dzięki temu dziecko od początku ma kontakt z wytworami matczynych rąk, jest zanurzone w świetle rodziców. Ale w mojej rodzinie nie każdy miał szansę być razem z mamą i tatą.

\* \* \*

Babcia Michaela przeszła przez szkoły z internatem. Co to oznaczało, Michael zaczyna pojmować dopiero teraz, kiedy bierze małą Raven na ręce. Dużo czyta o Porozumieniu bez Przemocy, uczy się o bezpiecznym stylu przywiązania. To nowa perspektywa, bo w jego rodzinie traumę przekazywano bezwiednie, tak samo jak kolor oczu.

Babcia wyszła za mąż za białego. Robiła wszystko, by jej dzieci zachowywały się „jak białe”, nie „jak indiańskie”. Miała nadzieję, że wtedy nikt ich nie zamknie.

Jego druga babka była w domu, jednoizbowej chacie na zachodzie wyspy Manitoulin, kiedy przyszły pierwsze skurcze.

Zabrano ją do szpitala po drugiej stronie lądu, gdzie urodziła córkę, mamę Michaela. Nie zdążyła się jednak dzieckiem nacieszyć – zostało jej natychmiast odebrane i oddane na wychowanie białej rodzinie.

Ludzie ci prowadzili ośrodek dla turystów, bo Manitoulin jest malowniczym miejscem. To największa wyspa na tej planecie, położona na wodach jeziornych. Kto może, żyje z przyjezdnych. Ośrodek był niemały, a jego utrzymanie – drogie. Dlatego właścicielom opłacało się przysposabiać rdzenne dzieci. Państwo było zadowolone, bo podnosiło dzieciom stopę życiową i wszystko w tabelach się zgadzało. Nowi rodzice byli zadowoleni, bo zyskiwali kolejną parę rąk do pracy w urokliwym pensjonacie.

– Kiedy moi rodzice się poznali, matka była sekretarką, a ojciec pracował na budowie. Ja jako pierwszy w rodzinie mam skończone studia. A teraz – gabinet na uczelni. Po lewej ręce zabytkowe gmachy Uniwersytetu Toronto, po prawej szkło i beton biurowców torontońskiego centrum.

Mam to, bo nie musiałem mieszkać w rezerwacie. Choć mój rezerwat to akurat dobre miejsce do życia. Wyspa jest przecudna, przyjeżdżają tam turyści – biali jak ty. Władze zaprowadziły elektryczność, kanalizację, położyły drogi. Mamy luksus dostępu do czystej i bezpiecznej wody pitnej.

Mówię ci o luksusie i nie jest to przenośnia. Kanada, kraj paradoksów, ma najwięcej słodkowodnych jezior na świecie i jest największym rezerwuarem wody pitnej na Ziemi.

Jednocześnie wciąż wiele społeczności jest jej pozbawionych. Najczęściej są to członkowie Pierwszych Narodów, odizolowani od świata i infrastruktury. Wodę dowozi się tam beczkowozami (jeśli jest jakaś przejezdna droga) lub wielokrotnie gotuje (jeśli innego sposobu nie ma). Co jakiś czas rząd z dumą ogłasza:

po dwudziestu kilku latach znieśliśmy zakaz spożywania wody w tym i tym rejonie.

Moja rodzina żyjąca w jednym z najbogatszych państw świata w XXI wieku może cieszyć się wodą zdatną do picia. Korzystamy z tego, co daje miasto.

Mieszkam w okolicach Jarvis Street. Myślisz pewnie, że z czym do ludzi – to taki adres, że naprawdę szalu nie ma. Ale niemal za rogiem leży klaster szpitali. SickKids to jest inna planeta, jeśli chodzi o ratowanie dzieci. Wiesz, ja sam jestem dzieckiem po SickKids. A teraz mam córkę. Wolę mieszkać blisko. Jeśli coś się stanie, zdążymy z pomocą.

Poza tym zawsze mamy prąd. Nie śmiej się. Kiedy jest lato i przeciążenie sieci powoduje black-outy, można zdechnąć z gorąca. To już trzeci dzień awarii, a przez miasto idzie fala upałów. Niezbyt uprzywilejowana dzielnica Jane i Finch na prąd i klimatyzację jeszcze poczeka. A moja rodzina – nie. Mieszkamy w okolicy, pod którą biegnie arteria elektryczna. Z jednej strony Queens Park, czyli siedziba rządu w Ontario. Obok – największy kanadyjski uniwersytet. Naprzeciwko – MaRS, dzielnica nowych technologii. No i metro, szpitale, centrum finansowe. Tego się ot tak nie wyłącza, więc i nas nie odetną. Zdecydowałem, że mojej rodzinie ani wody, ani prądu nie zabraknie.

Mój brat i ja jesteśmy *urban Indigenous*, miastowymi rdzennymi. Przyszliśmy na świat nie na posłaniu matki w wigwamie, ale w nowoczesnym szpitalu położniczym w *downtown* Toronto. Kim bym był, gdyby moja mama została w rezerwacie? Byłbym człowiekiem niewielu szans.

Co innego moja córka. Skończyła dwa lata. Jest dzieckiem dwóch światów. Nazwałem ją Kakaki, w moim języku Odżibwejów to „kruk”. Po angielsku Raven. Jej dziadek uważa, że to przesada, jest

tylko klasycznych imion, po co podkreślać etniczność dziecka? Mówi do niej „Ray”, promyczku. Jeśli Raven kiedyś uzna, że chce być kimś innym, zapłacę za wymianę dokumentów. Na razie zostaje Raven, rdzennym dzieckiem wielkiego miasta. Ma wszystko, czego nie miałem ja i czego nie mieli ci przede mną, choć ja i tak dostałem już bardzo wiele. Ale to nie znaczy, że moje pokolenie jest wygrane.

\* \* \*

Niedawno Michael i jego brat pokłócili się. W kraju obchodzony był wtedy jubileusz kanadyjskiej państwowości. Michael i jego matka zbojkotowali uroczystości, nie włączyli się w obchody nawet symbolicznie. A brat z ojcem świętowali do rana. Bo podziały nie biegną tylko przez Kanadę, ale sięgają dużo głębiej. Nie rozumieją się nie tylko biali z Anishinaabe, miastowi z tymi z rezerwatów, bogaci z biednymi. Podzielone są nawet rodziny.

– Nie ma jednej opowieści o tym, co znaczy być rdzennym mieszkańcem Kanady – mówi Michael.

Jego opowieść ma dwa refreny: niewygodę i gospodarkę. Bo Michael uważa, że dziś rdzenni są tym, czym w Europie są stolpersteiny, kamienie pamięci, wtopione w chodniki w wielu miastach Europy. Niezauważani na co dzień, pomijani i marginalizowani mają otwierać oczy i przypominać, co jest jeszcze do zrobienia.

– Poza tym ktoś powiedział, że pojednanie to rozmowa uprzywilejowanych elit każdej ze stron odbywająca się na kameralnym spotkaniu, podczas gdy ci, których ono najbardziej dotyczy, nie zostali nawet wpuszczeni do budynku – śmieje się gorzko Michael White. – Nie ma pojednania bez prawdy. A prawda jest taka, że tu chodzi o gospodarkę. Dlaczego ratujemy milionami dolarów starą rurę do transportu paliw, dlaczego nie odczepimy się

od wydobywstwa? Inwestujemy w nowoczesne technologie, inwestujemy w edukację.

Bo na razie pudrujemy trupa.

Można zmienić szyldy, przemianować ulice. Można urządzić igrzyska, śpiewać Gorda Downiego. Można nawet powoływać komisje. Ale to zawsze kategoria gestu. Zresztą komisja – jakkolwiek potrzebna – nie jest idealna. Obnażyła skalę krzywd, ale nie wskazała winnych. Nie przeprowadzono dochodzeń kryminalnych, nie było badań – ani ufundowanych na nich oskarżeń prokuratorskich. Winnych nie rozliczono. Komisja miała budżet sześćdziesięciu milionów dolarów. Ale to symboliczna kwota. Jeśli ocaleńców po szkołach było – dla równego rachunku – sto pięćdziesiąt tysięcy, a każdy miał żonę lub męża i dwoje dzieci, to jak wycenić cierpienie takiej rodziny? Jeśli masz sześćset tysięcy skrzywdzonych ludzi, to budżet komisji oznacza dziesięć dolarów na każdą osobę.

Komisja była przebudzeniem. Ale teraz trzeba się zająć czymś więcej niż przemianowywaniem budynków i odkręcaniem tablic. Na przykład dziećmi z alkoholowym zespołem płodowym, bitymi kobietami i pijącymi mężczyznami. Mamy wszyscy kompleks Kanady wielkiej, Kanady wspaniałej, zbawcy narodów, dowódcy misji pokojowych dla ratowania ludzkości.

Przestańmy udowadniać sobie, że jesteśmy jakimś Supermanem. Wystarczy, że będziemy Clarkiem Kentem. Zróbmy, co do nas należy.

Na do widzenia Michael daje mi prezent. To fioletowa koszulka uniwersytecka ze słowami w językach i alfabetach, których nie znam.

– To jedno słowo, choć zapisane różnymi znakami. W języku Mohawków to znaczy „pomocniczka”. W Anishinaabe:

„ochotniczka”, „wolontariuszka”. W inuktitut: „służebnica”. Celowo nie daliśmy tego słowa po angielsku.

Ale można przetłumaczyć je jako „ta, która pomaga”. Jeśli chcesz dowiedzieć się, z czym mierzą się i przez co przeszli rdzenni mieszkańcy Kanady, pomagasz w jednaniu się ludzi. Taki napis na piersi masz prawo nosić z dumą.

Michael bierze mnie w ramiona.

– To mój niedźwiedzi uścisk. Nigdy się już nie spotkamy. Życzę sobie, żebyśmy o sobie nie zapomnieli.

### 13. PIÓRO MICHAELA CHEENY

Do biblioteki, do Louisa Knapaysweeta, na projekcję dokumentu o Świętej Annie przychodzi niewielka publiczność. Oglądamy dokument, w którym Louis (bity kotem o dziewięciu ogonach, posadzony na krześle elektrycznym), Edmund Metatawabin (na krześle sadzany trzykrotnie, a potem zmuszany do zjedzenia własnych wymiocin) oraz ich koleżanki i koledzy ze szkolnej ławy dzielą się wspomnieniami z katolickiej placówki prowadzonej przez siostry szarytki i księży oblatów w malowniczych rozlewiskach rzeki Albany.

Film jest krótki, czterdzieści dwie minuty. Trochę map, zdjęć w sepii albo czarno-białych. Na przykład dzieci stłoczone na leżącym pod pokładem łodzi zabierającej je z domu do internatu. Albo sypialnia, kilkadziesiąt małych metalowych łóżeczek ustawionych obok siebie bez odstępu.

Albo: rdzenne dzieci pod krzyżem, przebrane za świętych i aniołki, przy okazji szkolnych jasełek.

W innym kadrze stoją ustrojone w szkockie mundurki na czas wizytacji.

Sekwencja zdjęć niepokojących jak duchy.

Potem są już tylko świadectwa ocalonych. O jednym z księży, który brał na kolana kilkuletnie dziewczynki i masturbował je publicznie, na oczach innych dzieci i dorosłych pracujących w szkole. Starszy brat jednej z nich zapytał przełożonych księdza, dlaczego to tolerują. W odpowiedzi otrzymał uderzenie i krótkie:



– To nie twoja sprawa. To jest ksiądz.

Jedna z ocalonych już po latach poszła do spowiedzi, rozpoznała w konfesjonale księdza, który ją krzywdził. Miała mu wyznać swoje grzechy, choć to on zgrzeszył wobec niej. Nie powiedziała ani słowa. Wsunęła przez kratkę palce ułożone w kształt pistoletu i zrobiła: pif-paf! Zrozumiał, spuścił głowę.

Ktoś inny opowiada, że nowy pracownik szkoły, cywil z Francji, dziwił się, że źle się traktuje służące w misji kobiety. Dzieci opowiedziały mu, że także im dzieje się krzywda. Francuz pobiegł po pomoc, poszedł ze skargą do kurii. Stracił pracę, musiał opuścić Świętą Annę.

Ktoś jeszcze inny mówi: biskup zgwałcił jedną z pracujących w szkole kobiet. Zaszła w ciążę. Zakonnice zabrały ją na zabieg.

A także: po wszystkim płakałem. A ksiądz, ubierając się, rzucił, że to znak, że mi się podobało i chcę więcej.

\* \* \*

Siadam niedaleko starszego, na oko pięćdziesięcioletniego mężczyzny w koszuli w kratę. To Michael Cheena. W ręku trzyma notesik z cytatami z raportu Komisji Prawdy i Pojednania z 2015 roku.

Kiedy przychodzi czas na pytania, prosi o mikrofon i wstaje wyprostowany.

– Mam na imię Michael. Ja też jestem ocalańcem ze szkoły, a w zasadzie z dwóch kolejnych szkół. Jestem trzeźwy od dwudziestu siedmiu lat, czterech miesięcy i dwunastu dni.

Chcę przypomnieć, że wczoraj minęło dziesięć lat od dnia, w którym premier Stephen Harper oficjalnie przeprosił za szkoły z internatem. Chcę też odczytać wezwanie numer pięćdziesiąt osiem sformułowane przez Komisję Prawdy i Pojednania.

Brzmi ono następująco: „Wzywamy papieża, aby wystosował przeprosiny wobec ocalańców, ich rodzin i społeczności za rolę, jaką Kościół katolicki odegrał w duchowym, kulturowym, emocjonalnym, fizycznym i seksualnym wykorzystywaniu dzieci Pierwszych Narodów, Inuitów oraz Metysów w katolickich szkołach z internatem. Wzywamy do tego, by te przeprosiny były podobne przeprosinom z 2010 roku, skierowanym do ofiar nadużyć w Irlandii, oraz do tego, by zostały wystosowane w ciągu roku od publikacji niniejszego raportu, i do tego, by padły z ust papieża w Kanadzie”.

To wszystko, co mam do powiedzenia.

\* \* \*

Za udział w szkolnych zbrodniach jako pierwszy, jeszcze w 1986 roku, przeprosił Zjednoczony Kościół Kanady (United Church of Canada) słowami: „Błagamy was o wybaczenie”.

Powtórzył to jeszcze głośniej stojący na jego czele wielebny Bill Phipps w 1998 roku: „W imieniu Kościoła Zjednoczonego Kanady przepraszam za ból i cierpienie, jakie spowodował udział naszego Kościoła w systemie indiańskich szkół z internatem”.

W 1991 roku osobno przeprosili katolicy księża oblaci.

Dwa lata później – Kościół anglikański. Arcybiskup Michael Peers powiedział wtedy: „Przepraszam mocniej, niż jestem w stanie to wyrazić, za to, że tak wielu z was było w naszych szkołach wykorzystywanych fizycznie, seksualnie, kulturowo i emocjonalnie. W imieniu Kościoła Anglikańskiego Kanady składam nasze przeprosiny”.

W 1994 roku przeprosili także prezbiterianie.

Po drodze przepraszali też przedstawiciele władzy – od premiera Harpera po premiera Trudeau, a także reprezentanci poszczególnych

provincji, przedstawiciele policji, instytucji i uniwersytetów.

Na tym tle dojmujące jest milczenie Stolicy Apostolskiej.

Wśród katolików przeprasza się, ale tylko w poszczególnych parafiach. Kościół powszechny stoi na stanowisku, że winne mogą być pojedyncze osoby, ale nie cała organizacja. Poza tym struktura jest dość zdecentralizowana i płaska. Nie działa parasol, który obejmowałby wszystkich pasterzy i wszystkich wiernych. Z niektórych ambon padają jednak słowa od poruszonych duchownych, i to nie tylko teraz, po raporcie komisji, ale na przestrzeni ostatnich kilku dekad.

Tylko że nikt ich nie słyszy.

Władza duchownych jest lokalna, ograniczona do jednego ośrodka. Jeśli jakieś media o tym piszą, to te miejscowe i echa ekspiacji nie docierają przez rozległe prerie i bezbrzeżne jeziora do innych pokrzywdzonych.

Zatem niektórzy księża przepraszają, ale Kościół katolicki – już nie.

Swoje słowa potępienia wystosował kanadyjski episkopat, a papież Benedykt XVI wyraził jedynie ogólnikowo żal z powodu cierpień, jakich doznali autochtoni, nie biorąc za nie odpowiedzialności w imieniu Kościoła.

To poręczna metoda. Tak samo zrobił, kiedy żałował za cierpienia ofiar skrzywdzonych przez księży pedofilów w Irlandii. Jednak tamte, europejskie, białe dzieci przeprosił. Pochylony nad dokumentacją z Kanady – na przeprosiny się nie zdobył.

W 2017 roku do Watykanu, do papieża Franciszka, jezuity z Argentyny, pojechał premier Justin Trudeau. Zawiózł mu siedemnastowieczny słownik inuicko-francuski. Spisali go jezuici, tłumacząc język Inuitów z Labradoru. Media czekały na oficjalne przeprosiny z ust papieża, który niejednokrotnie udzielał poparcia uciśnionym i skrzywdzonym.

Nagłówki mówiły chórem:

„Trudeau prosi papieża o przeprosiny za rolę Kościoła w szkołach z internatem”. (CBC)

„Trudeau zaprasza papieża do Kanady, by przeprosił rdzennych mieszkańców w imieniu Kościoła”. (Reuters)

„Trudeau ma prosić papieża o oficjalne przeprosiny za rolę Kościoła w szkołach z internatem”. („National Post”)

„Trudeau mówi, że papież pochyla się nad prośbą o przeprosiny za szkoły z internatem”. („Globe and Mail”)

To na nic. Premier wrócił z pustymi rękami.

Wiosną 2018 roku zdecydowane kroki podjęli też członkowie parlamentu (House of Commons). Z inicjatywą wyszedł Charlie J. Angus, od lat wspierający ocalańców ze Świętej Anny. Jego wniosek został przyjęty niemal jednogłośnie. Posłowie wszystkich partii stosunkiem głosów dwieście sześćdziesiąt dziewięć do dziesięciu zdecydowali, by zaprosić papieża i zażądać od niego wyrażonych explicite przeprosin. Kanada powiedziała wtedy: nie z Tronu Piotrowego, lecz tu, na miejscu, przeproś za udział Kościoła katolickiego w systemie szkół z internatem.

Wkrótce potem biskup Lionel Gendron, przewodniczący Kanadyjskiej Konferencji Biskupów Katolickich, przekazał opinii publicznej stanowisko papieża. „Ojciec Święty jest świadom ustaleń, jakie poczyniła Komisja Prawdy i Pojednania i odnosi się do nich z powagą. Po dokładnym rozważeniu prośby i dogłębnym dialogu z biskupami w Kanadzie czuje jednak, że nie może na nie osobiście odpowiedzieć”.

\* \* \*

Pomyliłam się, bo choć Michael wygląda na pięćdziesiąt lat, to dobiega siedemdziesiątki. Mówi, że zdrowie i wygląd zawdzięcza

hokejowi i bieganiu, a także temu, że nigdy się nie przejadał.

Na nasze spotkanie przyniósł ze sobą wielką siatkę pełną dokumentów – na kawiarnianym stoliku kładzie wydruk prezentacji, jaką pokazuje ludziom w schroniskach, więzieniach i szpitalach, którzy potrzebują usłyszeć, że z dzieciństwa w szkole można się dźwignąć. Obok – przeprosiny od premiera Harpera. Potwierdzenie przelewu jeszcze z czasów, kiedy rząd uruchomił wypłaty dla ocalańców. I góra wycinków prasowych oraz notatek. Pomiędzy nimi duże, czarno-białe zdjęcie. Dwudziestu kilku chłopców, identycznie ubranych i ostrzyżonych. Jeden z nich to pewnie mały Michael, ale nie poznaję który.

– Nie wszystkie materiały są moje. Czasem przychodzą inni ludzie, którzy też przeszli przez szkoły, i mówią: Michael, i ja cierpiałem, może coś z tym można zrobić. Ja niewiele mogę, więc po prostu przyjmuję tę historię. Taka moja rola, jestem elderem, należę do starszyny. Zasłużyłem na własne pióro. Opowiem ci, jak to się stało. – Michael Cheena mówi powoli, bo oboje siedzimy trochę jeszcze zaspani nad pierwszą poranną kawą. Ostrożnie miesza swoją *double-double*. To najbardziej kanadyjski napój: kawa z sieniówki Tim Hortons, z podwójną śmietanką i podwójną porcją cukru.

Tim Hortons jest jednym z dóbr Kanady. Nosi imię założyciela, młodego hokeisty, który zginął w wypadku samochodowym i nie miał pojęcia, że jego nazwisko da początek kanadyjskiemu imperium. Można tu zjeść grillowane kromki chleba przełożone mocno barwionym na żółto serem, a od niedawna także *poutine*. To chyba jedyna ogólnonarodowa, kanadyjska potrawa – frytki polane sosem pieczeniowym i posypane grudkami sera. Do tego przesłodzone pączki i ciastka, z których kapie lukier i kruszy się kolorowa posypka.

Ale Tim Hortons to przede wszystkim kawa – nie za mocna, nie za gorzka i nie za droga.

Michael Cheena jest Kri, pochodzi z okolic Moose Factory na północy prowincji Ontario. Dziś to dom dla dwóch i pół tysiąca ludzi. Kto może, ucieka z rezerwatu do miasta w poszukiwaniu pracy. Ale kiedyś Moose było ważne – powstało na wysepce, w miejscu, gdzie kilka nitek rzecznych łączy się z Zatoką Jamesa. W 1671 roku zostało pierwszą angielską osadą na terenie dzisiejszej prowincji Ontario, chwilę przed Chrystusem, który dotarł tu wkrótce wraz z anglikańskimi misjonarzami. Ich przełożonym był biskup Horden, który przekazał swoją rezydencję na potrzeby nowo powstającej szkoły. Przyjęła ona wkrótce jego imię i przez lata była znana jako Bishop Horden Hall.

W latach pięćdziesiątych Michael Cheena swoje dzieciństwo spędzał w lesie. Polował razem z rodzicami. Choć częściej z matką – zakładali pułapki na zające, tropili mniejsze zwierzęta niedaleko domu. Ojciec ruszał dalej, trzydzieści, czterdzieści kilometrów w głąb lasu. Tłumaczył synkowi:

– Dla ciebie to za daleko i za zimno. Pójdiesz ze mną, jak podrośniesz.

Ale tak się nigdy nie stało, bo zamiast w ślady ojca Michael musiał pójść do Bishop Horden Hall. Miał siedem lat, gdy ojciec wziął go za rękę i odprowadził do budynku, który widywali z okna. Podpisał jeszcze dokumenty – wiek dziecka, płeć, wyznanie, i już.

Michael utkwiał w systemie na kolejnych dziesięć lat.

Szkoła była spora i dobrze utrzymana – sala gimnastyczna, osobne kantyny dla chłopców i dziewcząt, internat na trzydzieści łóżek. Prowadzili ją anglikanie – kadra miała dobre referencje, na korytarzach szeptało się, że ktoś uczył się nawet w Oksfordzie, ale kto – tego dzieci nie wiedziały. Nie wiedziały też, jak mówić

po angielsku. W domu u Michaela mówiło się w kri, a tu nagle z dnia na dzień wrzucono go do innego systemu. Za używanie języka ojczystego, także po lekcjach, na boisku i przed snem, należało spodziewać się bicia.

Dziś system się zmienił. W wieloetnicznej i wielojęzycznej Kanadzie zachęca się do pielęgnowania ojczystej mowy. Już wiadomo, że po zetknięciu z językami urzędowymi dzieci błyskawicznie ją tracą. Jednocześnie kuratorium zachęca do jak najwcześniejszej nauki angielskiego. Szkoła publiczna od razu otoczyła mojego syna programem ESL, *English as a Second Language* – dla dzieci, które w domu mówią innymi językami. Przez kilka miesięcy przychodzi do takich nowych w Kanadzie dzieci nauczycielka, która cierpliwie uczy słów, pojęć i zwyczajów. Kto potrzebuje dłużej – ma ESL przez kilka lat, aż staje się dwujęzyczny. Za każdy sukces jest nagroda, a za potknięcie – zachęta, żeby spróbować jeszcze raz.

Michael takiego podejścia nie zaznał – dla niego opowieść o wielokulturowości, wieloetniczności i tolerancji Kanady to ponury żart. Teraz Kanada ostrożnie i z wielką uważnością zanurza dzieci w swoim systemie – kiedyś po prostu je do niego wrzucała.

Wtedy poza wysoko wykształconą kadrą szkoła nie różniła się wiele od innych. Tu także obowiązywało całkowite posłuszeństwo i kary za sikanie do łóżka. Ale parad z brudnym prześcieradłem na głowie było mniej – najczęściej dzieci po prostu zaganiano do cięższej pracy. Na pęcherz to nie pomagało, ale pedagodzy zakładali, że jeżeli dana metoda za każdym razem prowadzi do porażki, to nie należy jej zmieniać, tylko próbować do skutku.

Program nauczania zgodnie z obowiązującą doktryną opierał się na katechezie i nauce angielskiego. Zadaniem misjonarzy było też przygotowanie dzieci do życia w nowych realiach, czyli

w protestanckiej etyce pracy. Przyuczano dzieci do zawodów (głównie rolniczych), uczono domowej ekonomiki, ale także muzyki i plastyki.

\* \* \*

W archiwach Centrum Prawdy i Pojednania znajduje się informacja, że nie wiadomo o żadnych przypadkach skazania personelu tamtej szkoły za stosowanie przemocy wobec dzieci. Ale odnotowano bicie ze szczególnym okrucieństwem, pasem. A także fakt głodzenia dzieci, na co reagowały czasem pielęgniarki. Jest też mowa o samobójstwie dyrektora szkoły w 1921 roku. Doznał urazu barku, nie miał szans na leczenie. Najbliższy lekarz mieszkał w Cochrane, trzysta kilometrów dalej. Dyrektor cierpiał przez kilka tygodni, aż w końcu odebrał sobie życie.

W szkole prawie co rok umierało co najmniej jedno dziecko: z powodu tyfusu, zapalenia płuc, a najczęściej z powodu gruźlicy. W 1965 roku na terenie placówki wybuchła epidemia odry. Z około dwustu uczniów nie zachorowało mniej więcej czterdzieścioro. Nakazano im zostać w internacie w czasie wakacji, by ograniczyć rozprzestrzenianie się choroby. Zdrowe dzieci przebywały razem z chorymi, więc i one też się zarażały. Nauczycieli i opiekunów do domów jednak puszczono – do ogniska epidemii sprowadzono zastępstwo, dwóch rdzennych uczniów szkoły średniej.

Kiedy Michael był nastolatkiem, zaczął się buntować. Nie godził się na dryl w szkole, chciał być taki jak ojciec, nie jak nauczyciel. Może w szkole coś się wtedy zdarzyło, ale tego Michael powiedzieć nie chce, nie może.

– Ważne, że nie chciałem być bierny, że chciałem się ratować – mówi, mieszając wystygłą kawę.



Był listopad 1966 roku. Michael namówił się z kolegą, postanowili uciec. Przygotowywali się przez miesiąc i któregoś dnia, po podwieczorku, kiedy było już ciemno, po prostu wyszli ze szkoły. Była otoczona płotem, ale wcześniej zrobili w nim dziurę i szybko przedarli się do lasu. Biegli bez latarek wzdłuż zamrzniętej rzeki. Zaryzykowali i dostali się po lodzie na drugi brzeg, w stronę Moosonee (tam, gdzie potem w oknach kościoła zawiśnie podobizna papieża Polaka i biskupa Leguerriera).

Chłopcy dotarli do torów kolejowych, do najbliższej stacji mieli dwieście kilometrów. Ruszyli wzdłuż szyn na południe. Michael mówi, że zawsze był wytrzymały, więc biegli od osiemnastej do drugiej w nocy i nie czuli zmęczenia.

Obawiali się pościgu. I rzeczywiście, na nogi postawiono nie tylko kadrę, ale i okoliczną policję.

Pierwszej nocy dopadli do szopy na narzędzia, rano ruszyli dalej wzdłuż torów. Wędrowali przez pięć dni. W końcu dostrzegli światło. Zapukali, otworzył starszy mężczyzna, Kri jak i oni. Pozwolił się ogrzać, dał im herbatę i *bannock*, chlebek pieczony na patelni. Ale nie mogli u niego zostać, zaczęli się kierować w stronę brodu Moose River Crossing. Buty i kurtki przemokły im na wylot, skończyło się też jedzenie.

W kanadyjskim hymnie mowa jest o prawdziwej Północy, silnej i wolnej. To kanadyjska duma i państwowotwórczy mit – ale dla Michaela Cheeny, uciekającego ze szkoły z internatem, było to wtedy przede wszystkim zagrożenie.

Chłopcy wiedzieli, że nie dotrą w tym stanie do żadnej osady. Wracać przez pięć kolejnych dni też by im się nie udało. Usiedli obok siebie, skuleni. Czekali, aż z zimna usną i wszystko się skończy.

I wtedy zobaczyli Niedźwiedzia Polarnego, pociąg The Polar Bear Express. Mieli szczęście, bo kursował tamtędy tylko raz w tygodniu,

w piątek. Wyszli na tory, zaczęli nawoływać maszynistę i machać rękami. Zauważył ich mimo ciemności.

Kierownik pociągu zaczął organizować pomoc, ubrania, koce i coś do jedzenia.

O nic nie pytał, powiedział im tylko jedno:

– Ten pociąg jedzie do Moosonee.

A to oznaczało, że chłopcy wracają do szkoły. Na peronie czekała na nich policja, zostali odstawieni z powrotem do internatu w Bishop Horden Hall. A tam ukarani.

„Znęcali się nad nami, maltretowali i bili pasem”, napisze Michael Cheena w 2012 roku w podaniu, kiedy będzie chciał ubiegać się o pieniądze za doznane w szkole krzywdy.

Chłopcy zostali skazani na izolację. Mogli chodzić na lekcje, ale zaraz potem wracali do samotni. Nie mogli rozmawiać, jeść ani kontaktować się z rówieśnikami. Nie mogli wychodzić ani na dwór, ani do kaplicy, ani tym bardziej w odwiedziny do rodziców. Odebrano im wszystkie przywileje.

W 1967 roku Michael był już za duży, trzeba go było przenieść do innej szkoły, do Shingwauk Hall, także prowadzonej przez anglikanów. Jej uczniowie mogli nocować albo w internacie, albo na mieście, w gościnnych domach. Szkoła wyróżniała się na tle innych placówek z internatem zarówno filozofią, jak i poziomem nauczania. Bardzo szybko została uznana za flagowy okręt anglikańskiej edukacji w systemie szkół z internatem. Michael wspomina ją bardzo dobrze. Był daleko od domu, ale nie miał czasu tęsknić. Pozwolono mu dołączyć do kadetów. Kiedy pytam, czego go tam uczono, nie kryje zdziwienia:

– Jak to czego? Czytania mapy, pierwszej pomocy, czyszczenia i konserwacji broni, walki wręcz. To podstawowe życiowe umiejętności.

\* \* \*

Ktoś szybko dostrzegł, że chłopak dobrze radzi sobie na lodzie. Zaproszono go do drużyny, zdobył regionalny puchar w hokejowych rozgrywkach. Rósł, rozwijał się, wygrywał.

Ale przyszedł 1968 rok i Michael skończył szesnaście lat. Musiał opuścić szkołę. System nie miał na niego pomysłu. Na dalszą naukę nie było szans, więc Michael zaczął łąpać się różnych zajęć, był strażnikiem, a potem ochroniarzem. Bez wstrząsów, ale też i bez perspektyw.

Po drodze ktoś dał mu się napić. Wtedy jeszcze myślał, że będzie jak wujek, który pijał codziennie domowe wino, ale tylko jedną szklaneczkę.

Nie udało się. Michael z piciem rozpędził się na dobre na następnych dwadzieścia lat.

– Po wyjściu ze szkoły spadłem w próżnię. Picie przynosiło mi ukojenie, tak mi się wydawało. To był mój mechanizm przetrwania. Ale piłem coraz więcej, z czasem straciłem pracę, straciłem rodzinę, wiarygodność i szacunek.

Aż przyszedł rok 1990. Na zewnątrz, wzdłuż ulicy Dundas w Toronto, kiwały się tramwaje, a Michael Cheena kiwał się, uczepony baru w pubie Imperial.

– W jednej chwili poczułem, że muszę iść do łazienki. Wziąłem ze sobą piwo i stanąłem przy pisuarze. Zamiast moczu oddałem do niego całą szklankę piwa. Prosto stamtąd poszedłem na izbę przyjęć do Szpitala Świętego Michała. Lekarz, który mnie przyjmował, powiedział: „Oj, panie, sami to my tu sobie nie poradzimy”. Krzyknąłem: „Jak to sami? Macie tu pielęgniarki, sanitariuszy, całą szafkę leków. Niech mi pan coś da!”. Powiedział,

że to nie wystarczy. Że jak będę gotów, w pokoju obok będą czekać ludzie ze starszyny. I tak zaczęła się moja podróż ku zdrowieniu.

Trafiłem do kliniki w New Credit First Nation. Sześć tygodni bez konwencjonalnego leczenia. Żadnych leków, tylko *smudging*, okadzanie. Jeden z nas brał muszlę wielkości talerzyka śniadaniowego, sypał na nią wysuszoną szałwię i podpalał. Wdychaliśmy dym, uspokajaliśmy się. Myślałem o tym, że tak samo robił mój ojciec, a przedtem jego ojciec. Wyobrażałem sobie, że jestem znów w domu. To mi pomagało.

Nie dostawałem kroplówek, tylko prawo do szałwii. Żadnej zachodniej, osadniczej medycyny, tylko nasze dawne praktyki zwracania ludzi ku zdrowiu. Szybko poczułem się mile widziany i na swoim miejscu. Wszystko zaczęło się zazębiać i układać.

W klinice rozmawiało się, siedząc tak, jak siadywali kiedyś moi rodzice i ich przodkowie. Przychodzili do niej inni ocaleńcy, niektórzy trzeźwi od czterdziestu lat, ludzie, którzy też przeszli przez szkoły. Mówili: „Czuwa nad wami *Manitou*, Wielki Duch. Z jego pomocą sobie poradzicie. Nie musicie przechodzić przez to, co my”. Wszystko rozumieli, niczego im nie trzeba było wyjaśniać. Nasi lekarze, nasi sąsiedzi w Kanadzie nie mają o nas pojęcia. Nie rozumieją, przez co przeszliśmy i jako dzieci, i jako cała społeczność. Psycholodzy i psychiatry, którzy najczęściej pracują z ocaleńcami, niewiele o nas wiedzą. Terapeuci spoza ośrodka, którzy dowiadywali się o naszym programie, mówili, że to oszustwo, szamaństwo, czary. Nic z tego nie rozumieli.

Skończył się pobyt Michaela w ośrodku odwykowym, ale nie leczenie. Teraz Michael chodzi na spotkania AA dwa, czasem trzy razy w tygodniu. Od trzynastu lat pomaga w schronisku dla mężczyzn. Jego podróż ciągle trwa.

Namawia lekarzy i terapeutów do stosowania rdzennej medycyny, puka do różnych drzwi, pisze listy i chodzi na spotkania. Pracuje też z pacjentami. Mówi im, że sam ocalał, przetrwał, wytrzeźwiał. Ma teraz siłę, by przeciągać innych na stronę życia. Mozolna to robota, mało spektakularna.

Ale w 2010 roku, podczas jednego ze spotkań w grupie, przyszedł czas na rozmowę o sukcesach. Wtedy jeden ze starszyzny, człowiek znad Zatoki Jamesa, z rodzinnych stron Cheenów, powiedział, że Michael swoim życiem przynosi chlubę swemu narodowi. Ten pomyślał, że się przesłyszał, ale starszy mówił dalej: że Michael robi wielkie rzeczy i że ludzie go szanują.

Michael Cheena dobiegał sześćdziesiątki, kiedy pierwszy raz usłyszał, że jest ważny i potrzebny.

Był zaskoczony i zawstydzony. Nigdy go nie uczono, jak reagować na życzliwość. Nie wiedział, co powinien poczuć ani co należy powiedzieć. Siedział w milczeniu, skubiąc siwe wąsy.

Po chwili usłyszał jeszcze: „Michael, jesteśmy z ciebie dumni. Przez to, przez co przeszedłeś i co z tym zrobiłeś, zasłużyłeś na przywilej. Masz prawo nosić orle pióro. Żaden człowiek ani żadna siła ci już tego nie odbierze”

– To coś, co można otrzymać, ale nie można tego kupić. Nie można się o to ubiegać, można na to tylko bezustannie zasługiwać.  
– Uśmiecha się ten jedyny raz podczas naszej rozmowy. – Orzeł jest ze wszystkich żywych istot najbliżej Stworzyciela. Lata wysoko, niczego się nie boi.

Być obdarowanym jego piórem to dla człowieka wielki honor. To znaczy, że i ty jesteś ważny, że i twoja historia ma znaczenie – słyszy Michael za każdym razem, kiedy odmyka specjalną czerwoną kasetkę, w której na co dzień przechowuje blisko trzydziestocentymetrowe, śliskie pióro.

Czerpie z niego moce. Jak wtedy, kiedy stawał przed sędziami.

Któregoś dnia jego mentor i opiekun w niepiciu, starszy rdzenny mężczyzna, zobaczył u Michaela broszurkę zatytułowaną „Prawda. Uzdrawienie. Pojednanie” z garścią informacji i numerem linii kryzysowej, bezpłatnej i czynnej przez całą dobę. Był rok 2012, w Kanadzie trwała już dyskusja o szkołach z internatem i o tym, jak mają z tym żyć zarówno ofiary, jak i sprawcy, ci rzeczywiści i ci symboliczni.

– Widzę, że czytasz gazety i wiesz, co się dzieje – powiedział mentor ze starszyny. – Obawiam się, że zechcesz stanąć przed obliczem Komisji Prawdy i Pojednania, opowiedzieć o życiu w szkole, bez rodziców, bez języka, bez prawa do prawdy o sobie. Oczywiście, masz do tego pełne prawo. Pytanie, czy umiesz to unieść.

Michael nie potrafił odpowiedzieć, wiedział tylko, że wybuchnie, jeśli nie opowie głośno o tym, jak się czuł, kiedy miał sześć lat i zamykano go w szkole na kolejną dekadę. Zabukował bilet i poleciał do Halifaksu na jedno z pierwszych przesłuchań w historii.

Zeznania można było składać przed komisją, dostęp do nich miał zostać potem upubliczniony. Ale miało się wybór – można było mówić tylko przed jedną osobą, zastrzegając sobie prawo do prywatności. Początkowo na liście świadków widniało tylko dziesięć nazwisk, jednak przed komisją stawiono się ponad tysiąc pięćset osób. Nie tylko ocalańcy, ale też ich bliscy, potomkowie i świadkowie. Byli też przedstawiciele kościołów protestanckich – anglikanie, unitarianie, prezbiterianie. A także starszyna, sąsiedzi, bliscy i ratownicy medyczni. Michael stanął przed komisją zupełnie sam, zaciskając palce na orlim piórze.

Nie pierwszy raz miał opowiedzieć komuś o szkole i o ucieczce wzdłuż torów. W 1994 roku dołączył do pierwszego pozwu zbiorowego ocalańców przeciwko Kanadzie. Rząd zaproponował wtedy każdemu piętnaście tysięcy dolarów w ramach ugody, ale prawnicy powiedzieli, że więcej dostaje się za uszkodzony w stłuczce samochód i że proponowanie takich pieniędzy dzieciom, które ocalały ze szkoły, jest niegodziwe. Wtedy nad pozwem pracował między innymi Steven Cooper.

Musiało minąć trzynaście lat, nim rząd uruchomił wypłaty w ramach tak zwanego wspólnego doświadczenia (Common Experience Payment, CEP). Prawo do nich mają wszyscy, którzy potrafią udokumentować swój przymusowy pobyt w szkole z internatem. Świadczenie jest niezależne od warunków w szkole i doznanych tam ewentualnych krzywd.

Dopijamy zimną kawę w Timie Hortonsie, kiedy Michael Cheena wyciąga z foliowej torby na zakupy pismo z grudnia 2007 roku, w którym biuro Indian Residential School Resolution uprzejmie informuje, że przelało należne mu kwoty. Dziesięć tysięcy dolarów za pierwszy rok w szkole i po trzy za każdy kolejny. Na koncie pieniądze pojawiły się akurat na Boże Narodzenie.

– Spłaciłem kartę kredytową i uregulowałem zaległe opłaty. I już, po pieniądzach – wspomina Michael. – Ale przynajmniej wymiernie skorzystałem, bo moi znajomi swoje pieniądze za szkołę po prostu przepili.

Ale to nie koniec upominania się o naprawienie krzywd.

Potrzeba było kolejnych ośmiu lat. W 2015 roku Michael wszedł do lobby hotelu Holiday Inn w Toronto. Uprzejmy portier pokierował go do sali konferencyjnej, gdzie przesłuchania prowadziła osobna komisja do spraw IAP, Independent Assessment Process, która oceniała każdy przypadek z osobna.

O tym, co działo się w szkołach, Michael Cheena opowiadał komisji przez bite osiem godzin, nie wypuszczając orlego pióra z ręki.

– Co im powiedziałem i jaki przelew za to dostałem, zdradzić nie mogę. Doszło do ugody, podpisałem też umowę o poufności. Nic więcej powiedzieć mi nie wolno.

\* \* \*

Po tym wszystkim, co go spotkało, Michael nie może się modlić.

– Nie należę do żadnego Kościoła, nie mam żadnego wyznania. Długo byłem bity. Nie chcę tej przemocy oddawać innym ludziom. Zamiast tego próbuję na nowo połączyć się z tym, kim byłem, nim zamknięto mnie w szkole. Cały czas uczę się kri, swego ojczystego języka. Chodzę na nasze ceremonie, niektóre sam urządzam.

Zdrowieję.

Wiem, że nigdy nie pokonam demona, którego wpędzili we mnie duchowni, ale teraz umiem już go kontrolować. Marzę o tym, żeby to trwało jak najdłużej.

Wierzę w mojego Stworzyciela, ale w żaden Kościół już nie uwierzę.

Trzeba to jasno powiedzieć: dopóki katolicki papież nie uzna win Kościoła i nie przeprosi, nie ma mowy ani o prawdzie, ani o pojednaniu. Skoro tu jesteś, wytłumacz mi, dziewczyno z katolickiego kraju, jak można nie przepraszać? Jak można popierać ludzi, którzy robili dzieciom takie rzeczy?

\* \* \*

Nie odpowiadam. Patrzą na czarno-białe zdjęcie, które przez cały czas leży przed nami na stole, pośród papierów przydźwiganych



w foliowej torbie przez Michaela Cheenę. Dwudziestu paru chłopaczków stoi w rzędzie, wszyscy w identycznych jeansach, ewidentnie za dużych, bo z kilkakrotnie podwiniętą nogawką. W jednakowych kurtkach bomberkach, spod których wystają identyczne koszule z kołnierzem i biała smużka podkoszulka. Ich włosy są króciutkie, równo ogolone, jak w wojsku albo w więzieniu.

I wtedy zauważam, że tylko u jednego z nich włosy nie chcą leżeć płasko, sterczą w grubym języku, nastroszone. Inne dzieci patrzą posłusznie w obiektyw, ale nie on. Nie wie jeszcze, że pracuje teraz na przywilej orlego pióra, które ponad pół wieku później będzie obracał w palcach, stając przed kanadyjską Komisją Prawdy i Pojednania. Powie wtedy: system szkół z internatem odebrał mi mój język, moją kulturę i moją tożsamość.

Na razie Michael Cheena jest chłopcem, który stoi z rękoma w kieszeniach, jak zawsze wyprostowany i na lekko rozstawionych nogach.

Jako jedyne dziecko na fotografii – uśmiecha się.

## 14. PTASZYŃKA

Szkoła imienia Świętej Anny w Fort Albany już nie istnieje. Położona na rozlewisku misja była wielokrotnie podtapiana, dwukrotnie (w 1939 i w 1954 roku) płonęła. Szkolne archiwa są więc niekompletne i skromne. Zachowało się jednak trochę planów, jakieś dokumenty z kancelarii.

A przede wszystkim zdjęcia. Jedno z nich towarzyszy mi przez całą tę opowieść.

To portret rdzennej dziewczynki. Dziecko na fotografii ma kilka lat, sześć, może siedem. Wbrew perspektywie kochających rodziców tak naprawdę nie wszystkie dzieci są ładne. Ale dziewczuszka ze zdjęcia jest śliczna. Regularne rysy, trójkątna buzia, wielkie migdałowe oczy w czarnej oprawie. Małe, wykrojone usteczka złożone w ciup.

Ślicznotka. Słodycz. Maleństwo.

Dziewczynka patrzy w obiektyw przestraszona i skupiona. Ma na sobie uroczyłą sukienkę, może fartuszek. Na piersiach zawieszono jej krzyżyk na długim rzemieniu. W rękach trzyma książeczkę, prawdopodobnie do nabożeństwa. Oto dziecko przeznaczone do modlitwy i posłuszeństwa, modelowa uczennica szkoły z internatem, owoc transformacji.

Co się z tobą stanie, dziewczynko?

\* \* \*

Edmund Metatawabin (chłopczyk sadzany przez siostrę Wesley na krześle i zmuszany do zjadania wymiocin) spędził w Świętej Annie siedem lat, od 1956 do 1963 roku. Kiedy dorósł, rozpoczął studia w Toronto. Brał z bibliotecznej półki powstające powoli opracowania, mówiące o długofalowych skutkach przebywania w szkołach z internatem. Chciał się dowiedzieć, czy kiedyś miną.

Ale Edmund te studia przerwał. Zatelefonowali do niego z domu: społeczność z Fort Albany prosiła go, by został ich wodzem, i Edmund wrócił na Północ, nad Zatokę Jamesa.

\* \* \*

Szkoła dawno się skończyła, choć przecież trwa w nim, trawi go bezustannie. Edmund wie, że ocalańców po Annie jest w okolicy więcej. Ilu jeszcze żyje?

W sierpniu 1992 roku Ed organizuje spotkanie po latach: *Keykaywin*, droga do pojednania. Wkrótce założy Peetabeck Keway Keykaywin, stowarzyszenie absolwentów Świętej Anny, działa ono do dziś. Latem 1992 roku Edmund idzie do rozgłośni Wawatay Cree Radio Network:

– Czy pomożecie opowiedzieć światu, co tu się działo?

Radio zaprasza absolwentów szkoły, a potem także transmituje przebieg spotkania – wiadomości z Fort Albany niosą się daleko.

Edmund skrzykuje byłych uczniów, o których zaczyna się już mówić „ocalency”. Zaprasza przedstawicieli władzy i Kościoła, szare siostry i oblatów. Szarytki reprezentuje matka przełożona z Sudbury, a księży – Vincent Cadieux, nowo mianowany biskup diecezji z Moosonee. Nie zjawia się jednak nikt z dawnego personelu szkoły.

W konferencji uczestniczą za to przedstawiciele władzy – Health Canada, ministerstwo zdrowia, współfinansuje wydarzenie.

Edmund jest poruszony, bo na jego wezwanie odpowiadają tłumy ocaleńców i ich rodzin. W Fort Albany mieszka wtedy jakieś tysiąc dwieście osób – przychodzi czterysta. Niektórzy przybywają z daleka. Trzeba zorganizować im spanie, jedzenie i prysznice. Wolontariusze zapraszają gości do domu, zapewniają transport, tłumaczenia i ochronę. Pilnują też, by płonął święty ogień.

Kiedy rozpoczyna się konferencja, nad Fort Albany przechodzi burza. Niebo jest ciężkie i gniewne, a pogoda ponura. Zgromadzeni na konferencji w nieczynnym już budynku szkoły imienia Świętej Anny mówią, że to odpowiedź na stan ich ducha. Zanim zaczną rozmowę i dzielenie się wspomnieniami, organizują *pow wow*, tradycyjną ucztę połączoną z tańcem. Palą szałwie, oczyszczają się w *sweat lodge* – robią to, co w szkole było zakazane.

Kto chce mówić, trzyma w ręku orle pióro. Dopóki go nie wypuści, nie wolno mu przerywać.

Głos zabierze dziewiętnastu mężczyzn i jedenaście kobiet – najmłodszy po trzydziestce, najstarsi to już elderzy. Powiedzą, że padli ofiarą przemocy seksualnej. Będzie też mowa o krześle i o owsiance. O dziurawieniu ciała ołówkiem i o biciu bez zmiłowania.

A także o tym, że kazano im brać prysznic w spódniczkach zrobionych z folii, by nie gorszyli innych widokiem swych nagich ciał. Spódniczki miały chronić przede wszystkim moralność dorosłych, którzy przychodzili popatrzeć na rozebranych chłopców. Niektórzy dokonywali wtedy badań fizykalnych kąpiących się dzieci.

Dwie kobiety powiedzą o gwałtach. Większość podzieli się wspomnieniami z krzesła i z podłogi zabrudzonej wymiocinami. Opowiedzą też o godzinach klęczenia na betonowej posadzce i zamykaniu w ciemnicy.

W raporcie podsumowującym konferencję jedna z kobiet opowiada tak:

„Przywieźli mnie do szkoły razem z trzema braćmi i dwiema siostrami. Byłam najstarsza. Nie było już z nami rodziców, więc czułam się odpowiedzialna za rodzeństwo”.

Ale polityką było, że dzieci rozdzielano – by nie przypominać im o domu, by rozluźnić więzy między nimi. Rodzeństwo nie mogło się widywać.

„Nie rozumiałam, skąd ta separacja. Dopytywałam o rodzeństwo, zwłaszcza o braciszka, o którego bałam się najbardziej”.

Została za to ukarana.

„Pewnej nocy stanęła przy moim łóżku postać ubrana na biało, jej głowa była w kapturze, a twarz niewidoczna. Powiedziała mi: twój brat już nie żyje, chodź się z nim pożegnać”.

Dziewczynka wstała, weszła za człowiekiem w bieli do pokoju – ale ciała brata tam nie było. Zamiast tego czekali na nią dwaj mężczyźni. Przytrzymali ją. Została związana. Podczas gwałtu – dusili ją.

Rano zakonnica zobaczyła jej puste łóżeczko w dormitorium, wkrótce znalazła dziewczynkę w innym skrzydle szkoły. Dziecko dostało dwadzieścia razów za oddalenie się z sypialni. Pouczono ją, że jeśli komuś opowie, co stało się w nocy, dostanie czterdzieści batów.

Nie powiedziała, ale dorośli sami się zorientowali. Po kilku miesiącach brzuch dziewczynki zaczął się uwypuklać. Kiedy przyszedł skurcze, zakonnica zaprowadziła ją do podziemnego tunelu łączącego szkołę z innymi budynkami w misji. Stał tam gorejący piec. Dziewczynka urodziła na podłodze, po wszystkim i dziecko, i popiół wrzucono do wiadra.

W piecu Świętej Anny palono odpadkami bez żadnej segregacji.

\* \* \*

Kiedy przemówili dawni uczniowie, głos zabrali też organizatorzy.

Przedstawiciele starszyny z Fort Albany podkreślili swoją wdzięczność wobec Kościoła katolickiego za nauki, jakie otrzymali, szczególnie za wykształcenie. „W szkołach z internatem otrzymaliśmy wiele dobra i pomocy. Bywali tam dobrzy księża, bracia oraz siostry, którzy naprawdę dbali o swoich podopiecznych. Jednak nasze najgłębsze obawy budzi fakt, że jednocześnie mnóstwo dzieci było przez szkołę zdradzonych. Dziś, już jako dorośli, nadal cierpią”

Kościół odpowiedział na to tak: „Biorąc pod uwagę warunki społeczne i ekonomiczne w tej miejscowości i w tym czasie, szkoła z internatem była instytucją pożyteczną. Należy jednak podkreślić, że jak każdy system, także i ten miał swoje negatywne aspekty”

Obecny na konferencji biskup Vincent Cadieux, który zastąpił właśnie biskupa Leguerriera, wyznał publicznie:

– Słuchanie tych historii napawa mnie bólem i niepokojem. Czasem wolałbym w ogóle tego nie usłyszeć. Ale wiem, że dla tych, którzy noszą w sobie blizny, lepiej jest, by je otworzyć i pozwolić truciźnie wypłynąć. Tylko tak uleczy się rany, chociaż proces ten jest bolesny i pełen cierpienia.

Głos zabrał wówczas doktor Brian Tetley z Uniwersytetu w Lethbridge, który powiedział, że zarówno państwo, jak i Kościół robiły wiele. Wiele, by zapobiec temu, co w odpowiedzi na telewizyjne wyznanie Phila Fontaine’a ojciec Blanchette nazywał „nadmiernym zainteresowaniem mediów”

\* \* \*

Z czasem burza cichnie, wiatr rozpędza chmury. Edmund Metatawabin mówi, że to samo dzieje się w duszy tych, którzy przemówili. Ale to dopiero początek ich drogi. W zamierzeniu Keykaywin miało być spotkaniem solidarnej grupy wsparcia. Ale kiedy wybrzmia już ostatnie słowa, na które znajdą się siły, Edmund wie, że taki zjazd trzeba podsumować.

Ale nie będzie to elegancka księga pamiątkowa ani oprawione w ramki tableau z podobiznami absolwentów. Zamiast tego Edmund trzyma w dłoniach zeznania dziewiętnastu mężczyzn i jedenastu kobiet. Wiezie je do Cochrane, na lokalny posterunek Policji Prowincji Ontario (Ontario Provincial Police, OPP).

Latem 2018 roku Edmund Metatawabin otrzymuje wiadomość: ma być przedstawiony do Orderu Kanady, najwyższego cywilnego odznaczenia w państwie. Można je otrzymać za szczególne osiągnięcia i zasługi, za oddaną służbę krajowi. Metatawabin dostaje prawo noszenia orderu z napisem: *desiderantes meliorem patriam* – dla tych, którzy pragną lepszej ojczyzny. Jego patriotyzm Kanada widzi między innymi w tym, że Edmund jest człowiekiem, który zaczął bić na alarm.

\* \* \*

Wtedy na posterunku w Cochrane dyżurny policjant kwituje odbiór – w przywiezionej przez Edmunda paczce znajdują się zeznania ocaleńców ze Świętej Anny. Policja wszczyna dochodzenie – potrwa ono blisko pięć lat. W tym czasie teczka z zeznaniami rozrasta się. Konferencję transmitowało radio i odzywają się kolejne głosy. Choć formalnie się tego nie ogłasza, ludzie przekazują sobie z ust do ust: policja bierze się za sprawców ze Świętej Anny.

Wkrótce policjanci dysponują dziewięćset dziewięćdziesięcioma dwoma zeznaniami ocaleńców.

Co ważne, opowieści ze Świętej Anny są ze sobą ściśle sprzężone. Zeznania dzieci są zbieżne i wzajemnie się uwiarygadniają. Powtarzają się obrazki, daty i nazwiska.

Ze wspomnień dzieci śledczy wyłowią około stu osiemdziesięciu osób nazwanych „seksualnymi drapieżnikami”.

Zostaje złożonych osiemset sześćdziesiąt indywidualnych skarg. Ale ława oskarżonych będzie bardzo krótka.

\* \* \*

Jednym z policjantów przydzielonych do śledztwa był detektyw Greg Delguidice. W 2013 roku zatelefonowała do niego Fay Brunning, żeby zapytać o tamto dochodzenie sprzed dwudziestu lat. Fay to prawniczka reprezentująca dawnych uczniów ze Świętej Anny. Coś jej się nie zgadzało w dokumentach, dotarła więc do policjanta, który pracował nad aktami z Cochrane.

Detektyw opowiedział jej wyczerpująco o zakresie i szczegółach śledztwa z 1992 roku. Na podstawie zgromadzonego przez OPP materiału zarzuty przedstawiono siedmiu osobom, z tego tylko pięć stanęło przed sądem. To przede wszystkim cywilni opiekunowie i pomocnicy kuchenni:

Jane Kakeychewan, w szkole znana jako siostra Catherine Tekakwitha (otrzymała karę sześciu miesięcy pozbawienia wolności, wyrok w zawieszeniu),

John Cushing, zatrudniony przez szkołę na nieokreślonym stanowisku (uniewinniony),

John Moses Roderique, pomocnik ze stołówki (przyznał się do winy przed procesem),

Claude Lambert, świecki opiekun dzieci (usłyszał wyrok skazujący),



Claude Chenier, świecki opiekun chłopców (oskarżenie wycofano),

Marcel Blaise, świecki podkuchenny (przyznał się do winy),

Anna Wesley, dawniej znana jako siostra Marie Immaculata, Maria Niepokalana.

Wśród oskarżonych nie było żadnego księdza. Zapytała o nich Fay Brunning, a detektyw Delguidice wymienił ich nazwiska:

Ojciec Lavoie? W zeznaniach dzieci jest ponad trzysta wzmianek o jego atakach seksualnych. Nie dożył procesu.

Biskup Jules Leguerrier, dyrektor szkoły w latach 1945–1995? Ćwiczył Louisa Knapaysweeta kotem o dziewięciu ogonach; w zeznaniach pozostałych dzieci jest ponad czterysta przykładów nadużyć seksualnych, jakich się dopuszczał. Otrzymał sakrę biskupią, zmarł przed postawieniem mu zarzutów.

Ksiądz Paul Langlois? Dyrektor szkoły w latach 1939–1945, koordynował akcję poszukiwania chłopców. Już nie żył.

Siostra Henri Gerard? Nie usłyszała zarzutów.

Siostra Mary Eli? Nie została oskarżona.

Biskup Henri Belleau? To on tłumaczył, że psy były zbyt zmęczone. Nie usłyszał zarzutów.

Brat Aurele Jutras? Chłopcy wspominają, jak rozbierał ich i badał w chwili przyjęcia do szkoły, chociaż nie był lekarzem. Jego losów policjant nie zna.

Brat Goulet? To on miał zbudować krzesło elektryczne. Nie usłyszał zarzutów.

Prawniczka wymieniła jeszcze kilka nazwisk, ale policjant nie przypominał sobie, by komukolwiek postawiono zarzuty.

Wolny był od nich także ksiądz Jean Baptiste Gagnon, dyrektor szkoły w latach 1955–1967, bezpośredni przełożony siostry Wesley.

\* \* \*

Charlie Angus, członek parlamentu z okręgu Timmins-James Bay, do którego należy Fort Albany i skąd pochodzi wielu ocalańców ze Świętej Anny, z ujawnienia skali zbrodni na dzieciach uczynił swoją misję. Ogłosił, że w utajnionych dokumentach znajduje się raport na temat czynów dyrektora szkoły, księdza Leguerriera, który liczy blisko trzy tysiące dwieście stron.

Ale zeznania dzieci to nie wszystko – śledztwo zaczęło wykraczać poza Fort Albany i policjanci pojechali do Ottawy (w stolicy znajdują się dokumenty rządowe, ale i archiwa sióstr szarytek), Montrealu, Sudbury (siedziby zakonnic) i Moosonee (siedziby diecezji). Zgromadzona dokumentacja objęła ponad siedem tysięcy pozycji – skatalogowanie jej zajęło śledczym cały rok.

Do historii dokumenty przeszły jako akta z Cochrane.

\* \* \*

Proces przeciwko byłej zakonnicy, Annie Wesley, rusza w 1999 roku. Kobieta, jeszcze jako siostra Maria Niepokalana, przepracowała w Świętej Annie czternaście lat, od lipca 1951 do czerwca 1965 roku. Dawna *guardienne de la garconnes*, opiekunka chłopców, w szkole imienia Świętej Anny, habit zrzuciła w 1972 roku.

Proces z cywilnego powództwa wytacza jej siedmiu byłych wychowanków.

Anna Wesley ma wtedy siedemdziesiąt cztery lata i jest mocno schorowana. Artretyzm powykręcał jej stawy i kobieta z trudem się porusza. Do tego bardzo źle słyszy. Sędzia przypomina, że jako oskarżona ma prawo do udziału w procesie.

– A obecność oznacza także, że musi słyszeć i rozumieć wszystko, o czym mowa – tłumaczy sędzia. Adwokat Anny uprzejmie

sugeruje, aby kobieta usiadła bliżej przewodniczącego składu – będzie wtedy lepiej słyszeć.

Ale będzie to także oznaczało, że usiądzie bliżej powodów. Bliżej dawnych dzieci, które dziś oskarżają ją o wieloletnie znęcanie się nad nimi. Zgody na to nie dostanie.

Dlatego początek procesu upływa na przygotowaniu technicznego wsparcia i odpowiedniego nagłośnienia. Jeśli Wesley nie będzie słyszeć, ma ciągnąć swego adwokata za łokieć.

Zaczynają.

Jako jedni z pierwszych przemówią lekarze. Chodzi o to, by stwierdzić, czy wymiociny są substancją szkodliwą w rozumieniu Kodeksu karnego.

Sąd powołuje przed swoje oblicze najświetniejszych w kraju lekarzy.

- Nie badali oni skarżących, nic nie wiedzą o ich doświadczeniach
- oponuje adwokat, zanim lekarze zasiądą w miejscu dla świadków.
- Jaki jest ich autorytet?

W protokole z rozprawy wyliczanie tytułów i zasług tylko jednego z doktorów zajmuje ponad dwadzieścia stron.

Ale eksperci nie wypowiadają się na temat Anny Wesley ani jej podopiecznych. Tłumaczą tylko pogląd medycyny na mechanizm zwracania treści pokarmowej. Mówią językiem medycznym, chowając się za naukową barierą. Jakim opowiadali tonem, czy głos im się nie rwał – tego w protokole nie ma.

Obrońca Anny Wesley zauważa, że przecież każdy z obecnych tu, na sali, kiedyś wymiotował. Zgodzimy się wszyscy, że jest to nieprzyjemne uczucie. Ale od pawia się nie-u-mie-ra!

Jeśli nie dojdzie do zachłyśnięcia się, to się nie umiera. Lekarze kiwają głowami. Tak, to prawda.

Poza tym czyż dzieci nie wymiotują częściej niż dorośli? Dziecięcy organizm jest jeszcze niedojrzały. Każdy, kto kiedyś opiekował się dzieckiem, wie, jak łatwo o ulewanie, o wymiotowanie, o torsje.

Tak, jest to prawda, kiwają głowami zgromadzeni. Powszechnie jest to wiadome, że dziecięce żołądki skręcają się łatwiej i częściej niż dorosłe.

Dziecięce wymiotowanie to żadna patologia, zgadzają się jednogłośnie obecni na sali. Wiedzą to wszyscy. Ale lekarze dodają też, co na ten temat wie medycyna.

A wie na przykład, że kiedy zmusza się płaczące dziecko do jedzenia, pokarm trafia do dróg oddechowych. Wie doskonale, czym grozi aspiracja treści żołądkowej (albo nawet nosowej) do oskrzeli. Co dzieje się z dzieckiem, kiedy wymiociny zalewają mu nagłośnię. Jak w kontakcie z *vomitusem* kurczą się mięśnie wokół drzewa oskrzelowego, co może prowadzić do ostrych ataków astmy. Także: co oznacza przedostanie się pokarmu poniżej fałdów głosowych, w dół oskrzeli i dalej. Jak rozwija się z tego zachyłkowe zapalenie płuc, które lubi nawracać i nie zawsze poddaje się leczeniu.

Medycyna doskonale wie też, co dzieje się w układzie pokarmowym. Jaki wpływ na dziecięce przełyki ma treść, która regularnie wraca z żołądka. Jak zachowuje się delikatna śluzówka traktowana kwasem. Zna też mechanikę wymiotów i rozkład sił zmuszających przeponę i cały gorset mięśniowy klatki piersiowej do wyduszenia pokarmu na zewnątrz. Są to siły tak wielkie, że przy nawracających wymiotach niedojrzały przełyk drze się i pęka.

Lekarze wiedzą też, jak potem operuje się wymiotujące krwią dzieci z perforacją przełyku – o ile jest co jeszcze łątać. Jakie wżery i okaleczenia znoszą dziecięcy przełyk i dziecięca jama ustna, przez które chlusta treść żołądkowa wydobywająca się na zewnątrz.

I analogicznie – kiedy idzie tą samą drogą, ale w odwrotnym kierunku, z ust do żołądka. A konkretnie, jak na dziecięce ciała działają wymiociny zjadane z łyżki, z miski, chłęptane z podłogi, jak chciała tego Anna Wesley.

Tak, na ten temat wezwani na rozprawę lekarze mają naprawdę wiele do powiedzenia.

Zgromadzonym w sądzie, siedzącym w ciszy, wyjaśniają więc, że z punktu widzenia medycyny połykanie zwymiotowanej, nadtrawionej treści żołądkowej należy uznać za szkodliwe.

Obrońca byłej zakonniczki przekonuje, że kontakt z własnymi wymiocinami to przykrość, ale przecież krótka, jednorazowa. Nie warto po czterdziestu latach wracać do jakiegoś niezbyt miłego, ale tylko epizodu!

Bo ileż trwa chlust, ileż trwa skurcz? Chwileczkę, momencik, tyle co nic! Czyż nie jest to prawda?

Lekarze czytają wskazówki zegarka tak samo jak obrońca. Ale z jego argumentacją nie mogą się zgodzić. Mówią, że to nie chwilowa przykrość, ale wielka trauma.

Że porażony jest nie tylko układ oddechowy i pokarmowy, ale także nerwowy.

I że jest to uszkodzenie nieodwracalne i trwałe.

Zgromadzeni w sądzie słyszą tego dnia, że to dla dziecka ogromne upokorzenie.

Że nie mija po przełknięciu ostatniej porcji wymiocin.

Że to dehumanizujące.

Że to gwałt na człowieku, zbrodnia na dziecku.

Że ktoś zmuszony chociaż raz do zjedzenia publicznie własnych wymiocin może potem całe życie siedzieć pochylony nad miską przeburtowaną od rzygów i spoglądać, jak odbija się w nich jego

własna buzia. I może nigdy od tej miski nie wstać, nie odejść, nie wyprostować się.

Lekarze wyrażają też opinię, że takie zdarzenie jest porównywalne z atakiem seksualnym na dziecko: trwa chwilę, ale nie kończy się przez wieczność.

Na sali panuje cisza. Sąd przyjmuje do wiadomości stanowisko lekarzy.

Wkrótce była zakonnica usłyszy zarzut wielokrotnego narażenia podopiecznych na kontakt z substancjami toksycznymi. Nie zgodzi się z nim:

– Karmiłam chłopca, który był chory na gruźlicę. Wymiotował, a ja ocierałam mu buzię. To wszystko, co pamiętam. Nie byłam wolna od błędów, ale nic złego nie robiłam!

Potem przemówią jeszcze inni świadkowie.

Jak pokazują policyjne zeznania, dzieci ze Świętej Anny miały zwyczaj nazywać personel po swojemu – Bobrzyca, Świński Zadek, Mors, Wielki Nochal, Pan od Cukierków, Skunksica, Świntuch, no i zawsze – Wrona albo Sowa od ciemnych, sięgających ziemi habitów.

Niektórzy świadkowie, wskazując na Annę Wesley, będą nazywać ją *Shashooo*.

Czyli Żółtonogiem, bo pamiętają z dzieciństwa, że zakonnica w szarym habicie chodziła, kiwając się jak brodziec żółtonogi, szarobury ptak, mieszkający na bagnach i rozlewiskach Albany.

I wtedy sędzia złapie się za głowę.

W jednych zeznaniach oprawcą jest kobieta w habicie, Anna Wesley, *soeur* Marie Immaculata, Maria Niepokalana.

Ale w innych dziecięcych wspomnieniach sprawcą jest Żółtonóg, Ptasior, Ptaszyna.

\* \* \*

Chłopcy – mężczyźni – będą przed sądem mówić i o wymiotowaniu, i o biciu.

Jeden opowie, że wymiotował wprost do miski, a nie na podłogę. Wiedział, że i tak będzie musiał po sobie zjeść – nie chciał robić tego jak zwierzę. Chciał ratować dziecięcą godność i trzymać w rękę sztukę, a nie chłęptać z posadzki jak pies.

Inny zezna, że kiedyś zachorował. W nocy kaszłał. Zasłaniał się kocem, ale siostra i tak go usłyszała. Zdarła koc, kazała wyjść z łóżka. Musiał uklęknąć i za karę kajać się aż do rana.

Kiedy usypiał, biła go, by oprzytomniał i trzymał pozycję. W pewnym momencie musiał się załatwić, ale siostra nie pozwoliła mu wstać z kolan. Dzieci na łóżkach obok nie spały, czuły, jak śmierdzi.

Opowieści o krzywdach zadanych przez Ptaszynę będzie wiele, będą się uzupełniać i wzajemnie weryfikować.

Zgromadzeni na sali usłyszą też o biciu butem jako karze za odezwanie się do księdza bez pytania.

O ciskaniu ziemią w oczy dzieci, które zbyt wolno spacerowały.

O niedoleczonej kontuzji nogi – kuśtykającego chłopca zmuszono do skakania.

Tony Tournville opowie o pierwszej swojej nocy w gmachu Świętej Anny. On i brat (mieli wówczas cztery i pięć lat) płakali za rodzicami, chcieli spać w jednym łóżku. Zostali przez Annę Wesley pobici. Krwi było tak dużo, że przesiąkła przez pościel i zabrudziła pierze.

To właśnie od Tony'ego Anna Wesley będzie wynajmować na starość mieszkanie. Któregoś dnia podejdzie do niego i powie:

– Przecież nie trzeba mieć żalu.

Tony nie odpowie jej nic aż do chwili, gdy stanie na miejscu dla świadków.

\* \* \*

Po świadkach przemówi stara, niedosłyszająca Anna Wesley. Nie przyzna się do stawianych jej zarzutów.

Oczywiście, pamięta wszystko. Także to, jak w stołówce chłopcy wymiotowali podczas posiłku.

Tylko że ona pamięta to inaczej.

Wedle jej opowieści podchodziła do dziecka, które chlustało przy stole, i czule wycierała mu usta chusteczką.

A czy pamięta tego malca, który kaszlał? Ależ pamięta go doskonale!

Przecież wstawiała do niego w nocy i nacierała mu ciało rozgrzewającym olejkiem kamforowym. Ile na przestrzeni wielu dziecięcych lat zdarza się infekcji, przeziębień, katarów i kaszli? Która matka jedynaka to spamięta! Jak więc Anna Wesley może pamiętać tę konkretną noc spośród ponad pięciu tysięcy nocy w dormitorium, kiedy kaszlał akurat jeden ze stu jej podopiecznych?

Ława przysięgłych uzna, że tej nocy między nią a dzieckiem musiało wydarzyć się coś większego niż nacieranie kamforą. To właśnie dlatego głowa siostry pamięta tę noc. Musiało być to jednak coś strasznego, dlatego serce kazało jej te wspomnienia pozmieniać.

Anna Wesley zaprzeczy:

– Nigdy nie kazałam nikomu klęczeć za karę. Wiem, jak to jest, bo ja sama bardzo często klęczałam.

Zanim usłyszy wyrok, będzie mówić wyczerpująco o swojej posłudze. Jej słowa nie zostaną jednak włączone



do opublikowanych później opowieści o Świętej Annie – obowiązująca narracja nie przyzna głosu sprawczyni.

Tymczasem Anna Wesley jako Maria Niepokalana harowała w szkole siedem dni w tygodniu, dzień i noc, bez prawa do odpoczynku. Raz w roku na kilka dni jechała do matki i to było wszystko.

Na co dzień chodziła w kilkuwarstwowym habicie sięgającym ziemi – dzieciom wydawało się, że siostra nie chodzi, lecz płynie. Habit był jeden, ten sam w upalne lato i w mroźną zimę. Reklamacji nie uwzględniano: niewygody i cierpienia należało zanieść Panu, nie przełożonym.

Na początku miała się zajmować czterdzieściorciem dzieci – ale szkoła zasysała kolejne i wkrótce Anna miała pod opieką około stu chłopców, od przedszkolaków do uczniów na poziomie klasy ósmej.

Nie dwóch, nie dziesięciu – stu.

– Nie miałam jak być matką dla nich wszystkich – powie przed sądem w 1999 roku.

Wstawiała o szóstej rano, kładła się o dziewiątej wieczór. Oporządzała dzieci i pilnowała ich podczas śniadania. Odprowadzała na lekcje, podczas zajęć pilnowała porządku – i znów prowadziła na posiłki. Niewykształcona, nie mogła uczyć – była pomocą, opiekunką, strażniczką. Oficjalnie jej stanowisko brzmiało: *gardienne des garçons*. Oznaczało to tyle, że podcierała tyłki, zmieniała pościel, sprzątała wydzieliny, wiązała buty i na okrągło liczyła dzieci.

Pod koniec dnia, po przetrwaniu kolacji i zorganizowaniu modlitwy, zaganiała chłopców do łóżek.

Nie miała własnego pokoju – całe życie kładła się za przepierzeniem w dziecięcej sypialni, ale to nie znaczy, że mogła spać. Chłopcy dokazywali, bywali niespokojni, szaleli. Nawet jeśli

byli posłuszni, to z setki dzieci zawsze któreś było chore, budziło siostrę.

Na piętrze nie było bieżącej wody. Dzieci sikały i załatwiały się do wiadra. Zadaniem Anny było je opróżniać na bieżąco, także w nocy – inaczej rano musiała zbierać nieczystości z podłogi.

Opiekująca się dziećmi Anna Wesley latami nie dosypiała.

Nie miała jak i kiedy regularnie jeść.

Nie miała swojego kąta.

Nie miała też nikogo, kto by jej wysłuchał.

Wiedziała, że przydzielone jej obowiązki są nie do wypełnienia, a jej praca jest nieskończona. Zaczęła się skarżyć, że to za dużo, że to odpowiedzialność nie do uniesienia dla jednej kobiety.

Prosiła przełożonych o wsparcie.

Odmówiono jej.

Prosiła o zmienniczkę.

Odmówiono jej.

Prosiła o pomoc.

Odmówiono jej.

Została więc sama – bez narzędzi, bez przygotowania i bez pomocy – z setką chłopców zamkniętych tak jak ona w białym, sterylnym budynku szkoły Świętej Anny w rozlewisku rzeki Albany, na końcu świata.

Dlaczego odeszła z zakonu – o tym dokumenty nie mówią. Jak zezna, matka przełożona na jej prośbę szybko ją zwolniła i, co ważne, pozwoliła wyjść przez drzwi frontowe, nie kuchenne.

Ale Anna Wesley nie miała dokąd pójść. Zamieszkała w pobliżu szkoły. Już jako osoba świecka do siedemdziesiątego trzeciego roku życia pracowała dla diecezji, ale mieszkanie wynajmowała prywatnie od Tony'ego Tournville'a – tego, którego pobiła

za tulenie się do brata. Rozliczali się w gotówce i mówili sobie dzień dobry. Wydawało się, że Anna dożyje swoich dni w spokoju.

Ale potem Ed Metatawabin założył Peetabeck Keway Keykaywin, skrzyknął ocalone dzieci i zawiózł na posterunek ich zeznania. Policja pochyliła się nad blisko tysiącem skarg i wspartą o lasce Annę Wesley doprowadzono przed ławę przysięgłych.

\* \* \*

Zanim zamknięto rozprawę, oskarżona powiedziała jeszcze do protokołu, że jako dziecko sama była w szkole z internatem.

A konkretnie: w szkole Świętej Anny.

Było to w latach trzydziestych. Anna Wesley wiedziała, że od szkoły nie ma ucieczki i dzieci muszą przetrwać wszystko, co na nie spada. Uważała też, że dzieci mają wielką wolę przeżycia i że prawdopodobnie ocaleją mimo systemu, w którym się znalazły – tak jak i ona ocalała.

Po szkole przez chwilę pracowała jeszcze jako pomoc w sklepie Kompanii Zatoki Hudsona i niańczyła dzieci kupca, ale nie mogła się z tego utrzymać. Miała dwadzieścia dwa lata, kiedy przyoblekła szary habit i trafiła do sióstr miłosierdzia w Ottawie. Ale i stamtąd ją odesłano i tak wróciła do Fort Albany, by opiekować się dziećmi.

Zanim sąd w Cochrane ogłosił wyrok skazujący, Anna Wesley dodała, że przecież tak bardzo się starała. Nie pojmuje, że ludzie mogą uważać ją za monstrum.

Była już zbyt schorowana, by odbyć karę pozbawienia wolności, więc sędzia nakazał jej powrót do rodzinnej miejscowości, między bliskich. Karą dla niej było życie wśród ludzi, których krzywdziła.

\* \* \*

O sprawie siostry Wesley napisały lokalne gazety, a potem także i te krajowe. Omówiono szczegółowo winy dawnej szarytki, siostry miłosierdzia, która w imię Jezusa latami gorliwie znęcała się nad rdzennymi dziećmi. Upubliczniono wiele szczegółów, w tym prawdziwe imię i nazwisko skazanej. Ale co do zasady nie pisano, że dawna *soeur* Marie Immaculata, wieloletnia krzywdzicielka dzieci, nie była białą francuską zakonnicą z Ottawy, lecz rdzennym dzieckiem po Świętej Annie.

Bo Anna Wesley, jedna z symbolicznych postaci systemowej zbrodni na dzieciach, sama była Kri.

Była ich sąsiadką, kobietą Pierwszych Narodów z okolic Attawapiskat. Zamknięta na lata w katolickiej szkole z internatem, przeżyła, lecz samej szkoły tak naprawdę nigdy nie opuściła. Została w niej, żeby wychowywać dzieci w taki sposób, w jaki ją samą wychowano.

Było więc tak, jak powiedział w telewizji Phil Fontaine: robimy to, co nam robiono.

\* \* \*

Piszę do archiwum Centrum Prawdy i Pojednania. Odmawiają potwierdzenia tożsamości osoby, której wizerunek odnalazłam.

Wracam do zdjęcia ślicznej dziewczuszki, które towarzyszy mi przez wiele miesięcy pracy nad książką. Pod fotografią dziecka ozdobną kursywą zapisano:

*Anne Wesley, future seur Grise de la Croix, Albany.*

Anna Wesley, przyszła siostra szarytki, Albany.

Z fotografii spogląda na mnie czarnookie, smutne dziecko.

Dziewuszka.

Ślicznotka.

Ptaszynka.

## 15. SŁOWA ANGELI SHISHEESH

Kiedy Edmund Metatawabin dostarczył na posterunek w Cochrane zeznania dzieci ze Świętej Anny, ruszyło śledztwo, które trwało pięć lat. Na podstawie jego ustaleń posypały się procesy cywilne przeciw krzywdzicielom ze Świętej Anny, w tym przeciwko Annie Wesley. Na drogę sądową wystąpiło wtedy ponad półtorej setki dawnych uczniów. Jedną z inicjatorek tego procesu była Angela Shisheesh. Na podstawie akt z Cochrane Angela i inni powodowie zawarli w 2004 roku z rządem ugodę cywilną i otrzymali rekompensaty.

Równolegle trwały nadal odrębne negocjacje z rządem federalnym, zainicjowane sprawą Fontaine'a przeciwko Kanadzie. W 2003 roku Ottawa poprosiła o dostęp do akt z Cochrane, czyli do całej dokumentacji uzyskanej w czasie dochodzenia w sprawie Świętej Anny. Stało się to przy braku sprzeciwu przedstawicieli Kościoła i jednocześnie bez wiedzy dawnych uczniów.

Dokumenty trafiły następnie do archiwum w Orilli, a potem w Toronto. Orilla to niewielkie, malownicze miasteczko, położone na pagórkach porośniętych zielonym, nieprzebrany lasem. Czas płynie tu spokojnie i o tej sielskiej miejscowości nie mówiłoby się zbyt wiele, gdyby nie sprawa z archiwum.

Później, w 2005 roku, została zawarta Ugoda w sprawie indiańskich szkół z internatem, IRSSA. Jej mocą państwo od 2007 roku wypłaciło ocalańcom ze szkół z internatem odpowiednio wyliczone sumy (choć nie wzięło na siebie żadnej winy). Ponad

dziewięćdziesiąt pięć procent pozwów złożonych przez dzieci ze Świętej Anny zakończyło się wypłaceniem rekompensat.

Ale, jak wiadomo, nie wszystkie dzieci po szkole dostały pieniądze – niektóre, jak Toby Obed z Wioski Nadziei, musiały upominać się o nie osobno całymi latami. Ale większość uczniów na mocy ugody mogła dość szybko ubiegać się o pieniądze. Były na to dwa sposoby.

Pierwszy to niemal automatyczna Common Experience Payment (Zapłata za Wspólne Doświadczenie). Wystarczyło udowodnić sam fakt przebywania w placówce, by w ramach CEP otrzymać jednorazową wypłatę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów i dodatkowo trzech tysięcy za każdy rok spędzony w szkole.

Warunki były dwa – po pierwsze, w chwili otwarcia programu CEP ubiegający się o pieniądze musiał żyć. Nie można było występować w imieniu zmarłych krewnych. Po drugie – na wnioski był deadline, upłynął w 2012 roku. Żadna skarga złożona później nie zostanie już rozpatrzona – sprawy rekompensat za pobyt w szkołach są więc już na zawsze zamknięte.

Z procedury CEP skorzystało ponad sto dziesięć tysięcy ocalonych, blisko osiemdziesiąt tysięcy otrzymało rekompensatę. Kosztowało to Kanadę ponad miliard i sześćset dwadzieścia milionów dolarów.

To tylko jedna ścieżka. IRSSA otworzyła też drogę do odrębnej procedury, dużo trudniejszej i boleśniej.

Bo po drugie, można było uruchomić też pozasądową Procedurę Niezależnej Oceny (Independent Assessment Process, IAP), tak jak zrobił to na przykład Michael Cheena.

Kto chciał ubiegać się o dodatkowe środki za doznane krzywdy, musiał stanąć przed orzekającym w jego sprawie (*adjudicator*) i udokumentować swoje osobiste cierpienie. Zeznania były poufne, choć można było poprosić o wsparcie kogoś bliskiego, z rodziny

albo ze starszyny; duchowego przewodnika, psychologa albo prawnika. O tym, co padło na spotkaniu, nie wolno było opowiadać na zewnątrz, więc ocalańcy nie wiedzieli, czy ich zeznania się pokrywały.

Ale IAP to powrót na drogę przez dziecięcą mękę. Nie każdy ocalony chce posypywać solą ból, nie każdy decyduje się opowiadać ze szczegółami, co mu w szkole robiono. Edmund Metatawabin, który jako pierwszy opowiedział światu o Świętej Annie, a w 2018 roku otrzymał za to państwowe odznaczenie, na ścieżkę IAP nigdy nie wstąpił.

W uproszczeniu działało to tak: najpierw ocalony ze szkoły dzielił się swoimi własnymi doświadczeniami. Musiał złożyć przyrzeczenie prawdomówności. Jeśli chciał, mógł przysięgać na Biblię albo na orle pióro.

Stając przed orzekającym, mógł przedstawić dodatkowe dowody: obdukcje, zeznania świadków, jakieś ślady po wcześniejszych skargach. Podczas sesji IAP na sali obecny był też przedstawiciel rządu.

Orzekający mieli zagwarantowany dostęp do oficjalnych informacji, które wedle postanowień IRSSY miał zapewnić rząd. Mocą zawartej ugody na potrzeby IAP państwo było więc zobowiązane do zgromadzenia i udostępnienia wszelkich danych o szkole, o której w danym przypadku mowa. Pomagało to uwiarygodnić i weryfikować zeznania. Takie dokumenty nazywano narracjami (*narrative*).

To bardzo ważne. Bo przecież mogło się okazać, że ktoś wiedział, ale nie powiedział.

\* \* \*



Orzekający o przyznaniu rekompensat korzystali z systemu punktowego. Wzorowano na nim cennik, który zaproponowano później także Toby'emu Obedowi i innym ocalańcom z Labradoru. Opisuje go załącznik D do ugody IRSSA. Krzywdy doznane w szkołach z internatem oceniano następująco:

- powtarzające się przypadki analnego lub waginalnego stosunku seksualnego: 45–60 punktów,

- jeden lub więcej przypadków takiego stosunku, także z wykorzystaniem przedmiotu: 36–44 punkty,

- jeden lub więcej przypadków stosunku oralnego, penetracji waginalnej lub analnej lub ich próby, powtarzające się przypadki masturbacji: 26–35 punktów,

- jeden lub więcej przypadków ataku fizycznego, którego skutkiem była szkoda fizyczna, prowadząca lub taka, która powinna była prowadzić do hospitalizacji, poważnego leczenia; długotrwałe obrażenia fizyczne; utrata świadomości, zniekształcenie ciała, połamane kości, obrażenia w związku z ciężkim pobiciem, ćwiczeniem batem lub oparzeniami: 11–25 punktów,

- jeden lub więcej przypadków symulowanego stosunku płciowego, masturbacji lub powtarzane przypadki dotykania pod ubraniem: 11–25 punktów,

- jeden lub więcej przypadków całowania lub dotykania; robienie nagich zdjęć wnioskującemu; obnażania się przed wnioskującym, każdy dotyk wykraczający poza ramy rodzicielskie lub naruszający seksualną wolność ucznia: 5–10 punktów,

- trwała szkoda przejawiająca się w zachowaniach dysfunkcyjnych (zaburzenia osobowości, ciąża, wymuszone przerwanie ciąży, przymuszenie do adopcji, samookaleczanie, skłonności samobójcze, nieumiejętność stworzenia związków osobistych; stres pourazowy, zaburzenia seksualne, zaburzenia odżywiania): 20–25 punktów,

niektóre zachowania dysfunkcyjne (trudności w nawiązywaniu relacji, zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, ataki paniki, poczucie winy, niska samoocena, uzależnienie od alkoholu lub narkotyków, koszmary senne, nocne moczenie się) – w zależności od nasilenia: 1–25 punktów.

Punktację powiększano dodatkowo o od pięciu do piętnastu procent, jeśli udokumentowano rasizm, pogróżki, upokorzenie, degradację, zastraszenie, przemoc w czasie wykorzystywania seksualnego, niski wiek ofiary, zmuszanie do obserwowania przemocy na innym uczniu, a także wykorzystywanie doktryny religijnej lub autorytetu osoby duchownej.

Dodatkowe punkty przyznawano też za niemożność radzenia sobie – w pracy, w domu, w życiu.

A potem punkty za cierpienie przeliczano na pieniądze.

Przyznanie od jednego do dziesięciu punktów oznaczało rekompensatę w wysokości od pięciu do dziesięciu tysięcy dolarów. Aż do pułapu przekraczającego sto dwadzieścia jeden punktów – równało się to prawu do otrzymania dwustu siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów.

Do czasu deadline’u na zgłoszenia do IAP we wrześniu 2012 roku spłynęło ponad trzydzieści osiem tysięcy wniosków, trzy razy więcej, niż się spodziewano. Wypłacono trzy miliardy sto siedemdziesiąt cztery miliony dolarów – średnio osiemdziesiąt cztery tysiące tysięcy dla każdego ocalańca.

Ale nie wszyscy pokrzywdzeni otrzymali przelewy.

\* \* \*

Kiedy mocą ugody IRSSA ogłaszano procedurę IAP, dzieci ze Świętej Anny były jeszcze spokojne – ich zeznania złożone w 1992 roku trafiły już dawno w ręce policji w Cochrane. Niektóre akta

wykorzystano we wcześniejszych sprawach, bo ciężar przestępstw na dzieciach był bezdyskusyjny i niepodważalny.

Następnie całą dokumentacją formalnie zaopiekowało się państwo. Jak dziś wiemy, na wniosek rządu federalnego w 2003 roku sąd nakazał policji OPP z Cochrane (tej, która odebrała plik zeznań od Edmunda Metatawabina i prowadziła pierwsze śledztwo) zabezpieczenie zeznań dzieci po Świętej Annie, a następnie przekazanie ich do archiwum rządowego w Orilli.

Śledczy wiedzieli zatem, że dokumenty znane jako akta z Cochrane istniały i potwierdzały wnioski o wypłaty. Archiwum obejmuje głosy i żyjących, i dawno już umarłych – także dlatego jest właściwie bezcenne. Dlatego orzekający nie przeciągali niepotrzebnie przesłuchań, nie wywoływali nowej traumy – aparat państwowy i tak już przecież dysponował całym materiałem dowodowym w tej sprawie.

Wystarczyło więc zdjąć protokoły z półki, a orzekający mógł przysunąć sądowy tapet, rozłożyć na nim materiał dowodowy i niezwłocznie zdecydować o uruchomieniu wypłat. Tak miało to działać.

Tak przynajmniej ocaleńcy wtedy jeszcze myśleli. Ale władze miały inny pomysł.

\* \* \*

Orzekający w procesie IAP w związku ze skargami uczniów ze Świętej Anny zajrzeli do oficjalnych dokumentów, do tak zwanych narracji, jakie w ramach IRSSY musiał przedstawić rząd.

Dokumentacja z 2008 roku, udostępniona na potrzeby IAP, mówiła o przypadkach chorób wśród dzieci, o działającej w szkole stołówce, a także o zorganizowanej w 1992 roku konferencji. Czytam fragment narracji, jaką przedłożono orzekającym. Mówi on jasno:

„Przypadki (seksualne). W dokumentacji nie znaleziono przypadków seksualnych nadużyć w szkole z internatem w Fort Albany.

Przypadki (wykorzystanie ucznia przez ucznia). W dokumentacji nie znaleziono przypadków seksualnych nadużyć w szkole z internatem w Fort Albany”.

W oficjalnym dokumencie nie ma mowy o wcześniejszych zeznaniach ocalańców i siedmiu tysiącach dokumentów zgromadzonych w aktach z Cochrane. Stoi w nim jasno, że choć w szkole dochodziło do wielu aktów przemocy, to o przypadkach wykorzystywania seksualnego mowy nie ma.

Czytali to orzekający w sprawach ocalańców ze Świętej Anny i postanowili polegać na rządowym dokumencie. Punktów za cierpienie przyznano bardzo niewiele.

Ale o tym, że władze miały dowody, którymi nie zechciały się w procesie IAP dzielić, ocalańcy jeszcze nie wiedzieli. Wierząc w dobre intencje władz, cierpliwie czekali na rozstrzygnięcie i wypłaty. Tylko że choć zeznania się zakończyły, to czeki nadal nie przychodziły.

\* \* \*

Angela Shisheesh mieszka dziś w Timmins, na północy prowincji Ontario. W 1992 roku wzięła udział w konferencji, miała wystąpienie w dawnym budynku Świętej Anny, opowiadała o nadużyciach. Na przykład o tym, jak karmiono ją łyżką (a na łyżce były wymiociny). Albo o tym, że przypinano ją do fotela dentystycznego za nogi i ręce (dzieci bały się rwania zębów). Kiedy wychodził dentysta, wchodził ksiądz i korzystał z tego, że dziewczynka jest unieruchomiona.

Zeznania Angeli dowiodły jej krzywd i były podstawą do zawarcia ugody z 2004 roku. A potem rząd, zobligowany historyczną IRSSA, chciał pojednać się ze wszystkimi ocalałcami, nie tylko z grupą byłych uczniów ze Świętej Anny. Angela brała udział w tej procedurze, zeznawała, powoływała się na akta z Cochrane. Ale po jakimś czasie zaczęła się niecierpliwić. Chciała przecież dożyć wypłaty.

Zacząła szukać adwokata. Przyjęła ją Fay Brunning, siwowłosa prawniczka specjalizująca się w prawach człowieka. Skoro Angela w 1992 roku złożyła zeznania i trafiły one w ręce policji OPP, to trzeba było do nich dotrzeć i jak najszybciej pokazać je orzekającym w procesie IAP, żeby przyspieszyć bieg sprawy.

Ale Fay nie mogła odnaleźć dokumentów – nikt z tych akt nie korzystał, nikt na nie się nie powoływał. Niektórzy nie wierzyli nawet, że dokumenty istniały. Gdyby tak było, zostałyby przecież włączone do IAP jako dowody kluczowe.

W 2012 roku Fay Brunning, adwokatka Angeli, napisała do policjantów w Cochrane: jeśli ktoś może potwierdzić istnienie tych dokumentów, to będą to policjanci, którzy je gromadzili.

Detektyw Greg Delguidice, który prowadził śledztwo, potwierdził, że takie dokumenty istnieją. Opowiedział, co z nich zapamiętał: wspomnienia dzieci po Świętej Annie pełne są przemocy i seksu.

Adwokatka zaczęła dobijać się do urzędników:

– Słuchajcie, istnieje całe archiwum dokumentujące tortury i gwałty na dzieciach w katolickiej szkole Świętej Anny!

Wtedy jeszcze myślała, że rząd nie wie. Ale Ottawa milczała.

\* \* \*

Prawniczka zawiadomiła też orzekających w procedurze IAP, że nie mają wszystkich danych niezbędnych do wydawania rozstrzygnięć. Gdzieś jest archiwum, które dokumentuje doświadczenia ocaleńców! Orzekający wzruszyli ramionami:

– Przecież nikt go nigdy nie widział.

Fay Brunning postanowiła zdobyć choć część dokumentów. Dotarła do reportera sądowego, który za tysiąc sześćset dolarów podzielił się transkryptami z rozpraw, jakie zgłoszono na wokandę w wyniku śledztwa. Próbowала wydobyć akta z archiwum policyjnego, ale detektywi poinformowali ją, że od 2003 roku materiały ze śledztwa w sprawie Świętej Anny zdeponowane są w pudełkach rządowych.

Fay myślała, że chyba śni. Pisała do urzędników: „Pokażcie nam akta z Cochrane”. Ale Kanada odmawiała: nie mamy takiego obowiązku.

Fay zadzwoniła wtedy do Edmunda Metatawabina:

– Ottawa nigdy nie włączyła waszych zeznań do dokumentacji. To tak, jakby to, co robiono wam w Świętej Annie, nigdy się nie wydarzyło!

– Przecież tam jest całe archiwum! Śledztwo trwało siedem lat! – Edmund nie mógł uwierzyć. – Wszystkie dowody zostały zebrane ponad dwadzieścia lat temu. Czy to możliwe, że Kanada próbuje je ukryć?

Edmund Metatawabin, Angela Shisheesh i inni ocaleńcy uważają, że Kanada złamała postanowienia ugody IRSSA. W ich oczach historyczne przeprosiny, jakie padły z ust premiera Stephena Harpera jeszcze w 2008 roku, są niewiele warte. Piórem Fay Brunning Angela Shisheesh, ocalona ze szkoły Świętej Anny w Fort Albany, pozwała Kanadę, a także archidiecezję i oblatów prowadzących szkołę. Domagała się, by udostępniono jej kopie

wszystkich akt i dokumentów, które dotyczą jej sprawy. Chciała przedstawić je w procesie IAP i ubiegać się o pieniądze za doznane krzywdy.

Ale nie chodziło tylko o finanse. Angela chciała te zeznania przekazać do archiwum Centrum Prawdy i Pojednania, by jej opowieść przetrwała i była dostępna dla innych pokoleń. W drodze wyjątku w 2017 roku rząd Trudeau zgodził się, by historia Angeli została odtajniona i udostępniona historykom z tej instytucji. Ale żeby do tego doszło, to zgodnie z prawem taką zgodę musieli jeszcze wyrazić przedstawiciele strony kościelnej, która prowadziła szkołę.

Na ujawnienie i przekazanie historykom wspomnień ze Świętej Anny Kościół się nie zgodził. Swoich zeznań Angela Shisheesh nigdy nie dostanie.

\* \* \*

Gambit pomiędzy sądami różnych instancji trwał latami. Proces był wielowarstwowy i wielopłaszczyznowy. W uproszczeniu – ocaleńcy chcieli dostępu do swoich zeznań, by przedłożyć je w IAP i uwiarygodnić swoje skargi. Ottawa uznawała natomiast, że skoro zostały one wykorzystane w pozwach cywilnych, jakie ocaleńcy wytaczali jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, powtórnie w procesie IAP użyć ich nie można.

Wyglądało na to, że od roku 2007, kiedy na mocy IRSSY ocaleńcy mogli ubiegać się o wypłaty, aż do roku 2015, czyli do zmiany w fotelu premiera – Ottawa robiła wszystko, by dowody zatrzymać dla siebie.

Przez te wszystkie lata powinno być jasne, że orzekający w procesie IAP nie otrzymają dostępu do kluczowych dokumentów.

Nie zdobędą więc wystarczających dowodów na pokrycie zadeklarowanych przez ocalonych krzywd, które powinny były mieć odzwierciedlenie w oficjalnym cenniku. Nie mogą też zlecić więc przelewów – a jeśli jakoś by je uruchomili, z braku dowodów wypłaty byłyby symboliczne.

Dopiero w 2013 roku Kanada informuje, że od ponad dziesięciu lat posiada kluczowe dokumenty dotyczące uczniów ze Świętej Anny. Dzieje się tak, gdy przypadkowo przyznaje się jedna z urzędniczek.

Ottawa zmienia wtedy tak zwaną narrację na temat szkoły Świętej Anny i potwierdza, że dochodziło tam do aktów przemocy seksualnej. Dziesięcioletnią zwłokę nazywa „błędem ludzkim”.

W 2014 roku sędzia Paul Perell z Sądu Okręgowego (Superior Court of Justice) dla prowincji Ontario miażdży Ottawę. Nakazuje Kanadzie przekazać akta z Cochrane ocalańcom. Przypomina, co przewiduje obowiązująca IRSSA:

„Rząd zgromadzi dokumentację odnośnie do szkoły z internatem, do której uczęszczał wnioskujący, i przygotuje raport podsumowujący tę dokumentację. Raport oraz dokumentacja będą na żądanie udostępnione wnioskującym”.

Uznaje też, że dotychczasowa zwłoka w tej kwestii wskazuje albo na złą wiarę, albo niekompetencję Ministerstwa Sprawiedliwości.

Prawnicy korony wnoszą apelację.

Po drodze od władzy w Kanadzie zostają odsunięci konserwatyści i nastają czasy liberalnego Justina Trudeau. Mocą jego podpisów proces pojednania przyspiesza – w wymiarze politycznym, symbolicznym i finansowym. Ale w tle nadal trwa złożona walka o udostępnienie zebranego materiału dowodowego w sprawie Świętej Anny.



I w końcu zgodnie z wyrokiem sądowym rząd w Ottawie musi pokazać tysiące stron zgromadzonej dokumentacji. Przekazuje je w kilku transzach, pomiędzy wiosną 2017 a 2018 roku.

Ale to na nic. Strony rozszyto i przemieszano. Śledczy, adwokaci i ocalańcy pochylają się więc nad czterdziestoma tysiącami kartek, których nie sposób ze sobą połączyć. Ani odczytać. Okazuje się bowiem, że dokumenty zaczerniono. Z opowieści o czynach sióstr i księży w Świętej Annie ostały się przede wszystkim daty i urywki:

„Cześć, Ana, Eric mówi, że (...)”

„W załączeniu przesyłam”

„Poniżej znajduje się dokument”

„Do wiadomości” – nie wiadomo zresztą czyjej.

Nie wiadomo, kto wiedział, kto czytał, kto co pogrzebał.

Blisko dziesięć lat po publicznych przeprosinach premiera Harpera okazuje się, że kanadyjskie władze utajniły ponad czterdzieści tysięcy stron dokumentacji, w tym zeznania ocalonych i kościelne archiwa. W ten sposób zmniejszono, by nie powiedzieć – przekreślono – szanse na uzyskanie rekompensaty w ramach flagowej instytucji pojednania.

\* \* \*

Angelę Shisheesh poznaję na schodach sądu w parku urządzonym w stylu angielskim, położonym w ruchliwym centrum Toronto. Jest upał, chronimy się pod drzewami, z których zwisają ciężkie od soków i wilgoci liście. Z Angelą jest jej siostra, wsparta o laskę.

– Miałam siedem lat, kiedy zakonnica zepchnęła mnie z białych schodów Świętej Anny – mówi. – Złamałam nogę. Nie zostałam opatrzona, kość rosła się nie tak, jak trzeba. Przez całe życie utykam.

Siostry tłumaczą, że powinien być tu z nimi ich brat, ale nie dożył procesu. Do Angeli przyjechał za to szwagier i koledzy ze szkoły, w tym Louis Knapaysweet, posiwiąte dziecko, przywiązywane do rury i bite kotem o dziewięciu ogonach. Jest też reżyserka dokumentu o Świętej Annie, Susan Enberg. Dziś dowiemy się, czy sąd pozwoli Angeli wykorzystać jej własne słowa.

Już czas, ale Angela nie chce jeszcze wejść. Stoi pod drzewem i wyciąga w górę szczupłe, pomarszczone palce. Opuszkami dotyka liści, gładzi je i chwyta.

– Uspokajam się, kiedy jestem blisko żywych stworzeń – mówi i prosi o jeszcze chwilę skupienia. – Nie chcę już nawet tych pieniędzy. Chcę tylko, by moje zeznania były odtajnione. Chcę, by świat dowiedział się, co nam w Świętej Annie robiono.

A potem wchodzimy do gmachu sądu. W okazałym budynku, pełnym portretów, rzeźb i insygniów Angela i jej bliscy czują się nieswojo. Zastanawiają się, dlaczego nie ma tu tytoniu i szafwii, dlaczego nie mogą zapalić świętych ziół – przecież przyszli tu dochodzić swoich fundamentalnych praw.

Zajmujemy miejsca, a siwowłosa Brunning pochyla się nad Louisem i innymi mężczyznami.

– Chłopcy, zdejmijcie czapki z daszkiem – szepcze. – Wiem, że są dla was ważne, ale gramy zgodnie z zasadami. Jedną z nich jest szacunek dla sędziego.

Kiedy więc sędzia Paul Perell wchodzi na salę rozpraw, trzeba wstać i skłonić lekko głowę. Ale reżyserka Sue Enberg jest innego zdania i patrzy sędziemu w oczy, wyprostowana.

Potem Angela powie, że przez całą rozprawę sędzia na nią spoglądał.

– Na poprzednich posiedzeniach skupiał się na dokumentach, miałam wrażenie, że w ogóle mnie nie widzi – mówi. – Teraz jest

inaczej. Zobaczył we mnie żywego człowieka, zobaczył moją skargę. Jestem przekonana, że to dobry znak.

Ale Angela bardzo się myli.

Wkrótce zapadnie wyrok kończący wieloletni, wielowątkowy spór, który potwierdzi, że zgodnie z literą prawa Kanada nie ma obowiązku dzielić się z ocalałcami aktami z Cochrane. Może je zamknąć na zawsze w archiwum w malowniczej Orilli. Ocalańcy będą jeszcze apelować, ale sąd wyższej instancji podtrzyma niekorzystny dla nich wyrok. Dowody męki dzieci ze szkół w Świętej Annie, znane jako akta z Cochrane, zostają utajnione.

Ocalańcy mogą naturalnie dalej opowiadać swoje historie. Mogą raz jeszcze przywołać, spisać, a nawet wydać i opublikować wspomnienia z lat spędzonych w Świętej Annie. O ile – po kilkudziesięciu latach od opuszczenia szkoły – pamięć im na to pozwoli, a serce wytrzyma.

## 16. SERCE EVELYN KORKMAZ

W dokumentacji sądowej poświęconej Świętej Annie mnożą się sygnatury akt, nazwiska świadków i prawników. Niektóre dzieci ze szkoły w Fort Albany występują z imienia i z nazwiska, inne są anonimowe, ukryte za pseudonimami. Co jakiś czas wraca do mnie jedna z tych anonimowych postaci – nazwijmy ją tu D-0704. Wertuję archiwa prasowe – dowiaduję się, że to kobieta. Między wierszami czytam, że silna i odważna.

Bardzo chcę się czegoś o niej dowiedzieć. Jadę do Greek Town, greckiej dzielnicy Toronto, na kawę z Sue Enberg, reżyserką dokumentu o Świętej Annie.

– Czy D-0704 to Angela? A może jej siostra? Jak mogę poznać jej historię?

Sue śmieje się, że to nie takie proste.

– Nawet gdybyś ją odnalazła, ona raczej z tobą nie porozmawia. Przecież jesteś... jak by ci to powiedzieć... jesteś z Europy.

Następnego dnia Sue przysyła wiadomość. „Rozmawiałam z nią. Ma na imię Evelyn. Czeka na twój telefon”

\* \* \*

Kiedy Ed Metatawabin skrzykuje dzieci ze Świętej Anny i zakłada Peetabeck Keway Keykaywin, zaproszenie dociera też do Evelyn Korkmaz. Przychodzi na konferencję i słucha w milczeniu – ale nie jest to jej historia. Żadna siostra, żaden ksiądz nigdy jej nie

skrzywdzili. Dlatego sprzyja ocalańcom, ale nie czuje się jedną z nich.

W 2006 roku dostaje inne zaproszenie – jako była uczennica szkoły z internatem ma prawo skorzystać z możliwości, jakie daje IRSSA i opowiedzieć o swoich doświadczeniach. Do zaproszenia dołączona jest broszura – kto i na jakich zasadach może ubiegać się o pieniądze. Evelyn pobieżnie ją przegląda, ale w pewnym momencie czuje, jak krew rozsadza jej czaszkę.

– Czyli jednak! O mój Boże! – szepcze, a broszura wypada jej z rąk i miękko ląduje na dywanie.

\* \* \*

– Tak, to ja. Tak, mogę ci opowiedzieć. Jutro nie dam rady, odbieram wnuki. Spotkajmy się w piątek w Timie Hortonsie przy dworcu.

– A w którym? Od ulicy Yonge czy od strony jeziora?

– Ale jakiego jeziora? Nie mieszkam w Toronto.

Kupuję więc bilet na pociąg i ruszam w blisko pięciusetkilometrową podróż.

\* \* \*

Jak się do tej rozmowy przygotować? Nie można powiedzieć: opowiedz mi o szkole. Nie można zacząć od sprawy w sądzie. Nie można zaproponować: pokaż mi blizny. Proszę Sue Enberg o pomoc. Bez wahania dzieli się nagraniem, surówką z wywiadu z D-0704. Czemu to robi?

– O tym, co działo się w Świętej Annie, powinni wiedzieć wszyscy.

Dzięki jej pomocy będę mogła poznać tło, historię, kontekst. Ale opowieść Evelyn jest nie do pomieszczenia. Piszę do Katarzyny

Surmiak-Domańskiej, doświadczonej reporterki. Odpowiada: „Po prostu zapytaj ją o wnuki. O tamto nie pytaj jej wcale”

\* \* \*

Pociąg zatrzymuje się, na stacji widzę Evelyn. Jest elegancka, drobna, kruchuteńka. Ściska mnie na powitanie, przytula do swojej białej, krochmalonej koszuli. Szczupłymi dłońmi poprawia złote kolczyki.

Załatwiamy parę rzeczy na mieście, a potem mamy pojechać do kawiarni i spokojnie porozmawiać. Wsiadamy do jej SUV-a, zapinamy pasy i kiedy tylko auto wjeżdża na główną drogę, Evelyn – bez żadnego wstępu – zaczyna opowieść. Jedziemy i jedziemy. Mam wrażenie, że trasa jest dużo dłuższa, niż wskazywałaby na to mapa. Wydaje mi się, że okrążyliśmy *downtown* już z tysiąc razy.

W czasie jazdy i monologu Evelyn patrzy przed siebie. Jeździmy tak już drugą godzinę, miejsca na parking nie szukając wcale. Evelyn Korkmaz zaciska drobne, eleganckie palce na kierownicy i mówi, i mówi, a droga przed nami bez końca rozwidla się w kolejne nitki, tak jak jej opowieść.

\* \* \*

Nie zdziw się, jeśli czasem będę mówiła w trzeciej osobie. To bardzo mi pomaga. Mam tak od wtedy.

Opowiem ci o moim rodzinnym domu. Urodziłam się i wychowałam w Fort Albany. Szkoła stała na jednej z trzech wysp tworzących osadę, na wyspie Sinclair. Wszystkim zarządzali księża. Prowadzili szkołę i szpital, choć nie było w nim lekarza, były tylko siostry zakonne. Nie miały lekko – przyjmowały porody, rwały zęby, a przede wszystkim opatrywały rany. W lesie i nad rzeką

łatwo o ciężkie uszkodzenia. Często pierwsza pomoc była jedyną, na jaką człowiek mógł liczyć.

Księża dawali pracę ludziom w okolicy, więc cieszyli się ogromnymi wpływami. Wychowywałam się pośród habitów i sutann. Nasi rodzice uwierzyli, że to dobry sposób na życie. Przekonywano ich zresztą, że jeśli nie będą posłuszni, spłoną w ogniu piekielnym. Rodzice bali się kary i wierzyli księżom, którzy podróżowali samolotami i płacili gotówką.

Obok była Main Island, czyli Główna Wyspa, a dalej jeszcze Wyspa Andersona od nazwiska mojego ojca, który miał tam sklep. Choć pan Anderson nie był tym, który mnie spłodził. Zrobił to Szkot, który przyjechał pomagać na misji. Własnymi rękoma budował szkołę Świętej Anny i przylegające do niej budynki.

Kiedy moja mama, która jest Kri, zaszła z nim w ciążę, księża oblaci dostali furii i kazali mu opuścić misję. Okazało się, że w mieście miał drugą, a właściwie pierwszą rodzinę. Kara spotkała także moją matkę. Jej rodzina uznała, że splamiła honor nie tylko swój, ale i wszystkich krewnych: cudzołożyła i miała na sumieniu grzech ciężki. Dlatego też pobili ją i wyrzucili z domu.

Trafiła do szpitala prowadzonego przez siostry szarytki. Opatrzyły ją, wezwały policję, bo mama była w bardzo złym stanie. Wkrótce zjawił się policjant konny i podrapał po brodzie.

– Ej, dziewczyno. Trzeba cię ratować. Siostry mówią, że nie masz po co wracać do domu. Słuchaj, po sąsiedzku, na wyspie, mieszka pan Anderson. Jest po udarze. Przyda mu się pomoc. W domu brakuje kobiecej ręki, jego żona niedawno się zabiła. Porozmawiam z nim, by dał ci dach nad głową.

I tak też się stało – Anderson przygarnął moją mamę i mnie, był kochającym, dobrym ojcem. Między mną a swoją biologiczną córką tata nigdy nie robił różnicy. Miałam dobre dzieciństwo, tak to dziś

oceniam, chociaż dopiero jako dorosła widzę, jak bardzo moi rodzice pili.

Pewnego dnia zagadnęły mnie sąsiadki, dwie stare kobiety siedzące przed domem: „A ty wiesz, że nie jesteś prawdziwą córką Andersona?”

Nie wiedziałam.

Zawalił mi się świat. Wbiegłam do domu z płaczem, zaczęłam krzyczeć na ojca. Poprosił, żebym siadła mu na kolana, mocno mnie przytulił.

– Nie chciałem ci mówić, bo jesteś jeszcze mała – powiedział. – Uważam cię za swoją córeczkę i to się nigdy nie zmieni.

Ale przecież dla mnie wszystko się zmieniło. Od tego dnia zawsze czułam się w domu jak ktoś obcy. A potem byłam już na tyle duża, że przyszedł czas na szkołę. Rodzice odesłali mnie do szkoły Świętej Marii, którą prowadziły irlandzkie zakonnice. To były moje cudowne lata. Czułam się tam wspaniale, otoczona ciepłem i miłością. Kwitłam.

Ale szkoła była przeznaczona dla młodszych dzieci – w 1968 roku system skierował mnie do Świętej Anny, blisko domu.

To była zmiana nie do wyobrażenia. Jak szkoła była urządzona, jakie zasady obowiązywały – wiadomo. Muszę jednak wyraźnie powiedzieć: nikt z personelu mnie tam palcem nie tknął. Szkołę wspominam źle, ale nie tragicznie. Może dlatego, że nie musiałam być w internacie? Mieszkaliśmy obok, więc codziennie po zajęciach wracałam do rodziców. W rezerwacie, na wyspie, byliśmy sami. Raz na kwartał odwiedzał nas policjant konny, czasem wołali go częściej, jeśli działo się coś złego. W naszej osadzie pełno było przemocy.

To ważne – dziś możesz zadzwonić pod numer alarmowy, jednym przyciskiem połączyć się z dziewięćset jedenaście. Wtedy nie



mieliśmy wsparcia. Nie było nikogo, kto by kontrolował, co dzieje się w Fort Albany. Nie było też telefonu – tylko radiotelefon, łączyliśmy się ze światem przez operatorkę jak marynarze na dalekich morzach. Nie było telewizji. Personel słuchał czasem radia, ale dzieciom nie było wolno. Byliśmy odizolowani od świata, a świat od nas. Czasem pojawiali się turyści – niedaleko było wielkie siedlisko ptactwa. Ludzie z Południa przyjeżdżali do nas, do rezerwatu, na polowania, najczęściej we wrześniu. Poza tym nie wiedział o nas nikt.

No i nie było też płotu. Szkoła nie była ogrodzona, bo i tak nie było dokąd stamtąd uciekać. Słuchaj tego, bo to ważne.

Któregoś dnia wracałyśmy z grupą koleżanek ze Świętej Anny do domu – miałam jedenaście lat, a moja siostra siedem. Na drogę wyszło kilku chłopaków, naszych kolegów ze szkoły, sąsiadów. Nie wiem, było ich więcej niż pięciu, mniej niż dziesięciu.

Mówili między sobą w kri, specjalnie, bo wiedzieli, że w dalekiej szkole uczyłam się po angielsku. Wiedzieli, że szłam innym programem, że ktoś mnie kształcił. W Świętej Annie miałam potem bardzo dobre oceny. Chłopcy uważali, że się wywyższam, więc postanowili, że coś z tym zrobią.

Kazali mi pójść ze sobą w las. Weszliśmy między drzewa. Pamiętam, że bardzo się bała. Pamiętam, że dziewczynka bała się, że ją pobiją albo skopią – bo co innego?

Co innego?

I potem było tak: przewrócili ją na ziemię, przytrzymali przeguby rąk i kostki.

Myślała, że teraz będą bić, bo co innego, no co innego?

Ale nie bili.

Nie wiedziała wtedy, że dziewczynki można krzywdzić też na inne spo... spo... sposoby.

Jeden z chłopaków ściągnął spodnie, przestraszyła się. Nie miała pojęcia o tym, jak zbudowany jest człowiek, czegoś takiego jak wychowanie seksualne w katolickiej szkole przecież nie było. Jako dzieci byliśmy wychowywani do czystości.

A potem ten chłopak położył się na niej i wniknął w jej ciało w niepojęty dla niej sposób.

Był nad nią i w niej jednocześnie. Nie umiała tego sobie wytłumaczyć, myślała tylko o tym, że boli.

Ale coś jeszcze dziwniejszego działo się z nią samą, rozpostartą na dani. Była obok. Obserwowała wszystko z góry, z czubków drzew, jakby działo się to komuś innemu.

A potem – trochę ze strachu, trochę z utraty krwi, zemdląca. Obudziła się, gdy ją przypalali.

Gasili na niej papierosy i głośno się śmiali.

Wtedy przyszła do niej nie wiadomo skąd taka myśl, że zaraz ją zabiją. Że przecież obok leżą kamienie, widziała to dobrze, jak była tam, między czubkami drzew. Była przygotowana, że to już.

Ale chłopcy mieli inne plany. Jeszcze jej potrzebowali.

Kiedy skończyli, pomogli jej wstać. Ale zanim pozwolili odejść, napakowali jej patyków i ziemi do majtek. Kazali tak obciążoną bieliznę podciągnąć i iść w cho... cho... cholerę.

Więc poszła. Dołączyły do niej siostra i koleżanki, które wszystko widziały.

Na terenie misji był szpital. Zakonnica nie komentowała. Opatrzyła ją, nałożyła maść. Przed szyciem nie znieczuliła. Powiedziała, że nie ma jak.

\* \* \*

Wszystkie dzieci wiedziały. Moja siostra i inni uczniowie, którzy byli ze mną wtedy na ścieżce.

A dorośli, jeśli wiedzieli, nic z tym nie zrobili.

Rodzicom nic nie pisałam. Tłumaczyłam sobie, że muszę chronić ojca. Bo to byli moi koledzy ze szkoły, mieszkaliśmy obok siebie. Gdybym wysunęła oskarżenia, przyjechałaby policja, kogoś zatrzymała – ale zemsta spadłaby na mnie i moją rodzinę.

Nasza społeczność była bardzo przemocowa. Doskonale rozumiałam, że nie skończy się na pogroźkach. A najpewniej jako pierwszego wzięliby mojego tatę. A on był przecież po udarze, kulał. Bałam się, że nie przetrzyma bicia.

Nie mogłam powiedzieć rodzicom jeszcze z innego powodu, tak wtedy jako dziecko rozumowałam. Jeden z tych chłopców z leśnej polany był synem bliskiej przyjaciółki mojej matki. Przychodzili do nas do domu prawie codziennie.

Zrozumiałam, że to, co się wydarzyło, jest wpisane w moją drogę i muszę sobie z tym poradzić. Miałam nadzieję, że to się już nie powtórzy.

Ale Bóg mnie nie oszczędził.

Pierwszy raz był najgorszy, ale potem były następne. Wkrótce zrozumiałam, że wtedy jej nie ukamienowali, bo chcieli zostawić ją sobie na później. Z czasem wszystkie gwałty zlały mi się w jedno, mózg pozwolił ich nie pamiętać, skondensował mi ten serial. Za każdym razem głowa odcinała mnie od tego, po co ciągnęli ją w las.

Ale to nie jest tak, że to były incydenty. Moja droga, oni robili jej to przez cztery lata.

\* \* \*

Nienawidziłam ludzi, pośród których żyłam. Byli dla mnie obrzydliwymi dzikusami, byli gorsi niż zwierzęta. Chciałam się uwolnić, nie mieć z nimi nic wspólnego – nawet adresu, nawet

pochodzenia. Ale nadal musiałam chodzić do Świętej Anny i nadal mnie to spotykało.

Zastanawiałam się wtedy, po co się urodziłam. Doszłam więc do wniosku, że po to, by mnie gwałcono.

Wzięłam valium. Obudziłam się na oddziale. Nikt nie zapytał, co się stało.

W szpitalu przyszła do mnie taka myśl, że może nie odczytałam tego, co mi zapisano. Że moje zadanie jest jednak inne. Postanowiłam, że będę głosem tych, którzy utrzymali się przy życiu.

Aż w końcu byłam na tyle duża, że dostałam się do innej szkoły i mogłam wyjechać do miasta. Byłam przekonana, że sobie poradzę. Pogodziłam się z tym, że przez blizny nie włożę nigdy szortów albo sukienki. Trudno. Chciałam bardzo ruszyć dalej, bo sądziłam wtedy, że mam to za sobą.

Od lat śnią mi się buty – że tupią, że ktoś po mnie idzie. Tak samo ma moja siostra, ta, która wszystko widziała. Minęło pięćdziesiąt lat, a ona nadal ma zapętloną w głowie ścieżkę dźwiękową z tamtego dnia. Nocami śni się jej, jak krzyczę. W tym śnie wołam o pomoc, ale nikt nie przychodzi.

Wtedy, jako nastolatka, nie rozumiałam, że to samo nie przejdzie. Cały czas czułam się jak zwierzę wystawione na strzał. Sekunda i ktoś się na mnie rzuci. Miałam objawy zespołu stresu pourazowego, ale nie wiedziałam wtedy, jak sobie z tym radzić. Oczywiście, obwiniłam o wszystko samą siebie.

Nie radziłam sobie w kontaktach z ludźmi. Byłam wycofana, przestraszona, skrajnie nieufna. Chciałam jakoś dodać sobie odwagi. Zaczęłam pić, potem brać. Pomagało.

Dorastałam, miałam jakieś koleżanki. I w końcu przyszedł dzień, kiedy któraś z nich zaczęła tę rozmowę, którą chciałabym jak

najdłużej odwlec. „No, jak tam u was, dziewczyny? Robiłyście to już?”

No i co im miałam powiedzieć? Że mój pierwszy raz był na leśnej polanie, ale inaczej, niż to sobie wyobrażają?

Musiałam wymyślić jakąś zasłonę, jakąś maskę. Zaczęłam snuć alternatywne historyjki. Dopowiadałam szczegóły. Momentami sama wierzyłam, że było tak jak w moim scenariuszu stworzonym na potrzeby przyjaciółek. Przez cały czas bardzo się bałam, że przyłapią mnie na kłamstwie. Starałam się być spójna, żeby tylko ta maska ciasno przylegała. Postanowiłam, że będę taka, jak sobie zaprojektuję. Potem w jednym gabinecie usłyszałam, że mam osobowość wieloraką. A w drugim, że to mój mechanizm przetrwania.

Jak wiesz, w cenniku krzywd, dołączonym i do ugody IRSSA, i do tej, jaką podpisał Toby Obed, jest mowa o trudnościach w prowadzeniu życia osobistego. Jak ci te sformułowania z tabelk można wytłumaczyć? Byłam młodą kobietą, zakochiwałam się. Ale wszystko kończyło się na progu sypialni. Nie byłam w stanie pozwolić się dotknąć, chociaż chciałam i potrzebowałam być blisko. Zauważyłam, że łatwiej mi, gdy się napiję albo coś wezmę. Korzystałam z tych ułatwień.

Ale za każdym razem, gdy zbliżał się do mnie mój mąż, miałam flashbacki. Wszystko wracało i znów byłam rozdarta na leśnej po... po... polanie. Uruchamiał to nie tylko jego dotyk – do dziś wystarczy pocztówka, na której drzewa są takie jak tam. Dotyk mokrej ziemi, mech. Zapach lasu, taki sam co wtedy. Woda kolońska, którą zlewał się tamten i którą po dziś dzień można kupić w każdym kiosku za rogiem.

Strącałam więc z siebie mego męża jak jakiegoś psa. Nie rozumiał, więc w końcu mu o wszystkim powiedziałam. I nie jesteśmy już

razem. Mówimy o sobie: szczęśliwie rozwiedzeni.

Ale prawdziwe szczęście przyszło do mnie wcześniej, gdy zaszłam w ciążę. Przedtem kilka razy próbowałam to wszystko przeciąć – aż dowiedziałam się, że pojawi się ona. Moja córka mnie uratowała, dźwignęła z otchłani. Dziś jest już dorosła, sama ma dzieci. Staram się być ich ukochaną *kokum*, babcią. Bawię się z nimi na dywanie, zabieram na przejażdżki, opowiadam baśnie i bajeczki. Oczywiście, po tych wszystkich terapiach wiem, że robię to też dla siebie. Żeby przynajmniej teraz mieć dobre, bezpieczne dzieciństwo. Niech tak będzie.

O jednym marzę, o jedno proszę – żeby wnuki nie rosły. Niech ten czas trwa jak najdłużej.

Staram się nie być nadopiekuńcza, walczę ze sobą. Gdyby jednak ktoś by je chciał skrzywdzić, jestem gotowa zabić gołymi rękami. Mówię wnuczkom: jesteście mądre, jesteście dobre, jesteście ważne. Nie macie powodów do wstydu. Jesteście dziećmi Pierwszych Narodów tego kraju. Głowę noście wysoko. Jeśli myślę dziś, po co się urodziłam, to po to, żeby wychowywać nowe, silne pokolenie.

Jednego ci jeszcze nie powiedziałam. Działam w organizacjach, które mówią o wykorzystywaniu seksualnym dzieci. Robię to lokalnie, na swoim podwórku. Ale ta krzywda zdarza się przecież także poza wyspą w delcie rzeki, na której stała Święta Anna. Niedawno wróciłam z Genewy, wysłuchał nas ONZ. Okazuje się, że jest nas bardzo, bardzo dużo.

Niedługo, na początku 2019 roku, lecimy do Watykanu. Będziemy chcieli spotkać się z papieżem. Ja mam mu do powiedzenia dwie rzeczy.

Po pierwsze, że ma obowiązek przyjechać do Kanady i przeprosić za to, co Kościół nam robił w szkołach z internatem, co robił nam

w sposób zinstytucjonalizowany i otwarty.

A po drugie, że już najwyższy czas, by Kościół katolicki przestał tolerować i tych księży, którzy krzywdzą dzieci, i tych, którzy potem ukrywają sprawców.

Kiedy dostałam do ręki tamtą broszurę, w której mowa była o rekompensatach dla dawnych uczniów szkół z internatem, weszłam na ścieżkę formalnej procedury. W Fort Albany nadal mieszka wiele osób, które pięćdziesiąt lat temu widziały, co robiono mi na leśnych ścieżkach i polanach. Zdecydowałam się wezwać świadków, podałam ich nazwiska.

Nie stawił się nikt prócz mojej młodszej siostry.

Podczas przesłuchania w ramach procedury IAP zeznawałam od dziewiątej rano do siedemnastej bez przerwy. Wcześniej poprosiłam o wsparcie przewodników duchowych, członków starszyny. Nie podołali. Podczas moich zeznań byli jak w stuporze. Nie znaleźli słów, by mnie podtrzymać.

Prawnik reprezentujący koronę argumentował, że moja skarga jest bezzasadna, bo do zdarzenia nie doszło na terytorium szkoły. Pamiętajmy, że szkoła nie była otoczona płotem. Nie możemy więc przyjąć, że stało się to w obrębie placówki, tłumaczyć.

Kiedy skończyłam mówić, rozprawa została zamknięta i wszyscy się rozeszli do swoich spraw. Jak ja się czułam, jak się po tym wszystkim miałam, czy nie potrzebowałam wsparcia – nie zapytał mnie nikt. Dowlekłam się do auta na parkingu i przesiedziałam tam sama wiele godzin.

Jak dziś wiemy, orzekający w mojej sprawie nie miał dostępu do akt z Cochrane, które mogły potwierdzić moje zeznania. Dostarczone mu przez rząd oficjalne dokumenty stwierdzały, że w Świętej Annie nie doszło do ani jednego przypadku wykorzystywania seksualnego dzieci. Uznano, że rządowa narracja

znaczy więcej niż moje zeznania. To, co powiedziałam, nie zostało wzięte pod uwagę, a mnie uznano za kłamczynię chcącą wymusić nienależne świadczenia.

Dopiero po latach Kanada przyznała, że moja skarga była zasadna, zeznania wiarygodne, a cierpienie – prawdziwe.

Opowieść o sprawcach ma wiele nitek. Ci, którzy krzywdzili mnie na ścieżce, w większości nadal żyją jak gdyby nigdy nic. Parę lat temu jeden z nich poprosił o spotkanie. Przyjechał i powiedział, że chce mnie przeprosić. Jedyny z nich wszystkich. Wtedy nie wiedziałam, że jest chory i wkrótce umrze. Odpowiedziałam mu: „*Okay, whatever*”, bo co innego miałam mu powiedzieć? Że milion „przepraszam” niczego już nie zmieni?

Jest jeszcze coś. Z czasem zaczęłam się zastanawiać, czy oprawcom, którzy latami się nade mną znęcali, nie wytoczyć spraw z powództwa cywilnego, czy nie stanąć z nimi w sądzie twarzą w twarz. Rozmawiałam o tym z pewnym prawnikiem. Omówiliśmy moje doświadczenia, przygotowaliśmy się do gromadzenia dokumentacji. Pewnego dnia podałam do protokołu imiona i nazwiska sprawców. I wtedy adwokat odłożył pióro.

– Droga Evelyn, nie mogę pani reprezentować. Mamy konflikt interesów. Osoby, które pani wskazała, to moi klienci.

Byli to bowiem inni ocalańcy, ofiary ze Świętej Anny, dzieci maltretowane przez zakonnice i księży. Robimy, co nam robiono.

Pamiętam, jak przed laty jeździłam regularnie do swojej babki, która leżała w szpitalu. Któregoś dnia wyszłam na ławeczkę przed izbę przyjęć, żeby zapalić papierosa. Był ciepły, letni wieczór, zachodziło słońce. Pod światło zobaczyłam, jak zbliżają się dwie postacie. Duża i mała. Był to dorosły mężczyzna i mała dziewczynka, może czteroletnia. Szli za rękę, podskakiwali,



doskonale się ze sobą czuli i dużo widziałam między nimi miłości. Wzruszyłam się, tak śliczny był to obrazek.

Kiedy zaczęli się do mnie zbliżać, inaczej padło na nich światło. Zobaczyłam wtedy, że ten mężczyzna to jeden z chłopców z leśnej ścieżki. On też mnie poznał. Odwrócił głowę i jak gdyby nigdy nic wszedł ze swoją wnuczką do szpitala.

Dopiero po dłuższej chwili wróciłam do środka, poszłam do łazienki. Waliłam pięściami w ścianę. Byłam zła, przede wszystkim na siebie. Jak to możliwe, że poświęciłam temu człowiekowi choć jedną dobrą myśl? Że pomyślałam o nim jak o kimś dobrym i czułym?

I jak to możliwe, że on cieszy się spokojnym życiem po tym, co mi latami ro... ro... robił?

Strasznie się wtedy wściekłam i obiecałam sobie, że skoro on ma się dobrze, to ja też będę się miała dobrze. Że jeśli on się cieszy życiem, to ja tym bardziej.

Po jakimś czasie uznałam, że tego człowieka spod szpitala ani żadnych innych sprawców z leśnej polany ścigać nie będę.

Uważam, że nie mam prawa ich ścigać. Wytaczając proces, zabrałabym dzieciństwo i złamałabym serca ich dzieciom, ich wnukom. Uważam, że nie mam prawa, by niszczyć życie kolejnemu pokoleniu.

Cały czas zastanawiam się, po co się właściwie urodziłam. Dziś myślę, że może po to, by zatrzymać ten cykl dziedziczenia traumy.

Opłakałam dziewczynkę, która przez te wszystkie lata leżała rozpostarta na leśnej polanie.

Prawie się już nie jąkam.

Coraz rzadziej śnią mi się tamte czubki drzew.

Wierzę, że kiedyś przestaną.

## OD AUTORKI

Bohaterka ostatniego rozdziału długo ukrywała się pod zmienionym imieniem i nazwiskiem. Poprosiła mnie o dyskrecję, bo – choć w Kanadzie jest znaną postacią, domagającą się publicznie rozliczenia winnych przestępstw na dzieciach – o swoich osobistych przeżyciach w mediach nie opowiadała. Poznałam zarys jej historii z akt sądowych, na jej prośbę anonimizowanych; lakonicznie wypowiedziała się też w filmie dokumentalnym. Jednak o tym, co stało się w Świętej Annie i jak po tym wyglądało jej życie, nie mówiła.

Wszystko zmieniło się pod koniec lutego 2019 roku, kiedy Evelyn Korkmaz stanęła na czele międzynarodowego marszu „Zero Tolerancji”, idącego od Piazza del Popolo do Castel Sant’Angelo w pobliżu Watykanu. Evelyn pojechała do papieża Franciszka, domagając się przeprosin i wzięcia odpowiedzialności – było to doświadczenie przełomowe, po którym zdecydowała się mówić o swojej krzywdzie i zdrowieniu. Dziś, wiosną 2019 roku, o jej trudnej drodze zaczynają opowiadać najważniejsze media w Kanadzie. Jednak to polski czytelnik tej książki ma przywilej poznać historię Evelyn jako pierwszy.

Evelyn opowiedziała mi o sobie latem 2018 roku, chwilę po tym, jak została jedną z założycielek międzynarodowej organizacji End Clergy Abuse (ECA). ECA ma na celu powstrzymanie krzywd zadawanych księżowską ręką i domaga się usuwania ze stanu duchownego nie tylko przestępców seksualnych, ale też ich

przełożonych, którzy w ramach kościelnych struktur chronią krzywdzicieli dzieci. W ramach swej misji, pod koniec lutego 2019 roku, Evelyn wybrała się do Watykanu na zwołany przez papieża Franciszka szczyt „O ochronie nieletnich w Kościele”. Dyskutowano tam o przestępstwach seksualnych popełnianych przez osoby duchowne. To podczas tego szczytu papież Franciszek ucałował dłoń Marka Lisińskiego, prezesa polskiej fundacji „Nie lękajcie się”, która także przystąpiła do ECA. Nad Wisłą ten gest odczytano bardzo pozytywnie – jako wzruszający ukłon głowy Kościoła w kierunku osoby skrzywdzonej jako dziecko przez katolickiego kapłana. W Kanadzie odebrano to zupełnie inaczej – jako pusty symbol, za którym nie idzie ani gotowość do uznania win, ani chęć wzięcia na siebie odpowiedzialności, ani też chęć naprawienia krzywd.

Evelyn liczyła na spotkanie z papieżem, jednak Franciszek przysłał w zastępstwie biskupów. Po wszystkim mówi, że dla niej był to policzek – zrozumiała, że krzywdy zadane w Świętej Annie z perspektywy tronu Piotrowego nie są godne wysłuchania.

Ale jej podróż trwa. W marcu 2019 roku Evelyn wzięła udział w kolejnym zjeździe Peetabeck Keway Keykaywin, stowarzyszenia absolwentów Świętej Anny w Fort Albany. Poruszająco mówiła o swojej drodze, patrząc wstecz i patrząc przed siebie.

Organizatorzy konferencji zaznaczają, że urządzają ją i dla siebie, i dla pokoleń, które dopiero przyjdą. Tym razem nie tylko wspomniano to, co latami wydarzało się nad rzeką Albany, ale próbowano też zmienić kształt przyszłości. Zajęto się leczeniem uzależnień, dbaniem o zdrowie psychiczne, przekraczaniem traumy, własnej i odziedziczonej. Przywódca lokalnej społeczności, *chief* Leo Metatawabin powiedział, że za parę miesięcy przyjdzie jesienny wiatr, a z nim – poczucie przegranej, rezygnacja i smutek. Z początkiem każdego roku szkolnego w ludziach cyklicznie

odzywają się żal i gniew – tak jak wtedy, gdy byli dziećmi, zabieranymi siłą do szkoły. Choć gmach Świętej Anny od dawna już nie istnieje, pozostały po nim nie tylko wspomnienia, ale i pamięć ciała.

Głównym bohaterem zjazdu, obok Evelyn, był Edmund Metatawabin. Jest kimś więcej niż elderem, członkiem starszyny – ma status porównywalny z bohaterem narodowym. Żyje skromnie, w wybudowanym przez siebie drewnianym domu. Jest właścicielem tartaku w Fort Albany. Organizuje dla młodzieży spływy tratwą – takie, na jakie kiedyś zabierał go ojciec w czasie wakacyjnych przerw od Świętej Anny. Edmund mówił mi, że prawdziwa terapia zaczyna się kilka dni po ruszeniu w dół rzeki, kiedy skończą się baterie w smartfonach.

Za zasługi w karczowaniu drogi do pojednania Edmund Metatawabin został w lutym odznaczony Orderem Kanady. Przyjął go z rąk Gubernator Generalnej Julie Payette, która jest w Kanadzie głową państwa. Podczas uroczystości stał wyprostowany, w imponującym pióropuszu na głowie.

Gościem konferencji pojednania w Fort Albany była też Fay Brunning, która nagłośniła zatrzymanie kluczowych dowodów w rządowych archiwach i reprezentowała uczniów ze Świętej Anny przed sądami wielu instancji. Fay, chociaż tę wieloletnią batalię sądową przegrała, została przez ocalańców poruszająco uhonorowana. Podczas specjalnej ceremonii otulili ją kocem, patchworkiem z gwiazdą. Zgodnie z tradycją wita się nim nowe życie, ścieli się łóżko nowożeńców, przykrywa ciało zmarłego – wszystko, co ten patchwork otula, jest święte, mocą Stwórcy chronione przed złem.

Henry Pitawanakwat jest ostatnio bardzo zajęty: intensywnie pracuje, dba o siebie, chodzi na siłownię. Cieszy się coraz większym

szacunkiem jako elder – w czasie tornada utrzymał pal podtrzymujący namiot, w którym bawili się goście. Jest bohaterem.

Jonathan Kay, konserwatywny publicysta, który broni prawa do zapożyczeń, wkrótce po naszym spotkaniu został poproszony przez dziennik „The Washington Post” o felieton z okazji jubileuszu 150-lecia Kanady. Wykorzystał w nim naszą rozmowę, ale o tym dowiedziałam się nie od niego, lecz z druku.

Prawnik Steven Cooper pracuje nad kolejnymi pozwami zbiorowymi. Jeden z nich szykuje w imieniu rdzennych pacjentów trzymanyh w tzw. Indiańskich Szpitalach. Niektórzy z nich byli przez biały personel karani unieruchomieniem. Choć żadna kość nie była złamana, to i tak na wiele tygodni wsadzano ich w gips.

Toby Obed nadal mierzy się ze swoimi cieniami. Na wiadomości nie odpowiada.

\* \* \*

Wiosną 2016 roku powiedzieliśmy rodzinie, że przeprowadzamy się do Kanady. Mój wujek, Wiesław Bartelik, powiedział tylko, że tematów tam nie brakuje, a jednym z nich są placówki, w których na siłę zamykano rdzenne dzieci.

To wtedy pierwszy raz usłyszałam o szkołach z internatem. Ale potem była podróż nad drugą półkulę i urządzenie nowego życia. W Toronto doświadczałam najlepszej, legendarnej kanadyjskiej otwartości i wielokulturowości, z radością ślizgałam się po jego kolorowej mozaice.

Było więc trochę tak jak z kamyczkiem Stevena Coopera – ja też już wiedziałam, ale wolałam się tym nie zajmować.

Aż do dnia, kiedy dziewiętnaście znaków ze spacjami przekreśliło w Kanadzie karierę jednego z prominentnych redaktorów. Napisałam wtedy dla „Polityki” tekst o tym, jak Kanada

zafundowała sobie na urodziny trudne pytania o winę i tożsamość i próbuje, także na poziomie języka i symboli, zrekompensować zadane krzywdy. Wszystko to działo się w przededniu Canada Day, wielkiego patriotycznego jubileuszu. Ale w poczuciu narodowej dumy Kanada nie wstawiała z kolan, lecz pochylała czoło, próbując rozmawiać o nienaprawialnym. Zrozumiałam wtedy, że nie można już dłużej nie pytać o szkoły z internatem. Wiedziałam też, że łamy tygodnika będą dla tego tematu za ciasne.

### **O metodzie**

W tekście zrezygnowałam z używania słów takich, jak „Indianin” czy „Eskimos”, ponieważ w Kanadzie uważane są za obraźliwe i krzywdzące. Dziś mówią tak przede wszystkim osoby albo niewykształcone, albo niewrażliwe, poza nawiasem normy kulturowej. Co ważne, przyjęto, że mogą tak mówić wyłącznie ci, którzy sami się tak identyfikują. Dlatego w książce takie określenia, jak „Indianin” pojawiają się tylko w odniesieniu do historycznych dokumentów (jak np. Ustawa o Indianach) lub jako cytaty z wypowiedzi bohaterów.

Wszystkie cytaty, w tym z dokumentów urzędowych, sądowych, książek, publikacji prasowych, są moim przekładem i wedle mojej najlepszej wiedzy, nie były wcześniej tłumaczone na język polski.

Praca nad dokumentami, publikacjami i w archiwach przysporzyła mi wiele emocji. Żadne jednak, nawet największe poruszenie spowodowane takimi odkryciami, nie mogło być zbliżone do rozmów z bohaterami tej książki. Nie wszystkie te spotkania były udane – jestem jednak przekonana, że nie odbyłyby się wcale, gdybym przyjechała do Kanady tylko na krótką dokumentację, by przez parę tygodni zebrać potrzebny materiał.

Zdecydowałam, że podczas jednego z kluczowych wywiadów zrezygnuję z tych najważniejszych, najtrudniejszych pytań. Było to podczas rozmowy telefonicznej z Edem Metatawabinem – uznałam, że nie będę pytać go o przeżycia ze szkoły imienia Świętej Anny. Po pierwsze, zostały już one wystarczająco udokumentowane. W pracy nad książką opierałam się w dużej mierze na jego autobiografii *Up Ghost River* oraz na dokumentacji sądowej. Nakłanianie ocalańców do ponownego przeżywania tamtych doświadczeń tylko na potrzeby kolejnej publikacji byłoby nieuczciwe. Po drugie, byłoby poza moimi kompetencjami. Nie mam bowiem wystarczającego przygotowania terapeutycznego ani do prowadzenia, ani do zamykania takich rozmów. Uważam, że żadna konstrukcja książki reporterskiej nie usprawiedliwia rozgrzebywania cudzych ran.

Książka jest próbą zrozumienia nie tylko tego, co się w Kanadzie wydarzyło – ale i tego, co przyszło potem. Jak działają mechanizmy pozwalające krzywdzić jednych, a rozgrzeszać drugich? Kto i z jakiej przyczyny czynił zło, a kto się na to milcząco godził? Ale byłam ciekawa nie tylko tego, co już się dokonało – interesowało mnie także, jak Kanada niesie to doświadczenie, jak chce sobie z nim poradzić. Skąd wziąć siłę, by spojrzeć w lustro? Jak dziś mówić o bliznach i nienaprawialności krzywd? Czy jakiegokolwiek gesty i jakiegokolwiek kwoty zmażą tamte winy? Czy pojednanie jest utopią, czy twardym procesem, trudnym dla wszystkich stron? Choć droga do niego jest nierówna i pełna zakrętów, Kanada nie tylko wytyczyła szlak, ale i odważyła się na niego wkroczyć. To doświadczenie nieprzyjemne, raniące i często nieudane – jednak czy ktoś w takiej sprawie zdobył się na więcej niż dzisiejsi Kanadyjczycy?

„The world needs more Canada” to nie tylko slogan, który jest wszechobecny na gadżetach i reklamówkach w kanadyjskich sklepach. To także zachęta, by do win uniwersalnych, grzechów powszechnych, przymierzyć sprawdzone kanadyjskie narzędzia: empatię, otwartość i gotowość do spojrzenia na rzeczywistość taką, jaka jest, a nie taką, o jakiej roimy. Nie zawsze działają, ale lepszych nie mamy.

Inny reporter czy dziennikarz, przyglądając się Kanadzie, z pewnością będzie widział inne zjawiska, potykał się o inne kamienie i pił kawę z ludźmi z innych domów. Książka, którą przeczytaliście, jest subiektywnym zapisem mojej osobistej podróży. Chciałabym podziękować tym, którzy mnie przez nią poprowadzili.

### **Thank yous**

Najserdeczniejsze podziękowania kieruję przede wszystkim do bohaterów tej opowieści – do Toby’ego Obeda, Henry’ego Pitawanakwata, Lorda Johna Kenebutchy, Michaela Cheeny, Angeli Shisheesh i wszystkich innych, którzy mi zaufali. Jestem niezmiernie wdzięczna Louisowi Knapaysweetowi, Edmundowi Metatawabinowi i Evelyn Korkmaz za otwartość, możliwość poznania ich historii i lekcje godności, jakich mi udzielili. Nie dotarłabym do nich, gdyby nie pomoc Susan Enberg, reżyserki dokumentu o dzieciach Świętej Anny. *Susan, you’re a gem!* Podziękowania należą się też prawnikom – Fay Brunning i Stevenowi Cooperowi, a także innym osobom, które pomogły mi przy dokumentacji, a które z osobistych czy zawodowych względów nie chciały być na kartach tej książki ujawnione.

Jestem wdzięczna Davidowi Scanlanowi, szefowi dziennikarzy agencji Bloomberg w Kanadzie oraz Jacqueline Thorpe, szefowej Bloombergu w Toronto. Kibicowali oni mojej pracy i wielokrotnie



pomagali mojemu mężowi ułożyć obowiązki zawodowe tak, bym mogła swobodnie zbierać materiały do książki i pisać.

Dziękuję też Julie Traves, zastępczyni redaktora naczelnego dziennika „The National Post”, za pomoc w dotarciu do niektórych bohaterów. W dniu mojego wyjazdu z Kanady Julie położyła na progu naszego mieszkania prezent dla moich dzieci: komiks o Chaniem Wenjacku. Dziękuję także Clarze Kluge i jej mężowi, którzy udostępnili mi swoje mieszkanie do pracy, gdy w naszym domu za mało było ciszy, a za dużo życia, a Beacie i Maciejowi Chudziakom za polską gościnność na drugiej półkuli. Myślę z wdzięcznością o Kelly Alexander z biura Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Toronto (TIFF) za wszystkie podpowiedzi i osadzenie niektórych historii w kontekście. Doktor Aleksandrze Bergier z Uniwersytetu Guelph dziękuję za otwarcie przede mną perspektywy problemu zaginionych kobiet (MMIWG), a doktorowi Krzysztofowi Wawrzyniakowi z Uniwersytetu w Toronto za oswajanie różnic i pomoc w tłumaczeniu kultur.

Książka, którą przeczytaliście, jest zapisem rozmów przy kuchennym stole, jakie prowadziłam razem z moim mężem, Maciejem, w naszym torontońskim domu. Przez dwa lata wszystkim naszym kawom i *dinnerom* towarzyszyli Henry, Edmund i Evelyn, ich doświadczenia i cienie. Dziękuję Maciejowi, że zgodził się na to, byśmy przez tę opowieść przeszli wspólnie, jako para i jako rodzina. Dziękuję też, że był pierwszym redaktorem tego tekstu i że wspierał mnie na każdym kroku pracy nad książką. Nie tylko swoim dziennikarskim doświadczeniem, ale wzięciem na siebie dodatkowych obowiązków w naszym życiu domowym – za błyszczącą okładką z kanadyjską mozaiką, jaką trzymacie w ręku, kryje się wiele naszych rodzinnych wyrzeczeń. Maciej – Tobie dziękuję najbardziej ze wszystkich.

## Podziękowania

Jestem wdzięczna i bardzo dziękuję Katarzynie Surmiak-Domańskiej, która przez wiele miesięcy budowała mnie swoim doświadczeniem i cierpliwie holowała z publicystyki w stronę literatury – zarówno w czasie rozmów przez ocean, jak i tych późnowieczornych przy herbacie, już na Mokotowie.

Dziękuję też doktorowi Tomaszowi Soroce z Instytutu Amerykanistyki i Studiów Polonijnych, Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dzięki jego wnikliwym uwagom udało się uniknąć wielu błędów i pomyłek. Jako kanadianista dokonał redakcji merytorycznej tekstu i uzupełnił go o wiele wartościowych spostrzeżeń – zadbał też, by akcenty rozłożone były i sprawiedliwie, i uważnie. Jestem pod wielkim wrażeniem nie tylko jego rozległej wiedzy, ale też wrażliwości na niuanse; to dzięki wyczuciu Tomasza Soroki zmieniliśmy roboczy tytuł książki (*Nieutuleni*), zbyt raniący i paternalistyczny.

Dziękuję Oldze Gitkiewicz, redaktorce całości, za anielską cierpliwość i elastyczność. Olga włożyła wiele serca i pracy w opracowanie i skondensowanie tekstu. To dzięki jej zabiegom dostajecie dziś skrócony zapis i zachętę do własnych poszukiwań, już poza kartami tej książki.

Jestem też wdzięczna Wojciechowi Tochmanowi, który był moim tutorem w Polskiej Szkole Reportażu. To dzięki niemu w tej książce niewiele jest przymiotników. Przede wszystkim dziękuję Wojciechowi za kibicowanie mi à la long i dobre słowo, jakim na zawodowej drodze wspierał mnie w ostatnich latach.

Juliannie Jonek-Springer i Mariuszowi Szczygłowi z Wydawnictwa Dowody na Istnienie dziękuję za uwierzenie w tę

książkę, zanim jeszcze powstało jej pierwsze zdanie. Taki kredyt od wydawcy to rzadkość.

Redaktor Monice Sznajderman (Wydawnictwo Czarne) i Konradowi Nowackiemu (Wydawnictwo Cyranka) dziękuję za życzliwość w ocenie potencjału tej książki. Redaktor Martynie Bundzie z „Polityki” za kciuki i stworzenie dla mnie przestrzeni w ramach projektu „Mrs. Canada”, a Łukaszowi Wójcikowi za zachętę do przesyłania korespondencji z Kanady, która stała się fundamentem do pracy nad tą książką.

Jestem wdzięczna mec. Arkadiuszowi Wierzbickiemu za konsultacje na ostatniej prostej, a przede wszystkim za rozmowy o granicach, których przekraczać nie wolno i o tych, które przekraczać należy.

Podziękowania należą się także cierpliwym paniom bibliotekarkom z Toronto Reference Library. Jestem też zobowiązana baristom z kawiarni Ezra’s Pound, Haute Coffee i Balzak’s Coffee Roasters w Toronto oraz z Green Caffè Nero na warszawskim Wilanowie. To tam (i przy kuchennym stole) powstała ta opowieść.

Książkę dedykuję mojemu ukochanemu Maciejowi i naszym synom, Jaśkowi i Staszкови. Jestem przekonana, że przeszczepienie ich do Kanady, choć tylko na nieco ponad dwa lata, było doświadczeniem, które poniosą dalej, być może jeszcze w następne pokolenia. Chciałabym, żeby ta książka przydała się nie tylko im, ale też innym dzieciom, które przyjdą po nas i których ja już nie zobaczę.

Toronto, lipiec 2016 – Warszawa, kwiecień 2019

## WYBRANA BIBLIOGRAFIA

### 1. 27 ŚMIERCI TOBY'EGO OBEDA

siqżki:

nnne Budgell, *Dear Everybody. A Woman's Journey from Park Avenue to a Labrador Trapline*, Portugal Cove-St. Philip's 2013

rtykuły:

inda Chavich, *Cod got your tongue?*, „The Globe and Mail”, 30 maja 2007 [dostęp: 13.12.2017],  
<https://www.theglobeandmail.com/life/cod-got-your-tongue/article1077308/>

avid Cochrane, Lisa Laventure, *When Sorry Isn't Enough*, CBC, 23 listopada 2017 [dostęp: 1.12.2017],  
<https://www.cbc.ca/news2/interactives/sh/doEAa20CHM/when-sorry-isnt-enough/>

atricia Gadsby, Leon Steele, *The Inuit Paradox*, w: „Discover. Science for the Curious”, 1 października 2004 [dostęp: 19.12.2017],  
[http://discovermagazine.com/2004/oct/inuit-paradox?\\_sm\\_aui=iVVQFWBkjS2BQ0NQ](http://discovermagazine.com/2004/oct/inuit-paradox?_sm_aui=iVVQFWBkjS2BQ0NQ)

nthony Paddon, *Yale School Marches On* w: „Among the Deep Sea Fishers”, tom 42, lipiec 1944, Grenfell Association of America 1944

idith Schiff, *Yalies in the Far North*, w: „Yale Alumni Magazine”, listopad – grudzień 2010 [dostęp: 19.12.2017],  
<https://yalealumnimagazine.com/articles/3003-yalies-in-the-far-north>

ne:

rzewodnik po Labradorze, *Destination Labrador*. Program bezpłatnego wypożyczania telefonów satelitarnych [dostęp: 13.12.2017],

[http://www.destinationlabrador.com/guide/files/travel\\_trade/free\\_satellite\\_phone\\_loan\\_program.pdf](http://www.destinationlabrador.com/guide/files/travel_trade/free_satellite_phone_loan_program.pdf)

rzewodnik po Hopedale, Tourism Nunatsiavut [dostęp: 13.12.2017], <https://www.tourismnunatsiavut.com/home/hopedale.htm>

International Grenfell Association, *Our History. Over a Century of Giving* [dostęp: 1.03.2018],

<http://www.grenfellassociation.org/who-we-are/history/>

oby Obed's Painful Recovery, The National, CBC News, 30 sierpnia 1993 [dostęp: 5.12.2017], <https://www.youtube.com/watch?v=gWhyNyNMOXo>

reść przeprosin wygłoszona przez premiera Stephen'a Harpera, *Statement of Apology to Former Students of Indian Residential Schools*, 11 czerwca 2008 [dostęp: 5.12.2017], <https://www.aadnc-aandc.gc.ca/eng/1100100015644/1100100015649>

ilm dokumentalny *Angry Inuk*, reż. Alethea Arnaquq-Baril, 2016

## 2. SZEPT PHILA FONTAINE'A

aporty:

inal Report of the Truth and Reconciliation Commission of Canada. Volume One: Summary. Honoring the Truth, Reconciling for the Future, Toronto 2015

rtykuły:

aport *The Oka Legacy: Oka Timeline: An Unresolved Land Claim Hundreds of Years in the Making – Firsthand*, CBC, 23 września 2017 [dostęp: 1.02.2018],

<http://www.cbc.ca/firsthand/features/oka-timeline-an-unresolved-land-claim-hundreds-of-years-in-the-making>

annah James, *UofT Grad17: Three Things You Should Know about Phil Fontaine*, UofT News, 9 czerwca 2017 [dostęp: 5.02.2018], <https://www.utoronto.ca/news/uoftgrad17-three-things-you-should-know-about-phil-fontaine>

hawn McCarthy, *First Nations Leader Phil Fontaine: An Angry Radical Embraces Compromise*, „The Globe and Mail”, 16 maja 2014 [dostęp: 5.02.2018],

<https://www.theglobeandmail.com/report-on-business/careers/careers-leadership/first-nations-leader-phil-fontaine-an-angry-radical-embraces-compromise/article18726592/>

oreen Pindera, Laurene Jardin, *Oka Crisis: 78 days of civil unrest*, CBC, 6 lipca 2015 [dostęp: 5.02.2018], <http://www.cbc.ca/news/canada/montreal/multimedia/oka-crisis-78-days-of-civil-unrest-1.3135880>

ine:

*hil Fontaine charges church with abuse*, CBC, 30 października 1990 [dostęp: 1.02.2018], <https://www.cbc.ca/player/play/1402941029>

*hil Fontaine's shocking testimony of sexual abuse*, CBC, 30 października 1990 [dostęp: 1.02.2018], <https://www.cbc.ca/archives/entry/phil-fontaines-shocking-testimony-of-sexual-abuse>

*hil Fontaine's testimony of physical and sexual abuse*, CBC, 30 października 1990 [dostęp: 1.02.2018], <http://www.cbc.ca/player/play/1776926760>

*hil Fontaine opens up about abuse*, CBC, 5 listopada 1990 [dostęp: 1.02.2018], <https://www.cbc.ca/player/play/1779299057>

*hil Fontaine Discusses His Childhood*, CBC, 11 czerwca 1991 [dostęp: 1.02.2018], <http://www.cbc.ca/archives/entry/phillip-fontaine-discusses-his-childhood>

*atholic church responds to Phil Fontaine's abuse charges*, CBC, 31 października 1990 [dostęp: 1.02.2018], <https://www.cbc.ca/player/play/1402944862>

### 3. DZIECI ŚWIĘTEJ ANNY

siązki:

dmund Metatawabin, Alexandra Shimo, *Up Ghost River: A Chief's Journey Through the Turbulent Waters of Native History*, Toronto 2015

aporty:

*inal Report of the Truth and Reconciliation Commission of Canada. Volume One: Summary. Honoring the Truth, Reconciling for the Future*, Toronto 2015

rtykuły:

orge Barrera, *The Horrors of St. Anne's*, CBC, 29 marca 2019 [dostęp: 8.04.2019], <https://newsinteractives.cbc.ca/longform/st-anne-residential-school-opp-documents>

orge Barrera, Lynette Fortune, *Police Hunted for Secret Church Archives During Probe of Abuse Allegations at St. Anne's Residential School*, CBC, 5 marca 2019 [dostęp: 8.04.2019], <https://www.cbc.ca/news/indigenous/archives-st-anne-s-residential-school-abuse-allegations-1.5039150>.

ames Coyle, *The James Bay Winter Road Links Attawapiskat and Moosonee in Northern Ontario*, „The Toronto Star”, 3 lutego 2013 [dostęp: 1.03.2018], [https://www.thestar.com/news/ontario/2012/02/03/the\\_james\\_bay](https://www.thestar.com/news/ontario/2012/02/03/the_james_bay)

\_winter\_road\_links\_attawapiskat\_and\_moosonee\_in\_northern\_ontario.html

ŋne:

richiwa National Centre for Truth and Reconciliation, University of Manitoba, Winnipeg, Kanada, <https://nctr.ca/map.php>

ilm dokumentalny *In Jesus' Name: Shattering the Silence of St. Anne's Residential School*, reŹ. Susan Enberg, 2017

avid M. Cheney, biogram *Bishop Jules Leguerrier*, OMI, <http://www.catholic-hierarchy.org/bishop/blegu.html>.

#### **4. NIEBO HENRY'EGO PITAWANAKWATA**

siqŹki:

hil Fontaine et al., *A Knock on the Door. The Essential History of Residential Schools from the Truth and Reconciliation Commission of Canada*, Winnipeg 2015

hristy Jordan-Fenton et al., *Not My Girl*, Toronto 2014

harlotte Gray, *The Promise of Canada. People and Ideas that Shape Our Country*, Toronto 2016

ob Joseph, *21 Things You May Not Know About The Indian Act*, Port Coquitlam 2018

homas King, *The Inconvenient Indian: A Curious Account of Native People in North America*, Toronto 2012

arry Loyie, *Residential Schools: With the Words and Images of the Survivors*, Brantford 2014

ohn S. Milloy, *A National Crime: The Canadian Government and the Residential School System (Manitoba Studies in Native History)*, Winnipeg 1999

harles Pachter, *M is for Moose. A Charles Patcher Alphabet*, Toronto 2008



helagh Rogers et al. (red.), *Speaking My Truth: Reflections on Reconciliation & Residential School*, Ottawa 2012  
ev Sellars, *They Called me Number One*, Vancouver 2012  
anya Talaga, *Seven Fallen Feathers. Racism, Death and Hard Truths in a Northern City*, Toronto 2017

aporty:

inal Report of the Truth and Reconciliation Commission of Canada.  
Volume One: Summary. *Honoring the Truth, Reconciling for the Future*, Toronto 2015

vonne Boyer, Judith Bartlett, *External Review: Tubal Ligation in the Saskatoon Health Region: The Lived Experience of Aboriginal women*, The Saskatoon Health Region, 22 lipca 2017 [dostęp: 20.03.2018],

[https://www.saskatoonhealthregion.ca/DocumentsInternal/Tubal\\_Ligation\\_intheSaskatoonHealthRegion\\_the\\_Lived\\_Experience\\_of\\_Aboriginal\\_Women\\_BoyerandBartlett\\_July\\_22\\_2017.pdf](https://www.saskatoonhealthregion.ca/DocumentsInternal/Tubal_Ligation_intheSaskatoonHealthRegion_the_Lived_Experience_of_Aboriginal_Women_BoyerandBartlett_July_22_2017.pdf)

om Flanagan, *The Costs of the Canadian Government's Reconciliation Framework for First Nations* [dostęp: 21.03.2018],  
[https://www.fraserinstitute.org/sites/default/files/costs-of-canadian-governments-reconciliation-framework-for-first-nations\\_0.pdf?\\_sm\\_au\\_=iVVnsrPv7DNWTNqM](https://www.fraserinstitute.org/sites/default/files/costs-of-canadian-governments-reconciliation-framework-for-first-nations_0.pdf?_sm_au_=iVVnsrPv7DNWTNqM)

rtykuły:

erry Benjoe, *Thomas Moore Keesick more than just a face*, „Regina Leader Post”, 22 grudnia 2015 [dostęp: 20.05.2017],  
<https://leaderpost.com/news/local-news/thomas-moore-keesick-more-than-just-a-face>

ulliver, *Making the most of Toronto*, „The Economist”, 28 lipca 2008 [dostęp: 18.05.2017],

<https://www.economist.com/gulliver/2008/07/28/making-the-most-of-toronto>

aniel Francis, *Manitoulin Island*, „The Canadian Encyclopedia”, 17 marca 2011 [dostęp: 17.08.2018], <https://www.thecanadianencyclopedia.ca/en/article/manitoulin-island>

R. Miller, *Residential Schools in Canada*, „The Canadian Encyclopedia”, 10 października 2012 [dostęp: 21.05.2017], <https://www.thecanadianencyclopedia.ca/en/article/residential-schools>

ane:

or Peter Henderson Bryce: *A Story of Courage*, Ottawa 2016 [dostęp: 22.05.2017],

[https://fncaringsociety.com/sites/default/files/dr.\\_peter\\_henderson\\_bryce\\_information\\_sheet.pdf?\\_sm\\_au\\_=iVVnsrPv7DNWTNqM](https://fncaringsociety.com/sites/default/files/dr._peter_henderson_bryce_information_sheet.pdf?_sm_au_=iVVnsrPv7DNWTNqM)

ownik imion *Native-American Baby Names* [dostęp: 22.05.2017], <http://www.babynamenameguide.com/categorynativeamerican.asp?strCat=Native-American>

rocedura w sprawie branki *Sixties Scoop: Are you part of the Sixties Scoop class litigation?*, Indigenous and Northern Affairs Canada [dostęp: 1.02.2019], <https://www.aadnc-aandc.gc.ca/eng/1517425414802/1517425436379>

ane statystyczne:

original Population Profile, 2016 Census, Statistics Canada, 18 lipca 2018 [dostęp: 1.03.2019], <http://www12.statcan.gc.ca/census-recensement/2016/dp-pd/abpopprof/index.cfm?Lang=E>

original Peoples in Canada: Key Results from the 2016 Census, Statistics Canada, 25 października 2017 [dostęp: 1.03.2019],

<https://www150.statcan.gc.ca/n1/en/daily-quotidien/171025/dq171025a-eng.pdf?st=cW064a1B>

## 5. TAJEMNA ŚCIEŻKA CHANIEGO WENJACKA

*siqżki:*

ordon Downie, Jeff Lemire, *A Secret Path*, Toronto 2016

anya Talaga, *Seven Fallen Feathers. Racism, Death and Hard Truths in a Northern City*, Toronto 2017

*rtykuły:*

epesza The Canadian Press: *Gord Downie on PM: „We’re in good hands”*, 20 sierpnia 2016 [dostęp: 29.09.2016], <https://www.macleans.ca/politics/ottawa/justin-trudeau-the-whole-country-is-here-in-kingston-tonight/>

aport *Dying for an Education: A CBC Thunder Bay Special Report*, CBC, 5 grudnia 2012 [dostęp: 15.06.2018], <https://www.cbc.ca/thunderbay/interactives/dyingforaneducation/>

an Adams, *The Lonely Death of Chanie Wenjack*, „Macleans”, luty 1967 [dostęp: 16.06.2018], <https://www.macleans.ca/culture/books/gord-downie-on-charlie-wenjack-his-story-is-canadas-story/>

ave Chan, *What Happens Next*, „The Globe and Mail”, 21 października 2016 [dostęp: 22.10.2016], <https://www.theglobeandmail.com/arts/music/if-secret-path-is-the-last-thing-i-do-im-happy-what-happens-to-gord-downienext/article32483883/>

ared Linzon, *Tragically Hip: Canada Waves Goodbye to a National Treasure*, „Rolling Stone”, 20 lipca 2016 [dostęp: 22.07.2016], <https://www.rollingstone.com/music/music-features/tragically-hip-canada-waves-goodbye-to-a-national-treasure-92026/>

ne:

ficjalny profil @TorontoPolice na Twitterze, 20 sierpnia 2016  
[dostęp: 20.08.2016],  
<https://twitter.com/torontopolice/status/766979897130618880>  
1illions watch Tragically Hip live on CBC, CBC, 22 sierpnia 2016  
[dostęp: 27.08.2016], <https://www.cbc.ca/news/canada/tragically-hip-cbc-broadcast-ratings-1.3730276>

## 6. LUSTRO NA URODZINY

siqżki:

1elanie Florence, *Righting Canada's Wrongs*, Toronto 2016  
laude Julien, *Canada: Europe's last chance*, New York 1968  
obert Shore, *Beg, Steal and Borrow: Artists Against Originality*,  
London 2017  
ames O. Young, *Cultural Appropriation and the Arts*, Malden 2008  
ames O. Young, Conrad G. Brunk, *The Ethics of Cultural  
Appropriation*, Hoboken 2012  
ruce Ziff, Pratima V. Rao, *Borrowed power. Essays on Cultural  
Appropriation*, New Brunswick 1997

rtykuły:

epesza The Canadian Press, *Steve Ladurantaye, editor of CBC's The  
National, reassigned after cultural appropriation controversy*, 17  
maja 2017 [dostęp: 17.05.2017],  
[https://nationalpost.com/news/canada/steve-ladurantaye-editor-  
of-cbcs-the-national-reassigned-after-cultural-appropriation-  
controversy](https://nationalpost.com/news/canada/steve-ladurantaye-editor-of-cbcs-the-national-reassigned-after-cultural-appropriation-controversy)  
epesza The Canadian Press, *Toronto gallery cancels exhibit of white  
artist's paintings over complaints of cultural appropriation*, „The  
National Post”, 7 maja 2017 [dostęp: 7.05.2017],

<https://nationalpost.com/news/canada/toronto-gallery-cancels-exhibit-of-white-artists-paintings-over-complaints-of-cultural-appropriation>

Victoria Ahearn, *Steve Ladurantaye Won't Return as Managing Editor of CBC's The National*, „The Toronto Star”, 25 października 2017 [dostęp: 26.05.2017],

<https://www.thestar.com/news/gta/2017/10/25/steve-ladurantaye-wont-return-as-managing-editor-of-cbcs-the-national.html>

Dina Bresge, *Art Gallery Renames Emily Carr's 'Hurtful' Indian Church, But Critics Say it's the Wrong Approach*, 22 maja 2018 [dostęp: 1.06.2018],

<https://nationalpost.com/news/canada/renaming-of-emily-carr-painting-spurs-debate-about-reconciliation-in-art>

Andrew Domise, *How Some People Are Missing the Point on Cultural Appropriation*, „Maclean's”, 22 maja 2017 [dostęp: 23.05.2017], <https://www.macleans.ca/opinion/how-some-people-are-missing-the-point-on-cultural-appropriation/>

Jonathan Goldsbie, *CBC Executive Demoted After Pledging Money For 'Appropriation Prize'*, Canadaland, 17 maja 2017 [dostęp: 18.05.2017], <https://www.canadalandshow.com/cbc-executive-demoted-pledging-money-appropriation-prize/>

Marah Hagi, *A Bunch of White Canadian Editors Really Love Cultural Appropriation*, Vice, 12 maja 2017 [dostęp: 15.05.2017], [https://www.vice.com/en\\_ca/article/pg7q8m/a-bunch-of-white-canadian-editors-really-love-cultural-appropriation](https://www.vice.com/en_ca/article/pg7q8m/a-bunch-of-white-canadian-editors-really-love-cultural-appropriation)

Jonathan Kay, *Cultural Appropriation Should Be Debated. Too Bad Canada's Writers Union Instead Chose to Debase Itself*, „The National Post”, 12 maja 2017 [dostęp: 13.05.2017], <https://nationalpost.com/opinion/jonathan-kay-cultural->

appropriation-should-be-debated-too-bad-canadas-writers-union-  
instead-chose-to-debase-itself

achel Mendleson, *Jonathan Kay Resigns as Editor of The Walrus Amid 'Appropriation Prize' Backlash*, „The Toronto Star”, 14 maja 2017 [dostęp: 15.05.2017], <https://www.thestar.com/news/gta/2017/05/14/jonathan-kay-resigns-as-editor-of-the-walrus-amid-appropriation-prize-backlash.html>

lizabeth Renzetti, *Cultural Appropriation: Why Can't We Debate It?*, „The Globe and Mail”, 11 maja 2017 [dostęp: 15.05.2017], <https://www.theglobeandmail.com/opinion/unpopular-ideas-shouldnt-be-silenced-they-should-be-debated/article> Opinion

ndy Riga, *Inappropriate indigenous costumes' at Outremont school raise ire of parent*, „Montreal Gazette”, 30 sierpnia 2016 [dostęp: 20.05.2017], <https://montrealgazette.com/news/local-news/montreal-mother-complains-over-teacher-wearing-indigenous-headaddress-in-schoolyard>

ennifer Schuessler, *Editor Resigns Over an Article Defending 'Cultural Appropriation'*, „The New York Times”, 11 maja 2017 [dostęp: 15.05.2017], <https://www.nytimes.com/2017/05/11/arts/editor-resigns-over-article-defending-cultural-appropriation.html>

*flattering quotes from famous foreigners about Canada*, „Maclean's”, 1 sierpnia 2014 [dostęp: 29.05.2017], <https://www.macleans.ca/society/6-flattering-quotes-from-famous-foreigners-about-canada-2/>

ine:

armen Robertson, *Norval Morrisseau. Life & Work* [dostęp: 1.02.2019], <https://www.aci-iac.ca/art-books/norval-morrisseau>

## 7. TATUAŻE TOBY'EGO SICKSA

*rtykuły:*

auren Pelley, *New Indigenous Tattoo Parlour and Gallery Aims to Defeat 'Stigmas and Stereotypes'*, CBC, 19 lipca 2017 [dostęp: 1.06.2018], <https://www.cbc.ca/news/canada/toronto/inkdigenous-tattoo-1.4212733>

anielle Subject, *Inkdigenous Tattoo is Educating the Public with Art*, Indie88, 17 sierpnia 2017 [dostęp: 1.06.2018], <https://indie88.com/inkdigenous-tattoo-is-educating-the-public-with-art/>

## 8. KUCHNIA JONATHANA KAYA

*rtykuły:*

Jonathan Kay, *Happy Canada Day. Don't Get Carried Away With the Celebration, Please*, „The Washington Post”, 30 czerwca 2017 [dostęp: 30.06.2017], [https://www.washingtonpost.com/outlook/happy-canada-day-dont-get-carried-away-with-the-celebration-please/2017/06/30/0d64f632-5c16-11e7-a9f6-7c3296387341\\_story.html?utm\\_term=.e76c249180db](https://www.washingtonpost.com/outlook/happy-canada-day-dont-get-carried-away-with-the-celebration-please/2017/06/30/0d64f632-5c16-11e7-a9f6-7c3296387341_story.html?utm_term=.e76c249180db)

Jonathan Kay, *My Life at The National Post and Why I'll Miss It*, „The National Post”, 21 listopada 2014 [dostęp: 15.05.2017], <https://nationalpost.com/opinion/jonathan-kay-my-life-at-the-national-post-and-why-ill-miss-it>

## 9. KAMIEŃ STEVENA COOPERA

*kta sądowe:*

ostanowienia ugody, sprawa Anderson vs. Canada (Attorney General), 2016 CanLII 76817 (NL SC) [dostęp: 1.02.2019],

<https://www.canlii.org/en/nl/nlsctd/doc/2016/2016canlii76817/2016canlii76817.html?resultIndex=11>

Anderson vs. Canada (Attorney General), 2015 CanLII 68093 (NL SC)  
[dostęp: 1.02.2019],

[https://www.canlii.org/en/nl/nlsctd/doc/2015/2015canlii68093/2015canlii68093.html?](https://www.canlii.org/en/nl/nlsctd/doc/2015/2015canlii68093/2015canlii68093.html?searchUrlHash=AAAAAQAJdG9ieSBvYmVkAAAAAAAE&resultIndex=5)

[searchUrlHash=AAAAAQAJdG9ieSBvYmVkAAAAAAAE&resultIndex=5](https://www.canlii.org/en/nl/nlsctd/doc/2015/2015canlii68093/2015canlii68093.html?searchUrlHash=AAAAAQAJdG9ieSBvYmVkAAAAAAAE&resultIndex=5)

Anderson vs. Canada (Attorney General), 2013 CanLII 73498 (NL SC)  
[dostęp: 1.02.2019],

[https://www.canlii.org/en/nl/nlsctd/doc/2013/2013canlii73498/2013canlii73498.html?](https://www.canlii.org/en/nl/nlsctd/doc/2013/2013canlii73498/2013canlii73498.html?searchUrlHash=AAAAAQAJdG9ieSBvYmVkAAAAAAAE&resultIndex=12)

[searchUrlHash=AAAAAQAJdG9ieSBvYmVkAAAAAAAE&resultIndex=12](https://www.canlii.org/en/nl/nlsctd/doc/2013/2013canlii73498/2013canlii73498.html?searchUrlHash=AAAAAQAJdG9ieSBvYmVkAAAAAAAE&resultIndex=12)

Anderson vs. Canada (Attorney General), 2010 NLTD 106 (CanLII)  
[dostęp: 1.02.2019],

[https://www.canlii.org/en/nl/nlsctd/doc/2010/2010nlt106/2010nlt106.html?](https://www.canlii.org/en/nl/nlsctd/doc/2010/2010nlt106/2010nlt106.html?searchUrlHash=AAAAAQAJdG9ieSBvYmVkAAAAAAAE&resultIndex=16)

[searchUrlHash=AAAAAQAJdG9ieSBvYmVkAAAAAAAE&resultIndex=16](https://www.canlii.org/en/nl/nlsctd/doc/2010/2010nlt106/2010nlt106.html?searchUrlHash=AAAAAQAJdG9ieSBvYmVkAAAAAAAE&resultIndex=16)

*siq̇zki:*

m Borlese, *The Labrador Settlers, Metis and Kablunangajuit. Labrador studies*, Happy Valley-Goose Bay 1994

*rtykuły:*

epesza The Canadian Press, *Trudeau Apologizes to Newfoundland Residential School Survivors Left Out Of 2008 Apology, Compensation*, „Toronto Star”, 24 listopada 2017 [dostęp: 24.11.2017],

<https://www.thestar.com/news/canada/2017/11/24/trudeau-to->



apologize-to-newfoundland-residential-school-survivors-left-out-of-2008-apology-compensation.html

epesza CBC, *Strapped, Bullied and Sexually Assaulted at Residential School, Ex-Student Testifies*, CBC, 5 października 2015 [dostęp: 24.11.2017], <https://www.cbc.ca/news/canada/newfoundland-labrador/residential-school-lawsuit-toby-obed-1.3256895>

avid Cochrane, Lisa Laventure, *When Sorry Isn't Enough*, CBC, 23 listopada 2017 [dostęp: 23.11.2017], <https://www.cbc.ca/news2/interactives/sh/doEAa20CHM/when-sorry-isnt-enough/>

in Austen, *Trudeau Apologizes for Abuse and 'Profund Cultural Loss' at Indigenous Schools*, „The New York Times”, 24 listopada 2017 [dostęp: 25.11.2017], <https://www.nytimes.com/2017/11/24/world/canada/trudeau-indigenous-schools-newfoundland-labrador.html>

ue Bailey, *Trudeau to Apologize for Residential Schools in Newfoundland and Labrador*, „The Globe and Mail”, 10 sierpnia 2017 [dostęp: 12.08.2017], <https://www.theglobeandmail.com/news/politics/trudeau-to-apologize-for-residential-schools-in-newfoundland-and-labrador/article35947658/>

ustin Brake, *While Some Say Apology Puts Them on a Road to Healing, Others Will Keep Up the Fight*, APTN News, 25 listopada 2017 [dostęp: 25.11.2017], <https://aptnnews.ca/2017/11/25/i-feel-great-right-now-some-say-apology-puts-them-on-a-road-to-healing/>

atherine Griwkowsky, *Sherwood Park Lawyer Speaks About Residential School Apology Efforts*, „Edmonton Journal”, 26 listopada 2017 [dostęp: 28.11.2017],

<https://edmontonjournal.com/news/local-news/sherwood-park-lawyer-speaks-about-residential-school-apology-efforts>

James McLeod, *Witness Describes Physical, Sexual Abuse at Residential Schools Lawsuit*, „The Southern Gazette”, 29 września 2017 [dostęp: 25.11.2017], <https://www.southerngazette.ca/news/regional/witness-describes-physical-sexual-abuse-at-residential-schools-lawsuit-26929/>

inne:

*Newfoundland and Labrador Residential Schools Healing and Commemoration*, Crown-Indigenous Relations and Northern Affairs Canada [dostęp: 23.02.2019], <https://www.rcaanc-cirnac.gc.ca/eng/1511531626107/1539962009489>

## 10. DZIECI ŻÓŁWIEJ WYSPY

siq̓zki:

Charlotte Gray, *The Promise of Canada. People and Ideas that Shape Our Country*, Toronto 2016

Robert Joseph, *21 Things You May Not Know About The Indian Act*, Port Coquitlam 2018

Shelagh Rogers et al. (red.), *Speaking My Truth: Reflections on Reconciliation & Residential School*, Ottawa 2012

Angela Talaga, *Seven Fallen Feathers. Racism, Death and Hard Truths in a Northern City*, Toronto 2017

artykuły:

Martin Patriquin, *Canada: Home to Pikangikum, Suicide Capital of the World*, „Macleans”, 30 marca 2012 [dostęp: 15.04.2018], <http://www.macleans.ca/news/canada/canada-home-to-the-suicide-capital-of-the-world/>

epesza The Associated Press, *Google's Former CEO Says He's Worried About 'Wedges' in U.S.-Canada Relations*, „Global News”, 2 listopada 2017 [dostęp: 4.11.2017], <https://globalnews.ca/news/3839722/google-ceo-canada-u-s-relations/>

Źródło:

*Definition of Jordan's Principle from the Canadian Human Rights Tribunal*, „Health Canada” [dostęp: 16.01.2019], <https://www.canada.ca/en/indigenous-services-canada/services/jordans-principle/definition-jordans-principle-canadian-human-rights-tribunal.html>

Decyzja Kanadyjskiego Trybunału Praw Człowieka, sprawa „First Nations Child & Family Caring Society of Canada et al. vs. Attorney General of Canada”, Canada Human Rights Tribunal, 26 maja 2017 [dostęp: 16.01.2019], <https://decisions.chrt-tcdp.gc.ca/chrt-tcdp/decisions/en/item/232587/index.do?r=AAAAAQAOY2FyaW5nIHNVY2lldHkB>

*Jordan's Principle*, First Nations Child & Family Caring Society of Canada, Ottawa, Ontario, Kanada, 2011 [dostęp: 16.01.2019], <https://fncaringsociety.com/sites/default/files/jordans-principle/docs/JPbrochure2011-en.pdf>

Źródła statystyczne:

Aboriginal Peoples Survey, 2012: Lifetime Suicidal Thoughts Among First Nations Living off Reserve, Métis and Inuit aged 26 to 59: Prevalence and Associated Characteristics”, Statistics Canada, 19 stycznia 2016 [dostęp: 20.12.2018], <https://www150.statcan.gc.ca/n1/pub/89-653-x/89-653-x2016008-eng.htm>

## 11. ŚMIECH ROBYN BOURGEOIS

siq̓zki:

im Anderson, Maria Campbell, Christi Belcourt (red.), *Keetsahnak, Our Missing and Murdered Indigenous Sisters*, Edmonton 2018  
rthur J. Ray, *I Have Lived Here Since the World Began: An Illustrated History of Canada's Native People*, Toronto 2005  
atarzyna Wężyk, *Kanada. Ulubiony kraj świata*, Warszawa 2017

aporty:

mnesty International, *Stolen Sisters: A Human Rights Response to Discrimination and Violence against Indigenous Women In Canada* [dostęp: 1.06.2018],  
[https://www.amnesty.ca/sites/amnesty/files/Stolen%20Sisters%202004%20Summary%20Report\\_0.pdf](https://www.amnesty.ca/sites/amnesty/files/Stolen%20Sisters%202004%20Summary%20Report_0.pdf)

uman Rights Watch, *Those Who Take Us Away: Abusive Policing and Failures in Protection of Indigenous Women and Girls in Northern British Columbia, Canada* [dostęp: 1.06.2018],  
<https://www.hrw.org/report/2013/02/13/those-who-take-us-away/abusive-policing-and-failures-protection-indigenous-women>

ational Inquiry into Missing and Murdered Indigenous Women and Girls, „Executive Summary From the Interim Report: Our Women and Girls Are Sacred” [dostęp: 2.06.2018],  
[http://www.mmiwg-ffada.ca/wp-](http://www.mmiwg-ffada.ca/wp-content/uploads/2018/05/MMIWG-Executive-Summary-ENG.pdf)

content/uploads/2018/05/MMIWG-Executive-Summary-ENG.pdf  
ative Women's Association of Canada, *Fact Sheet: Root Causes of Violence Against Aboriginal Women and the Impact of Colonization* [dostęp: 2.06.2018], [https://www.nwac.ca/wp-content/uploads/2015/05/Fact\\_Sheet\\_Root\\_Causes\\_of\\_Violence\\_Against\\_Aboriginal\\_Women.pdf](https://www.nwac.ca/wp-content/uploads/2015/05/Fact_Sheet_Root_Causes_of_Violence_Against_Aboriginal_Women.pdf)

ative Women's Association of Canada, *Fact Sheet: Violence Against Indigenous Women* [dostęp: 4.06.2018], [https://www.nwac.ca/wp-content/uploads/2015/05/Fact\\_Sheet\\_Violence\\_Against\\_Aboriginal\\_Women.pdf](https://www.nwac.ca/wp-content/uploads/2015/05/Fact_Sheet_Violence_Against_Aboriginal_Women.pdf)

ative Women's Association of Canada, *Fact Sheet: Missing and Murdered Indigenous Women and Girls* [dostęp: 5.06.2018], [https://www.nwac.ca/wp-content/uploads/2015/05/Fact\\_Sheet\\_Missing\\_and\\_Murdered\\_Aboriginal\\_Women\\_and\\_Girls.pdf](https://www.nwac.ca/wp-content/uploads/2015/05/Fact_Sheet_Missing_and_Murdered_Aboriginal_Women_and_Girls.pdf)

rtykuły:

BC, *Red Dresses Stark Reminder of Missing, Murdered Aboriginal Women*, CBC, 27 października 2015 [dostęp: 1.11.2017], <https://www.cbc.ca/news/canada/new-brunswick/red-dress-murdered-aboriginal-woman-stu-1.3290842>

epesza The Canadian Press, *Lawyer with Missing and Murdered Indigenous Women Inquiry Resigns, Citing Government Interference*, „Toronto Star”, 2 lipca 2018 [dostęp: 10.07.2018], <https://www.thestar.com/news/canada/2018/07/02/lawyer-with-missing-and-murdered-indigenous-women-inquiry-resigns-citing-government-interference.html>

tar Editorial Board, *The Law Has Done Its Job, But There Must Be Justice for Tina Fontaine*, „Toronto Star”, 23 lutego 2018 [dostęp: 23.02.2018],

<https://www.thestar.com/opinion/editorials/2018/02/23/the-law-has-done-its-job-but-there-must-be-justice-for-tina-fontaine.html>

ne Armstrong, *Alert Issued About Meat from Pickton's Farm*, „The Globe and Mail”, 11 marca 2004 [dostęp: 22.06.2018], <https://www.theglobeandmail.com/news/national/alert-issued-about-meat-from-picktons-pig-farm/article1129163/>

Michael E. Miller, *The Worst Serial Killer in History who Fed Prostitutes to Pigs Spark Rage by Publishing Book*, „The Washington Post”, 26 lutego 2016 [dostęp: 22.06.2018], [https://www.washingtonpost.com/news/morning-mix/wp/2016/02/23/worst-serial-killer-in-history-who-fed-prostitutes-to-pigs-sparks-rage-by-publishing-book/?noredirect=on&utm\\_term=.87431490d24a](https://www.washingtonpost.com/news/morning-mix/wp/2016/02/23/worst-serial-killer-in-history-who-fed-prostitutes-to-pigs-sparks-rage-by-publishing-book/?noredirect=on&utm_term=.87431490d24a)

rofil Tiny Fontaine w serwisie CBC [dostęp: 1.03.2019],  
<https://www.cbc.ca/missingandmurdered/mmiw/profiles/tina-michelle-fontaine>

Mon Sabo, *Highway of Tears* w: „The Canadian Encyclopedia”, 6 czerwca 2016 [dostęp: 1.06.2018], <https://www.thecanadianencyclopedia.ca/en/article/highway-of-tears>

asmin Kaur, wiersz *Scream* [dostęp: 11.12.2018],  
<https://jasminkaaur.com/post/163698300691/scream-so-that-one->

day-a-hundred-years-from-now, w tłumaczeniu Joanny Gierak-Onoszko

trona Jaime Black i jej The REDress Project [dostęp: 12.12.2018],  
<http://www.theredressproject.org/>

## 12. UŚCISK MICHAELA WHITE'A

*artykuły:*

annah James, *Michael White Joins U of T as Special Projects Officer to Support the University's Truth and Reconciliation*, UofT News, 1 listopada 2017 [dostęp: 20.07.2018],  
<https://www.utoronto.ca/news/michael-white-joins-u-t-special-projects-officer-support-university-s-truth-and-reconciliation>

uzanne Keptwo, *Ending Violence Towards Indigenous Women Learning Session*, „Anishinabek News”, 14 lipca 2016 [dostęp: 20.07.2018],  
<http://anishinabeknews.ca/2016/07/14/ending-violence-towards-indigenous-women-learning-session/>

## 13. PIÓRO MICHAELA CHEENY

*aporty:*

rzytaczany już *Final Report of the Truth and Reconciliation Commission of Canada. Volume One: Summary. Honoring the Truth, Reconciling for the Future*

*siqżki:*

ob Joseph, *21 Things You May Not Know About The Indian Act*, Port Coquitlam 2018

*artykuły:*

epesza The Canadian Press, *Trudeau to Ask Pope Francis for Formal Apology Over Church's Role in Residential Schools*, „The National Post”, 29 maja 2017 [dostęp: 8.04.2018],

<https://nationalpost.com/news/politics/trudeau-to-ask-pope-francis-for-formal-apology-over-churchs-role-in-residential-schools>

epesza Reuters, *'We showed no care for the little ones': Pope's letter vows to end sex abuse, coverups*, CBC, 20 sierpnia 2018 [dostęp: 1.09.2018], <https://www.cbc.ca/news/world/pope-letter-coverups-church-sex-abuse-1.4791383>

orge Barrera, *Pope Francis Needs To 'Walk the Walk' with Residential Schools Apology: MP*, CBC, 21 sierpnia 2018 [dostęp: 1.09.2018], <https://www.cbc.ca/news/indigenous/charlie-angus-letter-pope-apology-residential-schools-1.4793879>

manda Coletta, *Pope Francis Won't Apologize for Abusive Church-run Schools in Canada, and Lawmakers Aren't Happy*, „The Washington Post”, 2 maja 2018 [dostęp: 5.05.2018], [https://www.washingtonpost.com/news/worldviews/wp/2018/05/02/pope-francis-wont-apologize-for-abusive-church-run-schools-in-canada-and-lawmakers-arent-happy/?noredirect=on&utm\\_term=.9690bc337fc2](https://www.washingtonpost.com/news/worldviews/wp/2018/05/02/pope-francis-wont-apologize-for-abusive-church-run-schools-in-canada-and-lawmakers-arent-happy/?noredirect=on&utm_term=.9690bc337fc2)

obert Fife, Gloria Galloway, *Trudeau Says Pope Working on Request for Residential Schools Apology*, „The Globe and Mail”, 29 maja 2017 [dostęp: 29.05.2017], <https://www.theglobeandmail.com/news/politics/trudeau-says-pope-working-on-request-for-residential-school-apology/article35142915/>

loria Galloway, *Former Head of TRC Decries Pope's Refusal to Apologize for Residential Schools*, „The Globe and Mail”, 28 marca 2018 [dostęp: 28.03.2018], <https://www.theglobeandmail.com/politics/article-former-head-of-trc-decries-popes-refusal-to-apologize-for-residential/>



loria Galloway, Sean Fine, *Other Churches Escape Residential-school Settlement Obligations in Wake of Catholic Deal*, „The Globe and Mail”, 26 kwietnia 2016 [dostęp: 28.03.2018], <https://www.theglobeandmail.com/news/politics/churches-escape-residential-school-settlement-obligations-in-wake-of-catholic-deal/article29767422/>

Carol Off, *'No Government Tells the Pope What to Say': Priest Defends Lack of Apology for Residential Schools*, CBC, 28 marca 2018 [dostęp: 28.03.2018], <https://www.cbc.ca/radio/asithappens/as-it-happens-wednesday-full-episode-1.4597040/no-government-tells-the-pope-what-to-say-priest-defends-lack-of-apology-for-residential-schools-1.4597046>

Philip Pullella, *Trudeau Invites Pope to Canada for Church Apology to Indigenous Peoples*, Reuters, 29 maja 2017 [dostęp: 29.05.2017], <https://www.reuters.com/article/us-pope-trudeau/trudeau-invites-pope-to-canada-for-church-apology-to-indigenous-peoples-idUSKBN18P1Y0>

Lia Rabson, *No apology for Canada's residential schools, Pope Francis says*, „Global News” [dostęp: 1.06.2017], <https://globalnews.ca/news/4110276/canada-residential-school-pope-francis-church-apology/>

Janna Smith, *Trudeau Asks Pope for an Apology Over Church's Role in Residential Schools*, CBC, 29 maja 2017 [dostęp: 29.05.2017], <https://www.cbc.ca/news/world/trudeau-pope-vatican-1.4135553>

Jason Warick, *'When You Do Wrong, You Apologize': Indigenous Leaders Disappointed with Pope Francis*, CBC, 28 marca 2018 [dostęp: 28.03.2018], <https://www.cbc.ca/news/canada/saskatoon/when-you-do-wrong->

you-apologize-indigenous-leaders-disappointed-with-pope-francis-1.4596824

*tanowiska niektórych Kościołów:*

anadyjska Konferencja Biskupów Katolickich, *A Catholic Response to Call to Action 48 of the Truth and Reconciliation Commission*, 19 marca 2016 [dostęp: 1.04.2019], <https://www.cccb.ca/site/images/stories/pdf/catholic%20response%20call%20to%20to%20action%2048.pdf>

ednoczony Kościół Kanady, *The United Church of Canada's Response to the Truth and Reconciliation Commission Calls to Action*, maj 2018 [dostęp: 1.04.2019], <https://www.united-church.ca/sites/default/files/ucc-response-trc-calls.pdf>

anadyjski Kościół Anglikański, *Let Our Yes Be Yes*, 19 marca 2016 [dostęp: 1.04.2019], <https://www.anglican.ca/news/let-yes-be-yes/30015309>

kościół Prezbiteriański w Kanadzie, *Truth and Reconciliation Commision Call to Action #48*, 29 marca 2016 [dostęp: 1.04.2019], <https://presbyterian.ca/downloads/27651/>

hrześcijański Kościół Reformowany, *Action for Reconciliation*, 1 czerwca 2015 [dostęp: 1.04.2019], [http://justice.crcna.org/sites/default/files/Action\\_for\\_Reconciliation\\_Ottawa2015.pdf](http://justice.crcna.org/sites/default/files/Action_for_Reconciliation_Ottawa2015.pdf)

kościół Ewangelicko-Luterański, *ELCIC Statement on Implementing the United Nations Declaration on the Rights of Indigenous Peoples*, marzec 2016 [dostęp: 1.04.2019], <https://www.elcic.ca/Documents/StatementonCalltoAction48.pdf>

*ne:*

he National Centre for Truth and Reconciliation, *Bishop Horden Hall IAP School Narrative*, 1 maja 2012 [dostęp: 1.07.2018],

<https://nctr.ca/School%20narratives/EAST/ON/BISHOP%20HORDEN.pdf>

he National Centre for Truth and Reconciliation, *Shingwauk IRS School Narrative*, 23 sierpnia 2004 [dostęp: 1.07.2018], <https://nctr.ca/School%20narratives/EAST/ON/SHINGWAUK.pdf>

#### **14. PTASZYNKA**

eznanie Edmunda Metatawabina z 26 sierpnia 2013, w sprawie Fontaine vs. Canada (00-CV-192059) wraz z załącznikami:

łącznik A: *Raport St. Anne's Residential School Reunion and Conference, Report of the Testimonial/Panel Component, Fort Albany First Nation*, 20 sierpnia 1992

łącznik B: Mary Anne Nakogee-Davis, *St. Ann's Residential School 1992 Reunion and Keykaywin Conference, Summary Report*, 21 kwietnia 1994

łącznik D: Zapis rozmowy telefonicznej ze śledczym, *OPP Special Investigation of St. Anne's Residential School, Anticipated Evidence of D/C Greg Deluidice*, 26 kwietnia 2013

AB E: Kopia katechizmu *Prieres, Catechisme, Chemin de la Croix et Cantiques*, Montreal 1910

eznania Edmunda Metatawabina, udostępnione przez Nishawbe Aski Nation [dostęp: 2.07.2018], <http://www.nan.on.ca/upload/documents/comms-2-st-annes-affidavit-of-ed-metataw.pdf>

djęcia z National Center for Truth and Reconciliation [dostęp: 1.07.2018], [http://nctr.ca/aims\\_base\\_pdf/10a/10a-c000149-d0013-001.pdf](http://nctr.ca/aims_base_pdf/10a/10a-c000149-d0013-001.pdf)

#### **15. SŁOWA ANGELI SHISHEESH**

*kta sądowe:*

*prawy:*

Montaine vs. Canada (Attorney General), 2014 ONSC 283 (CanLII), 00-CV-192059 [dostęp: 29.09.2018], <https://www.canlii.org/en/on/onsc/doc/2014/2014onsc283/2014onsc283.html#par144>

Montaine vs. Canada (Attorney General), 2014 ONSC 4585 (CanLII), 00-CV-192059 [dostęp: 29.09.2018], <https://www.canlii.org/en/on/onsc/doc/2014/2014onsc4585/2014onsc4585.html>

Montaine vs. Canada (Attorney General), 2015 ONSC 4061 (CanLII), 00-CV-192059 [dostęp: 29.09.2018], [https://www.canlii.org/en/on/onsc/doc/2015/2015onsc4061/2015onsc4061.html?](https://www.canlii.org/en/on/onsc/doc/2015/2015onsc4061/2015onsc4061.html?autocompleteStr=2015%20ONSC%204061&autocompletePos=1)

[autocompleteStr=2015%20ONSC%204061&autocompletePos=1](https://www.canlii.org/en/on/onsc/doc/2015/2015onsc4061/2015onsc4061.html?autocompleteStr=2015%20ONSC%204061&autocompletePos=1)

Montaine vs. Canada (Attorney General), 2015 ONSC 3611 (CanLII), 00-CV-192059 [dostęp: 29.09.2018], <https://www.canlii.org/en/on/onsc/doc/2015/2015onsc3611/2015onsc3611.html>

Montaine vs. Canada (Attorney General), 2015 BCSC 1386 (CanLII), L051875 [dostęp: 29.09.2018], <https://www.canlii.org/en/bc/bcsc/doc/2015/2015bcsc1386/2015bcsc1386.html>

Montaine vs. Canada (Attorney General), 2016 ONSC 4328 (CanLII), 00-CV-192059 [dostęp: 29.09.2018], <https://www.canlii.org/en/on/onsc/doc/2016/2016onsc4328/2016onsc4328.html>

Montaine vs. Canada (Attorney General), 2016 ONCA 241 (CanLII), C59320; C59310; C59311 [dostęp: 29.09.2018], <https://www.canlii.org/en/on/onca/doc/2016/2016onca241/2016onca241.html>

Fontaine vs. Canada (Attorney General), 2017 ONSC 2487 (CanLII), 00-CV-192059 [dostęp: 29.09.2018], <https://www.canlii.org/en/on/onsc/doc/2017/2017onsc2487/2017onsc2487.html>

Fontaine vs. Canada (Attorney General), 2018 ONSC 103 (CanLII), 00-CV-192059 [dostęp: 29.09.2018], [https://www.canlii.org/en/on/onsc/doc/2018/2018onsc103/2018onsc103.html?searchUrlHash=AAAAAQALbWV0YXRhd2FiaW4AAAAAAQ&resultIndex=1#\\_ftn8](https://www.canlii.org/en/on/onsc/doc/2018/2018onsc103/2018onsc103.html?searchUrlHash=AAAAAQALbWV0YXRhd2FiaW4AAAAAAQ&resultIndex=1#_ftn8)

Fontaine vs. Canada (Attorney General), 2018 ONCA 421 (CanLII), C63804 [dostęp: 29.09.2018], <https://www.canlii.org/en/on/onca/doc/2018/2018onca421/2018onca421.html?resultIndex=1>

Fontaine vs. Canada (Attorney General), 2018 ONCA 421 (CanLII), C63804 [dostęp: 29.09.2018], <https://www.canlii.org/en/on/onca/doc/2018/2018onca421/2018onca421.html?resultIndex=2>

Wyrok Edmunda Metatawabina z 26.08.2013 w sprawie Fontaine vs. Canada (00-CV-192059) wraz z załącznikami, op. cit.

*inne:*

treść ugody „Indian Residential Schools Settlement Agreement” (IRSSA), 8 maja 2006 [dostęp: 1.06.2017], <http://www.residentialschoolsettlement.ca/IRS%20Settlement%20Agreement-%20ENGLISH.pdf>

załącznik D do ugody IRSSA, regulujący wysokość rekompensaty za doznane krzywdy [dostęp: 10.08.2018], [http://www.residentialschoolsettlement.ca/Schedule\\_D-IAP.PDF](http://www.residentialschoolsettlement.ca/Schedule_D-IAP.PDF)

rocedura „Common Experience Payments”, Indigenous and Northern Affairs Canada [dostęp: 10.08.2018], <https://www.aadnc-aandc.gc.ca/eng/1100100015594/1100100015595>

rocedura „Independent Assessment Process”, *A guide for claimants in the Independent Assessment Process*, Indian Residential Schools Adjudication Secretariat [dostęp: 10.08.2018], [www.iap-pef.ca/former-ancien/iap/claimant\\_guide-eng.pdf](http://www.iap-pef.ca/former-ancien/iap/claimant_guide-eng.pdf)

Dane statystyczne:

Statistics on the Implementation of the Indian Residential Schools Settlement Agreement”, Indigenous and Northern Affairs Canada [dostęp: 1.03.2019], <https://www.aadnc-aandc.gc.ca/eng/1315320539682/1315320692192>

Statistics on the Implementation of the Indian Residential Schools Settlement Agreement Indigenous and Northern Affairs Canada”, Indigenous and Northern Affairs Canada [dostęp: 1.03.2019], <https://www.aadnc-aandc.gc.ca/eng/1315320539682/1315320692192>

zrzuty zredagowanej dokumentacji dotyczącej szkoły Świętej Anny, *Sample documents from second interim release concerning St. Anne's Survivors November*, opublikowane przez Charliego Angusa 22 listopada 2013 na stronie: <https://www.charlieangus.ndp.ca/documents-letters-research> oraz [https://docs.wikistatic.com/ugd/550adb\\_401b9fe91e7c4651b1dc9d78ace0eae4.pdf](https://docs.wikistatic.com/ugd/550adb_401b9fe91e7c4651b1dc9d78ace0eae4.pdf) [dostęp: 8.04.2018]

artykuły:

George Barrera, *MP Wants Answers on Why Ottawa Suppressed Residential School's Police Files*, CBC, 23 listopada 2017 [dostęp: 15.06.2018], <https://www.cbc.ca/news/indigenous/suppression-st-anne-residential-school-opp-files-charlie-angus-1.4416400>

orge Barrera, *Ottawa Initially Fought St. Anne's Residential School Electric Chair Compensation Claims*, 2 grudnia 2017 [dostęp: 16.06.2018], <https://www.cbc.ca/news/indigenous/st-annes-residential-school-electric-chair-compensation-fight-1.4429594>

orge Barrera, *St. Anne's Residential School Cases in Ottawa's Legal Crosshairs, Says Lawyer*, CBC, 29 listopada 2017 [dostęp: 1.07.2018], <https://www.cbc.ca/news/indigenous/iap-procedural-fairness-residential-schools-ottawa-1.4424996>

orge Barrera, *St. Anne's Residential School Survivors Lose What Could Be Final Battle with Ottawa over Documents*, CBC, 7 maja 2018 [dostęp: 7.05.2018], <https://www.cbc.ca/news/indigenous/st-annes-residential-school-appeal-decision-documents-1.4652573>

loria Galloway, *Residential-school Survivor Gets Permission from Government to Donate Documents*, „The Globe and Mail”, 13 grudnia 2017 [dostęp: 20.07.2018], <https://www.theglobeandmail.com/news/politics/residential-school-survivor-gets-permission-from-government-to-donate-documents/article37323211/>

esse Staniforth, *Cover-up of Residential School Crimes a National Shame*, „The Toronto Star”, 25.08.2015 [dostęp: 20.07.2018], <https://www.thestar.com/opinion/commentary/2015/08/25/cover-up-of-residential-school-crimes-a-national-shame.html>

arina Roman, *St. Anne's Residential School Survivor Says Ottawa 'Hiding Evidence*, CBC, 17 grudnia 2013 [dostęp: 20.05.2018], <https://www.cbc.ca/news/politics/st-anne-s-residential-school-survivor-says-ottawa-hiding-evidence-1.2466795>

## 16. SERCE EVELYN KORKMAZ

ertykuły:

George Barrera, *Conservative MP Opposes Motion Calling on Pope to Apologize for Residential Schools*, CBC, 18 kwietnia 2018 [dostęp: 19.04.2018], <https://www.cbc.ca/news/indigenous/conservative-mp-opposed-motion-papal-apology-residential-schools-1.4625537>

Justin Brake, *Survivor Calls First Nation Living Conditions 'Shame and Disgrace' as Canada Commemorates Residential School Apology*, APTN News, 11 czerwca 2018 [dostęp: 27.06.2018], <https://aptnnews.ca/2018/06/11/survivor-calls-first-nation-living-conditions-shame-and-disgrace-as-canada-commemorates-residential-school-apology/>

Mathleen Martens, Annette Francis, *Catholic Bishops News Conference Only Adds Confusion around Pope's Apology to Residential School Survivors*, APT News, 18 kwietnia 2018 [dostęp: 5.05.2018], <https://aptnnews.ca/2018/04/18/catholic-bishops-news-conference-only-adds-confusion-around-popes-apology-to-residential-school-survivors/>

Nichelle McQuigge, *Plan for Statutory Holiday to Remember Residential Schools Might Hamper Reconciliation, Say Some Indigenous – Canadians*, „The National Post”, 19 sierpnia 2018 [dostęp: 1.09.2018], <https://nationalpost.com/news/range-of-reactions-to-possible-holiday-to-mark-legacy-of-residential-schools>

Źródło:

film dokumentalny, *In Jesus' Name: Shattering the Silence of St. Anne's Residential School*, reż. Susan Enberg, 2017 oraz niepublikowane fragmenty wywiadu z Evelyn Korkmaz przeprowadzonego na potrzeby produkcji tego filmu

komunikat Peetabeck Keway Keykaywin (St. Anne's Residential School Survivors) Association, Nishawbe Aski Nation, 2 maja



2018 [dostęp: 1.09.2018], <http://www.nan.on.ca/article/may-3-2018-22580.asp>

ista członków założycieli organizacji Ending Clergy Abuse (ECA)  
[dostęp: 8.04.2019], <https://www.ecaglobal.org/founding-members/>

# Przypisy

- [1] Dolary, o ile w tekście nie zaznaczono inaczej, oznaczają kanadyjską (CAD), a nie amerykańską (USD) walutę.
- [2] Royal Canadian Mounted Police, RCMP – Kanadyjska Królewska Policja Konna, służba wspierająca Federalne Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego.
- [3] Pisownia oryginalna, w niektórych źródłach jest to North West River, a w innych Northwest River.
- [4] INAC zostało już przekształcone w dwie osobne organizacje: Indigenous Services Canada oraz Crown-Indigenous Relations and Northern Affairs Canada (CIRNAC). Dodanie członu mówiącego o relacjach pomiędzy rdzennymi narodami a koroną ma podkreślić podmiotowość pierwszych mieszkańców tych ziem. Wiele miesięcy po naszej rozmowie, w czerwcu 2018 roku, biuro, już pod nową nazwą, przeniosło się z St. Clair na Bay Street, do finansowej dzielnicy Toronto.
- [5] W zależności od lokalizacji księgarnie mają szyld „Indigo” lub „Chapters”.
- [6] Wzdłuż najkrótszego równoleżnika to 3 352 kilometrów, samochodem ponad 4 500 kilometrów, 72 godziny jazdy.





Joanna Gierak-Onoszko  
27 ŚMIERCI TOBY'EGO OBEDA



SERIA REPORTERSKA





Joanna Gierak-Onoszko przywiozła z Kanady opowieść o niewyobrażalnym koszmarze. Mocny, znakomity debiut.

Wojciech Tochman

To książka o Kanadzie, jakiej nie znamy i jakiej wolelibyśmy nie znać. Zbyt polubiliśmy myśl, że to kraj szczęśliwy. Joanna Gierak-Onoszko musi nas boleśnie rozczarować. Sprawdza, w jaki sposób Kanadyjczycy mierzą się dziś z grzechami swojej przeszłości. Punktuje absurdy i pułapki tych rozliczeń, pokazuje, że naszej kulturze brakuje skutecznych narzędzi i wzorców, by naprawiać zło. To pasjonująca opowieść o duchowych granicach zachodniej cywilizacji. W czasie lektury nie raz złapiemy się za głowę.

Katarzyna Surmiak-Domańska

Pojednanie jest procesem o wyraźnym początku, ale bez końca.

Zaczynam od podstaw, z biblioteki wypożyczam książki dla dzieci. Od kilku lat publikuje się tu proste historie, w których już kilkulatkom tłumaczy się, że Kanada ma więcej niż sto pięćdziesiąt lat i że kiedyś żyli tu inni ludzie. Mówi się też dzieciom, że tych ludzi już nie ma, a przede wszystkim – dlaczego.

Fragment książki

To też jest Kanada: siedem zapalek w słoiku, sny o czubkach drzew, powiewające na wietrze czerwone suknie, dzieci odbierane rodzicom o świcie. I ludzie, którzy nie mówią, że są absolwentami szkół z internatem. Mówią: jesteśmy ocalałcami. Przetrwaliśmy. Dlaczego Kanada ściąga dziś z pomników i banknotów swoich dawnych bohaterów? Jak to możliwe, że odbierano tam dzieci rodzicom? Czyja ręka temu błogosławiła?

cena 42 zł  
(w tym 5% VAT)



 instytut  
reportażu

 Dowody  
na Istnienie  
Wydawnictwo

KSIĄŻKA DOSTĘPNA  
RÓWNIEŻ JAKO E-BOOK

SERIA REPORTERSKA

